

Tom 08 KD

Magia szura

vel

Magia przemienia

v.2.

Rozdział 01 – Niespodziewani goście

Jadę skrytymi w mrokach nocy ulicami Atlanty na moim gigantycznym osiołku. Nazywa się Cuddles. Łącznie z uszami mierzy trzy i pół metra wzwyż, a jej czarno-biała skóra skłania do zastanowienia się, czy przypadkiem nie przydybała w zaułku łaciatej krowy a teraz nosi jej wdzianko.

Moje ubabrane krwią ubranie sugeruje natomiast, że miałam pełen przygód wieczór. Większość koni niechętnie widziałyby kobietę pokrytą taką ilością krwi na swym grzbiecie, ale Cuddles zdaje się to nie przeszkadzać. Może rzeczywiście nie ma nic przeciwko temu albo jest zwyczajnie pragmatyczna i wie od kogo otrzymuje marchewki.

Miasto rozpościera się przede mną, opustoszałe, ciche i przesiąknięte magią, rozwijające swe ulice do gwiazd niczym księżycowy kwiat. Dzisiejszej nocy magia mocno przetacza się przez Atlantę, jak nurt widmowej rzeki, wślizgując się w zacienione

miejsca i budząc głodne istoty z długimi zębiskami i jarzącymi się ślepiami.

Każdy kto ma choć odrobinę rozsądku chowa się po zmroku za wzmocnionymi drzwiami i barykaduje okna. Na moje nieszczęście zdrowy rozsądek nigdy nie zaliczał się do wachlarza mych zalet.

Cuddles wystukuje swą ścieżkę wśród ulic, a odgłos jej kopyt brzmi nienaturalnie głośno wśród pustej nocy. Cienie owej nocy obserwują nas, a my odwziewamy się tym samym. Sprawdźmy, kto jest lepszym zabójcą. Moja szabla uwielbia tę grę.

Jest niemal północ. To był drugi dzień. Bolą mnie plecy, ubrania cuchną krwią, a wizja gorącego prysznica zdaje się być ucieleśnieniem marzeń. Upiekłam wczoraj dwie szarlotki i wiem, że zostawiono dla mnie przynajmniej jeden kawałek. Zjem go sobie z herbatą przed pójściem do łóżka.

Denerwująca iskierka magii włącza się w moim umyśle. Wampir. Zajebiaszco.

Nieumarły, napotkany tak daleko na południe, może należeć jedynie do Korporacji, przedziwnej hybrydy przedsiębiorstwa i instytutu badawczego, zajmującej się studiowaniem nieumarłych oraz zarabianiem przy okazji pieniążków. Korpo ostatnio unika mnie jak zarazy. Niecałe trzy miesiące temu dowiedzieli się, że ich ojciec-założyciel, niemal nieśmiertelny czarnoksiężnik, władający niemalże

boskimi mocami oraz legendarną magią, jest moim ojcem. Mają mentalny problem z tym przeorganizowaniem, więc wampir raczej nie idzie do mnie.

Niemniej... Znam większość szlaków patrolowych Korpo, a ten nieumarły zdecydowanie z niego zbacza. Na gnijące liście, gdzie on lezie?

Nie. To nie mój cyrk i nie moje nieumarłe małpy.

Wampir skręca w prawo, zmierzając wprost na mnie.

Dom, prysznic, szarlotka. Może jeśli zacznę powtarzać to jak modlitwę, zadziała.

Odległość pomiędzy nami kurczy się. Dom, prysznic...

Nieumarły zeskakuje z dachu najbliższego piętrowego budynku i ląduje obok mnie na drodze.

Niech to jeż iglasty dziugnie.

Truposz rozwiera pysk i wydobywa się z niego oschły głos Ghasteka:

– Trudno cię znaleźć.

No proszę. Nowy dyrektor biura Korporacji w Atlancie „osobiście” przybył, by się ze mną spotkać. Ukłoniłabym się, ale jestem zbyt zmęczona, zresztą przeszkadza mi umieszczona na plecach broń.

– Mieszkam na przedmieściu i wracam do domu prawie każdej nocy. Mój numer służbowy jest w książce telefonicznej.

Wampir przechyla głowę, naśladowując ruchy Stefanoffa.

– Wciąż jeździsz na tej olbrzymce?

– Możesz go stratować – zwracam się do Cuddles. – Wesprę cię.

Cuddles ignoruje zarówno mnie, jak i wampira, bezczelnie go mijając.

Krwiopijca okręca się elegancko i truchce obok mnie.

– Gdzie jest twój... Media narajana?

– Kręci się gdzieś tutaj. – On nigdy nie oddala się za bardzo. – A co, martwisz się, że dowie się o naszym romantyczny rendezvous?

Wampir zamiera na chwilę.

– Co?

– Spotykamy się w tajemnicy, na odludnej ulicy, w środku nocy...

Głos Ghasteka jest tak ostry, że gdyby był nożem, już bym była pokrojona na paseczki.

– Twoje próby zabłyśnięcia dowcipem są niezmiernie przykre.

Hehe.

– Zapewnia cię, że jestem tu wyłącznie w interesach.

– Jasne, pączuszk.

Wampir wytrzeszcza oczy. W pancernym pomieszczeniu, głęboko w czeluściach Kasyna, Ghastek dostaje prawdopodobnie ataku serca na skutek ogromnego oburzenia.

– Co robisz w moim zakątku?

– Technicznie rzecz biorąc, całe miasto jest twoim zakątkiem.

Jakiś czas temu mój ojciec postanowił dramatycznie zająć Atlantę i ustanowić swoje nad nią zwierzchnictwo. Natomiast ja, równie dramatycznie, próbowałam do tego nie dopuścić. On wiedział co robi, a ja przypadkowo zajęłam miasto zamiast niego. Wciąż jest dla mnie niejasne jak dokładnie działa zajęcie, ale najwyraźniej oznacza, że podjęłam się sprawowania kurateli nad miastem i na mnie

spoczywa odpowiedzialność za jego bezpieczeństwo. Teoretycznie magia mojej ziemi powinna mnie zasilać i ułatwiać mi zadanie, ale nie mam pojęcia jak do tego doprowadzić.

– Racja. Słyszałam jednak, że awansowałeś. Nie masz ludzi, którymi mógłbyś się wysługiwać?

Wampir wykrzywia twarz w przyprawiający o ciarki grymasie. Ghastek pewnie się skrzywił.

– Myślałam, że to cię uszczęśliwi – mówię. – Chciałeś przecież być wielką szyczą.

– Tak, ale muszę załatwić sprawy z tobą. On rozmawiał ze mną osobiście.

Powiedział „on” z taką atencją, że może to odnosić się jedynie do Rolanda.

– On uważa, że ze względu na nasze wspólne doświadczenie nie zabijesz mnie bez wyraźnej przyczyny. Przez co jestem szczególnie predysponowany do kierowania Korporacją w obrębie twojego terytorium.

Okazanie, że posiadanie własnego terytorium wciąż mnie przeraża, poważnie nadszarpnęłoby „szacun”, jaki posiadam będąc Strażniczką Miasta.

– Aha.

– Mam realizować cele w duchu współpracy z tobą. Zatem, kierując się tą ideą, pragnę cię poinformować, że nasze patrole dostrzegły liczną grupę ghouli zbliżających się do miasta.

Ghoule nie wróżą nic dobrego. Poddają się temu samemu wzorcowi infekcji oraz inkubacji co wampiry i zmiennokształtni, ale jak dotąd nikomu nie udało się ustalić, co dokładnie zmienia je w ghoule. Są bystre, nadnaturalnie szybkie, wredne i żywią się ludzką padliną. W odróżnieniu od wampirów, które niejako przypominają, ghoule zachowują pewne fragmenty ludzkiej osobowości i można się z nimi dogadać. Szybko doszły do tego, że najlepszym sposobem na zdobycie odpowiedniego mięsa homo sapiens jest zaszlachtowanie kilku osób i pozostawienie zwłok, by rozłożyły się na tyle żeby można było je spożyć. Poruszają się w niewielkich, najwyżej pięcioosobowych stadkach i napadają odizolowane, małe osady.

– Jak duża jest ta grupa?

– Ponad trzydzieści osobników.

To nie jest stadko, a piekielna horda. Nie słyszałam dotąd o tak dużym stadzie ghouli.

– Skąd nadchodzą?

– Od Lawrence Highway. Dotrą do Northlake za około pół godziny.
Życzę powodzenia.

Wampir rozplywa się w mroku nocy.

Kilkadziesiąt lat temu Northlake znajdowałoby się tylko o kilka minut drogi stąd. Obecnie pomiędzy mną a tamtą częścią miasta leży labirynt ruin. Postmienne miasto skurczyło się po pierwszej fali magii, która spowodowała katastrofalne zniszczenia. Ludzie czuli się bezpiecznej w dużych grupach, więc większość przedmieść wzdłuż Old Lawrenceville Highway opustoszała. W Tucker żyją odizolowane wspólnoty, ale osiedlający się tam ludzie wiedzą, czego spodziewać się po zasilanej magią dziczy, więc pokonanie ich jest trudne. Po co się męczyć, gdy niespełna osiem kilometrów dalej, na granicy miasta znajduje się Northlake. To gęsto zaludniony obszar, wypełniony domkami jednorodzinnymi i ogrodzony trzymetrowym murem, okolonym od góry drutem kolczastym oraz wyposażony w kilka wieżyczek strażniczych. Wartownicy poradziliby sobie z maksymalnie siedmioma ghouliami; trzydzieści to dla nich o wiele za dużo. Ghoule pokonają ogrodzenie w kilka sekund, zarzną pilnujących i zrobią krwawą jatkę na osiedlu.

Nie ma czasu. Zanim znajdę działający telefon i przekonam Wydział Aktywności Nadnaturalnej, że do Atlanty zbliża się stado ghouli o liczebności sześć razy większej niż normalna, osiedle North Druid Hills zmieni się w makabryczny bufet.

Nad moją głową, po dachu, przemyka wielki, ciemny kształt, bez trudu pokonujący skokiem odległość pomiędzy dwoma budynkami. Światło gwiazd pada na niego przez pełną grozy chwilę, oświetlając potężny tors, cztery masywne łapy i szarą grzywę. Włoski na karku stają mi dęba. To jakby noc we własnej osobie otworzyła szczęki i wypuła prehistorycznego stwora, zrodzonego z ludzkiego strachu i wygłodniałych, zwierzęcych powarkiwań, roznoszących się echem w ciemności.

Widzę go jedynie przez chwilę, ale ów obraz wpisuje mi się w umysł jakby był wykuty w kamieniu. Moje ciało natychmiast rozpoznaje drapieżnika i wie, że jest zdobyczą. Znam go od ponad roku, ale instynktowny odruch jest zawsze taki sam.

Zwierzę zeskakuje i kieruje się na północ, w stronę Northlake.

Zamiast zwiewać aż by się kurzyło, żeby tylko nie mieć z nim do czynienia, jak zrobiłaby to normalna osoba, trącam Cuddles, ponaglając ją aż przechodzi w galop. Nie pozwala się przecież narzeczonemu walczyć samotnie z hordą ghoulów.

Mam przed sobą pustą Old Lawrenceville Highway. Droga wcina się tutaj w niewysokie wzgórze i po obu stronach zbocze podtrzymują

kamienne ściany. „Parkuję” u podnóża wzgórza, gdzie przechodzi ono w rozległy, płaski teren. Miejsce dobre jak każde inne.

Rozciągam powoli szyję, najpierw z jednej strony, potem z drugiej. Przywiązałam Cuddles do drzewa półtora kilometra wcześniej. Ghoule nie będą zainteresowane pożarciem jej, ale nosi na sobie mój zapach i któryś z nich mógłby rozszarpać jej gardło z czystej złośliwości.

Księżyc wyłania się zza chmur, oświetlając teren. Nocne niebo zdaje się być ogromnie wysoko, a gwiazdy lśnią w jego lodowatej głębi na wzór diamentów. Zrywa się zimny wiatr, szarpiąc ubranie oraz warkocz. Jest początek marca, a wiosna nadeszła nagle i przyniosła ocieplenie, niemniej nocami zima wciąż szczyrzy kły.

Zdjęcie trzydziestu ghoulów bez wsparcia to trudne zadanie, ale na szczęście ja mam najlepsze wsparcie w mieście.

Gdy zajęłam Atlantę, proces ten utworzył granicę. Wyczuwam ją teraz piętnaście metrów stąd, jako niewidzialną linię demarkacyjną. Powinnam była udać się na inspekcję owych granic, ale byłam zbyt zajęta odcinaniem się od Gromady, urządzeniem domu i ogarnianiem rachunków. Udawanie, że zajęcie nie miało miejsca nie wychodzi mi na dobre.

Coś porusza się w oddali. Skupiam się na tym. Ruch wciąż nie ustaje, a horyzont faluje z lekka. Po chwili owo drżenie zmienia się w

pojedyncze kształty, biegnące dziwnymi susami, opierające się na przednich kończynach jak goryle, ale nie przechodzące w pełen bieg na czterech łapach.

O rany, sporo tych ghoulu.

Pora zaczynać. Sięgam do szabli na plecach i wyciągam ją z osłony. Matowe, niemal białe ostrze odbija słabą poświatę księżyca. Jednoręczna, ostra niczym brzytwa, jest skrzyżowaniem katany z tradycyjną szablą. Dzięki lekkiemu zakrzywieniu doskonale nadaje się zarówno do cięć, jak i pchnięć. Sarrat jest szybka, lekka, elastyczna i właśnie będzie miała okazję sporo poćwiczyć.

Zniekształcone profile przybliżają się. Wiedzieć, że jest ich trzydzieści to jedno, a zobaczyć ich tyle, to co innego.

Znajoma magia przepływa do mnie z broni i na powrót. Macham nią, rozgrzewając nadgarstek.

Horda ghoulu zbliża się. Na jeże kłujące, jak ja się w to wpakowałam?

Ruszam w ich stronę z szablą w dłoni, opuszczoną czubkiem w dół.

Nie jestem najlepsza w kontaktach społecznych, ale zastraszenie mam opanowane do perfekcji.

Ghoule dostrzegają mnie. Pierwsze szeregi zwalniają, ale tylne wciąż pędzą. Grupa zbija się jak fala rozbijająca się o skałę i w końcu zatrzymuje gwałtownie tuż przed granicą. One stają po jednej stronie magicznej linii oddzielającej, a ja po drugiej.

Stwory są smukłe i umięśnione, wyposażone w nieproporcjonalnie potężne ręce i długie, łopатовate dłonie, których palce zakończone są krótkimi, zakrzywionymi pazurami. Guzłowate różki kostnych wyrostków porastają przypadkowo skórę ich pleców i ramion. Różki to mechanizm obronny. Gdy ktoś próbuje wyciągnąć ghoula z jego nory, różki klinują się w glebie. Wyposażony w nadludzką siłę wilkołak miałby problem z wyłuskaniem ghoula z gleby. Zdarzało mi się widywać różki nawet dwunastocentymetrowej długości, ale w obecnej tu cizbie występują głównie okazy poniżej jednego centymetra. Skórę mają ciemnoszarą na piersi, szyi i twarzy. Ten odcień występuje w miejskim, wojskowym kamuflażu. Małe, bure plamy zdobią ich grzbiety i barki. Gdyby nie wodnisto-żółty blask ich oczu, zupełnie wtopiłyby się w drogę.

Żaden z nich nie jest kulawy, zagłodzony, czy słaby. Niestety liczby przemawiają na moją niekorzyść, więc szybko muszę obmyślić odpowiednią strategię.

Przybysze ziopią się na mnie dziwnie skośnymi ślepiami, których wewnętrzne kąciki znajdują się dużo niżej niż zewnętrzne.

Czekam. W chwili, w której człowiek się odezwie, przestaje być taki straszny, a ja nie mam zamiaru wydawać się mniej groźna. Te stwory są zdolne do odczuwania zmysłowego. Potrafią wyczuwać strach, a ja muszę wykorzystać każdą dostępną formę przewagi.

Wielki ghoul przepycha się na czoło stada. Dobrze odżywiony, obdarzony mocno wyrzeźbionymi, potężnymi mięśniami. Przykuca przede mną. Gdyby stał prosto, miałby ponad dwa metry wzrostu. Waży co najmniej dziewięćdziesiąt kilogramów, a wszystko to same mięśnie i ostre pazury. Brązowy wzór na grzbiecie jest w zaniku. Zamiast tego ma naprzemienne paski jaśniejszej i ciemniejszej szarości.

Ghoul pochyła się, jego gęba dotyka granicy. Cofa się i gapi na mnie. Nie jest pewien, co wyczuwa, ale wie, że granica i ja jesteśmy ze sobą jakoś związane.

Niektóre ghoule są padlinożercami. W takim wypadku są nieszkodliwe, a czasem nawet pracują zarobkowo. Żyjemy w niebezpiecznych czasach. Zbyt często ciała nie można wydobyć spod gruzu lub są zbyt zmasakrowane, by krewni je rozpoznali. Składanie szczątków w masowym grobie jest prostym przepisem na katastrofę. Ludzkie ciała wydzielają magię nawet po śmierci i nie da się przewidzieć, co następna fala magii uczyni z takowym grobem. Szczątki są najczęściej kremowane, ale czasem władze sprowadzają ghoule, by oczyściły miejsce tragedii.

Idę o zakład, że te tutaj nie są licencjonowanymi czyścicielami, ale muszę mieć stuprocentową pewność.

Wielki ghoul wciąż wbija we mnie wzrok. Obdarzam go swoim najlepszym psychotycznym uśmiechem.

Stwór mruga szalonymi ślepiami, napina się jak pies przed natarciem, otwiera paszczę, rozciągając wargi w niespiesznym uśmiechu. O właśnie, pokaż mi swoje ząbki, ślicznoto.

Rząd grubych zębów ozdabia przód jego szczęki. Te z tyłu są cieńsze, przypominają ząbkowane ostrza. Mam cię.

Potwór otwiera pysk. Wydobywa się z niego szorstki, ostry głos:

– Kim jesteś?

– Zwróćcie, a ujdziecie z życiem.

Zamyka pysk z kłapnięciem. Najwidoczniej nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Jestem mistrzynią niespodzianek. Spoko, dopiero się rozkręcę.

– Jesteśmy licencjonowanym zespołem czyścicieli – oświadcza przywódca ghoulu.

– Nie.

Osiemset metrów za ghoulami przesuwa się ciemny kształt, tak cicho, że przez chwilę zdaje mi się, że mi się przywidziało. Cześć, kochanie.

Nowo przybyli nie zauważają go. Są uwarunkowani na zwracanie uwagi na ludzkie mięso, a ja stoję przed ich nosami, będąc dobrym, dogodnym celem.

Przywódca ghoulów odwraca się, odsłaniając tatuaż na lewym ramieniu.

Columbia, SC

014

3940

Miejsce wydanie licencji, jej numer oraz lata, na które obowiązuje.
[2039 i 2040] Wydaje mu się, że urodziłam się wczoraj.

- Jesteśmy pokojowo nastawioną grupą – ciągnie ghoul.
- Jasne. Po prostu biegniecie do miasta, żeby pożyczyć szklanek cukru i zachęcić ludzi do przejścia na waszą wiarę.
- Wtrącasz się do urzędowych spraw miasta. To jest dyskryminacja.

Ciemny cień wyłania się na drodze i zmierza ku nam. Muszę dać mu trochę czasu, by stwory znalazły się w zasięgu jego ataku.

Patrzę na ghoula.

– Wiesz co wyjątkowego jest w twoich pobratymcach? Posiadacie niezrównaną zdolność adaptacji środowiskowej. Wasze ciała zmieniają się, by dostosować się do otoczenia szybciej, niż dziewięćdziesiąt dziewięć procent czegokolwiek, co można zaobserwować w naturze.

Mój ulubiony potwór skrada się na wielkich łapach.

Unoszę broń i opieram matowe ostrze na ramieniu. Słabe wstążki oparu wydobywają się z powierzchni Sarrat. Szabla wyczuwa kłopoty.

– Powiem wam, co widzę. Wasza barwa zmieniła się z brązowej na szarą, ponieważ nie musicie już wtapiać się w wasze naturalne tło, którym jest gleba. Wasze pręgi mówią mi, że spędzacie wiele czasu podróżując przez lasy. Wasze różki są krótkie, bo nie kryjecie się w norach.

Ghoule zbliżają się nieco. Ich oczy świecą jaśniej. Nie podoba im się to, do czego zmierzam.

– Wasze pazury nie są długie i proste, by pomóc w kopaniu. Są zakrzywione i ostre, by szarpać i wyrywać mięso.

Stwory szczerzą na mnie kły. Są od włos od wybuchu. Muszę nawijać.

– Wasze śliczne ząbki też się zmieniły. Nie są już wąskie i ząbkowane. Teraz są grube, mocne i ostre. Taki rodzaj uzębienia służy przytrzymywaniu zdobyczy w psyku. A twój fikuśny tatuaż jest nieaktualny od dwóch lat.

Cała grupa zamiera w milczeniu, oczy im świecą niczym dziesiątki maleńkich księżyców, a wszystkie są skupiona na mnie. Potrzebuję jeszcze tylko kilku sekund...

– Zabić ją – ponagla sprawę jeden z ghoulu.

– Zabić ją. On czeka – dołącza następny głos.

– Zabić ją. Zabić ją.

Wydają się być strasznie zdeterminowane. Dzieje się coś dziwnego.

– Kto czeka? – pytam.

– Zamknij się! – warczy ich prowadzyciel.

Pochylałam się i spoglądałam na lidera twardym wzrokiem.

– Buszujecie po wiejskich okolicach, objadając się i tuczając zamordowanymi ludźmi. Dałam wam szansę na odwrót. Teraz jest już za późno. Wczujcie się w tę chwilę. Popatrzcie na gwiazdy. Odetchnijcie zimnym powietrzem. To jest wasza ostatnia noc. To wasze ostatnie tchnienie. Zabiję was wszystkich, co do jednego.

Przywódca powarkuje, porzucając wszelkie pozory.

– Ty i jaka armia?

Zaczynam przyciągać magię do siebie. To zabolę. Zawsze boli.

– To jest właśnie zajebiste w lwołakach. Nie potrzeba całej armii. Wystarczy jeden.

Ghoul wykrzywia pysk.

– Ty, ścierwo, nie jesteś lwołakiem.

– Ja nie. – Kiwam głową, wskazując za niego. – Ale on tak.

Przywódca okręca się.

Dwoje złocistych oczu spoziera na niego z ciemności. Olbrzymie lwopodobne zwierzę otwiera paszczę i ryczy. Zanim go poznałam,

nie miałam pojęcia jak brzmi prawdziwy ryk lwa. Teraz wiem, że jak grzmot.

Ghoule zastygają w miejscu.

Otwieram usta i rzucam słowo mocy.

– Ossanda. – Klękajcie.

Słowa mocy pochodzą z dawno zapomnianej epoki, a są tak pradawne, że rozkazują czystej mocy magii. Niewiele osób jest świadomych ich istnienia, a jeszcze mniej ich używa, ponieważ by nauczyć się słowa mocy, należy je osiąść. Albo czyni się je swoim, albo się umiera. Znam ich garść; to o wiele więcej niż większość ludzi, ale użycie choćby jednego pociąga za sobą wysoką cenę. Dla mego ojca słowa mocy są językiem, którym mówi płynnie i bez obciążeń. Nie wyrządzają mu krzywdy. Natomiast ja zawsze ciężko to przechodzę.

Magia wyrywa się ze mnie. Przygotowuję się na znajomą falę bólu. Jej echo uderza we mnie, przedzierając się przez wnętrzości, ale tym razem ma stępione zęby, bo nie boli choćby w połowie tak samo, jak to zapamiętałam.

Magia wali w skamieniałe ghoule. Ich kolana oraz łokcie trzaskają jednocześnie i monstra upadają na asfalt. Zyskuję co najmniej

dziesięć sekund. Gdyby magia była silniejsza, połamałabym im kości.

Biorę zamach szablą. Sarrat spotyka się z kościstą szyją ghoula i wchodzi w chrzęści oraz grubą skórę jak w masło. Zanim jego martwe ciało dotyka podłoża, wpycham ostrze w pierś następnego ghoula i czuję jak czubek Sarrat przebija ścisłą kulkę serca.

Ciało lwa wrze, wznosząc się gwałtownie. Kości rosną, potężne mięśnie otaczają nowy szkielet. Jedno mgnienie oka i całkiem nowy potwór rzuca się do przodu; koszmarne połączenie człowiek i lwa.

Ghoul skacze na niego. Lwołak chwyta go za gardło i potrząsa nim jakby strzepywał mokry ręcznik. Obrzydliwe chrupnięcie niesie się echem wśród nocy, a ghouł wiotczeje.

Rozkrawam następnego potwora na pół, a kolejnemu podcinam gardło.

Ghoule ożywiają się. Rzucają się na nas chmarą. Lwołak macha pazurami i precyzyjnym ruchem wyrywa przeciwnikowi wnętrzności. Flaki opadają na drogę. Gorzki smród krwi padlinożerców miesza się z charakterystycznym, kwaśnym odorem rany podbrzusza i wdziera się do mojego nosa.

Pazury przedzierają się przez moje ubrania, kreśląc potwornie piekące linie w poprzek pleców. Chcecie się zabawić? Dobrze. I tak muszę potrenować.

Szabla staje się ostrą jak brzytwa ścianą. Tnie, kroi i przebija, rozrywając ciało i sycząc, gdy zalewa ją i wrze magią, krew ghoulu. Poruszam się szybko, unikając szponów i blokując zęby. Następne bolesne zadrapanie sięga moich pleców. Jeden z ghoulu łapie mój bucior, więc okręcam stopę i wdeptuję jego czaszkę w bruk. W końcu się rozgrzewam, a moje mięśnie stają się bardziej elastyczne i uległe. Otoczenie robi się krystalicznie wyraźne. Czas spowalnia, pomagając mi. Ghoule rzucają się na mnie, ale jestem od nich szybsza. Celują we mnie pazurami, ale moja szabla dosięga ich pierwsza. Rozkoszuję się tym, każdą chwilą walki, każdą przelatującą obok mnie kroplą krwi, każdą sekundą oporu, gdy Sarrat dociera celu.

Po to mnie wychowano i wyszkolono. Na dobre i na złe, jestem zabójczynią. To moje powołanie i nie wypieram się tego.

Majaczy przede mną postać ghoula. Załatwiam go klasycznym cięciem znad głowy. Upada. Nikt nie pojawia się na jego miejsce. Okręcam się na palcach, szukając następnej potyczki. Na lewo ode mnie lwołak rzuca zmasakrowane ciało na asfalt i odwraca od mnie.

Pojedynczy ghoul leży na drodze pomiędzy nami.

– Żywcem – powarkuje lwołak.

Sama wiem. Sprawdźmy kim jest ów tajemniczy „on”. Ruszam w stronę ghoulu z szablą w dłoni.

Stwór drży, rozgląda się na obie strony, potem patrzy na lwa, a następnie na mnie.

Właśnie. Jesteś w pułapce i nie umkniesz nam. Jak zacznie uciekać, dorwiemy go.

Ghoul cofa się, wbija pazurzastą łapę w swoje gardło i rozdziera je. Zaczyna gulgotać i pada na szosę. Światło gaśnie w jego oczach. A to dopiero.

Lwołak otwiera paszczę; dobywają się z niej idealnie wyartykułowane słowa:

– Hej, maleńka.

– Hej, kochanie.

Wyciągam szmatkę z kieszeni i starannie wycieram klingę Sarrat.

Curran podchodzi do mnie, omijając ciała i obejmuje mnie ramieniem, przyciągając do siebie. Przytulam się do niego,

wyczuwając twarde mięśnie torsu na moim boku. Rozglądamy się po drodze usianej uszkodzonymi ciałami.

Działanie adrenaliny zanika powoli. Barwy stają się mniej żywe. Jedno po drugim, rozcięcia i rany dają o sobie znać: pieką mnie plecy, boli lewa strona biodra oraz poboлева lewy bark. Pewnie obudzę się rano z widowiskowymi sińcami.

Przeżyliśmy następną walkę. Możemy udać się do domu i żyć dalej.

– Co to w ogóle było? – pyta Curran.

– Nie mam pojęcia. One nie łączą się w takie liczne grupy. Największe ich stado, jakie zaobserwowano, liczyło siedem osobników, co i tak uważano za dziwne. Zbijają się w grupy jedynie dla ochrony. Uważasz, że Ghastek ma coś z tym wspólnego?

Curran krzywi się.

– To nie w jego stylu. Stefanoff wykonuje jedynie te ruchy, dzięki którym może coś zyskać. Zmuszenie nas do starcia z ghoułami nic mu nie daje. Wie na co nas stać. Na pewno wiedział, że rozbijemy je w pył.

Ma rację. Ghastek z pewnością spodziewał się, że pokonamy ghoule. Nie użyłby nas też do brudnej roboty. Może i ma wady, ale jest pierwszorzędnym pilotem, Panem Umarłych i uwielbia swoją pracę.

Gdyby zwyczajnie chodziło o samo ukatrupienie stworów, posiekałby to stado na kawałeczki przy pomocy dwóch wampirów albo wykorzystałby to jako okazję do sesji treningowej dla swych czeladników.

– Nie widzę w tym żadnego sensu – mówię, przyciągając ślady mojej krwi do siebie. Ona przesuwa się i łączy w maleńkie kropelki, tworząc małą kałużę na bruku. Przesuwam ją na bok, utwardzam i rozdeptuję. Rozsypuje się pod stopą w chemicznie obojętny pył. Jest coraz bardziej posłuszna. Trudno powiedzieć, czy dzięki temu jestem lepszą żołnierką, czy czymś jeszcze bardziej nienaturalnym. – Wyglądały na zdesperowane. Kierowane jakimś dziwnym instynktem, prawie jakby miały do zrealizowanie pewien cel.

– Dojdziemy do tego – odzywa się Curran. – Już prawie północ. Głosuję za powrotem do domu, prysznicem i łóżkiem.

– Dobry plan.

– Hej, zostało jeszcze trochę szarlotki?

– Chyba tak.

Odwracam się, by odejść. Przechodzą mnie niepokojące ciarki, jakby jakaś fantomowa dłoń sięgnęła do mnie i podrapała mi plecy ostrymi pazurami. Każdy nerw ciała krzyczy ostrzegawczo. Obracam

się na pięcie. Nic. Pusta przestrzeń. Ciemność. Przepastna, pusta noc.

Fantomowe niebezpieczeństwo wciąż się tam czai, czekając na mnie tuż za moją granicą. Robię trzy kroki do przodu i powoli, z rozmysłem przekraczam tę niewidzialną linię. Zimny wiatr szarpie ubrania.

Dziwna, niepokojąca obecność ustępuje. Jest wciąż gdzieś tam w oddali i obserwuje mnie. Czeka na coś... Nie szkodzi. Obserwuj. Jestem tu, jeśli chcesz się zabawić.

– Co jest? – dopytuje się Curran.

– Nie wiem.

Odwracam się i podchodzę do niego. Po tylu miesiącach pozostawania w związku wciąż mnie zdumiewa, że on tu jest. Dla mnie. Jeśli coś mnie zaatakuje, on to zabije. Jeśli będę potrzebowała pomocy, on mi jej udzieli. Kocha mnie, a ja odwzajemniam tę miłość. Już nie jestem sama.

Idziemy po moją ośliczkę, gdy on nagle pyta:

– Pączuszkę?

– Nie mogłam się powstrzymać. Ghastek jest tak sztywny, jakby miał w tyłu kijek wielkości podkładu kolejowego. Widziałeś ten wyraz na paszczęce wampira? Wyglądał jakby miał zaparcie.

Curran wybucha śmiechem. Odnajdujemy Cuddles i wracamy do domu.

KONIEC Rozdziału 01

Rozdział 02 – Smuteczek

Nasz dom położony jest przy krótkiej ulicy na jednym z nowszych przedmieść. W swym poprzednim życiu miejsce to było częścią Victoria Estates, dzielnicy zamożnej klasy średniej. Była to spokojna okolica, gdzie wąskie uliczki ocieniały stare, wysokie drzewa; połączenie pięknej przyrody z zaletami życia w mieście. Potem nadeszła magia, a drzewa z Hahn Forest na południu oraz W. D. Thomson Park zbuntowały się. Ta sama dziwna siła magii, która ogryzała drapacze chmur do ostatniej śrubki, zasilala drzewa, a te rosły nienaturalnie szybko, najeżdżając sąsiednie okolice i połykając je w całości. Victoria Estates padło ofiarą otaczających lasów bez głosu sprzeciwu. Większość mieszkańców wyprowadziła się.

Jakieś cztery lata temu pewien przedsiębiorczy deweloper postanowił odzyskać tę przestrzeń i wyciął w lesie nerkowaty kształt, gdzie zbudował specyficzne postzmiennie domy, obowiązkowo wyposażone w grube ściany, zakratowane okna, mocne drzwi oraz przestrzenne podwórka.

Nasza ulica mieści się wewnątrz fasolki, najbliżej lasu, natomiast pozostałe dwie rozwijają się na północ i zachód rozszerzającymi się łukami. Przy naszej stoi niewiele domów, pięć po bokach i siedem po przeciwnej stronie, a nasz jest na samym środku.

Gdy skręcamy w nią, wyciągam szyję, żeby zobaczyć dom. To wielkie, dwupiętrowe bydło, postawione na dwuhektarowej, ogrodzonej działce, ze stajnią i pastwiskiem z tyłu. Uwielbiam każdą cegielkę i deseczkę tego domu. Należy do mnie i Currana. To nasz dom rodzinny. Rezydowałam już w mieszkaniu oraz przeróżnych dziurach. Mieszkałam nawet w fortecy, ale to pierwsze miejsce od dłuższego czasu, w którym czuję się jak w domu. Za każdym razem gdy go opuszczam, nęka mnie okropne przecucie, że po powrocie zobaczę, że zniknął, zawalił się albo doszczętnie spłonął. Kiedy udaje mi się dostać w ręce coś fajnego, los zwykle pozwala mi zatrzymać to na tyle długo, żebym zdążyła się przyzwycząić, a potem rozbija to na kawałki.

Jeszcze nie widzę domu, zasłania go zakręt. Powstrzymuję się przed przyspieszeniem Cuddles. Miała męczącą noc.

Curran wyciąga rękę i kładzie futrzasto-pazurzastą łapę na mojej dłoni.

– Został tylko miesiąc.

Od chwili rezygnacji z przewodzenia zmiennokształtnym, którą dla wygody ustalono na pierwszego stycznia, przysługuje nam dziewięćdziesiąt dni na formalne oddzielenie się od Gromady, finansowo oraz zawodowo. Jeśli ktoś chce opuścić Gromadę jako część naszego personelu, musi to zrobić przed upływem tego czasu.

Dziś mamy pierwszy marca. Jeszcze trzydzieści dni i będziemy zupełnie wolni. Formalnie pozostaniemy częścią Gromady, ale nie będziemy podlegać jej hierarchii. Nie będziemy mogli w żaden sposób brać udziału w zarządzaniu Gromadą. Przez owe dziewięćdziesiąt dni nie możemy nawet odwiedzać Twierdzy, ponieważ nasza obecność podważałaby władzę nowej pary alf, która ustala swą pozycję. Gdy ów czas minie, nikt nie zamknie nam drzwi Twierdzy przed nosem, ale rozumie się samo przez się, że nie będziemy tam wysiadywać. To mi się podoba.

Gryzą mnie wyrzuty sumienia. Gromada to całe życie Currana. Rządził nią odkąd stworzył ją z oddzielnych stad, gdy miał zaledwie piętnaście lat. Zostawia za sobą osiemnaście lat życia, ponieważ mnie kocha.

– Brakuje ci tego? – pytam.

– Czego? Twierdzy?

Dziwne, ale on zawsze od razu wie, o co mi chodzi.

– Tak. Bycia Władcą Zwierząt.

– Niespecjalnie. To życie podoba mi się. Po skończonej pracy wracam do domu. Wszystkie sprawy mają swój koniec. Mogę popatrzeć wstecz i powiedzieć, że zrobiłem dziś tyle i tyle. To miłe wiedzieć, że nikt nie zapuka do naszych drzwi i nie wyciągnie mnie, żebym zajmował się jakimiś głupotami. Żadnych więcej komisji, żalonych rywalizacji i ślubów.

W zasięgu wzroku pojawia się duży klon, rosnący przed naszym domem. Cały i zdrowy. Może dom też jest nienaruszony.

– Nie brakuje mi Gromady, ale kierowania jej mechanizmem.

– To znaczy?

– To jak złożona maszyna. Wszystkie klany i ich alfy oraz ich problemy. Brakuje mi korygowania tych elementów i obserwowania jak lepiej współpracują. Ale nie tęsknię za presją. – Szczerzy się groźnie do księżycy. – A wiesz co mi się podoba w „niebyciu” Władcą Zwierząt?

– Znaczy oprócz jadania posiłków kiedy chcemy, sypiania kiedy chcemy oraz uprawiania seksu bez zakłóceń i ludzi stojących za drzwiami?

– Tak, oprócz tego. Podoba mi się, że mogę robić, co mi się żywnie podoba. Jak chcę utłuc parę ghouli, to idę i to robię. Nie muszę siedzieć na trzygodzinnym spotkaniu Rady Gromady i omawiać zagadnień związanych z eksterminacją ghouli oraz jej wpływu na interes Gromady oraz każdego zasranego klanu z osobna.

Śmieję się łagodnie. Załatwianie spraw z alfami z pewnością przynależy do jednego z kręgów piekielnych.

Curran wzrusza muskularnymi ramionami.

– Możesz się z tego śmiać. Kiedy miałem piętnaście lat i Mahon popchnął mnie do sięgnięcia po władzę, zrobiłem to, ponieważ byłem młody i głupi. Zdawało mi się, że to korona. Nie wiedziałem, że to była kula z łańcuchem. Pozbyłem się łańcucha. Podoba mi się ten stan rzeczy.

Udaję że drżę. Biorąc pod uwagę ton, w którym powiedział „Podoba mi się ten stan rzeczy”, nie muszę bardzo udawać.

– Bez łańcucha. Jakiś ty niebezpieczny, Wasza Futrzastość.

Zerka na mnie.

– Chyba jesteś za groźny, żeby wpuścić cię do domu. Nie wiem, czy zaryzykuję sen przy twoim boku, o Uwolniony. Kto wie, co mogłoby się zdarzyć.

– A kto mówił o spaniu?

Otwieram usta, żeby się z nim podroczyć, ale zaraz je zamykam. Nie widzę jeszcze domu, ale trawnik tak. Zalany jest żółtą poświatą. Jest już dobrze po północy. Julie już dawno powinna być w łóżku. Nie ma powodu, żeby światła były włączone.

Curran zrywa się do biegu. Pospieszam Cuddles. Ośliczka zatrzymuje się. Chyba nie ma ochoty biegać.

– No dalej! – warczę.

Zwierzę cofa się.

A niech ją jeź kopnie. Zeskakuję z jej grzbietu i pędzę do domu. Naciskam klamkę. Otwieram drzwi na oścież i wpadam do środka.

Kuchnia skąpana jest w łagodnym, elektrycznym świetle. Curran stoi z boku. Przy stole ze zmierzwionymi włosami i owinięta w koc, siedzi Julie. Ziewa na mój widok. Zwalniam na tyle, żeby nie wpakować się na stół. Po drugiej stronie, z kubkiem kawy przed sobą, siedzi jednoreka kobieta, z grzywą czarnych, kręconych włosów. George.

Odwraca do mnie wymizerowaną twarz.

– Potrzebuję pomocy.

Julie znowu ziewa.

– No to pa. Idę się położyć.

– Dzięki że ze mną posiedziałaś – mówi George.

– Nie ma sprawy.

Julie zbiera koc i wchodzi po schodach. Coś łomocze.

– Nic mi nie jest! – woła. – Upadłam, ale nic mi się nie stało!

Tupie po schodach, a następnie trzask drzwi oznajmia, że dotarła do sypialni.

Wyciągam krzesło i siadam. Curran opiera się o ścianę. Wciąż jest w swojej zwierzęcej postaci. Zwraca się do gościa:

– Co się stało?

George bierze głęboki wdech. Rysy jej się wyostrzyły, jakby skóra była za mocno naciągnięta na kości.

– Eduardo zaginął.

Marszczę czoło. Lubię Eduardo. Jest szczery, odważny, a ponadto bez namysłu stanąłby w obronie przyjaciela.

– Rozmawiałaś z tatą? – pyta Curran.

– Tak. – George zagląda w kubek. – Nie przejął się tym.

Dlaczego Mahon miałby być zadowolony ze zniknięcia Eduardo? Bizonolak jest jednym z najlepszych żołnierzy w Klanie Ciężkich, a jego alfa wybrał go jako wsparcie na czas naszej wyprawy po panaceum.

– George – prosi Curran – zacznij od początku.

– Eduardo i ja jesteśmy ze sobą – wyjaśnia.

– Chodźcie ze sobą, tak?

Wydawało mi się, że Eduardo podoba się Keira.

George kiwa głową.

A to dopiero niespodzianka. Od czasu wyprawy widywałam ich razem w Twierdzy setki razy, ale w życiu nie zgadłabym, że mają się

ku sobie. Chyba jestem zupełnie ślepa. Choć z drugiej strony, rzeczywiście spędzali ostatnio ze sobą bardzo dużo czasu...

– Od kiedy? – pyta Curran.

– Od powrotu z Eurazji. Kochamy się. Wynajął dla nas dom. Chcemy się pobrać.

Rany.

– A Mahon stanowi problem? – zgaduje Curran.

George krzywi się.

– Ed nie jest niedźwiedziakiem. Tylko kodiak byłby odpowiedni. Jeśli nie kodiak, to chociaż jakiś niedźwiedź. Dlatego nie wychylaliśmy się. Próbowałam rozmawiać z tatą siedem tygodni temu. Nie poszło najlepiej. Spytałam go, co by się stało, gdybym na poważnie związała się z kimś, kto nie jest niedźwiedziem.

Znowu wpatruje się w kubek.

– Co odpowiedział? – pyta łagodnie Curran.

George podnosi wzrok. Oczy jej rozbłyskują i na krótką chwilę mój umysł wraca do olbrzymiego niedźwiedziaka, wpadającego z rykiem do pokoju. Niedocenianie kodiaczki grozi śmiertelnym

niebezpieczeństwem. Wydawało mi się, że jest przygnębiona, ale w końcu rozgryzam emocje wyostrzające jej rysy. George jest wkurwiona i ogromnym wysiłkiem woli powstrzymuje się przed wybuchem.

Gdy odzywa się ponownie, jej głos drży z gniewu:

– Oświadczył, że mnie wydziedziczy.

– To do niego podobne – podsumowuje Curran.

Niedźwiedziolaczka wstaje gwałtownie z krzesła i zaczyna chodzić po kuchni, okrążając wysepkę jak zwierz w klatce.

– Powiedział, że mam obowiązki względem klanu oraz że powinnam przekazać swoje własne geny, poczynając niedźwiedziolaczka z odpowiednim niedźwiedziem.

– Powiedziałaś mi, że skoro tak bardzo lubi samce niedźwiedziolaków, to powinien sam się z jednym chajtnąć? – mówię.

Sporo bym zapłaciła, żeby zobaczyć minę Mahona w takiej chwili.

George wciąż krąży.

– Wszystkie te archaiczne idiotyczne idee... Mózg mu musiał zardzewieć. Albo ma demencję.

– Wiesz, że on często powtarza te bzdury... – zaczyna Curran.

Kodiaczka odwraca się do niego.

– Tylko mi nie mów, że nie miał tego na myśli!

– Ależ miał – broni się Curran. – W głębi duszy uważa, że niedźwiedzie się lepsze od innych. Wierzy we wszystko, co mówi, ale nie postępuje według tych słów. W ciągu kilkunastu lat prowadzenia Gromady miałem może dwadzieścia skarg na niego, a wszystkie dotyczyły tego, co powiedział, a nigdy tego co zrobił. Ma sztywne koncepcje na temat zachowań niestosownych dla alfy i niedźwiedzia. Skrzywdzenie Eduardo nie jest w jego stylu.

– Nie byłeś przy tej rozmowie. Nie słyszałeś, co mówił.

Jeśli dać im szansę, będą nawijać o Mahonie całą noc.

– Co się stało po twojej rozmowie z ojcem?

George nie zwraca na mnie uwagi i kręci głową.

– Wiecie co znaczą te bzdury o przekazywaniu genów? Tyle, że jeśli Eduardo i ja będziemy mieć dzieci, mój ojciec będzie uważał je za wybrakowane. Nie rozumiesz nic, Kate. Przecież jestem jego córką!

– Oczywiście, że nie rozumiem – odpieram. – Przecież nie miewam problemów ze swoim ojcem.

George otwiera usta, ale powstrzymuje się. Jeśli idzie o konflikty na linii ojciec-dziecko, jestem nie do pokonania.

– Co się stało po waszej pogaduszce? – pytam ponownie.

– Eduardo i ja przedyskutowaliśmy to. Ed wykonywał dorywcze zlecenia dla naszego klanu oraz pomagał mi w sprawach związanych z procesami. Wiedzieliśmy, że to zostanie mu odebrane. Jim potrzebuje wsparcia mojego taty. Nie mam nawet cienia wątpliwości, że gdyby tata zrobił aferę, moje stanowisko też by zniknęło.

– Twoja mama zamordowałaby go za to – zauważa Curran.

– Owszem – zgadza się George. – Ale dopiero po fakcie. I nie dałoby się tego odwrócić, bo już byłabym zwolniona. Jim nie mógłby przywrócić mnie na stanowisko, bo przez to wyszedłby na słabego i niesłownego. Zaczęłam więc po cichu spieniężać swoje inwestycje, a Eduardo wynajął dom w mieście i zarejestrował się w Gildii.

Jestem członkinią Gildii Najemników od dziewięciu lat. Można tam spokojnie zarobić dobre pieniądze, ale od śmierci założyciela firma chyli się ku upadkowi.

– Jak sobie radzi w Gildii? – pytam.

– Dobrze. Mówił, że niektórzy sprawiali mu problemy, ale radzi sobie z tym.

Eduardo nadaje się do Gildii. Pasuje do profilu idealnego pracownika. Gdy klienci dzwonią po pomoc, potrzebują poczucia bezpieczeństwa, a mierzący metr dziewięćdziesiąt facet, umięśniony jak medalista olimpijski w zapasach, zapewnia je. Ze względu na system przydziału zleceń, choć pozostali mogą pyskować i być nieprzyjemni, nie przeszkadzają Eduardo w zarabianiu pieniędzy.

– Wydaje mi się, że tata się domyślił – dodaje George. – Patrick przyszedł do Eduardo w zeszłym tygodniu, żeby z nim porozmawiać.

Ów Patrick to siostrzeniec Mahona; wierna kopia wujka pod względem rozmiarów i poglądów.

– Powiedział Eduardo, że źle postępuje i gdyby mu na mnie zależało, zostawiłby mnie w spokoju, a nie odrywał od rodziny.

Curran krzywi się.

– Czy Patrick zrobiłby coś takiego na własną rękę? – pytam go.

– Nie – zaprzecza Curran. – Patrick jedynie powtarza słowa Mahona. Wprowadza w życie jego wolę, nie myśli samodzielnie. Dlatego Mahon nie przygotowywał go na stanowisko alfy.

– Eduardo powiedział mu, że nie ma pojęcia, o czym on mówi. Patrick wyszedł. W poniedziałek Eduardo nie wrócił do domu. Czekałam całą noc.

Biorę notatnik i długopis z wbudowanej półki.

– Kiedy ostatni raz widziałaś Eduardo lub rozmawiałaś z nim?

– W poniedziałek rano, o siódmej trzydzieści. Pytał, co chcę na kolację.

Dziś mamy ledwie środę. Nie ma go około czterdziestu godzin.

– Nie zadzwonił do mnie w porze lunchu – ciągnie George. – Zwykle to robi. Pomyślałam, że coś go zatrzymało. Pojechałam do jego domu w poniedziałek wieczorem. Nie pokazał się. Nie zadzwonił ani nie zostawił wiadomości. Wiem, istnieją bzdurne zasady co do tego, ile musi ktoś nie wracać do domu, ale mówię wam, to do niego nie podobne. Nie zostawiłby mnie w niewiedzy. Stało się coś złego.

– Rozmawiałaś z Gildią? – pytam.

– Pojechałam tam dziś rano i spytałam o niego. Nikt mi nic nie powiedział.

Żadna niespodzianka. Najemnicy są skryci.

– Gdy wyszłam, nie było mojego auta – głos George drży ledwie skrywanym gniewem.

Curran pochyla się. Pyta lodowatym głosem:

– Ukradli ci samochód?

Kodiaczka przytakuje.

To świństwo, nawet jak na Gildię.

– Uznali ją za łatwy cel – mówię. – Młoda kobieta, sama, jednoręka, nie wyglądająca na żołnierkę.

Nie zdawali sobie sprawy, że w mgnieniu oka może zamienić się w półtonowego niedźwiedzia.

Wstaję, podchodzę do telefonu i wybieram numer Gildii. Jeśli Eduardo miał jakieś zlecenie, Asystent będzie wiedział. Gdy ktoś dzwoni do Gildii z problemem, Asystent ustala, w czyjej strefie

znajduje się dany adres i wzywa konkretnego najemnika. Jeśli ta osoba jest zajęta lub nie może podjąć zlecenia, Asystent dzwoni do następnego najemnika w hierarchii, aż znajdzie kogoś, kto wykona robotę. Jeśli to mu się nie powiedzie, przypina formularz zlecenia do tablicy, co znaczy, że każdy może je przyjąć. Niektóre fuchy idą do wybranych ludzi, ponieważ wymagają szczególnych umiejętności lub uprawnień, ale większość robót rozdziela się według typowego wzorca. Przydzielanie zleceń funkcjonuje jak dobrze naoliwiona maszyna. Wszystkim zajmuje się Asystent, który jest bezimiennym facetem, pilnującym, by każdy miał pracę oraz otrzymał zapłatę. Jeśli Eduardo przyjął jakieś zlecenie w poniedziałek, Asystent będzie wiedział kiedy i gdzie.

Telefon wykonuje połączenie.

– Taaa? – odzywa się mrukliwy, męski głos.

– Mówi Daniels. Chcę porozmawiać z Asystentem.

– Wyszedł.

Dziwne, Asystent zwykle bierze nocne zmiany w pierwszym tygodniu każdego miesiąca.

– To daj mi Lori.

Lori zastępuje Asystenta.

– Wyszła.

– Kiedy któreś z nich wróci?

– A skąd mam kurwa wiedzieć?

Rozłącza się.

Odwracam się do George.

– Pojedziemy tam z samego rana.

Nawet jeśli Asystenta nie ma, rano będzie tam jeden z jego zastępców.

– Wiem, że to nieprzyjemne pytanie, ale czy istnieje szansa, że Eduardo wystraszył się i zwiął?

George odpowiada bez wahania:

– Nie. Kocha mnie. A gdyby wyjechał, nie zostawiłby Maxa.

– Maxa?

– Swojego mopsa – odpowiada. – Ma go od pięciu lat. Wszędzie go zabiera. Gdy pojechałam tam w poniedziałek, Max był zamknięty w biurze, a miał jedzenia i wody tylko na jeden dzień.

Eduardo ma mopsa. Wcale mnie to nie dziwi.

– Co Jim robi w tej sprawie? – pytam.

– Nic. Zgłosiłam zaginięcie Eduardo u niego prywatnie. Powiedział, że przyjrzy się temu, ale dwie godziny później oświadczył, że tata wie o sprawie.

Zerkam na Currana.

– Mahon zagrał kartą klanu – wyjaśnia. – Zaginięcie Eduardo to wewnętrzna sprawa Klanu Ciężkich. O ile dany zmiennokształtny nie jest zatrudniony przez biuro Gromady lub klan poprosi o pomoc Jima, ten niewiele może zrobić. Może rozkazać swoim ludziom rozglądać się, ale nie będzie aktywnie go szukał.

– Nie może, czy nie chce? – pytam.

– Jedno i drugie – stwierdza Curran. – Aktywne poszukiwania wiązałyby się z przesłuchiwaniami członków Klanu Ciężkich, co naruszałoby władzę Mahona jako alfy. Istnieją dokładne wytyczne, które strzegą autonomii klanów wewnątrz Gromady, a to stanowiłoby jej przekroczenie. George ma rację. Dla Jima lepiej jest

nie podważać władzy kodiaka. Nie uczyni nic, by naumyślnie go rozdrażnić. Za rok lub dwa, gdy Jim umocni swą pozycję, sprawy będą wyglądać inaczej, ale on wie, że w tej chwili stąpa po cienkiej linii. Jeśli rozpocznie aktywne poszukiwania Eduardo, Mahon może celowo uznać to za obrazę i nadużycie pozycji Władcy Zwierząt. W chwili, w której Mahon publicznie skonfrontuje się z Jimem, zostanie to uznane za votum nieufności w stosunku do umiejętności przywódczych Jima, a reszta klanów darłaby mordy, że Jim to dyktator naruszający ich prawa. Jeśli do tego dojdzie, Jim nie ma szans wygrać. Albo nie zareaguje, co będzie wyglądać na oznakę słabości, albo wyzwie Mahona i zostanie uznany za tyrana. To sytuacja niegodna pozazdroszczenia, a Jim jest za bystry, żeby się w nią wpakować.

Curran ma rację co do Mahona. Jest mało prawdopodobne żeby Niedźwiedź, jak go nazywają, stał za zniknięciem Eduardo. To nie pasuje do jego kodu moralnego. Niemniej jeśli Eduardo zaginął ponieważ sam wpakował się w kłopoty, Mahon mógłby skorzystać z okazji. Wystarczy, że nie będzie go za bardzo szukał. Za George stoi ogromna rodzina. Wychowała się w Atlancie i w razie jej zniknięcia szukałby jej cały Klan Ciężkich. Natomiast Eduardo jest przyjezdnym. Przybył do miasta zaledwie trzy lata temu i o ile wiem, nie posiada rodziny w naszym stanie.

– Nawet nie wiem, czy on jeszcze żyje – opanowanie George bierze w łeb. Oczy wilgotnieją jej od łez. Głos zmienia się w rozwścieczone parsknięcie. – Może leży martwy w jakimś rowie i nikt go nie szuka.

Ten obraz wciąż mnie prześladowuje: on, zimny i martwy, pokryty kurzem. Może już go nigdy więcej nie zobaczę. Jak to w ogóle możliwe? Jak ktoś kogo się kocha może żyć w jednej chwili i zniknąć w następnej?

Curran odpycha się od ściany i delikatnie obejmuje ją monstrualnymi ramionami.

– Będzie dobrze – odzywa się cicho. – Kate go odnajdzie.

Nie wiem, czy powinnam być zadowolona z pokładanego we mnie zaufania, czy wściekła, bo złożył obietnicę, której być może nie będę mogła dotrzymać. Postanawiam być zadowolona, bo dostrzegam minę-pułapkę i muszę mu o niej powiedzieć.

George płacze bezgłośnie, troska i gniew wyciekają przez oczy. Oślaniała mnie podczas naszej podróży za Morze Czarne. Walczyła dla Gromady i poświęciła rękę, żeby ocalić życie ciężarnej kobiety. Zawsze jest wesoła, pewna siebie i zadowolona. Skora do śmiechu oraz bezpośrednia; nie ma problemu z formułowaniem własnych opinii. A teraz płacze i jest rozgorączkowana. To bardzo mnie złości, jakby świat oszalał. Życie nie jest sprawiedliwe, ale to już czysta przesada. Muszę to naprawić.

George odsuwa się od Currana i wyciera dłonią twarz, próbując zmasać łzy.

– Mamy problem – odzywam się. – Jeśli obierzemy tę drogę, może okazać się, że na jej końcu znajduje się Klan Ciężkich. Nawet jeśli George oficjalnie zatrudni nas oraz Cutting Edge do szukania Eduardo, Jim i tak może wszystko zablokować. Gdy Gromada zatwierdziła pożyczkę pieniędzy kapitałowych dla mojej firmy, zawarła w umowie klauzulę, która mówi, że jeśli w trakcie danego dochodzenia okaże się, że członek Gromady jest zamieszany w przestępstwo, owo śledztwo musi zostać zatwierdzone przez Władcę Zwierząt. Jim może nas zawetować.

– Kto umieścił tę klauzulę? – warczy George.

Wskazuję głową na Currana.

– On.

– Wtedy wydawała się być dobrym pomysłem – usprawiedliwia się lwołak.

– To jak to obejdziemy? – pytam.

Currana spogląda na George.

– Zadam ci pewne pytanie, ale zastanów się proszę dobrze zanim odpowiesz. Czy słyszałaś kiedykolwiek, by Eduardo Ortego wyrażał chęć opuszczenia Gromady jako członek mojego personelu osobistego?

Świetne posunięcie. Jeśli Eduardo opuszcza Gromadę wraz z Curranem, to ten ostatni ma prawo oraz obowiązek chronić go.

George prostuje się.

– Tak.

Mam wrażenie, że właśnie skłamała.

– Ja również zamierzam opuścić Gromadę z wami – mówi.

O pierzaste purchawki.

– Przemyśl to najpierw – doradza Curran. – To będzie oznaczać, że zrywasz więzi ze swoim klanem. Twoi rodzice nie będą zachwyceni. Jeśli okaże się, że twój ojciec nie miał nic wspólnego z zaginięciem Eduardo, możesz później tego żałować.

– Daj mi umowę – kwituje George.

Curran ani drgnie.

– Curran, daj mi ten dokument.

Łwołak podchodzi do półki, bierze folder z góry i otwiera go na czystej umowie odłączenia.

– Jak już podpiszesz, musisz w ciągu trzydziestu dni zupełnie odseparować się od Gromady.

George bierze długopis i wpisuje swoje nazwisko nad linią.

– To nie problem. Mogę wyprowadzić się z Twierdzy już dziś.

– Nie, nie możesz – mówię. – Musisz zwrócić.

– Dlaczego?

– Ponieważ my nie możemy ot tak wejść do Twierdzy i rozpocząć dochodzenia – odpowiada Curran. – Prawo Gromady wiąże nam ręce. Dobrze o tym wiesz. To obopólny kompromis: nie próbujemy wpłynąć na ludzi, by opuścili Gromadę z nami, a Jim nie może się wtrącać, gdy ktoś zechce to zrobić.

– Musisz wrócić, robić swoje i nadstawiać uszu – mówię. – Jesteś powszechnie lubiana oraz szanowana. Podobnie Eduardo. Może coś usłyszysz. Jeśli ktoś z Klanu Ciężkich przyczynił się do zniknięcia Eduardo, twoja obecność będzie mu stale o tym przypominała. Zacznie tę osobę zżerać poczucie winy, może poczuje się źle i przyjdzie się oczyścić albo przynajmniej wskazać ci odpowiedni kierunek.

– Mogę walczyć – warczy George. – To że nie mam jednej ręki...

– Wiem, że to ci w niczym nie przeszkadza – ucina Curran. – Ale potrzebuję cię wewnątrz Gromady. Porozmawiaj z Patrickiem. Nawet nie w formie, bijesz go na głowę. Komplementuj go za pomoc. Sprawdź, co wie. To może pomóc nam odnaleźć Eduardo.

Kodiaczka zastanawia się nad tym.

– No dobra.

Przysuwam bliżej notatnik.

– A teraz opowiedz mi o Eduardo. Gdzie mieszka, jaka jest jego rodzina, jakie są jego ulubione zajęcia. Opowiedz mi wszystko.

Kończymy pół godziny później.

– Powinam już wracać do domu – stwierdza George.

– Mamy aż nadto sypialni – mówię. – Zostań u nas na noc.

George kręci głową.

– Nie, chcę być w domu na wypadek gdyby zadzwonił. Znajdziesz go, Kate?

Wpatruje się ze znajomą, trwożną nadzieją we wzroku. Widywałam to spojrzenie u ludzi doprowadzonych na krawędź załamania. Czasem kocha się kogoś tak bardzo, że kiedy przytrafia się tej osobie coś złego, robi się wszystko, by ją uratować. Gdybym obiecała, że Eduardo pojawi się w magiczny sposób, jeśli George dźgnie się nożem w serce, ona zrobiłaby to. Tonie, a ja jestem jej ostatnią deską ratunku.

Otwieram usta by skłamać, ale nie potrafię. Kiedy ostatnio obiecałam odszukać kogoś, odnalazłam ogryzione zwłoki tej osoby. Tak zamieszkała ze mną Julie.

– Obiecuję ci, że zrobimy wszystko, co leży w naszej mocy. Będziemy szukać i nie przestaniemy aż coś znajdziemy albo poprosisz nas o wycofanie się.

Ulga w jej oczach jest oczywista. Nie usłyszała nic poza „coś znajdziemy”.

– Dziękuję – mówi na odchodne.

George wychodzi. Ja idę na piętro, a Curran zostaje na dole, żeby sprawdzić drzwi. To nasz conocny rytuał. On sprawdza dół, ja okna na piętrze, a Julie na drugim.

Wspinam się na drugie piętro i zatrzymuję. Na półpiętrze siedzi Julie, owinięta w koc. Trzyma swoją pluszakową sowę.

Przypominam sobie wyraz jej twarzy, gdy powiedziała mi, że widziała rozszarpane ciało swojej mamy. Wryło mi się to w pamięci. Po śmierci ojca dziewczynki, jej mama piła za dużo i przestała przykładać uwagę do istnienia swych dzieci, ale kochała je mocno, a Julie odwzajemniała to uczucie w sposób bezwarunkowy, jak tylko dzieci to potrafią. Część dzieciństwa Julie umarła tamtego dnia i nie da się tego naprawić. Tak bardzo chciałam odnaleźć Jessicę Olsen żywą, ale ona umarła zanim jeszcze rozpoczęłam poszukiwania.

Julie nie mówi o tym. Nie wypowiada również imienia matki. Któregoś dnia przechodziłyśmy obok wyprzedaży podwórkowej, a Julie zatrzymała się bez słowa. Podeszła do pudełka na zabawki i wyciągnęła wielką, wypchaną sowę-zabawkę. Zwyczajna kula brązowego aksamitu z dwojgiem zezowatych oczu, żółtym trójkątem dzioba i oddzielnymi skrzydełkami. Przycisnęła zabawkę do siebie i zobaczyłam łamiącą serce rozpacz w jej wzroku. Od razu kupiłam tę sowę i zabrałyśmy ją do domu. Powiedziałam mi później, że miała taką sowę, gdy była małym szkrabem. Ta sowa była ukrytym, cennym wspomnieniem bycia szczęśliwą, kochaną i chronioną przez dwie uwielbiające ją osoby, nie spodziewające się, że los się kiedyś od nich odwróci. Minął już rok od znalezieni tej sowy, a Julie wciąż chodzi z nią spać.

– Poczęstowałam George resztą szarlotki – mówi Julie. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Jest niedźwiedzicą, a one lubią słodkości. Poczula się lepiej.

– W porządku – odpowiadam.

– Znajdziesz go, prawda?

– Postaram się.

– Pomogę ci. Powiedz, gdy będziesz mnie potrzebowała.

– Jasne.

Zbiera koc razem z sową i wstaje.

– Lubię George i Eduardo. Zawsze są dla mnie mili. – Waha się... – Nie chcę żeby się tak czuła.

Serce szarpie mi się w piersi. To boli.

– Wiem.

Julie kiwa głową i idzie na drugie piętro.

Znajdę Eduardo. Zrobię to, bo jest moim przyjacielem, bo George dość już wycierpiała i zasługuje na szczęście oraz dlatego, że wiem jak to jest, gdy traci się ukochaną osobę.

KONIEC Rozdziału 02

Rozdział 03 – Kuchta

Jest ranek, technika w górze, a ja stoję w naszej kuchni, smażąc górę naleśników. Julie zaczyna lekcje dopiero o dziewiątej, ponieważ podróżowanie w ciemności nie jest w dzisiejszych czasach bezpieczne dla dzieci. Natomiast my dwoje sami wyznaczamy sobie godziny pracy. W naszej profesji nie zawsze mamy czas na lunch i często nie zdążamy na kolację, więc śniadanie to nasz wspólny posiłek rodzinny.

Metabolizm zmiennokształtnych jest szybszy niż u zwykłych ludzi, więc konsumują szokujące ilości pożywienia. Curran nie jest wyjątkiem. W piekarniku pachnie pół kilograma boczku – smażenie go na kuchence skutkuje przypaleniem, chmurą dymu, a wszystko dookoła jest pochłapane tłuszczem. Kilogram kielbasy skwierczy w drugim rondelku, a ja smażę dziesiątego naleśnika.

Przez szyby prześwieca słońce, rysując długie prostokąty na posadzce, przesuując się po blatach i igrając na drewnianej powierzchni kredensu, rozświetlając przy tym ciemny lakier na czerwono. W powietrzu unosi się woń smażącego się boczku.

Otworzyłam wcześniej okno, więc przez kuchnię przepływa łagodny wietrzyk. Jest trochę za zimno, ale nie dbam o to.

Po śniadaniu Julie pojedzie do szkoły, a my udamy się do Gildii Najemników. To najlepsze miejsce żeby zacząć poszukiwania Eduardo, skoro nie ma tu rodziny. Jego rodzice, z którymi nie utrzymuje kontaktu, mieszkają gdzieś w Oklahomie, a rodzeństwa nie ma. Jest w dobrych stosunkach ze wszystkimi, ale to George jest jego najbliższą towarzyszką.

Julie wchodzi do kuchni i zwała się na krzesło, odrzucając blond włosy z twarzy. Długa smuga brudu przecina jej lewy policzek oraz podbródek. Jeszcze więcej ma go na jeansach. Gdy znalazłam ją na ulicy niemal dwa lata temu była zagłodzona, można nawet powiedzieć, że wynędzniała. Teraz ma piętnaście lat. Dobre odżywianie oraz regularny trening dają skutki: jej ręce są umięśnione, ramiona się poszerzyły. Dziewczyna trzyma się ze swego rodzaju pełną gotowości pewnością, która wypływa z wiedzy, że atak może nastąpić w każdej chwili, ale jest się w stanie go odeprzeć.

– Chcę nowego konia.

Unoszę brew. Z bocznej werandy do kuchni wchodzi Curran. Jest szeroki w barach i umięśniony, a porusza się jak drapieżnik. Nie ma znaczenia, czy założy podarte jeansy i prostą szarą bluzę tak jak dziś, czy biega nago; jego ciało zawsze znamionuje stłumiona, ledwo

powstrzymywana siła. Miesiąc temu udał się ze mną na nasze pierwsze zlecenie w swojej drugiej postaci, a nasz niedoszły klient zamknął się w aucie i odmówił wyjścia. Mój lwołak wrócił do ludzkiej formy, ale klient i tak zrezygnował z naszych usług. Najwyraźniej Curran nawet jako człowiek jest i tak zbyt przerażający.

Podchodzi do mnie i całuje leciutko. Mmm.

– Jak miło – narzeka Julie. – Wciąż chcę nowego konia.

– Prośba odrzucona – oświadcza Curran.

Przekręcą naleśnika. To powinno być ciekawe.

– Co? Dlaczego?

– Bo chcieć nie znaczy potrzebować. – Curran opiera się wysepkę kuchenną. – Widziałem cię na pastwisku. Ty nie chcesz nowego konia. On jest ci niezbędny. Przedstaw swoje argumenty.

– Nienawidzę Brutusa.

Zerkam przez okno na pastwisko, gdzie olbrzymi, czarny fryzyczyk truchce wzdłuż ogrodzenia. Należał niegdyś do Hugh d'Ambraya, generała mojego ojca. Zabicie Hugh to moje życiowe wyzwanie.

Próbowałam już dwukrotnie, ale unikał śmierci przy pomocy magii.
[To Curran próbował dwa razy :P] Do trzech razy sztuka.

Jedno z naszych ostatnich spotkań skończyło się tym, że zostawił nam swojego wierzchowca, a Curran, który przecież nie lubi koni, z nieznanego mi powodu postanowił go zatrzymać. Ogier robi wrażenie, a Julie zapragnęła jeździć na nim do szkoły. Powiedziałam jej, że to nie jest dobry pomysł, ale uparła się.

– Oczyść argumenty z emocji – poucza ją Curran. – Przekonasz kogoś jedynie wtedy, gdy sprawisz, by zrozumiał powody prośby. Musisz pokazać mu, że na twoim miejscu doszedłby do tego samego wniosku. Kiedy się z tobą zgodzi, odmówienie ci stanie się o wiele bardziej trudne, bo musiałby kłócić się sam ze sobą.

Bycie Władcą Zwierząt ma chyba we krwi. Trudno jest przezwyciężyć stare nawyki. W jego przypadku to chyba niemożliwe.

Dziewczyna zastanawia się nad tym.

– Ten koń nie słucha moich poleceń i wciąż próbuje mnie zrzucić.

– Jesteś za lekka – tłumaczę jej. – D’Ambray waży ponad dziewięćdziesiąt kilogramów, raczej bliżej stu dziesięciu w pełnej zbroi. Ty ważysz za mało. Poza tym on na pewno nie patyczkuje się ze swoimi zwierzętami.

Julie wpatruje się ze złością we fryzjczyka.

– To gamoń.

– Jest tępy. Łatwiej go wytrenować, bo nie wpadają mu do głowy żadne pomysły.

Nalewam więcej ciasta naleśnikowego na patelnię.

[No ja pierniczkę, będzie tam stała do południa, żeby zrobić ich tyle, by ten matoł się najadł. A potem od razu powinna wziąć się za obiad... ^^]

– W dodatku jest złośliwy. Kiedy ostatnio wzięłam go do szkoły, próbował przebić się do zagrody, żeby walczyć z innym koniem.

– To ogier bojowy – wyjaśnia Curran. – Nauczono go postrzegać każdego innego konia jako zagrożenie.

Julie mruży oczy.

– Jak tak dalej będę obrywać, to narażę was na szwank emocjonalny, no i będziecie musieli opłacić rachunki za leczenie. Jeśli stracę nad nim panowanie, może zranić innego konia, a wy będziecie finansowo odpowiedzialni za wszelkie szkody.

Curran kiwa głową.

– Dobre argumenty. Dobij nas.

– Potrzebuję normalnego konia – ciągnie Julie. – Takiego, na którym będę mogła dojechać do szkoły i zostawić go bezpiecznie w stajni, bez zamartwiania się. Miejskiego konia, który będzie reagował na moje polecenia oraz nie poturbuje mnie.

Przez wzgląd na ciągłą walkę o panowanie, pomiędzy magią a techniką, wierzchowce są najbardziej niezawodnym środkiem transportu miejskiego. Szkoła Julie położona jest sześć i pół kilometra od nas, więc dojeżdżanie rowerem nie wchodzi w grę. Magia nieustannie wgryza się w ulice a wiele z nich znajduje się w opłakanym stanie. Przez jedną trzecią drogi musiałaby nieść rower. Nie wspominając o targanym do szkoły stosie książek, przez który trudno jest jej zachować równowagę. Zdarzyło mi się podnieć kilka razy jej plecak. Chyba był wypchany kamieniami. Z drugiej strony, gdyby ktoś ją zaatakował i zamachnęła się torbą, pewnie rozwaliby napastnikowi czaszkę...

– Teraz poszło ci lepiej – podsumowuje Curran.

– Zadzwoń do stajni Blue Ribbon po śniadaniu – mówię.

Curran unosi głowę i odchyła się, żeby spojrzeć na drzwi wejściowe. Chwilę później na nasz podjazd wtacza się auto.

– Kto to?

– Zaraz się dowiem – odpowiada Curran i wychodzi.

Słyszę jak drzwi się otwierają. W chwilę później malutka, ciemnowłosa Indonezyjka w okularach z grubymi szklami pojawia się w kuchni.

– Dali! – uśmiecha się Julie.

Dali macha do niej. Jest teraz Władczynią Zwierząt. Przypadły jej moje obowiązki, łącznie ze wszystkimi niedogodnościami z nich płynącymi.

– Towarzyszko – witam ją. – To dla nas zaszczyt.

– Piernicz się – odpowiada Dali. – Sram na całe gównno. Rezygnuję.

Śmieję się i wyciągam ziemniaki. Same naleśniki nie wystarczą Dali. Julie podchodzi do mnie, bierze nóż i też zaczyna je obierać.

Wraca Curran.

– Wiesz, że masz wgniecenie w przednim zderzaku?

– Tak – odpowiada tygryś. – Skosiłam kilka pojemników na śmieci po drodze. Byłam sfrustrowana i musiałam się wyżyć.

Sąsiedzi będą zachwyceni.

– Co się stało?

– Pokłóciłam się z Jimem.

– O co? – pyta Curran.

– O Desandrę.

Jasne. Nowa alfa Klanu Wilków jest mało subtelna.

– W Twierdzy nie można liczyć na odrobinę prywatności.

A łyżka na to „Niemożliwe!”

– Rozwazałam zabunkrowanie się w moim starym domu lub u mamy, ale Jim by mnie tam znalazł, więc przyjechałam tutaj. – Dali wpatruje się we mnie. – Lubiłam swój dom. Mieszkanie w Twierdzy jest do kitu.

– Wiem.

– Mogę zostać na śniadanie?

– Pewnie.

Wyciągnęłam boczek z pieca i zabieram się do przekręcania placków ziemniaczanych, gdy obok domu staje drugi samochód. Curran wybucha śmiechem i idzie do drzwi.

– No nie – warczy Dali.

Warczy dosłownie.

W kuchni pojawia się Władca Zwierząt. Trzeba być ostrożnym i nie wspominać Eduardo, żeby nie zaalarmować Jima. Nie chcemy, żeby zdusił w zarodku nasze śledztwo.

– Bądź pozdrowiony, Władco Zwierząt – wymachuję łopatką dla podkreślenia słów.

Jim rzuca mi podłe spojrzenie i podchodzi do Dali.

– Śledziłeś mnie! – Mruży oczy. – Kazałeś swoim zbirom mnie śledzić, prawda?

– To nie są zbiry, a członkowie ochrony. I tak, kazałem cię śledzić. Znajdujemy się w niebezpiecznym położeniu. Przejęliśmy rządy nad Gromadą i nie chcę żadnych niespodzianek.

– Jesteś przesadnie podejrzliwy i nadmiernie wszystko kontrolujesz.

Mało powiedziane. W porównaniu z Jimem wydaję się być całkiem normalna.

– Moja podejrzliwość zapewnia nam bezpieczeństwo. – Jim przeciąga dłonią po twarzy. Nagle wydaję się być bardzo zmęczony.

– Dali, właśnie spędziłem osiem godzin an kłótni z Radą Gromady. Mogłabyś odłożyć sztorcowanie mnie na później?

– Nie! – krzyczy. – No dobra, mogę.

Zaglądam do lodówki. Potrzebujemy więcej kiełbasy.

[No to już wiem, Kate robi za kuchtę, a Julie pewnie lata po tej wielkiej chałupie ze ścierą. Zaczyna pucowanie od parteru, a jak skończy drugie piętro, to na dole już czeka na nią świeży kurz. Curran... kosi te hektary trawy w każdą sobotę :P]

Jak przystało na grupę złożoną w większości ze zmiennokształtnych nie rozmawiamy podczas posiłku, który trwa pełne trzydzieści minut.

Jim wzdycha cicho. Wygląda mizernie, co jest nowością. Dali wyciąga rękę i łagodnym ruchem gładzi jego dłoń. Jim chwytaję jej palce i ściska.

– O co była ta kłótnia? – pyta Julie.

– Chcemy przeprowadzić reformę procedur bezpieczeństwa – odpowiada Jim. – Jeden z przepisów wymaga by członkowie Gromady, zamieszkujący Twierdzę lub Domy Klanów, wpisywali się na listę przed wyjściem do miasta. Przez kilka ostatnich lat mieliśmy problemy ze znalezieniem wszystkich w sytuacjach alarmowych.

– To dosyć rozsądne – zauważam.

Robią to marynarze przed zejściem na ląd, żołnierze przed opuszczeniem bazy, nie widzę powodu żeby członkowie Gromady nie mogli też wprowadzić podobnej procedury.

– To jego pierwsza inicjatywa jako Władcy Zwierząt – wyjaśnia Curran. – Alfy zaprą się, żeby zobaczyć, czy ugnie się przed ich presją.

– Spieraliśmy się – wtrąca Dali. – A potem Desandra powiedziała, że skoro Władca Zwierząt chce zawsze wiedzieć gdzie jest, to ona z chęcią się dostosuje.

Wybucham śmiechem. Dali wpatruje się we mnie wrogo.

– To cała ona – bronię się. – Gdy czuje się przymuszana do czegoś, rzuca coś kontrowersyjnego, żeby zbić rozmówcę z tropu.

– Chciałam rzucić na nią klątwę. – Dali wskazuje Jima palcem. – Ale on mi nie pozwolił.

– Potrzebujemy alfy wilków, żeby przeprowadzić tę reformę – odpowiada na to Jim.

– Nie zabiłabym jej – zwraca się do niego Dali. – Chciałam tylko zamknąć jej usta na stałe.

– Znając Desandrę to ją by właśnie zabiło – mruczy Curran.

– Zająłem się tym – ciągnie Jim. – Powiedziałem jej, że jeśli potrzebuje osoby, która cały czas miałaby na nią oko, to Gromada spełni jej życzenie i przydzieli jej nianię. A tak w ogóle, co porabiacie?

Właśnie myślałam o tym, czy Mahon w przejściowym napadzie szaleństwa zamordował swego niedoszłego zięcia.

– O polowaniu na ghoule.

– Dlaczego?

Opowiadam mu o hordzie ghoulów.

Jim marszy czoło.

– Trzydzieści.

– Właśnie.

– Straszna kupa ghouli. Porozmawiam ze swoimi ludźmi, może się czegoś dowiem. Idziecie zobaczyć się z Mitchellem?

– Myślałam o tym.

Ludzi, którzy wiedzą o Mitchellu można zliczyć na palcach jednej ręki, a Jim rzuca jego nazwisko, jakby to było coś oczywistego. Wcale mnie to nie dziwi.

Curran zerka na mnie. Będę musiała mu to później wyjaśnić.

Jim pochyla się, skupiając wzrok na Curranie.

– Słuchaj, miałeś frajdę, ale minęło już dziewięć tygodni. Możesz już wrócić. Powiemy, że to był przedłużony wypoczynek. Coś jak urlop dziekański.

Curran również się pochyla, patrząc mu w oczy.

– Nie piszę się na to.

Jim rzuca widelec na stół i zapada się w krzesło.

– Jak nie podoba ci się robota, to ją rzuć – doradza Curran.

Frustracja wykrzywia twarz Jima.

– Nie mogę. Oni sobie nie poradzą.

Curran śmieje się w głos.

– To było wredne – wtrąca Dali.

– I nieśmieszne – powarkuje Jim.

Ależ nie, to było przezabawne. Uśmiecham się szeroko do Jima.

– Chyba przypominam sobie faceta, który przyniósł mi pięciocentymetrowej grubości stos papierów jesienią, powiedział że klany Zwinnych i Szakali ogłosiły vendettę, a szczegóły znajdę w folderze, a potem sobie poszedł.

– A tak – oczy Currana lśnią złotem. – Co on wtedy powiedział?

– Że my musimy się tym zająć, bo on ma na głowie „prawdziwą robotę”.

– O co ci chodzi? – krzywi się jagarołak.

– Zemsta to straszna jędba – mówię.

– Możesz jęczyć ile ci się żywnie podoba – dodaje Curran. – Przecież chciałeś rządzić. Jesteś bystrzejszy ode mnie i na tyle silny, by utrzymać władzę. Miałeś pewne plany w stosunku do Gromady, co do których się nie zgadzaliśmy. Teraz możesz wcielić je w życie.

Magia przepływa przez nas szybką, niewidzialną falą. Wszyscy zamierają a chwilę, przystosowując się.

Jim wyciąga z kurtki zwyczajną, beżową teczkę i kładzie na stole.

– Co w niej jest – pyta Curran?

– Na pewno chcesz wiedzieć? – Jak się tym zajmiemy, nie będzie już odwrotu.

Curran patrzy na niego w milczeniu.

Jim otwiera teczkę, wyjmuje plik dokumentów i podaje je Curranowi.

Ten czyta pierwszą stronę.

– Co to ma być?

Jim rozkłada ręce.

– To samo powiedzieli mi księgowi. Rozumiem, że możesz mieć problemy z płynnością finansową, ale nie doszłoby do tego, gdybyś wciąż był Władcą Zwierząt.

Twarz Curran traci wszelki wyraz, wręcz kamienieje. Ojejciu.

– Lepiej mnie nie testuj.

– Nie robię tego. Mówię ci tylko, jak rzeczy stoją. Umowa, którą trzymasz określa ramy naszej oferty. Zamiast wypłaty pieniężnej, proponujemy przejęcie jednej firmy w zamian za pięćdziesiąt procent wszystkich twoich udziałów teraz, a kiedy firmy zaczną przynosić zyski, będziesz mógł zatrzymać udziały czerpać korzyści finansowe albo sprzedać je według własnego uznania.

– To ma sens – stwierdza Curran. – Jeśli się jest ślepym lub odmóżdżonym. Czy Raphael skonstruował tę umowę?

– Możliwe że ją przejrzał.

Raphael to istny rekin, gdy chodzi o prowadzenie interesów. Jeśli to on napisał tę umowę, to jest korzystna dla Gromady, a kiepska dla nas.

Nie potrzebujemy rozpaczliwie pieniędzy, ale spora część gotówki poszła na zakup i umeblowanie domu. Nie pytałam Currana ile ma

pieniędzy, ponieważ choć mówi o nich jako o naszych, większość zarobił zanim mnie poznał. Odnoszę jednak wrażenie, że jesteśmy blisko wyczerpania się rezerwy.

[To o czym oni rozmawiają? Hmm? Moim ojcem jest Nimrod. Ile mamy kasy? Hej, opowiem ci o takim jednym Mitchellu?]

Oboje teraz mamy czas na zajęcie się Cutting Edge, więc interes się rozkręca, ale jeszcze przez rok nie będzie z niego zysków. Kłopot w tym, że mamy sporą konkurencję. W hierarchii podobnych firm jesteśmy na szarym końcu, a największym rywalem jest Gildia. Musimy mieć bardziej przystępne stawki, a choć Gildia ma poważne problemy, trudno jest z nimi konkurować. Sprawę pogarsza fakt, że Gromada wyłożyła pieniądze na założenie mojej firmy, a my chcemy uwolnić się od tego długu.

– Co proponujesz? – pytam.

– Gildię Najemników.

– Że co?

Chyba się przesłyszałam.

– Gildię.

– To bez sensu – mówię. – Nie mam za grosz talentu do interesów, ale nawet ja wiem, że to bez sensu.

Od czasu śmierci jej założyciela, Gildia jest prowadzona przez zgromadzenie złożone z najstarszych stażem najemników, biura oraz przedstawiciela Gromady. Pracuję dla Gildii od osiemnastego roku życia. Najemnicy żyją krótko, ale ciężko mnie zabić i mam za sobą ośmioletni okres stażu, dzięki któremu jestem weteranką. Mam dobrą reputację, ale nawet z nią, statusem weteranki i poparciem Gromady, udawało mi się uporać z Gildią tylko w połowie przypadków. Kiedy tam byłam, utrzymując spokój, nadganialiśmy pewne sprawy, ale kiedy mnie nie było, wewnętrzne konflikty tak się nasilały, że Gildia znajduje się obecnie na krawędzi bankructwa. Jim dobrze o tym wie. Też był u nich najemnikiem, no i ma szpiegów w całym mieście.

– Po pierwsze najemnicy i biuro są za bardzo zajęci rzucaniem się sobie do gardeł – dodaję. – Po drugie, Gromada nie posiada wystarczającej ilości udziałów, by nam się to opłacało.

– Ależ mamy – odpiera Jim. – Najemnicy odsprzedawali swoje udziały po trochu, a ja wykupywałem je przez pracujących tam zmiennokształtnych.

Chyba mu się zdaje, że urodziłam się wczoraj.

– Odsprzedają udziały, bo Gildia właśnie spadła w przepaść i leci na złamanie karku w stronę ziemi. Szczury opuszczają tonący okręt i ty zdajesz sobie z tego sprawę.

Jim macha dłonią.

– To nieważne. Gromada kontroluje trzydzieści sześć procent udziałów. Przeniesiemy je na was, dzięki temu będziecie największymi udziałowcami.

– To zły pomysł – mówię.

– Nie przyjmujemy ich – popiera mnie Curran.

– Koniec końców ja jestem Władcą Zwierząt – odpowiada Jim. – To moje ostatnie słowo.

– Kiepska to oferta – zauważam.

– Jest bardzo uczciwa.

– Nie możesz mnie zmusić, żebym się na to zgodził – dodaje Curran.

– Prawo Gromady jest w tej sprawie przejrzyste: jako alfa na emeryturze posiadam pełną autonomię.

– Oczywiście, że nie mogę. Ale ja zatwierdzam kształt oferty i ona jest taka, jak ją przedstawiłem. Jesteś moim przyjacielem, ale

spoczywa na mnie odpowiedzialność za Gromadę. Chcesz żebym wrócił do ludzi, w których firmy zainwestowałeś i oświadczył, że masz w dupie, czy będą z czego mieli się utrzymać? – odpowiada Jim. – Tak to będzie wyglądać.

– Jestem właścicielem dziesięciu procent firmy Raphaela – warczy Curran. – Jego roczne dochody liczą się w miliony.

Oświeca mnie.

– To dlatego skonstruował tę umowę. Nie chce wypłacać zysków.

– Napisał ją, bo go o to poprosiłem – odwarkuje Jim.

Curran przypatruje mu się. Zachodzi nieuchwytna zmiana w jego postawie. Nic oczywistego. Twardsza linia ramion, sztywniejsze plecy, niema obietnica w oczach, niemniej wszyscy nagle wiedzą, że rozmowa dobiegła końca.

– Dziękujemy Gromadzie z jej szczerą ofertę – odzywa się Curran.

– Odpowiedź brzmi nie. Julie musi jechać do szkoły, a my do pracy. Dziękujemy za wizytę. Nasz dom stoi dla was otworem.

Jim wstaje.

– Przemyśl to.

Dali patrzy na Julie.

– Podwieźć cię?

– Jasne! – Dziewczyna zeskakuje z krzesła.

Dali prowadzi jak szalona.

– Nie zabij mi dziecka.

Tygryś prycha.

– Przecież nie zabiłam jej, gdy uczyłam ją prowadzić, nie?

Curran wstaje i wychodzi do innego pomieszczenia. Jim i ja wymieniamy spojrzenia. Sięga po teczkę.

„Brakuje mi kierowania jej mechanizmem...”

– Zostaw to proszę – mówię.

[Wpada Hugh do Gildii i mówi: „Kochanie, kupiłem 51 procent udziałów!” :D]

KONIEC Rozdziału 03

Rozdział 04 – Rekonesans w Gildii

Siedziba Gildii Najemników znajduje się w opuszczonym hotelu na skraju Buckhead. Ten niegdyś futurystyczny wieżowiec poddał się falom magii jak reszta centrum finansowego.

Wysokościowce kończą na dwa sposoby: podupadają powoli, aż ostatecznie zawalają się, zostawiając po sobie kupkę gruzu i pyłu albo przewracają się.

Baza Gildii należy do tej drugiej kategorii. Wieżowiec złamał się na wysokości szóstego piętra, jak ścięty mieczem. Przy renowacji i naprawach usunięto dwie następne kondygnacje, więc Gildia ma teraz cztery piętra, z czego tylko parter i trzy pierwsze są w użyciu. To cena życia za czasów postępującej w zwolnionym tempie apokalipsy.

Stajemy na obszernym, otwartym parkingu i wysiadamy. Widać tu ponad dwadzieścia aut. George powiedziała nam, że Eduardo jeździ ogromnym, czarnym chevroletem Tahoe, a ona sama toyotą FJ Cruiser. Żaden z nich nie stoi na parkingu.

Idziemy alejką pomiędzy autami. Curran wdycha powietrze krótkimi haustami, wężąc zapachy.

– Tak sobie myślę... – mówię.

– Mam się martwić?

– Byłam pewna, że Derek odejdzie z nami. Rozumiem dlaczego Barabas tego nie zrobił, uwielbia swoją pracę, ale Derek pracuje w Cutting Edge od samego początku.

– Nie mogę z nim o tym rozmawiać – mówi Curran. – To osobista decyzja. Nie może być żadnych nacisków. Jim nie może zachęcać nikogo do pozostania, a ja nie mogę wykorzystywać przywiązania, by popchnąć kogoś do odejścia.

To dosyć rozsądne podejście.

Przeczესujemy parking, ale nie znajdujemy Tahoe, więc kierujemy się do siedziby Gildii.

Ciężkie, żelazne wrota stoją otworem. W lobby nikogo nie ma. Sprawdzam leżący na metalowym stole rejestr. Eduardo wpisał się w poniedziałek, 28 marca. Nie ma wpisu na wtorek, 1 marca.

– Nie przyjechał wczoraj do Gildii – mówię.

Curran wciąga powietrze i krzywi się.

– Co?

– Tu pachnie jak na śmietniku. Czuję jego zapach, ale jest stary. Sprzed co najmniej pięćdziesięciu godzin.

To by się zgadzało z naszą osią czasu. Skoro Eduardo zadzwonił do George o siódmej trzydzieści, pewnie dotarł do Gildii godzinę lub dwie później.

Przechodzimy przez ogromne drewniane drzwi do wewnętrznego holu. Hotel został zaprojektowany jako pusta w środku wieża, z otwartym atrium jako punktem centralnym. Wewnętrzne ściany oblepiają, oddzielne dla każdego piętra, szeregowo balkony, z których wchodzi się do pokoiów.

W swoim poprzednim życiu ten hotel musiał być piękny; zabudowany jasnym kamieniem, kosztownym drewnem i przezroczystymi windami. To był dawno temu, ale widziałam stare zdjęcia, ukazujące lobby jako oazę zieleni, gdzie w strumykach widać było pomarańczowo-białe karpie koi, sunące łagodnie pod liśćmi lilii wodnych. Modna kafejka zajmowała jeden róg, obok niej ustawiono podwyższenie dla stałych bywalców, a elegancka restauracja serwowała homary i steki.

Kafejka, koi i zieleń zniknęły bez śladu. Restauracja przekształciła się w stołówkę, w której podawano tanie, ale porządne posiłki dla wracających po długich godzinach pracy najemników. Na podwyższeniu ustawiono biurko Asystenta, a za nim wielką tablicę ze zleceniami.

Tablica była zazwyczaj pedantycznie zorganizowana. Asystent wypisywał otwarte zlecenia na kartach katalogowych, oznaczał je różnymi kolorami w zależności od ważności i przypinał do tablicy. Dziś panuje na niej bałagan. Pokrywają ją przypadkowe, niedbale przyklejone kartki papieru. Niektóre mają plamy po kawie. Jedna wygląda jak papierowa serwetka, której właściciel obzerał się daniem polanym obficie sosem. Co tu się dzieje?

Siedzi tu około dwadzieścioro najemników. Przeszukuję ich wzrokiem. Niezbyt wielu weteranów. Gildia przyciąga różne typy ludzi. Niektórzy ciężko pracują, a inni przesiadują tu, plotkując i czekając aż odpowiednie zlecenie spadnie im z nieba. Większość obecnych to ten drugi typ. Niektórzy wyglądają na pijanych, a większość jest na bakier z higieną. Jedna z kobiet odcharkuje plwocinę na podłogę. Uroczo.

Ci ludzie pałętają się po siedzibie Gildii codziennie. Część pewnie tu sypia. Jedno z nich ukradło samochód zmartwionej kobiecie, szukającej chłopaka. Wyduszę z nich, kto to zrobił.

W powietrzu unosi się kwaśnawy smród gnijącego jedzenia. Podłoga jest ubłocona. Kosz na śmieci przepełniony. Klatka schodowa zarośnięta brudem.

– Daniels!

Odwracam się. Śniady, ciemnowłosy facet po czterdziestce macha do mnie zza pobliskiego stołu. Lago Vista. Podchodzę i siadam.

Lago jest najemnikiem przez całe swoje dorosłe życie, ale dołączył do Gildii trzy lata temu, gdy przeprowadził się tutaj z Lago Vista w Teksasie. Chce by tak go nazywano. Nie jest to jego prawdziwe imię i nazwisko, ale nigdy nie mówił o swej przeszłości, więc nie pytałam jak się naprawdę nazywa. Pracowaliśmy wspólnie kilka razy. Nie jest już tak szybki jak kiedyś, ale ma duże doświadczenie i umie je wykorzystać. Robił swoje i to całkiem nieźle, no i nikt przez niego nie zginął. Jak dla mnie to wystarczy, żeby uznać go za porządnego najemnika. Zawsze można trafić na gorszego partnera do zlecenia. Znaczący, jeśli ktoś wytrzyma ten chamski podryw. Lago to podstarzały donżuan. Celuje w jednonocnych przygodach i uważa się za wspaniałego uwodziciela.

– Nie pokazujesz się ostatnio. – Unosi dzbanek z kawą. – Potrzebujesz paliwa?

Kawa jest dosłownie czarna i wygląda na lepłą.

– Świeżo parzona?

Lago wzrusza ramionami.

Czyli ma ze dwanaście godzin. Nie, dziękuję.

– Gdzie jest Asystent?

– A to nie słyszałaś? Odszedł. Tak samo personel sprzątający i administracja. Świetnie wyglądasz, Daniels. Naprawdę dobrze. – Lago ocenia mnie wzrokiem.

– Przestań się na nią gapić, to może pożyjesz dłużej – odzywa się Curran spokojnym głosem. [No tak, ktoś spojrzał na jego mięsko.]

Lago zerka na Currana i wyrzuca ręce w powietrze.

– Hej, bez obrazy. To tylko komplement.

Curran nie odpowiada. Lago wierci się, czując niekomfortowo i zwraca do mnie:

– Co to za facet?

– To mój...

Narzeczony? Miso-pysio?

– ...jest mój.

Lago kiwa głową domyślnie.

– Ten romansik z Władcą Zwierząt nie wyszedł, co? Nie przejmuj się, słyszałem, że to straszny dupek. Lepiej ci bez niego.

Curran zachowuje kamienny wyraz twarzy. Lago wyciąga dłoń.

– Lago Vista. Mówi mi Lago.

– Lennart. – Curran ściska dłoń Visty.

Wstrzymuję oddech, sądząc, że palce Lago nie wytrzymają tego. Ale jakoś nie wije się z bólu ani nie słychać trzasku kości.

– Co się stało z administracją? – zagaja Curran.

– Zgromadzenie Gildii nie zatwierdziło budżetu. Nie ma budżetu, nie ma wypłaty. Sprzątacze odeszli pierwsi, potem obsługa stołówki. Asystent wytrzymał jakieś sześć tygodni, ale też się ulotnił.

Borze krzaczasty.

– Kto odbiera telefony?

– Kto ma akurat ochotę? Zresztą mało kto dzwoni.

Świetnie.

– Dlaczego nie uchwalono budżetu? – pyta Curran.

– Bo Bob Carver chce wyczyścić fundusz emerytalny. – Vista popija kawę i krzywi się z obrzydzeniem.

Bob Carver jest członkiem Gildii od około piętnastu lat. Poza tym jako jeden z niewielu najemników umie współpracować. Jest częścią czteroosobowego zespołu, znanego jako Czwórka Jeźdźców, który to przyjmuje większe, bardziej skomplikowane zlecenia. W skład Zgromadzenia Gildii wchodzi administracja oraz najemnicy – weterani. Bob jest szefem działu kadr oraz przywódcą najemników.

Curran przysłuchuje się Lago w milczeniu. Ten popija kawę i ciągnie:

– Jak przetrwa się dwadzieścia lat w Gildii, dostaje się emeryturę. Składki opłaca się począwszy od pierwszego zlecenia. To nie są wielkie pieniądze, jakieś pięć procent, ale po dwudziestu latach zbiera się niezła sumka. Jak ktoś umrze, wszystko przepada. Wpłacone pieniądze zostają w funduszu. Rodzina dostaje odszkodowanie z tytułu śmierci, ale to wszystko. Nie wiem na co Bobowi ta kasa, ale chce wziąć pożyczkę ze swojego wkładu.

– Przecież to nielegalne – komentuje Curran. – I głupie. Jak wszyscy wyciągną pieniądze, to zniknie fundusz.

Lago mruga do mnie.

– Podoba mi się ten gość. Ale no, masz rację. To właśnie powiedział Mark, nasz kierownik operacyjny. Bob chyba naprawdę potrzebuje tej kasy, bo przeciągnął grupę najemników na swoją stronę i zdobył wystarczającą ilość głosów żeby zatrzymać uchwalenie budżetu. Mówi, że nie ustąpi, dopóki nie dadzą mu jego forsy.

Zajebicie. Po prostu zajebicie.

Nachylał się.

– Lago, znasz Eduardo Ortego? Wielki, ciemnowłosy, masywnie umięśniony?

– Widywałem go tutaj.

– Ma kimś na pieńku?

– Pewnie. Pamiętasz Christiana Heywarda?

– Wielki? Afroamerykanin z buldogiem?

– Ten sam.

Christian, którego pamiętam jest miłym, rodzinnym człowiekiem, który nie znosi głupoty. Przychodzi tu z psem, robi swoje i wraca do domu, do żony i dzieci. [Żona to takie domowe stworzenie?]

– Nie dogaduje się z Eduardo?

– To nie to. Odszedł w dniu, w którym Eduardo się zarejestrował, więc Ortego przydzielili strefę Heywarda. To dobra strefa. Niektórzy wkurzyli się przez to, ale nie było większej draki. Wiesz jak to jest, Eduardo wygląda na twardego, a nikt nie chciał skończyć poobijany. Narzekali za jego plecami, ale to wszystko.

– Jego dziewczyna była tu wczoraj – dodaje Curran. – Szukała go. Ktoś zwędził jej auto.

– To przykre. Niestety, nie mogę wam pomóc. Nie było mnie tu wczoraj, ale jedno z nich pewnie tu siedziało. – Lago zerka na tłumek. – Większość z tych dupków pałęta się tu codziennie. Raczej trudno będzie do nich dotrzeć. Jedna połowa jest pijana, druga na kacu, a trzecia ma wszystko w dupie. [Słynne trzy połowy, kuzynki mniejszej i większej połowy xD]

– Dzięki.

Nie mam problemu z docieraniem do ludzi.

Wstaję. Muszę odwalić pokazówkę. Coś głośnego, ale nie za bardzo straszego, po pouciekają do nor. Podchodzę do stołu, który stoi najbliżej drzwi. Gdyby zaczęli zwiewać, będą musieli przejść obok nas. Curran idzie ze mną.

– Czyli jestem dupkiem?

– Nic nie poradzę na to, że jesteś znany.

Wyszczorza się.

– Pomóc ci?

– Nie, sama się tym zajmę.

Jego pomoc pewnie wiązałaby się z ryczeniem, a to wystraszyłoby zebranych.

Jeśli zacznę od zniknięcia Eduardo, nic mi to nie da. Pewnie widzieli wczoraj George. Nikt jej nie pomógł, więc dziś też nie ma na co liczyć. Zaginiona osoba to poważna sprawa, a najemnicy nie lubią przyciągać zbędnej uwagi. Nie będą gadać. Żadne z nich nie będzie chciało być świadkiem albo ujawnić informacje. Muszę ugryźć to od strony zaginionego auta. To kradzież, poważna, ale tylko kradzież, więc będzie wiadomo, że załatwimy to bez udziału policji.

– Nie wierzę, że Jim próbował sprzedać nam tonący statek – dodaje. Już ja mu powiem do słuchu.

– Jim jest Władcą Zwierząt – kwituje Curran. – Interesy Gromady są najważniejsze. Przyjaźń spada na drugi plan.

Metr przed stołem wskakuję na niego z hukiem.

Najemnicy odwracają się i patrzą na mnie. Niektórzy mnie rozpoznają.

– Znacie mnie – odzywam się. – Wiecie co potrafię.

Gapią się na mnie.

– Przyjechała tu wczoraj niebieskim FJ Cruiserem jednoręka kobieta. Ktoś go zajmował. Chcę wiedzieć kto.

– Daniels. – Zza stołu wstaje jakaś kobieta i rusza ku mnie. Czterdzieści lat, silnie zbudowana, wredne spojrzenie. Wygląda znajomo. Siniak na twarzy oraz garderoba świadczą o tym, że miała ciężką noc i szuka ujścia dla wściekłości. – Mamy rachunki do wyrównania.

Znam ją, ale nie pamiętam nazwiska... Na wszelki wypadek patrzę na nią groźnie. Ta nie zwalnia kroku. Kurczę. Chyba wyszłam z wprawy.

– Serio?

– No, podebrałaś mi zlecenie.

Ach. Alice Golansky. Widziałyśmy się ostatnio dwa lata temu. Echo przeszłości.

– Czyli co? Jesteś wściekła, bo dwa lata temu byłaś zbyt nawalona żeby wziąć zlecenie i zaliczyłaś zwalnię w stołówce, więc Asystent wysłał mnie zamiast ciebie?

Wzrusza ramionami i unosi pięści. No, no. Ktoś tu ćwiczył karate.

– Już ja cię oduczę kraść zlecenia.

– Wiesz, że mnie je przydzielono i że to było dwa lata temu?

– Ale zadzierasz nosa. Ściągnę cię z tego stołu i rozkwaszę gębę.

Curran uśmiecha się.

No dobra.

– Dobrze to przemyślałaś? – pytam.

Spogląda na mnie i wali pięścią w dłoń.

– O tak.

Opadam na jedno kolano i walę ją pięścią w szczękę. Moja dłoń uderza jak młot pneumatyczny. Wkładam w to cały impet ruchu w

dół. Alice przewraca białkami, sztywnieje i pada jak ścięte drzewo. Jej głowa odbija się od podłogi.

Cała sala nagle cichnie. Ha! Nie wyszłam jednak z wprawy!

– Ktoś ma jeszcze jakieś pretensje? – pytam.

Najemnicy siedzą w milczeniu.

– Spytałem raz jeszcze. – Wstaję. – Niebieski FJ Cruiser. Kto to był?

Nikt nie odpowiada.

– Może źle ją słyszycie – odzywa się Curran. – A może jej nie widzicie. – To da się naprawić.

Stół przede mną porusza się. Kątem oka widzę jak Curran trzyma go kilkadziesiąt centymetrów nad podłogą. No dobra.

Najemnicy zamierają w bezruchu.

– To był Mac – odzywa się Latynos z lewej strony. Ma na imię Charlie i często tu pracował za moich czasów. – Mac i jego głupawy, ordynarny kuzyn, jak mu tam było... Bubba? Skeeter?

– Leroy – podpowiada Crystal, odrzucając tlenione włosy. – Mac i Leroy.

Nie znam tych imion. Curran po cichu obniża stół.

– No, Leroy – ciągnie Charlie. – Widziałem dziś rano jak do niego wsiadali. Mieli zlecenie w Chamblee, na Chamblee Dunwoody Road.

Jestem prawie pewna, że Chamblee leży z strefie Heywarda.

– Ta babka od kotów? – pyta kościsty knypek w czerwonym sweterku. – Ta, która wcześniej tu dzwoniła?

– No – potwierdza Charlie. – Coś ze skrzydłami próbuje pożreć jej koty na Chamblee Dunwoody Road.

O tak, rozwiążcie języki.

– Znowu? – pyta Crystal. – Eduardo już tam był w niedzielę. Powiedział, że na drzewie siedział olbrzymi kleszcz, pożerający koty.

– To nie mógł być kleszcz – nie zgadza się Charlie. – Mówił przecież, że to latało. Kleszcze nie latają.

– Co by to nie było – dodaje Crystal – zabił to w niedzielę. Był tu potem i mu zapłacono. A potem babka zadzwoniła jeszcze raz w poniedziałek, więc znowu tam pojechał. Więcej go nie widziałam.

Powtarzalne zlecenie. Klientka zadzwoniła pierwszy raz w niedzielę w sprawie kleszcza, a Eduardo pojechał tam i zajął stworem. Potem zadzwoniła ponownie w poniedziałek, prawdopodobnie dlatego, że problem powrócił. Eduardo znowu tam pojechał i zniknął. Dziś klientka zadzwoniła po raz trzeci, czyli niepokoi ją całe stado jakichś stworzeń albo Eduardo wcale tam nie dotarł. Jednak niedzielne zlecenie zostało wykonane, czyli musi być jakiś ślad w papierach.

– Tamta kobieta określiła, czy Eduardo zjawił się w poniedziałek? – pytam.

– Była w pracy, więc nie wiedziała, czy przyjechał. Ale była wściekła, że nikt się tym nie zajął – Charlie kręci głową.

– Kiedy Mac i Leroy wyjechali stąd?

– Pół godziny temu – podpowiada Charlie.

Minęliśmy się z nimi.

– Kłusują na terytorium Eduardo? – pytam.

– Nie ma go tu, więc nie może zwrócić im uwagi, nie? – rozkłada ręce Crystal .

– Zadarł z nimi? – pyta Curran.

– Oni zadzierają ze wszystkimi. Ortego dostała się dobra strefa. Próbowali go stamtąd wysiudać, ale sprął ich na kwaśne jabłko. – Wzrusza ramionami Charlie.

– Nie przejmował się tym – dorzuca Crystal.

– Dobrze się znaliście, co? – dociekam.

– Gada z nim zawsze jak tu jest – donosi knypek.

Crystal patrzy na niego złowrogo.

– Nie patrz na mnie – broni się Charlie. – Oni mają problem z tobą, nie ze mną. Nie wciągaj mnie w to.

– Chciałam poznać go lepiej, rozumiecie. – Crystal robi kwaśną minę. – Ale on jest z tych wiernych. Jego dziewczyna była tu wczoraj. Nic specjalnego. No i jest kaleką.

Ty żalosna łajzo... Swędzą mnie ręce. Mam ogromną ochotę jej przyłożyć.

– Spotkaliście więc młodą, jednoręką kobietę, która rozpaczliwie szukała swojego faceta. Wiedzieliście, że Leroy i Mac zwinęli jej auto i nic nie powiedzieliście. Żadne z was nie zaproponowało, że podwiezie ją do domu? – prawie warczę. – Pewnie mieliście

strasznie ważne rzeczy do zrobienia, jak siedzenie tu na dupie, upijanie się i plucie na podłogę.

Boją się na mnie spojrzeć.

– A ty co, straż moralna? – pyta starszy, narąbany najemnik.

– A tak, Chug. Pamiętasz jak miałeś połamane nogi, a Jim i ja przyjechaliśmy żeby cię wyciągnąć z dziury pod zawalonym budynkiem?

– I co z tego?

– Nie licz na mnie kiedy znowu będziesz miał kłopoty.

– Jakoś przeżyję.

– Nie składaj obietnic bez pokrycia. – Zeskakuję ze stołu i ruszam do biurka Asystenta. Potrzebne nam rejestry zleceń.

– Gdzie idziemy? – pyta Curran.

– Dorwać dziennik. Po skończonym zleceniu jest ono wpisywane do dziennika przed potwierdzeniem wypłaty. Według tych pajaców Eduardo już wykonał raz zlecenie pod tym adresem. W niedzielę tamta babka zadzwoniła w sprawie olbrzymiego kleszcza, a on

pojechał tam, zabił go i dostał kasę. W dzienniku powinien być odpowiedni zapis.

Kucam za biurkiem Asystenta. Szuflada z dziennikami normalnie jest zamknięta, dziś otwiera się bez problemu.

Najemnicy obserwują nas.

– Staraj się wyglądać jak gdyby nigdy nic – mówię. Wyciągam pierwszy skorowidz i kładę na biurku.

– Dlaczego?

– Ponieważ to co robię jest nielegalne bez nakazu sądowego, a mamy co najmniej dwudziestu świadków obserwujących nasz każdy ruch.

Curran zakłada ręce na pierś, mięśnie mu się wybrzuszą i obrzuca naszą widownię tym swoim spojrzeniem.

Wszyscy postanawiają spontanicznie patrzeć gdzie indziej. Jasne. Curran i jego „jak gdyby nigdy nic”.

– Widzisz? Nie ma żadnych świadków.

Przerzucam kartki. Eduardo jako nowy pracownik na pewno pilnuje formalności. Tylko trzy zapisy w niedzielę. Rany. Powinno ich być co najmniej kilkanaście.

Drugie nazwisko od dołu.

„Pani Oswald, Chamblee Dunwoody Road, numer 30862.

Skarga: olbrzymi kleszcz pożerający koty.

Stan: zlecenie zakończone; skontaktowano się z Biohazardem w sprawie usunięcia szczątków.

Eduardo Ortego”.

Jedne z dwojga drzwi do konferencyjnej otwierają się. Wychodzi z nich Mark Meadows, naczelny administrator Gildii. Chyba mi się przywidziało.

Meadows z reguły jest zadbany i elegancko ubrany. Przynajmniej niegdyś tak było.

Ten tutaj trochę się zapuścił. Jego zwykle nienaganny garnitur jest wymiętoszony. Wygląda jakby zaczął dosłownie rwać włosy z głowy, ale przestał w połowie i ma udęczonego wyraz twarzy. Bez wątplenia właśnie wychodzi z następnej sesji Zgromadzenia Gildii.

Żeby mnie nie zauważył. Żeby mnie nie zauważył...

Oczy mu się rozświetlają.

– Daniels!

Niech to jeź kolczasty dziugnie!

– Nie mam czasu, Mark! – wołam.

– Ale masz czas łamać prawo i naruszać prywatność klientów, czytając dziennik.

Pff.

– Szukamy zaginionego najemnika.

– Jak szkoda. Jestem członkiem Zgromadzenia i rozkazuję ci formalnie zgłosić się przed jego oblicze. Nie możesz odmówić.

A kto tak powiedział? Zamykam dziennik z trzaskiem i odkładam na miejsce.

– No to popatrz.

– No proszę! – z otwartych drzwi wyłania się Bob Carver. Jest tego samego wzrostu co Mark i mają podobny, brązowy odcień włosów, ale na tym wszelkie podobieństwa się kończą. Mark jest po trzydziestce, dobrze się odżywia i spędza dużo czasu w siłowni. Jest zadbany. Natomiast Bob jest szczupły, żylasty, ukształtowany przez trudne życie. Tuż przed pięćdziesiątką. Wygląda na kogoś, kto niejedno przeszedł, ale to tylko bardziej go zahartowało.

– Patrzcie kogo kotek zagonił do nory!

Robi scenę dla pozostałych. Zły znak.

– On mówi do mnie, czy do ciebie? – pyta Curran. – Jego ton jest zwodniczo lekki.

– Nie wiem – odpowiadam. – Ale na pewno nam powie.

– Witam, Wasze Wysokości.

Carver kłania się zamasyście, nie spuszczając z nas oczu. Za nim pojawiają się bardziej znajome twarze. Najemnicy wychodzą sprawdzić, o co ta cała afera.

Weterani, Rigan i Sonia.

Przynależący do Czwórki Jeźdźców, Ivera, Ken i Juke.

Ivera ciska ogniem i dobrze walczy bronią białą.

Ken jest wysokim, flegmatycznym magiem; zawsze ma lekko nieobecne spojrzenie, jakby zastanawiał się nad czymś wykraczającym poza granice ludzkiego pojęcia.

Juke jest trochę młodsza ode mnie, sporo chudsza, ale za wszelką cenę chce wyglądać twardo i groźnie. Zamiast tego udaje jej się osiągnąć wygląd wkurwionej wróżki – gotki: krótka, asymetryczna fryzura, zapałkowate rączki, ciemny makijaż i szminka, przez które delikatne rysy wydają się być jeszcze bardziej eteryczne. Jej specjalnością jest sojutsu, sztuka walki yari, japońską włócznią i muszę przyznać, że jest w tym dobra.

– Cieszy nas niezmiernie, że zaszczyliciliście nas swoją obecnością – ciągnie Bob. – Przybyliście do slumsów, żeby bratać się z nami, zwykłymi śmiertelnikami?

Nie miałam żadnego zatargu z Bobem. Raczej z Juke, ale to dlatego, że lubiałam ją drażnić. Niemniej Bob i ja zawsze się dogadywaliśmy. O co mu chodzi?

Odchylam się.

– Musisz trochę posprzątać, żeby dojść do poziomu slumsów, Bob.

Carver mruży oczy.

– Wiem, co kombinujecie. Wasza Gromada naciągnęła sporo najemników na sprzedaż udziałów, więc kontroluje jedną trzecią Gildii. Wiem, że zastanawiacie się nad kupnem tych udziałów.

Jim nie będzie posiadał się z radości na wieść, że ktoś za dużo gada. Na pewno nie stanie się przez to bardziej podejrzliwy. Na sto procent.

Carver nakręca się jeszcze bardziej.

– Czyli co? Wydaje wam się, że przyjdziecie tutaj, zaczniecie się szarogęścić i nas uratujecie? Zagonicie do roboty? Wiecie, co wam powiem? – rozgląda się z dramatyzmem. – Nikt nas nie będzie poganiał. Nie będziemy się kłaniać i czołgać przed wami.

Curran wzrusza ramionami.

– Mnie to pasuje.

Carver patrzy na niego wilkiem.

– Mam w dupie, czy ci to pasuje, czy nie. Ma być jak mówię.

Bob, ty żałosny skurwysynu.

Jeśli nie wykluczę z tego Currana, udekoruje Gildię flakami Czwórki Jeźdźców.

Uśmiecham się szeroko. W sytuacji kryzysowej można wkurzyć przeciwnika poczuciem humoru.

– Coś cię śmieszy, Daniels? – pyta Juke.

– Mam zabawę, patrząc jak twój szef kopie sobie coraz większy dołek. – Kiwam Bobowi. – Dawaj, Bob. Nie tłamś niczego w sobie. Podziel się swoimi uczuciami z grupą. Wyrzuć to z siebie.

Najemnicy przy stołach rechocą.

Bob warczy. O tak, skup się na mnie.

– Byłeś kimś, Lennart.

Jeżu kolczasty. Sam się prosi, żeby dostać w łeb. Jak się nie zamknie, sama go zgaszę.

Carver wciąż nawija.

– Wiesz co ci powiem? Jesteś nikim.

Poważnie? Nikim?

Carver prostuje plecy.

– Wyrzucę cię stąd na pysk...

Głęboki, nieludzki dźwięk przetacza się po Gildii. Głos drapieżnika, lodowato zimny i bez śladu wesołości. Uświadamiam sobie, że to Curran się śmieje.

Hol Gildii milknie. O nie.

Curran przygląda się Carverowi jakby dopiero go zobaczył. Oczy iskrzą mu złotem i wbija spojrzenie w Boba.

Ten ostatni blednie, odsuwa się i niemal odruchowo przyjmuje typową pozycję obronną. Odwrócony bokiem, pięści uniesione. Cała brawura znika. Nagle wszyscy zaczynają rozumieć, kto tu jest najtwardszym zawodnikiem i nikt nie chce się stać jego celem.

Curran odpycha się płynnie od biurka. Oczy mu świecą jak dwa księżycy. Jego głos podszyty jest warkotem.

– Chcesz wyrzucić mnie na zbity pysk?

Bob przełyka nerwowo ślinę.

– Masz za mało ludzi, Bob. Lepiej wezwij posiłki. No dalej. – Uśmiecha się, ukazując ostra zęby mięsożercy. – Zaczekam.

Ludzie sięgają z wolna do broni. Pochylają się do przodu, ledwie opierając ciężar ciała na krzesłach. Byle hałas sprowokuje ich do ucieczki.

W owej ciszy głos Currana przetacza się po całej Gildii.

– Gdy przyjechałem tu dziś, nie wiedziałem co zdecyduję. Dziękuję. Ułatwiłeś mi wybór. Chciałeś dziś coś zapoczątkować. Kiedy to się skończy, sam do mnie przyjdiesz i poprosisz, żebym przejął kierownictwo.

Carver wykrzesuje z siebie na tyle hartu ducha, żeby otworzyć usta. Na szczęście włącza mu się mózg i zaraz je zamyka.

Curran zwraca się do mnie.

– Kate? Masz już wszystko?

– Tak.

– To dobrze. Nic tu po nas.

Wychodzimy. Wszyscy milczą.

KONIEC Rozdziału 04

Rozdział 05 – I kudłate i łaciate, pręgowane i skrzydlate. Te co skaczą i fruważą...

Odpalenie jeepa zajmuje nam całe czternaście minut. W środku jest tak głośno, że musimy się przekrzykiwać. Curran wyjeżdża z parkingu. Ulice migają za oknami. Otwieram schowek i wyciągam kilka sztyletów. Według najemników pożeracz kotów lata. Twarz Currana jest spokojna, linia ust odprężona.

– Przejmujemy Gildię? – pytam.

– Owszem. No to znaczy, ja przejmuję, ale możesz się przyłączyć. – Zerka na mnie. – Dołącz do mnie, będzie frajda.

– Jak już znajdziemy Eduardo.

– Nie miałem zamiaru rzucić wszystkiego i zgnieść Czwórki Jeźdźców. No bez przesady. Eduardo to jeden nas. Odnalezienie go to priorytet. Poza tym, gdym chciał wyrwać Carverowi kręgosłup, już bym to zrobił.

– O czym normalni ludzie rozmawiają podczas jazdy?

– Nie mam zielonego pojęcia. Opowiedz mi o nim.

– Bob to rekin. Czytałam gdzieś, że rekiny muszą bez przerwy pływać, żeby nie utonąć. Nie wiem, czy to prawda, ale jedno ci powiem: Bob nie przestaje pływać. Ja się uczę. Każda walka to nowa sposobność do nauki. Każdy trening to krok do przodu. Walka z ghoułami wzbogaciła moje doświadczenie. Tak samo ta z Hugh.

Curran krzywi się nieznacznie. Ledwo, ledwo. Gdybym akurat mrugnęła, nie zauważyłabym tego. D’Ambray wciąż stanowi dla nas obojga problem.

– Bob jest taki jak ja. Ludzie patrzą na niego i myślą: „Już nie jest u szczytu sił. Jest dobry, ale nie tak szybki i silny jak kiedyś”. Ale Bob przypomina instruktora sztuk walki, który doskonalił swe ciało latami. Porusza się szybko kiedy trzeba, bo nie musi nad tym zastanawiać. Po prostu to robi. Widziałam kiedyś jak zdjął faceta piętnaście lat młodszego, szybszego i lepiej wyszkolonego. Grupa siedmiu najemników, włączając w to Czwórkę Jeźdźców, wykonała zlecenie, a temu gościowi coś się nie spodobało. Ubzdurało mu się żeby walczyć z Bobem. Powiedział: „Tak ci skopię dupę, że ci jaja wyjdą nosem”.

Curran uśmiecha się.

– Normalnie poeta.

– Noo. Bob ostrzegł go, że jeśli tknie go choćby palcem, to źle skończy. Tamten głupek odpowiedział, że nie szkodzi i zaczęli się

szarpać w holu Gildii. Carver podpuszczał go w trakcie walki. Użył tanich trików. Plaskacz, kopniak w goleń i temu podobne. W końcu facet stracił cierpliwość i przy pierwszej nadarzającej się okazji rzucił się Bobowi do gardła. Carver prawie dał się złapać, a w ostatniej chwili uderzył go kantem dłoni w jabłko Adama. Napastnik puścił go, zachwiał się, ale dalej walczył. Po trzydziestu sekundach zaczął robić się ospały. Bob okładał go przez następną minutę i facet padł. Pięć minut później sanitariusz z Gildii musiał rozciąć mu szyję. Carver świetnie wycelował i obrażenia tym spowodowane wywołały obrzęk. Tchawica spuchła, odcinając dopływ tlenu.

– Przeżył?

– Tak. Ale nie o to chodzi. Gdy sanitariusz próbował udrożnić tchawicę, Bob poszedł do stołówki i zamówił sobie hamburgera. Bob nie jest dupkiem, dopóki ktoś nie chce go wyrolować. Wtedy jest pozamiatane. Dzięki, że go nie zabiłeś.

– Nie mam takiego zamiaru. Może się przydać, nie powinno się marnować dobrej siły roboczej.

– Można by pomyśleć, że w głowie już przejąłeś Gildię, zrestrukturyzowałeś ją i znalazłeś w niej miejsce dla Boba.

Curran tylko się uśmiecha.

On mnie czasem... Nie, „przeraża” to nieodpowiednie słowo. Raczej niepokoi. Gildia nie ma pojęcia jaka frajda ją czeka.

Skrećamy w Chamblee Dunwoody Road i po chwili jesteśmy na miejscu.

– To tutaj – mówi Curran.

Widzimy spory, piętrowy budynek z brązowej cegły. Postawiono go przed Zmianą, zanim magia i technika rozpoczęły swój szalony taniec. Współczesne budynki raczej mają małe okna. To zmniejsza szansę, że coś z zębiskami, jarzącymi oczami i dużym apetytem zaskoczy człowieka w sypialni po ciężkim dniu pracy. Przez te tutaj przedostałby się nawet Curran w swojej postaci bojowej. Pani Oswald zrekompensowała sobie rozmiar okien prętami pięciocentymetrowej grubości, które obecnie je zasłaniają. Większość jest w nienaruszonym stanie, ale te chroniące duże okno nad garażem są pocięte, jakby coś uderzyło w nie z dużą siłą.

Beżowy but na obcasie leży w połowie podjazdu. Trochę dalej widać upuszczoną beżową torebkę. Pani Oswald pewnie wyszła z domu, zobaczyła coś niepokojącego, pobiegła do środka, gubiąc but i torebkę za sobą. Było to coś na tyle strasznego, że nie wróciła po rzeczy.

Opuszczam okno w aucie. Curran robi to samo.

– Nie czuję zapachu krwi – oznajmia.

To dziwne. Jeśli to ten dom, Leroy i Mac już powinni tu być. Ulica jest pusta. Gdzie podziewają się ci idioci?

– Zapach Eduardo też tu jest, ale stary i słaby. Czuję coś dziwnego...
Jakby wilka.

– Wilka?

Przytakuje.

– Z nutą czegoś słodko-gorzkiego.

Najemnicy powiedzieli, że zagrażające pani Oswald stworzenie ma skrzydła. Skrzydlaty wilk? W rosyjskiej mitologii występuje uskrzydłony wilk, a jeden z mieszkających tu volhvów trzyma jednego jako pupila. Mam nadzieję, że Rosjanie nie są w to zmieszani. Kontakty z nimi oznaczałyby też kontakty z czarownicami, a zajęciem Atlanty nie zaskarbiłam sobie ich wdzięczności.

Siedzimy w milczeniu.

Minuty mijają powoli.

Z nieba dobiega wysoki wrzask. Zaczyna się wysoką nutą, wznosi żalobnie i staje coraz ostrzejszy, aż rwie powietrze niczym bełt kuszy. Ciemny kształt spada z nieba i taranuje pręty. Stalowa krata drży od zderzenia. Przez chwilę wydaje mi się, że odpadnie ze ściany, ale utrzymuje się.

Stworzenie opada na ziemię, lądując na czterech kończynach. Jego szczupłe ciało okrywa szara sierść, pokrywając boki i długi ogon psowatego. Łapy kończą się sowimi łapami, uzbrojonymi w sierpowate szpony wielkości moich palców. Z ramion rozpościera się dwoje masywnych skrzydeł. Na potężnej szyi osadzony jest orli łeb z czarnym dziobem wielkości topora.

– Kate? – pyta Curran.

– To wilczy gryf – szepczę. – Lwie gryfy pochodzą z Krety i Grecji. Ten tutaj jest z północnej Afryki. Są o nich wzmianki w folklorze Berberów. Coś o parowaniu olbrzymiego ptaka z wilkiem.

– Powinienem coś o nich wiedzieć? Zioną ogniem?

Spotkałam wilczego gryfa tylko raz w życiu.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Tamten, na którego kiedyś się natknęłam, nie zionął, ale nie ma gwarancji, że ten nie będzie.

Gryf pochyła łeb i mierzy nas przenikliwym spojrzeniem drapieżnika. W kłębie ma co najmniej metr wysokości.

– Załatwiamy go, czy czekamy? – zastanawiam się.

– Możemy go zabić – Curran skupia się na gryfie. – Jak się pojawią te dwie mendo nie będziemy musieli walczyć z wszystkimi naraz. Poza tym musimy porozmawiać z właścicielką, a to nam się uda dopiero po śmierci stwora.

Oboje spoglądamy na niego.

– To drugi zgłoszony pożeracz kotów – zastanawiam się na głos. – Ktoś lub coś z rozmysłem atakuje jej koty. Jeśli zabijemy go, pewnie tajemniczy wróg pani Oswald przyśle coś innego.

– To nie jest nasze zlecenie – zauważa Curran.

– Wiem, ale co jeśli następnym razem zjawi się coś gorszego?

Gryf rozpościera skrzydła, rozpędza się i wzlatuje. Patrzymy jak unosi się coraz wyżej z każdym uderzeniem skrzydeł, aż staje jedynie kropeczką wśród chmur. Nie wiem, czy Leroy i Marc postanowili wziąć to zlecenie. Może nie przyjadą.

Gryf wraca i taranuje pręty, które się wginają. Monstrum trzyma się ich przez chwilę, drapiąc szybę, po czym spada na podjazd.

– Następnym razem się przedrze – mówię. Jeśli dostanie się do środka, porozrywa lokatorów na strzępy. Tu już nie chodzi o koty.

– Złapiemy go w sieć – proponuje Curran. – Zwiążę mu skrzydła i owiniemy go siecią.

– Jak skończymy z chłopakami, pozwolimy mu pobiec do domu – kończę. Wytropienie go w powietrzu byłoby trudne, ale na ziemi już nie. – Pobiegnie prosto do właściciela.

– Dobry plan. – Curran mruży oczy, oceniając dystans pomiędzy nami a gryfem. – Chcesz się zabawić w przynętę?

– Już myślałam, że nie poprosisz.

Otwieramy drzwi i wychodzimy. Wyciągam ręce do góry, żeby wydawać się większą. Wilczy gryf skupia na mnie uwagę. Kątem oka widzę, że Curran prześlizguje się bezszelestnie po chodniku.

Robię krok do przodu. O tak. Powolutku.

Gryf rozpościera skrzydła i jeży się.

Spokojnie.

Monstrum zgina szyję i przekręca skrzydła do dołu, pokazując mi je w całej czarno-szarej, pstrokatej okazałości. Wygląda na wielkiego. Właśnie, kochasiu. Pochwal się tym co masz. Jestem zagrożeniem i nacieram na ciebie.

Curran znajduje się niemal w zasięgu swojego ataku. Mógłby skoczyć już teraz, ale gryf miałby czas odsunąć się i zwiać. Jeszcze metr i będzie po wszystkim.

Po ulicy przetacza się ryk silnika na zaczarowaną wodę i zbliża do nas. Wrr. Wolałabym żeby nie wystraszył go jakiś przygłupawy sąsiad.

Robię następny krok. Gryf kłapie na mnie dziobem, a jego miodowe oczy jarzą się delikatnie. Szkoda, że musimy go skrzywdzić. Curran zbiera się do skoku.

Spokojnie...

Gna ku nam z ogromnym hałasem niebieski FJ Cruiser, po czym zatrzymuje się z piskiem opon. Drzwi szoferki otwierają się. Wielki facet w czarnych portkach i wojskowej koszulce w tygrysie paski wyskakuje z niego, przetacza się jak komandos, przyjmuje pozę, podnosi kuszę i dwa bełty lecą w kierunku gryfa.

Curran odsuwa się z toru lotu z nadnaturalną szybkością. Lewy bełt mija jego bok i wbija w drzwi garażu. Prawy trafia w gardło gryfa.

Zwierz wrzeszczy rozwścieczony. Drugi mężczyzna strzela z kuszy zza maski ciężarówki. Bełt przebija pierś stwora. Wielkie skrzydła trzepoczą raz w rozpaczliwej próbie oderwania się od podłoża i wiotczą. Gryf opada na chodnik. Jego ślepia rozjaśniają się blaskiem ostatni raz i gasną.

Na przegniłe liście, co to było?

– No ścierwo! – ryczy pierwszy z mężczyzn. – Lepiej nie podskakuj!

Curran okręca się na pięcie z wściekłym wyrazem twarzy. Skacze do krzyczącego, chwytą go i rzuca przez trawnik.

Jego koleś, w miejskim moro i czarnej koszulce wyskakuje zza ciężarówki, wymachując kuszą. Ruszam na niego, ale moja szabla tkwi na plecach, a Curran jest większy i straszniejszy, Więc Portki w Ciapki ignoruje mnie.

– Hej! Hej ty, puść...

Kopię go w brzuch. To przedni, niski kopniak, tuż nad pachwiną. Ludzie przesilają się przy tego typu ciosach. Sztuka polega na tym, żeby w ogóle nie kopać. Trzeba unieść kolano wysoko i tupnąć. Ręce Portek w Ciapki pochylają się do przodu, a jego ciało wali w ciężarówkę.

Krzykacz przykuca na trawniku, wciąż dzierżąc w dłoniach kuszę. Curran idzie do niego. Krzykacz strzela. Curran odchyła się odrobinę i nie zatrzymuje.

Wyszarpuję broń z rąk Portek w Ciapki i odrzucam na bok. Wypuszcza cios. Łapię jego nadgarstek i wykręcam go, w prawo i do góry. Facet opada na kolana, a ja walę go kolanem w gębę. Pozbieranie się zajmuje mu chwilę, więc blokuję lewą ręką jego łokieć i przekręcam, żeby na pewno nie uciekł.

Krzykacz wywija kuszą jak młotkiem. Curran łapie ją, wyszarpuje i łamie na pół. Drzazgi lecą dookoła. Curran chwytą go, przyszpilając ręce do ciała i unosi. Skóra na jego twarzy przesuwa się.

– Nie! – krzyczę.

Rysy Currana rozpływają się, zmieniając w lwie. Najemnik w jego uścisku patrzy w twarz potwora. Reszta Currana pozostaje całkowicie ludzka.

Najemnik otwiera usta, wybałuszając oczy.

– Mja..ała...ma...

Curran rozwiera szczęki. Jeśli weźmie głowę najemnika do paszczy i zaciśnie ją, czaszka mężczyzny pęknie jak skorupka jajka.

– Nie – powtarzam.

– On go zabije – wydusza Portki W Ciapki. Oczy mu łzawią. Tak to już jest jak się dostanie w gębę z kolana.

Kły Currana wysuwają się ze szczęk i robią coraz dłuższe.

– Curran, nie możesz mu odgryźć twarzy.

– Ależ mogę – odpowiada głosem potwora.

– Ale nie powinienes.

– Ukradł samochód George i strzelił do mnie.

– Nie trafił.

– Nie trafił, ponieważ jestem szybki i usunąłem się z trajektorii lotu. Jak odgryzę mu łeb, już więcej do mnie nie strzeli.

– On go zabije! – Portki W Ciapki próbuje wyrwać się z uścisku, ale wykręcam mu bardziej ramię.

– Jeśli będę potrzebować twojej pomocy, poproszę o nią – ciągnę...

– Curran, proszę, nie odgryzaj mu głowy.

– Dlaczego?

– Bo to sprzeczne z prawem. Z technicznego punktu widzenia ty pierwszy go zaatakowałeś, gdy rzuciłeś nim przez trawnik.

– Nie rzuciłem go bardzo daleko.

Wywracam oczami.

– Mogłem podrzucić go do góry i upadłby na bruk.

– To też byłoby niezgodnie z prawem.

– Wciąż powtarzasz tę formułkę o prawie, jakby mnie coś obchodziła.

Trudno powiedzieć, czy tylko chce ich wystraszyć, czy naprawdę zamierza ich pozabijać.

– Wstrzymaj się w ramach przysługi dla mnie.

– No dobrze – lwołak rozluźnia lekko uchwyt i patrzy na najemnika. – Masz coś do dodania?

Wielki najemnik oddycha chrapliwie. Jego twarz drży z wysiłku, gdy stara się coś powiedzieć...

– Pierdol się!

Co za głąb.

– Pieprzę cię!

– Leroy! – upomina go Portki w Ciapki.

– I ciebie też, suko! – oświadcza Leroy.

Curran spogląda na mnie.

– A teraz? Mogę urwać mu łeb?

– To wciąż sprzeczne z prawem.

Curran ściska ramiona Leroya. Trzeszczą mu kości. Najemnik zamyka się w końcu.

– Nie rób tego! – wrzeszczy Portki w Ciapki.

Skoro Curran zabawia się z Leroyem, ten tutaj ciołek to musi być Mac.

– Nie przejmuj się nim, a zacznij mną. Co zrobiliście Eduardo?

– Nie znam żadnego Eduardo! – wysapuje Mac.

Wykręcam mu bardziej ramię. Krzyczy.

– Wiem, że nazywasz się Mac, a tam jest twój ciulowaty kuzyn, Leroy. Wiem, że jesteście na terytorium Eduardo, wpychając się w jego zlecenie i wiem, że ukradliście FJ Cruisera jego narzeczonej. Spójrz na mnie. Spójrz mi w oczy.

Mac spogląda w górę. Blednie jak płótno.

Mój głos jest zaledwie szeptem, ale żarzy się w nim wściekłość.

– Eduardo i jego narzeczona są moimi przyjaciółmi, To jej brat – wskazuję Currana. – Powiedz mi wszystko, co wiesz albo złamię ci rękę, o tutaj – klepię jego bark. – A potem będę łamać ją dalej. Żadna ilość medmagonii i zszywek jej nie naprawi. Będzie bezużyteczna w walce i zawsze będzie boleć.

Mac wpatruje się we mnie zaszklonymi oczyma. Zaczyna nawijać jak szalony.

– Nie wiem co stało się z Eduardo. To było jego zlecenie, ale tamta babka zadzwoniła dziś rano i powiedziała, że Eduardo nie pojawił się wczoraj. Wzięliśmy auto tej jednorękiej laski. I tak mieliśmy zamiar wykonać robotę jej faceta, a to fajny samochód, więc go pożyczaliśmy.

- Musisz się bardziej postarać – odzywa się Curran zimnym głosem.
- Szukała Eduardo wczoraj wieczorem. Nie wiedzieliście, że weźmiecie jego zlecenie dopóki pani Oswald nie zadzwoniła dziś rano.

Głos Maca łamie się.

- Czego ty chcesz ode mnie, człowieku? Dobra, zabraliśmy ten zasrany samochód! Zabraliśmy! Masz pojęcie ile kosztuje auto z podwójnym silnikiem? Stał sobie tam. Pomyśleliśmy, że skoro ten dupek nie wrócił do domu, to pewnie już nie żyje. Co ta baba miałaby zrobić z tym samochodem? Ma tylko jedną rękę. Potrzebowaliśmy auta, więc je wzięliśmy.

Znowu to zrobili. Słyszę to w głosie. Spotykałam już takie typki. Niektórzy ludzie mają kodeks moralny, który może niekoniecznie pokrywa się z prawem, ale jednak jest jakimś tam kodeksem. Tymczasem ich kodeks składa się z jednego zdania: robić wszystko co jest dobre dla Maca i Leroya. Nie ma znaczenia komu stanie się krzywda. Gdyby George umarła w trakcie drogi do domu, nic by ich to nie obeszło.

Jeśli chcieliby zabić Eduardo, musieliby strzelić mu w głowę srebrną kulą i to z daleka. Nie ma mowy żeby pobili go w walce wręcz. A gdyby udało im się go zlikwidować, zabraliby jego samochód oraz sprzęt i używali go, bo są nadzwyczaj niedorozwinięci.

Zerkam na Currana. Ten kręci nieznacznie głową. Leroy nie pachnie krwią Eduardo.

– Wiecie co Gildia robi z najemnikami, którzy kradną sprzęt innych najemników? – pytam.

Mac kręci głową.

– Nakłada na nich grzywnę. Dziesięć patyków. Kłusowanie w strefie innego najemnika to następne dziesięć tysięcy. Czyli czterdzieści na was dwóch. Zgadnijcie, co zrobię po powrocie do Gildii?

– Nikt cię tam nie zna – wydusza Mac.

– Mylisz się. Wszyscy mnie tam znają, bo pracuję w Gildii od dziewięciu lat.

Twarz Maca markotnieje.

– Nie masz wyboru. Możesz zabrać swojego przygłupiego kuzyna i wynieść się z miasta. Albo wrócić do Gildii i brać nadgodziny przez następne pięć lat. Ale ja tam będę i przypilnuję, żeby twoje życie stało się piekłem.

Puszczam jego rękę. Curran jak gdyby nigdy nic rzuca Leroya na chodnik. Ten ląduje na zadku, podskakuje i rusza na Currana.

Lwołak wali go z otwartej dłoni, jakby odganiał muchę. Cios ląduje na uchu, najemnik potyka się, ale Mac go łapie.

– Nasz sprzęt jest w ciężarówce – mówi Mac.

– Odbierzecie go w Gildii – odpowiadam.

– Jesteś straszną suką, wiesz? – dodaje Mac.

– Jakoś to przeżyję.

– To jeszcze nie koniec! – Leroy pokazuje paluchem Currana. Chyba chce wyglądać agresywnie, ale chwieje się na nogach.

– Ależ jest – mówi Curran. – Zmiataj zanim zmienię zdanie.

Truchło wilczego gryfa zaczyna drżeć. W jego środku wybrzusza się tkanka, jak krwisty guz, rozrastając się do olbrzymich rozmiarów.

– Co jest? – warczy Curran.

– Nie wiem.

Dobrywam Sarrat.

Guz pęka.

KONIEC rozdziału 05

Rozdział 06 – Śmierdziel

Curran i ja cofamy się. Z ciała gryfa strzela w niebo metrowy, pomarańczowo-brązowy kolec. Następny przebija zwłoki od środka. Kolce zaginają się i opierają na chodniku, a każdy najeżony jest piętnastocentymetrowymi, sztywnymi włosami. Ścierwo drży jakby wsysane od wewnątrz.

Kolce napinają się i wyłania się olbrzymia, okryta szczeciną głowa insektoidea. Dwie pary ciemnobrązowych szczękoczułków wystają z niej jak krabie kleszcze wielkości bułatu. Wewnętrzną stronę kleszczy pokrywa linia niemal czarnych ząbków.

Jeżu kolczasty.

Stwór wyłania się z trupa gryfa: dwie grube nogogłaszczki, wielki okrągławy głowotułów z guzem pośrodku, gdzie mieści się dwoje czarnych oczu. Następnie odnóże, jeszcze więcej odnóży, wynurzające się segment po segmencie oraz składający się z kilku części, długi odwłok.

Ciało gryfa drży po raz ostatni, kurczy się i znika, wciągnięte przez to nowe stworzenie. Na podjeździe staje olbrzymi insekt. Dziesięć odnóży, z czego pierwsza para wielka i długa, a reszta relatywnie

mniejsza, wyrasta z trzymetrowego cielska, unoszącego się półtora metra nad ziemią.

To diabelstwo jest wielkości SUV-a.

Gigantyczny insekt pociera szczypcami. W ciszy rozlega się przeraźliwy zgrzyt. Krzywię się.

– Co to za kurestwo? – warczy Curran, przesuając się w prawo.

– Nie wiem.

Przemieszczam się w lewo. Paskudztwo wygląda jak potomstwo bardzo włochatego pająka i skorpiona, powiększone pięćdziesiąt razy. W życiu czegoś takiego nie widziałam. Te kleszcze pewnie wchodzi w kości jak w masło. Nie może wejść do domu, bo dosłownie rozedrze mieszkańców na kawałki. Odnóza są obudowane chityną. Ostrze Sarrat może się na nich złamać. Pazury też tu nic nie wskórają. Potężny odwłok jest bardziej miękki, ale dobranie się do niego będzie niezwykle trudne.

Przez ulicę przetacza się głęboki głos, tak przesycony magią, że niemal rezonuje na skórze.

– Umrzecie.

Za jakie grzechy?

– Nie przyjmujemy próśb. Spróbuj w Iowa; słyszałam, że oni są tam bardziej gościnni.

Hej, tatku. Znalazłam fantastyczny prezent z okazji nadchodzącego Dnia Ojca. Wszystkiego najlepszego.

Insekt wskazuje na mnie odnozem.

– Umrzesz.

Oczy Currana robią się złociste. Ubrania spadają w kawałkach na ulicę, gdy zmienia się w potężne połączenie człowieka i lwa.

– Pokaż co potrafisz.

Insekt szokująco szybko rzuca się na Currana. Ten unosi ramiona i chwyta przednią parę nóg monstrum. Jego stopy przesuwają się do tyłu.

Jeżu spiczasty. Przepycha go.

Rzucam się w bok, chcąc okrążyć stwora z lewej strony. Jego noga próbuje mnie dźgnąć jak włócznia. Uchylam się, a kolec szoruje beton w miejscu gdzie przed chwilą stałam, żłobiąc go. Następna noga wykonuje zamach w moją stronę. Widzę atak, ale jest już za późno na ucieczkę; ścina mnie z nóg. Lecę przez trawnik, uderzam

plecami w drewniany płot; ten trzaska, a ja zatrzymuję się po drugiej stronie.

Ał. Podnoszę się.

Curran stoi pośrodku ulicy, wciąż trzymając w uchwycie przednią parę odnóży. Pająko-skorpion naciera na niego raz za razem, usilnie starając się dorwać go kleszczami. Jak mu się uda, poodcina Curranowi ręce.

O nie, po moim trupie.

Nacieram na pająka. Odnóża chcą mnie przyszpilić. Biegnę zygzakiem. Jak to diabelstwo mnie widzi? Noga spada przede mną; robię unik w lewo i dostrzegam, że jedna z czarnych gałek ocznych obraca się, śledząc mnie. Może patrzeć do przodu i w tył jednocześnie.

Wpadam w przerwę pomiędzy dwiema kończynami. Sarrat rozkrawa tułów. Wyciągam ostrze, poszerzając ranę. Jedna z nóg trafia mnie w bok, choć obracam się by jej uniknąć. Boli. Odskakuję.

Z brzucha insekta cieknie czysty ichor, ukazując przezroczyście wnętrzości, wyglądające jak zbitki rybich pęcherzy. Owiewa mnie obrzydliwy, ostry smród, przypominający zapach gnijących ryb. Insekt nawet nie zauważa obrażeń.

– Kate – wydusza Curran – walnij go magią.

– Nie mogę. – Odnóża atakują mnie jak wiatrak złożony z ostrzy. – Trzymasz go, więc też byś oberwał. Puść go.

– Jak go puszczę, potnie mnie na kawałeczki.

Rzucić też go nie może. Środek ciężkości insekta jest zawieszony za wysoko nad ziemią. Nie da się zrobić dźwigni.

Jedyne słowo mocy, które nie uszkodziłoby Currana, zatrzymałoby pająka na cztery sekundy.

[A może amehe albo senehe? :P]

To nie wystarczy żeby go wykończyć. A potem dorwałoby Currana.

Muszę coś zrobić, on nie wytrzyma długo.

Znajdująca się bezpośrednio nade mną kończyna unosi się, chcąc przebić klatkę piersiową z góry. Nurkuję pod nią i przedostaję się pod odwłok, gdzie w środku pulsuje krew. Dźgam prosto do góry. Zalewa mnie ichor. Oczy łzawią od smrodu. Dźgam raz za razem, rozrywając oślizłe, rybowate wnętrzości. Flaki wypływają przez rany, zwisając niczym obrzydliwe owoce. To nie wystarczy.

Curran prycha. Odwłok unosi się kilkanaście centymetrów w górę. To coś zaczyna wygrywać.

Wkładam lewą rękę pod ubranie, tam gdzie zraniło mnie odnóże. Gdy ją wyciągam, ocieka krwią. Wpycham dłoń w ranę na odwłoku. Magia w mojej krwi buzuje, chcąc się wydostać. Przyzwalam jej na to. Krew przesuwa się strumykiem z rany do barku, a potem po rękę do wnętrza insekta i twardnieje. Kilkanaście cienkich kolców przebija stwora od środka.

Pajęczak wydaje wrzask. Poczuleś to, co? Jedziemy dalej.

Odwłok osuwa się na mnie. Wyrzucam drugą rękę w górę, krzyżując z pierwszą, by go zablokować. Nagle odwłok znika. Przetaczam się w prawo i wstaję.

Pająk rzuca się na Currana. Mięisty głowotułów podtrzymujący długie odnóże wygląda na wgnieciony z lewej strony. Curran pewnie walnął go, gdy insekt chciał mnie zgnieść.

Nacieram na niego.

Pająk wyrzuca przednie odnóże, ale Curran broni się przed nim. Niestety drugie przypuszcza atak za szybko i wąskie ostrze końcowego segmentu rozcina ramię Currana. Ten chwytą kończynę lewą ręką, a prawą wali w złączenie segmentów. Kawalek nogi pająka odpada.

Wpadam pomiędzy tylnie odnóża insekta i skaczę mu na grzbiet. Stwór chwieje się. Wbijam Sarrat głęboko jak się da i trzymam się jej.

Curran wyrywa kawałek nogi i wbija ją w bok paskudztwa, tuż pod zmaltretowaną kończyną.

Pełznę po tułowiu, chcąc dostać się do łba i dwojga oczu.

Curran nie przestaje wbijać ostrej końcówki w to samo miejsce na ciele pająka. Ichor bryzga na wszystkie strony. Insekt zgrzyta jak paznokcie po tablicy i młóci odnóżami, kołysząc się.

Nie dostanę się do oczu. Zrzuci mnie.

Wyciągam Sarrat, przytrzymuję się brzegu rany, którą wycięłam w cielsku potwora i nacinam odwłok, żeby przepołowić to ohydztwo.

Curran wciąż dźga.

Przekłuć, wyciągnąć, przekłuć, wyciągnąć...

Chwile płyną...

Z trudem łapię powietrze. No zesz robaczywe kasztanki, zdychaj. Zdychaj w końcu.

Zdychaj!

Pająko-skorpion drży.

Curran wskakuje mu na łeb. Błyskają pazury i insekt zostaje oślepiiony. Nie przestaję ciąć. Curran okłada jego głowotułów.

Odwłok odpada od reszty ciała, przezroczyste wnętrzości rozbryzgują się po ulicy. Chitynowy pancerz chroniący łeb stwora załamuje się. Przednia część potwora zatacza się i pada, a my z nią. Ułamek sekundy później siedzę na ulicy twarzą w ... Paszczę Currana, a pod nami ichor wypływa ze zmiażdżonej skorupy, która pozostała po pająko-skorpionie.

Wszystko mnie boli jakbym przebiegła maraton i brak mi tchu. Pot na czole schładza się szybko. Kręci mi się w głowie. Chyba wyciągnęłam za dużo krwi.

Curran oddycha głęboko. Rana na ramieniu zieje czerwienią. Jej brzegi już zaczynają się zasklepiać, ale wystają z niej długie brązowe włosy, które porastały kończyny insekta.

– Mamy miotacz płomieni? – pyta Curran.

– Nie.

– Trzeba jakiś skombinować na przyszłość.

Patrzemy po sobie. Smród jest niemal nie do wytrzymania. Od stóp do głów jestem pokryta śluzem pająko-skorpiona oraz własną krwią. Curran pochyla się i spluwa na bok. Racja. Ugryzł to paskudztwo.

– ...wody szybkości i ducha... – intonuje męski głos na prawo od nas.

Odwracam się.

Po drugiej stronie ulicy Mac i Leroy próbują pobudzić silnik FJ Cruisera do życia.

No bez jaj.

Najemnicy spostrzegają, że na nich patrzymy. Spotykam się wzrokiem z Macem. Zaczynam się podnosić.

– Nie, nie, nie. – Mac unosi ręce – Nie wstawaj. Już spadamy.

Leroy bierze torbę z auta.

– To mój sprzęt!

Rzucają się do ucieczki.

Odwracam się do Currana i wskazuję na nich. Brak mi słów. Curran kręci głową.

Sięgam magią dookoła, szukając kropel swej krwi. Ta odpowiada na moje wezwanie. Wzmacniam rozkaz. Krew wypływa ze ścierwa insekta, zbierając się w małą kałużę. Zmienia stan na stały i rozbija w pył. Cała jej magia znika. Resztki rozwiewa wiatr.

Drzwi frontowe domu Oswaldów otwierają się z wolna i wychodzi z niego Afroamerykanka po czterdziestce. Ma na sobie garsonkę. Dwóch nastolatków za jej plecami wyciąga szyję, żeby coś zobaczyć.

Kobieta podchodzi do nas, uważnie stąpając pomiędzy kałużami śluzu i podaje nam czek. Brzeg kartki drży. Wycieram starannie dłoń o jeansy i przyjmuję go.

Klientka odwraca się do chłopców.

– Zapakujcie zwierzaki do skrzynek i weźcie najpotrzebniejsze rzeczy. Tony, zadzwoń do ojca i powiedz mu, że będziemy w pensjonacie Pod Czerwonym Dachem. Niech tam przyjedzie.

– Czy moglibyśmy coś jeszcze... – zaczynam.

– Nie będzie żadnego „jeszcze” – przerywa mi pani Oswald. – Przeprowadzamy się.

Pani Oswald nie jest zbyt kooperatywnym świadkiem. Interesuje ją jedynie jak najszybsze zapakowanie dwojga dzieci, pary kotów i psa husky do auta oraz natychmiastowa ucieczka z tego miejsca. Zgadza się z nami porozmawiać jedynie dlatego, że pilnujemy jej gdy się pakuje i odpala SUV-a. Okazuje się, że nie ma pojęcia, kto wziął się na jej koty. Nie popadła w konflikt z sąsiadami i współpracownikami. Przynajmniej nie na tyle, by ktoś chciała ukatrupić jej pupilki. Jej mąż wyjechał w delegację.

W sobotę, 27 lutego, pani Oswald wróciwszy do domu zastała dużego kleszcza na podwórku, który powiedział jej strasznym głosem, że zamorduje jej koty. Zadzwoiła do Gildii. Godzinę później przyjechał Eduardo i załatwił kleszcza. Jacyś ludzie z władz lokalnych, Biohazard lub WAN, przyjechali i zabrali nocą szczątki. Wilczy gryf pojawił się w poniedziałek rano. Początkowo był wielkości springer spaniela i zupełnie ignorował jej rodzinę. Próbował wdrzeć się do domu, ale krata nie poddała się, a mały zwierz nie wydawał się być straszliwym zagrożeniem, więc znowu zadzwoniła po Eduardo i wyszła do pracy. Gdy wróciła do domu gryfa nie było, no ale przecież fala magii skończyła się o dziewiątej rano. Sądziła, że Eduardo zajął się tym pod jej nieobecność lub ewentualnie gryf odleciał.

Dziś rano, tuż po zjawieniu się fali magii, pani Oswald miała udać się do pracy, ale dużo większy gryf zaatakował ją z powietrza i chciał ją poturbować. Wbiegła do środka i zadzwoniła do Gildii.

Przyglądanie się jak potwór zmienia się w gigantycznego robala wyczerpało jej cierpliwość.

– Czy mogę skorzystać z pani telefonu, żeby zadzwonić do Biohazardu? – przekrzykuję ryk silnika.

– Róbcie co trzeba! Ja muszę zatroszczyć się o swoje dzieci!

Pani Oswald wciska gaz do dechy i zwiewa, aż się za nią kurzy. Wchodzę do środka i sprawdzam aparat. Jest sygnał. Choć raz los mi sprzyja. Wykręcam numer Biohazardu, który znam na pamięć.

– Biohazard – odzywa się nieprzyjemny, męski głos w słuchawce.

– Nazywam się Kate Daniels. Mam tu na Chamblee Dunwoody Road olbrzymiego, martwego pająko-skorpiona. Ktoś musi to posprzątać.

– Jasne – odpowiada głos. – Zaraz się do tego zabierzemy. Jest pani ósma w kolejce. Będziemy tam za 24 godziny.

– To przeobrażenie ożywieniowe w dzielnicy mieszkalnej.

Głos w słuchawce milknie na moment.

– Bardzo źle?

– Po śmierci przeobraził się ze ssaka w insekta, który ma trzy metry długości, nie licząc odnóży.

– Proszę się stamtąd nie ruszać. Będziemy tam za pół godziny.

Doświadczenie podpowiada mi, że to będą raczej dwie godziny, ale nie będę wybrzydzać. Wybieram numer Cutting Edge. Odzywa się szorstkim głosem Derek.

– Cutting Edge.

– Mógłbyś tu przybiec? – Podaję mu adres.

– Już wychodzę.

– Dzięki. Jest tam Ascanio?

– Chętny i gotowy – mówi Ascanio do słuchawki.

– Zadzwoń na komendę Dunwoody i sprawdź, czy wniesiono jakieś skargi przeciwko państwu Oswaldom z Chamblee Dunwoody Road.

– Tak, Towarzystwo.

Może to nawyk, a może się ze mną droczy. Pewnie to drugie. Rozłączam się i idę do garażu. W stojącej przy ścianie skrzynce z narzędziami znajduję parę wąskich kombinerek. Idealne.

Curran jest na zewnątrz. Przemienił się na powrót w człowieka, założył ubrania zapasowe, choć jest ubabrany śluzem i próbuje wypłukać usta wodą z węża ogrodowego.

– Aż taki paskudny?

– A żebyś wiedziała. Ta breja nie chce się zmyć samą wodą. Próbowałem.

– Pokaż mi bark.

Zerka na mnie. Podnoszę kombinerki i kłapię nimi.

– Możemy już się zbierać? – pyta.

– Nie. Musimy poczekać do przyjazdu Biohazardu.

– Dlaczego? Pająk jest martwy.

Wzdycham i siadam na schodach przed domem.

– Ponieważ nastąpiło przeobrażenie ożywieniowe. Gryf był martwy i zamiast takim pozostać zmienił się w coś innego i ożył. Poza tym zmienił typ, ze ssaka do insekta. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że znowu powróci do życia jako coś bardzo dziwnego, jak na przykład naziemna ośmiornica ciskająca pioruny z macek.

– Dlaczego nie możemy podpalić truchła i rozsypać prochów?

– Ponieważ prochy mogą również przeistoczyć się w coś paskudnego, na przykład gigantyczne pijawki albo mięsożerne kwiaty. Zabiliśmy to coś. Czyli rozpoczęliśmy procedurę oczyszczania. Dlatego teraz musimy pilnować ciała aż przyjedzie Biohazard i obejmie je kwarantanną.

– A jeśli tego nie zrobimy? – pyta ostrzej.

– Pewne dziesięć lat w więzieniu.

– Czyli co, oddajemy im przysługę i jeszcze możemy być za to ukarani?

– Nom.

– To niedorzeczne. Krwawisz. Nie oszukuj, czuję krew. Jesteś ranna i potrzebujesz medmaga.

– To nie są ciężkie obrażenia.

Szczerzy zęby jak wilk.

– A jakie wystarczą?

– Jest wyjątek w przypadku potrzeby ratowania życia. Musielibyśmy dostarczyć dokumentację ze szpitala albo od wykwalifikowanego medmaga, dowodzącą, że bez leczenia umarlibyśmy. Moje obrażenia nie zagrażają życiu.

– Zdobycie dokumentacji to żaden problem.

– Tak, ale ja nie zamierzam kłamać.

– A skąd wiesz, że twoje obrażenia nie są ciężkie? Jesteś oblepiona jego płynami ustrojowymi. Skąd wiesz, że nie są trujące?

– Jeśli tak jest, zajmiemy się tym, gdy się źle poczuję.

– No dobra. Ja tu zostanę popilnować, a ty pojedziesz do szpitala.

– Nie.

Patrzy na mnie wzrokiem alfy.

Wybałuszam oczy.

– Oczywiście, Wasza Wysokość. Ależ ja jestem durna. Jadę tam natychmiast, tylko proszę przestań na mnie patrzeć.

– Kate, wsiadaj do auta.

– Może powinieneś zacząć warczeć dramatycznie, bo jakoś się nie boję.

– Sam cię tam wsadzę.

– Nie wsadzisz. Po pierwsze musiało być nas dwoje żeby to zabić, więc jeśli znowu ożyje, będziesz mnie potrzebował. Po drugie, jeśli będziesz chciał na siłę wepchnąć mnie do samochodu, będę się opierać i krwawić więcej. Po trzecie, nawet jeśli wsadzisz mnie do auta, nie możesz zmusić mnie, żebym nim odjechała.

Curran warczy.

– Dlaczego nigdy nie robisz tego, o co cię proszę?

– Bo ty nie prosisz, tylko każesz.

Wpatrujemy się w siebie gniewnie.

– Nie pojedę do szpitala przez jakąś płytką ranę. – Oraz zwichnięty bark, rany na nogach i posiniaczony bok. – Mogło być gorzej.

Gdybym na przykład walnęła o ceglany mur, a nie ładny, delikatny płótek...

Curran podnosi dłoń.

– Idę po apteczkę do auta.

Nie znam żadnych medmagów oprócz Dolittle'a. Kobieta, która łątała mnie zanim poznałam Currana, wyprowadziła się. Muszę to ogarnąć w najbliższym czasie. W tej profesji dostęp do dobrego medmaga jest sprawą dużej wagi.

Jego Zrzędliwość wraca z apteczką. Podciągam golf i odwracam się do niego plecami.

Cisza.

– Nie jest tak źle.

Jego ostrożne, ciepłe dłonie muskają moją skórę. Drzę, gdy roztwór soli fizjologicznej obmywa mi ranę.

– A to? – palce Currana dotykają bolącego miejsca na lewym boku.

– To po ghoulach. Zacznę inkantować, gdy skończysz czyścić ranę. Zagoi się.

Zimny wiatr smaga moje mokre plecy i zaczynam szcząkać zębami. Dzięki ci, pogodo. Też cię kocham.

– Logicznie rzecz biorąc, skoro raz to ukatrupiliśmy, uda nam się ponownie. To dzielnica mieszkalna. Zrobimy co należy i przypilnujemy zwłok.

– To kretyńskie prawo – mówi Curran. – Łatwiej jest nie reagować.

Uśmiecham się.

– Aha! W końcu zaczynasz łapać. Witam w ludzkim społeczeństwie, Wasza Wysokość.

– Kate, inkantuj.

Dziesięć minut później stwierdza, że rana jest w miarę zasklepiona i można nałożyć opatrunek. Naciągam golf. Niestety kiedy był podwinięty zdążył się schłodzić i teraz mrozi mi plecy. Ichor też nie rozgrzewa. Curran siada przy mnie.

– Bark – przypominam mu.

Zdejmuje bluzę, odsłaniając przepiękną klatkę piersiową. Chwytam kombinerkami pierwszy z wbitych pajęczych włosów. Jest wielkości małego metalowego różna.

– Gotowy?

– Dawaj.

Wyszarpuję go. Ma dwadzieścia pięć centymetrów. Curran zgrzyta zębami. To musi boleć jak diabli. Wycieram tamponem krew z jego ramienia.

– Jeszcze cztery.

– Nie ma na co czekać.

Udaje mi się wyciągnąć wszystkie w mniej niż minutę. Im mniej cierpi, tym lepiej. Curran zakłada bluzę i przyciąga mnie do siebie. Jego oczy zachmurzyły się. Ma niewesołe myśli.

– Wszystko dobrze? – pytam.

– No.

Chyba przyszło mu na myśl, że gdyby wciąż był Władcą Zwierząt, miałby już zespół zmiennokształtnych, pilnujących ciała, a my jechalibyśmy do Twierdzy, żeby Dolittle mógł mnie doprowadzić do kultury.

– Bycie człowiekiem nie jest takie złe, prawda?

– Przypominasz sobie Savellów? Mieszkają naprzeciwko nas? – pyta.

Heather Savell jest jak wrzód na dupie. Nasza dzielnica nie ma Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości, ale Heather marzy się takie. Uroiło jej się w głowie, że ono istnieje, a ona jest jego prezeską. Bierze te wyimaginowane prawa i obowiązki bardzo serio.

– Jasne, pamiętam ich.

– Rozsypali pieprz kajeński dookoła trawnika.

Niemal zgrzytam zębami. Zrobili to, żeby Curran trzymał się z daleka od ich działki. Jakby był jakimś zabłąkanym psem, który przyłazi węszyć.

– Chyba nie przyszło im do głowy, że mogą dać kroka i iść dalej.

– Porozmawiam z nimi.

Curran kręci głową.

– Nie. Boją się, ponieważ mnie nie znają. Rozumiem ich. Ciebie nie. Dlaczego bronisz takich ludzi?

– Bo sami się nie obronią.

– W Gromadzie wszyscy są wyjątkowi, ale zjednoczeni. Wszyscy wnoszą coś do społeczności, jedni mniej, drudzy więcej. Pracujemy na rzecz wspólnego celu, którym jest bezpieczne życie.

– Tak samo ci ludzie.

Curran krzywi się.

– Gdybym tłukł cię na środku ulicy, nikt nie ruszyłby palcem, żeby ci pomóc.

– A gdybyś bił mnie w Twierdzy na oczach wszystkich, ktoś by mi pomógł? Czy może odwróciliby wzrok, bo alfy się kłócą i to nie ich sprawa?

Curran warczy.

– Kate...

– Jesteś uprzedzony w stosunku do ludzi, którzy nie są zmiennokształtnymi.

Przytulam się do niego.

Obejmuje mnie ręką.

– To nie są bezpodstawne uprzedzenia, ponieważ gdy ludzie czegoś się boją, podchodzą do tego z rezerwą. Dla wielu z nich zmiennokształtni są potworami, a ty byłeś królem potworów. Dobrze to rozumiem. Dla Gromady ja jestem potworem i tak też mnie traktowali.

– Nie wszyscy.

– Nie wszyscy. O to mi właśnie chodzi.

Odwracam głowę i całuję go. Ma ciepłe usta i smakuje znajomo.

– Nie mieszkałeś nigdy z nie-zmiennokształtnymi. A ja tak. Widziałam mężczyznę, który wbiegł do płonącego budynku, żeby uratować psa. Widziałam jak ludzie poświęcają się dla obcych. Nie wszyscy są tacy, ale jest ich na tyle dużo, żeby to się liczyło. Dlatego im pomagam. Daj im szansę. Mogą cię jeszcze zaskoczyć.

Wzdycha i przytula mnie mocniej.

– Poważnie rozważasz możliwość przejęcia Gildii? – pytam. – To kompletna ruina.

Curran uśmiecha się do mnie promiennie. To zadowolony grymas rozbawionego drapieżnika.

– Zajmę się tym, spokojnie.

– Oni nigdy nie będą drugą Gromadą. Są na to zbyt niezależni. No i nie lubią władzy nad sobą.

– Nie potrzebuję drugiej Gromady. Zresztą Gromada miała już za dużo praw. Mam kilka pomysłów jak wykorzystać zasoby ludzkie. Trochę się zdziwią.

– Będą z tobą walczyć na każdym kroku.

– Mam nadzieję. – Curran śmieje się cicho. – Rozprawię się z nimi pojedynczo albo całymi grupami. Będzie frajda.

To uwolnienie się z łańcuchów robi z niego potwora.

– Właśnie to w tobie kocham, Wasza Futrzastość. Pokorę i skromność.

– Nie zapominaj o moim wybornym poczuciu humoru i chłopięcym uroku.

– Chłopięcym?

– Gildia oferuje mi coś, czego brak Gromadzie, a mianowicie różnorodność. Są tam strzelcy, mistrzowie broni białej oraz praktykujący magię. Tego właśnie możemy potrzebować gdy... –
Milknie.

– Co jest?

– Wiatr się zmienił.

Curran wstaje i rusza chodnikiem. Idę za nim. Mijamy jedną lampę, potem drugą... Po następnych kilkunastu metrach będę musiała zawrócić. Za bardzo się oddalamy od truchła pająko-skorpiona.

Na szczęście Curran zatrzymuje się i przykuca. Spore jasne zadrapanie przecina chodnik. Wdycha głęboko powietrze, marszcząc twarz.

– Co to?

Ma ponury wyraz twarzy.

– Ghoule. Dużo.

Przeciągły, wyjący hałas zasilanych magicznie syren przetacza się ulicami. Nadciąga odsiecz.

KONIEC Rozdziału 06

Rozdział 07 – Luther

Biohazard zajeżdża z klasą: dwa czarne SUV-y oraz uzbrojona ciężarówka, która zamiast naczepy ciągnie stalowe zbiorniki. Z SUV-ów wyskakuje dziesięcioro ludzi w kombinezonach przeciwskażeniowych oraz jeden przysadzisty, ciemnowłosy facet w czerwonej bluzie. Biały napis na bluzie głosi: „CZAROWNIK NA WOLNOŚCI”. Luther Dillon. Jaki ten świat mały.

„Czarownik na wolności” wskazuje mnie palcem:

– Ty! Nieczysta! Opowiedz mi o wszystkim.

– Cześć, Luther. Myślałam, że pracujesz dla WAN-u.

Robi kwaśną minę.

– Za dużo polityki, za mało magii. Mają problemy z moją strategią zawodową. Poza tym ich opieka dentystyczna jest do kitu.

– Zwolnili cię?

– Odszedłem.

– Gdy odeszłam z Zakonu orzekłeś, że jestem „skalana”.

– Ponieważ odeszłaś przez jakąś głupotę w stylu ratowania ludzkich żyć. Natomiast ja zrezygnowałem w celu zwiększenia zdolności

zarobkowych. Nie wiesz, że bycie bohaterką to przegrana sprawa? – Luther spogląda na Currana. – Kim jest ten okaz samca?

Curran wyciąga dłoń.

– Lennart.

Luther chwyta dłoń Currana i wacha ją.

– Zmiennokształtny, kotowaty, prawdopodobnie lew, ale nie jakiś pierwszy lepszy afrykański simba. – Dlaczego zawsze przestajesz z dziwolągami?

– To jej specjalny talent. – Wyjaśnia Curran. – Ciągniemy do niej jak pszczoły do ula.

Luther kręci głową i odwraca się do truchła robala. Portrecista Biohazardu stara się jak najszybciej go narysować, a reszta zespołu stoi dookoła z miotaczami płomieni.

– Opowiedz mi o tym czymś.

Wyjaśniam sprawę z panią Oswald.

– To przemówiło? – pyta Luther.

– Tak. – Tego typu nienaturalne stworzenia zwykle nie są rozumne. Nie mówią, a jeśli nawet, nie z taką mocą. – W jego głosie było wiele magii. Można ją było nawet poczuć na skórze.

– Nie podoba mi się to – oświadcza Luther.

Mnie też.

– Ktoś wziął się na koty. Nie wiem, czy chodzi o te konkretne, należące do Oswaldów, czy może koty w ogóle. Niemniej przeciwnik kotów jest nieustępliwy. Najpierw przysłał kleszcza. Po tym, jak Eduardo go zabił, wysłał gryfa, a kiedy ten okazał się za mały, żeby dostać się do domu, przelał w niego więcej magii i powiększył. Potem gryf zamienił się w to – kiwam głową w kierunku ciała. – Nie wiem co to w ogóle jest.

– Mamy w kwaterze głównej entomologa. Dam ci znać, jak coś ustali. – Luther przygląda się zwłokom. – Ta zmiana typu mnie niepokoi.

Mnie też.

Portrecista macha szkicownikiem.

– Zrobione.

– No dobra, koleżanki i koledzy. Zapakujcie to. Opiszcie i zamknijcie
- komenderuje Dillon.

Zespół zaczyna rozwijać folię.

– Hej, Luther – pytam – nie zatrudniliście ostatnio żadnych nowych
ghouli, co?

Czarownik odwraca się szybko do mnie. Spojrzenie ma skupione jak
rekin wyczuwający kroplę krwi w wodzie.

– Coś wiesz. Mów.

– Zwiadowcy Gromady znaleźli sporo martwych ghouli na drodze na
wschód – wyręcza mnie Curran. – Jedliśmy śniadanie z Władcą
Zwierząt i wspomniał o tym.

Luther przygląda mu się z uwagą.

– Jasne, to się często zdarza. Ale czekaj, przecież ja mam mózg.
Przepraszam, zupełnie zapomniałem. Ghoule znaleziono pocięte na
kawałki. Ktoś rozerwał je na strzępy pazurami a następnie
poszatkował bronią białą. No i proszę, wy dwoje macie pazury i broń
białą.

– Nie my jedyni w mieście – odpowiada Curran.

Luther mruży podejrzliwie oczy.

– Co kombinujecie?

– Obecnie nic – odpowiadam.

– Nie wierzę ci.

Na końcu ulicy pojawia się biegnący Derek. Podbiega do jeepa, opiera się o niego i pochyla.

– Trudno – odpowiadam. – Szukamy zaginionego zmiennokształtnego. Przydałaby się nam pomoc.

Luther unosi dłoń.

– Przerwij natychmiast. Zmiennokształtni to sprawa Gromady. Dopóki nie przyślą nam prośby na piśmie, mamy związane ręce. Nawet nie chcę tego słyszeć.

No niemożliwe. Chyba dostanę zawału ze zdziwienia.

– O mamó, fajnie, że ci zależy na dobru innych ludzi.

– Władca Zwierząt to dupek – usprawiedliwia się Luther. – Miałem już do czynienia z jego przedstawicielami i wiecie co wam powiem? Nie chcę go wkurzyć.

Mam ogromną ochotę spojrzeć teraz na twarz Currana, ale musiałabym się odwrócić i wyglądałoby to podejrzanie.

– Czyli co z tymi ghoułami?

– Nie potwierdzam i nie zaprzeczam.

Poważnie?

– To akta jawne. Mogę pojechać do urzędu miasta i spędzić tam trzy godziny na przekopywaniu się przez waszą dokumentację albo możesz mi od razu powiedzieć. Zdenerwuję się, jeśli będę musiała zmarnować tyle czasu.

Luther odchyła się.

– Ależ mnie przerażasz. Mam już zacząć się bać?

– Skąd. Tak tylko mówię, że nie lubię dzielić się informacjami, gdy jestem rozdrażniona. Chcesz wiedzieć dlaczego horda ghouli próbowała wdrzeć się do miasta. My też chcemy wiedzieć co się dzieje. W końcu to rozgryziemy, a wtedy zgłosimy się do twoich byłych szefów w WAN-ie.

Czarownik wzdycha.

– Nie, nie zatrudniliśmy nowych ghouli.

– Rozmawiałeś z Mitchellem? – pytam.

– Nie, on nie jest skory do rozmów – krzywi się Luther. – Coś się z nim dzieje.

– Może ze mną porozmawia.

– Fakt. – Luther znowu wzdycha. – Wiesz co, pozwolę ci pogadać z Mitchellem, ale jeśli ci się uda, przekażesz mi wszystko, co powiedział. Chcę wiedzieć, co się z nim dzieje.

– Umowa stoi. – Głupotą byłoby nie skorzystać z takiej okazji. – Dziś w nocy.

– Nie, jutrzejszej nocy. Nakarmiliśmy go wczoraj i teraz odsypia.

Mitchell nie lubi wychodzić na powierzchnię. Większość czasu spędza w swojej norze i wyciągnięcie go stamtąd po karmieniu będzie niemożliwe. Próbowałam wcześniej i nie udało się.

– Może być jutro – zgadzam się.

– Dobrze, już skończyliśmy, jesteście wolni, sio, idźcie, spadajcie. I bądźcie grzeczni.

Ruszam w kierunku aut.

– Czeka! – woła Luther.

– Tak?

Podbiega do mnie.

– Czy miasto nie wydaje ci się inne?

– Że jak inne?

Przeciąga dłonią po włosach.

– Coś wydarzyło się w grudniu. Coś dziwnego.

Proszę się rozejść, nie ma tu na co patrzeć, nie ma żadnych zajmujących miasta ludzi w okolicy.

– Tu cały czas dzieje się coś dziwnego.

– Nie, to było inne. Coś jak burza. Magiczna. Przetoczyła się przez miasto i zmieniła je. Czy wydaje się inne?

Skłam, skłam, skłam.

– Nie.

Luther wpatruje się we mnie uważnie.

– Nie zwariowałem.

Ano nie.

– To ponad moje kwalifikacje.

– To jak wysypka, której nie mogę podrapać.

– Może powinieneś pójść z tym do lekarza – sugeruje Curran.

Luther wskazuje go palcem.

– Nie lubię cię.

– Cześć, Luther – uśmiecham się szeroko.

Czarownik odchodzi.

– Rozkminię to! Nie zwariowałem!

Jeśli mu się uda, będę musiała się gęsto tłumaczyć.

– Czy wszyscy w tym mieście uważają mnie za dupka? – pyta Curran.

– Tylko ci, którzy cię znają lub spotkali.

Mierzy mnie długim spojrzeniem.

– Byłeś żarliwym orędownikiem spraw Gromady – mówię. – Interesy Gromady często nie pokrywają się z ludzkimi. Nie przestałam cię kochać a dla Dereka jesteś idolem.

Rzeczony wilk klęczy przy rysie na chodniku, biorąc głębokie oddechy.

– Trzy ghoule. Jeden samiec i dwie samice. Zapach ma około pięćdziesięciu godzin.

To wtedy Eduardo odpowiedział na poniedziałkowe wezwanie pani Oswald.

– Ciekawe zgranie w czasie – stwierdzam.

– Przybyły i odeszły tą samą trasą – dodaje Derek.

– Ile tu siedziały?

– Kilka godzin. – Derek wskazuje wąski zakamarek pomiędzy ścianą a ogrodzeniem. – Chowały się tutaj, za koszami na śmieci.

Trzy ghoule przyczajone tutaj, gdy mieszkańcy wyszli do pracy. „Nie zwracajcie na nas uwagi, odpoczywamy sobie tutaj, za śmietnikami, zacierając pazury, gdy wasze pyszne dzieci wychodzą do szkoły”. Spoko, to wcale nie przyprawia o dreszcze.

– Dlaczego tutaj? Są lepsze miejsca na kryjówkę.

– Mhm. – Curran pomyślał o tym samym. – Złe miejsce na kryjówkę, ale dobre na zasadzkę.

Zerkam na dom pani Oswald. Kilka domów dalej uliczka kończy się ślepym zaułkiem.

– Są tu inne zapachy? – pytam.

– Ludzkie.

– Zaatakowały kogoś?

Derek kręci głową.

Curran patrzy na mnie.

– To dziwne?

– Wszystko tutaj jest dziwne. Ghoule to samotniki. Mieszkają blisko cmentarzy, kryją się w norach i podróżują o świcie albo w nocy. Nie łączą się w grupy żeby rozbijać się po osiedlach mieszkaniowych. Chyba że właściciel domu jest seryjnym mordercą i pochował ofiary w ogródku. W innym wypadku nie ma powodu, żeby tu przebywały.

– Nie ma ciał pogrzebanych w ogródku – oświadcza poważnie Derek. – Wyczułbym rozkład.

Moje poczucie humoru chyba trochę szwankuje.

– Chodzi mi o to, że jest wysoce nieprawdopodobne, iż te dwie sprawy – wskazuję jedną ręką śmietniki, a drugą zezwłok pająka – nie są ze sobą powiązane. Moim zdaniem one czatowały tu na Eduardo. – Oddałabym dużo, żeby dowiedzieć się dlaczego. – Ghoule, które zabiliśmy w Lawrenceville, odpowiadały na czyjeś wezwanie. Powiedziały, że ktoś na nie czeka. One nie umawiają się z ludźmi na kawę albo drugie śniadanie. Wydaje mi się, że ktoś wykorzystuje je do swoich celów.

– To wyjaśniałoby zorganizowanie i nietypowe zachowania – zgadza się Derek.

– Możesz je wytropić? – pyta go Curran.

– Jasne – uśmiecha się wilkołak.

– No to idziemy je zapytać – komenderuje Curran.

– Wezmę samochód – mówię.

Pieszko tylko ich spowolnię.

Piętnaście minut później gonię ich jeepem. Ktoś inny będzie musiał potem odebrać auto George.

Lwy raczej nie są dobrymi maratończykami, ale Curran jest lwołakiem i podług ludzkich standardów jest nadzwyczajnym biegaczem. On i Derek pędzą przez miasto z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, co jest zapewne dla nich tempem spacerowym.

Ghoule pochodzą z mitologii arabskiej. Pierwsze wzmianki o nich pojawiły się w „Baśniach tysiąca i jednej nocy”. Wilcze gryfy pochodzą podobno z Afryki północnej, gdzie znane były plemionom Berberów. Muzułmanie podbili tę część kontynentu około siódmego wieku naszej ery, więc teoretycznie istnieje słabe, geograficzne połączenie pomiędzy nimi a ghoułami. Cała reszta się nie zgadza. Ghoule nie podlegają żadnemu zwierzchnictwu. Nie są nieumarłymi, zachowują wolną wolę, ale próby narzucenia im odgórnej władzy na ogół kończą się źle. To tchórzliwi, samotniczy padlinożercy i okazjonalnie drapieżniki, które kopią głębokie nory i chowają się przed ludźmi oraz światłem słonecznym. Nie mam pojęcia, jak mają

się do tego pająko-skorpion albo koty. Może osobnik stojący za potworami atakującymi domostwo pani Oswald wkurzył się na Eduardo za interwencję i kazał ghoulom go porwać? Jednak musiałby wtedy istnieć ktoś, kto potrafi kontrolować armię ghoulów. Albo zna kogoś takiego i odbiera przysługę. Skoro jest się na tyle potężnym, by móc kontrolować ghoule, to po co zajmować się jakimiś kotami?

Wypuszczam głośno powietrze. Jednak to tylko spekulacje. Dopóki nie znajdziemy dowodu, wszystkie moje niestworzone teorie są bezwartościowe.

Przede mną Curran i Derek skręcają w lewo na Valley View Road. Jadę za nimi. Ulicę wypełniają niewielkie budynki mieszkalne, przycupnięte pomiędzy drzewami i krzewami. Wygląda to na w miarę spokojną okolicę. Żadna dzielnica nie jest w pełni bezpieczna w postzmiennym Atlancie, ale ta należy do bardziej stabilnych. O ile wiem, nic nie wiąże z nią Eduardo, poza sporadycznymi zleceniami z Gildii.

Gdzie się podziewasz, Eduardo? W co się wpakowałeś?

Skręcamy w lewo, w Ashford Dunwoody Road. Po lewej stronie ukazują się pozostałości po Walmarcie. Derek i Curran zmierzają w ich stronę. Te niespełna trzysta metrów pomiędzy mną a byłym supermarkietem wygląda jak pobojuwisko: ostre kawałki betonu zaśmiecają ziemię, połączone razem przez skręcone szczątki metalu i

połamane drewniane belki. Potłuczone, zakurzone szkło połyskuje tu i tam, łapiąc zbłąkane promyki słońca. Świetnie. Przejazd tą drogą to gwarancja przebitych opon.

Derek zwalnia i zatacza małe kółka pomiędzy gruzowiskiem. Ghoul pewnie tam się zatrzymały.

Curran tężeje, jego całe ciało spina się jak ciasna sprężyna i skacze na ponad dwumetrowy, cementowy gład. Ląduje leciutko i prostuje się, kierując spojrzenie na kruszącą się ruinę sklepu. Zatrzymuję się przy krawężniku.

Derek odwraca się o sto osiemdziesiąt stopni, przebiega obok mnie i nie zatrzymuje się. Curran zeskakuje z gładu i dogania go. No i zaczynamy od nowa. Zwalniam hamulec. Meadow Lane Road... Zniszczony garaż parkingowy majaczy po lewej stronie, na wpół ukryty za sosnami. Curran i Derek wchodzą na niego. Parkuję jeepa i schodzę w dół za nimi.

Widzę przestrzeń garażu. Zatrzymuję się na chwilę, żeby oczy przyzwyczały się do mroku. Nagie winorośle, które jeszcze nie obudził się po zimie, okrywają ściany garażu, gęstniejąc z tyłu, gdzie zapadł się strop budowli. W lewym rogu rdzewieją trzy auta, przygniecione ciężarem betonu. Czeka przy nich Curran. Derek przyklęka obok niego. Przed nimi w ścianie widnieje szczelina. Stąd wygląda na zupełnie czarną. Ma dwa i pół metra wysokości i metr szerokości.

No jasne. To zawsze musi być jakaś pioruńsko ciemna dziura? Choć raz mógłby to być muskany wietrzykiem różany ogród.

Podbiegam do nich. Derek okręca się na pięcie.

– Ślad wiedzie do środka.

O nie.

– No dobra.

Derek wchodzi w szczelinę. Patrzę za nim. Beton kończy się półtora metra dalej, przechodząc w tunel wykopany w glebie. Obmywa mnie zapach stęchlizny.

Nie.

Curran za mną prostuje się. Czuję jak jego pierś dotyka moich pleców. Nie chcę włączyć do tej dziury. Wolę zrobić cokolwiek innego, żebym tylko nie musiała tam wchodzić.

– Maleńka?

– Tak?

Tam może być czekający na pomoc Eduardo. Wchodzę w szczelinę i posuwam się do przodu. Wystarczy robić krok w krokiem i nie myśleć o tonach gleby i skały, które mogą pogrzebać mnie żywcem.

– Wszystko dobrze? – pyta Curran.

– Świetnie.

Ledwo dostrzegam zarys Dereka, idącego przede mną. Oczyma wyobraźni widzę lawinę luźnej ziemi, spadającą w tunel przede mną, zasypującą mnie i wdzierającą się do płuc... Wyczuwam smak adrenaliny na języku. Nienawidzę tuneli od zawsze, ale dziś reakcje mojego ciała są mocno przesadzone.

– Puls ci przyspiesza.

Idę znaleźć zmiennokształtnego. Betka.

– Chyba ciemne, wąskie tunele, prowadzące głęboko pod ziemię, nie są moją ulubioną rozrywką.

Curran obejmuje mnie ramieniem. Zatrzymuję się. Serce tłucze mi się o żebra. Co się ze mną dzieje?

Czuję, że Curran całuje moje włosy. Jego głos jest cichym szeptem w moich uchu.

– To nie jest Mishmar.

Wspomnienia przelatują mi przez głowę, dając wrażenie wiadra zimnej wody wylanego na łeb. Uwięzienie w szybie wypełnionym wodą, kurczowe trzymanie się prętów, podtrzymywanie głowy Ghasteka ponad wodą, żeby się nie utopił, bieg przez mroczne przejścia z setkami wampirów na karku...

Przebija się przez nie uspokajający głos Currana.

– Nie jesteśmy uwięzieni. To tylko dziura w ziemi.

Oddycham głęboko, opierając się o niego. Oddychanie przeponowe hamuje niepokój, więc pracuję brzuchem powoli, tak by wydechy były dłuższe niż wdechy i stoję w jego objęciach.

Tętno mi zwalnia. Dziwna, nieprzyjemna panika wciąż jest obecna, ale cofa się na tyle, że odzyskuję kontrolę. Ściskam jego dłoń.

– Wszystko dobrze.

Curran puszcza mnie, więc pcham się do przodu, starając się przyspieszyć.

Tunel robi się węższy. Ramionami obcieram ziemię na ścianach. Cudownie. Niepokój znowu mnie atakuje. Skupiam się na powolnym, głębokim oddychaniu.

Mija minuta. Potem następna.

Nie zatrzymuj się. Nie zatrzymuj. Zaraz będzie koniec. Na pewno kiedyś się kończy.

Wydaje się, że jesteśmy pod ziemią już bardzo długo.

Musi się skończyć.

No ile może się ciągnąć?

Na plecach ląduje mi dłoń, po czym osuwa się w dół.

– Czy ty właśnie złapałeś mnie za tyłek?

– Co?

– Curran!

– Tak?

Słyszę w jego głosie kontrolowany śmiech.

Niewiarygodne. Przyspieszam.

– Tropimy ghoule, a ty łapiesz mnie za tyłek.

– Zawsze zajmuję się najważniejszymi sprawami.

– No jasne.

– Poza tym jeśli tunel się zawali, to już nie będę miał więcej okazji tego zrobić.

– I tak nie będziesz miał okazji. Już nie widzę Dereka. Pewnie usłyszał o obłapywaniu i się ulotnił, żeby dać nam trochę prywatności.

– Może się za bardzo wleczesz?

Wrrr...

– Musisz też tupać bardziej – sugeruje Curran. – Może ghoule pomyślały, że jesteś małym podziemnym słoniem i pouciekają.

– Dostaniesz kopa jak wyjdziemy.

– Za cienka jesteś.

Tunel skręca. Słaby blask opływa stojącego czterdzieści pięć metrów przede mną Dereka. Wskakuje w źródło światła. Przyspieszam. Po chwili chwytam krawędź dziury. Widzę sporą jaskinię, której podłoga leży niemal dwa i pół metra poniżej, oświetloną dzięki

dziurze w jej stropie. Promień słońca pada prosto na zniszczony pojazd, stojący pośrodku tej podłogi. Maskę ma zgniecioną jak puszkę, a tył uniesiony do góry. Nie widać Dereka.

Zniekształcony, czarny samochód.

Robi mi się słabo z niepokoju. Wskakuję w otwór. Stopy bolą od uderzenia. Jaskinia przechodzi w duży tunel po lewej i prawej stronie. Konstrukcja jest zbyt prosta jak na wytwór natury. Zajebiście.

Curran zeskakuje obok mnie, cicho jak duch.

– SSTSA – mówię.

Marszczy brwi.

– Stołeczny System Transportu Szybkiego Atlanty.

SSTSA powstał w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku jako sieć linii autobusowych oraz pociągów, zarówno podziemnych jak i naziemnych. W okresie pełnego rozkwitu jeździło nim codziennie ponad czterysta tysięcy pasażerów, ale potem zniszczyły go fale magii. Pierwsze poddały się pociągi. Niewiele się zepsuło, ale magia rodziła koszarne stworzenia, które lubiły chować się w ciemnych tunelach i podbierać smaczne przekąski dostarczane wygodnie na platformach.

Ludzie nie chcieli schodzić pod ziemię. Autobusy trzymały się jeszcze przez jakiś czas, ale w końcu samorząd miasta poddał się. Obecnie stacje SSTSA są opuszczone, a ich tunele zamieniły się w leże potworów.

– Jak długo się ciągną? – pyta Curran.

– Nie mam zielonego pojęcia. Rozbudowali się, gdy nadeszła Zmiana. Pewnie całe kilometry.

Tropienie ghouli całymi kilometrami tuneli będzie przypominać polowanie na szczura w labiryncie z kilkunastoma wyjściami.

Idziemy razem do samochodu. Gdzie się podział bystrzak?

SUV stoi bezpośrednio pod dziurą w stropie. Patrzą w górę. Zmieściłby się w nią.

– Czy to Tahoe?

Curran wyciąga rękę i podnosi skrzynię biegów. Metal zgrzyta, gdy tył podnosi się w górę. Fajnie jest być lwołakiem.

– Nom. To Tahoe.

Ogarnia mnie lepki strach. To na pewno auto Eduardo. Ghoule zamordowały go, wepchnęły samochód tutaj i zostawiły, by sobie podgnił.

Curran obniża SUV-a i puszcza pół metra nad ziemią. Na bokach widnieją długie zadrapania. Pazury ghouli. Przyciemniane szyby popękały, ale nie wypadły. Pokrywa je kurz. Nie widać wnętrza. Sięgam do klamki. Oczyma wyobraźni widzę rozszarpane ciało Eduardo, zalane jego własną krwią.

Proszę, żyj... Proszę, żyj...

KONIEC Rozdziału 07

Rozdział 08 – Tunel

Otwieram drzwi. Słysząc zgrzyt i po chwili ukazuje się kabina.

Pusta.

Uff.

Curran otwiera drzwi z drugiej strony.

– Czuję jego zapach. To jego samochód.

Wnętrze Tahoe wygląda jak po przejściu huraganu noży.

– Pachnie tu śmiercią?

– Nie. – Curran wciąga mocno powietrze. – Cuchnie ghoułami.

– Naszymi? Tymi, które zabiliśmy?

– Nie, inną grupą. Te zapachy są starsze.

Czyli mamy więcej niż jedną grupę ghouli zachowujących się jak oszalałe.

Z lewego tunelu wyłania się Derek.

– Trop zatrzymuje się tutaj.

– Jak to zatrzymuje się?

– Poszedłem w obu kierunkach – tłumaczy wilkołak, opierając się o usyfioną ścianę. – Trop dochodzi tutaj i zwyczajnie się zatrzymuje. W żadnym z tuneli nie ma świeżych śladów ghouli.

– Przecież nie odleciały – dziwię się.

– Mogły dostać skrzydeł? – pyta Curran.

– Wątpię. – Tego jeszcze brakowało. – Gdyby mogły, wiedzielibyśmy już o tym. To poważna adaptacja obronna, a one są tchórzliwe.

– Ich zapach mówi, że dotarły tutaj, a potem zniknęły – dodaje Derek.

Pocieram twarz.

– To sugeruje teleportację.

– D’Ambray to potrafi – zauważa Curran.

– Tak, ale on używa słów mocy oraz wody, którą zaczarował Roland. Taki rodzaj teleportacji to sztuczka, na którą wyłączność ma mój ojciec. Poza tym wiedziałabym, że Hugh jest w mieście.

– Skąd? – pyta Derek.

– Poczulałabym, że przekracza granice Atlanty.

Curran nachyla się do mnie.

– To tu jest granica?

– Tak.

– Kiedy chciałaś mi o tym powiedzieć?

– Temat jakoś nie wyszedł. [Litości. O czym Kate z nim rozmawia?]

Ma niezadowoloną minę. Najlepiej zmienić temat.

– Chodzi mi o to, że to trudna operacja, która wymaga kupy magii.

– „Kupa” magii to nowa jednostka wagi? – pyta Derek.

Mądraliński.

– Tak – odwarkuję. – Badalam miejsce teleportacji podczas tego zamieszania z Latarnikami. Wykonali ją volhvowie. Choć są naprawdę potężnymi kapłanami pogańskimi, musieli poświęcić życie człowieka, by mieć odpowiednią moc.

– Czyli co? – dopytuje się Curran.

– Rozejrzyj się. Nie ma śladów rytuału. Tylko ziemia.

Rozglądamy się we troje po jaskini.

– Nie mam pojęcia, z czym mamy do czynienia i bardzo, ale to bardzo mi się nie podoba.

– Potrzebujemy tutaj Julie – mówi Curran.

Gdy na świecie pojawiła się magia, szybko przekonano się, że ustalenie pochodzenia magii obecnej w miejscu popełnienia przestępstwa ma ogromne znaczenie.

Wyciągam kluczyki z kieszeni.

– Powinna już być w domu.

Curran mierzy wzrokiem dziurę w stropie jaskini. To dwanaście metrów wzwyż. Derek bierze kluczyki, wkłada do jeansów i cofa się do rozbiegu. Curran zwiiera dłonie i przykuca, trzymając je jak stopień. Derek rusza jak błyskawica, prawą stopą staje na „stopniu”. Curran prostuje się, jego ręce wyrzucają młodego wilkołaka jak sprężyna i bystrzak leci do góry jak strzała. Przez chwilę wydaje się, że nie dosięgnie, ale łapie wtedy wystającą rurę, podciąga się i znika w świetle dnia.

* * *

Na przednim siedzeniu pasażera Tahoe widać długie rozdarcia. Brzegi tkaniny są bardziej poszarpane, niż pocięte. Gładsze nacięcie znaczy powgniataną deskę rozdzielczą, do której przylgnęły również kawałki kości i fragmenty czerwonej tkanki. Kilka grubych smug barwy czerwonej smoły plami szoferkę auta. Nie ma ich jedynie na fotelu kierowcy, czyli Eduardo walczył w środku. Siadam tam – stopami ledwie dosięgam pedałów – i macham ręką dookoła. Nom.

Eduardo miał w dłoni jakąś krótką broń sieczną, sądząc po śladach na desce rozdzielczej pewnie maczetę, więc zdążył zadać parę ciosów zanim mu ją wyrwano. Potem zaczął tłuc napastników pięściami.

Z kieszeni w pasie wyciągam niewielką, plastikową torebkę, biorę z niej szczyptę proszku i posypuję nim krew. Ciemnozielony proszek bieleje.

– Wernonia – wyjaśniam Curranowi. – Ghoule jej nie lubią. Nie jestem pewna, czy im szkodzi, ale wchodzi w reakcję z ich krwią.

Curran przygląda się desce rozdzielczej.

– Jak na kogoś przypiętego pasem i otoczonego zewsząd, nieźle się bronił.

– To mnie zastanawia.

Wyciągam dłoń, by dotrzeć do pozostałości pasa. Wystaje go z górnej szczeliny jakieś dwadzieścia centymetrów. Jego końcówka jest poszarpana.

– Przegryzione – mówi Curran.

– Owszem. Jeszcze miał zapięty pas, gdy na niego skoczyły. Wyobraź sobie, że jesteś ghoulem. Ofiara siecze ostrzem i rozłupuje

czaszki twoich kumpli na prawo i lewo, a ty zamiast zabić ją na miejscu, gdy jest uwięziona, przegryzasz pas, żeby ją uwolnić.

– Chciały wziąć go żywcem.

– Ale po co?

Przeszukujemy resztę Tahoe. Znajduję plecak Eduardo, a w nim jego lunch i portfel zawierający sto dolarów. Skrytka z bronią na tyle auta jest nietknięta. Każdy ludzki napastnik wziąłby broń palną i białą. Skoro nikt nie zabrał broni oraz pieniędzy, nasza teoria o ghoulach pewnie jest poprawna. Nie tylko go porwały, ale jeszcze wepchnęły samochód do dziury, żeby go ukryć. One normalnie nie są przebiegłe. Kontroluje je jakaś złowroga inteligencja, która ma określony plan. Żebyśmy tylko wiedzieli jaki.

Siadam na głazie. Curran wyciąga się przy mnie. Wygląda okropnie. Jakiś czas temu pokrywający nas ichor zaczął śmierdzieć zgniłą rybą, a potem ziemia z tunelu, przez który się przeciskaliśmy, zmieszała się z nim, tworząc cementopodobną substancję na naszej skórze. W moim przypadku dodatkowo połączyła się z przesiąkającą przez bandażę krwią.

Boli mnie ramię. Plecy też. Nie jedliśmy nic od rana. Curran pewnie umiera z głodu. Obraz nędzy i rozpaczy.

Curran zauważa, że mu się przyglądam.

– No i proszę, skończyliśmy w tej syfiastej dziurze.

– Nom. Wyglądamy jak dwa ghoule, które się wytarzały w gnijących trupach.

Uśmiecha się.

– Hej, maleńka. Chcesz pofiglować?

Śmieję się.

– Gdybym planował porwanie Eduardo – dodaje Curran – oraz wiedział, gdzie się wybiera, najłatwiej byłoby ustawić zmiennokształtnych w pobliżu tego miejsca, żeby mogli osaczyć go, gdy się zjawi. Tyle, że zasadzka wypadłaby na osiedlu mieszkaniowym, więc moi ludzie musieliby go wlec ulicami wśród wrzasków i szarpaniny.

– Tak. To zbyt ryzykowne. Za bardzo jawne i mnożące potencjalnych świadków – zgadzam się.

– Chciałbym zgarnąć ofiarę z ulicy cicho i szybko, więc określiłbym prawdopodobne drogi dojazdu, znalazł odpowiednie miejsca do ataku i ustawił grupki zmiennokształtnych na każdej trasie oraz ostatnią grupę u celu, tak na wszelki wypadek.

– Brzmi sensownie.

Dokładnie tak postąpiły ghoule.

– Co jest takiego wyjątkowego w Eduardo?

– Nie wiem – wzdycham. – Może jest sekretnym księciem ghoulu.

Mam ochotę wyleźć z tej dziury i coś zabić, żeby tylko Eduardo był cały i zdrowy. Niestety muszę tu siedzieć i zbijać bąki. Wyciągam rękę i ściskam dłoń Currana.

– Nie martw się – mówi. – Znajdziemy go. Wzięli go żywcem, więc czegoś od niego chcą.

– Nie chodzi o to, że go nie znajdziemy, ale że nie zrobimy tego na czas.

– On wie, że pomoc nadciąga – mówi Curran. – George go kocha, a Eduardo domyśla się, że ona go szuka i zmusi Gromadę do poszukiwań.

– Wciąż się zastanawiam, jak mogło mi to umknąć – mruczę.

– Co takiego?

– George i Eduardo.

– Byli ostrożni. George kocha ojca. Nie chciała, żeby popadli w konflikt. Mahon jest egzekutorem Gromady, ale Eduardo jest młodszy i ponad dwieście kilogramów cięższy w postaci zwierzęcej oraz bardzo zmotywowany. Nie ma znaczenia, kto by wygrał. Na koniec walki jeden byłby martwy, a drugi umierający.

– Naprawdę walczyłyby z Eduardo?

C– To zależy od okoliczności. Martha najczęściej stopuje go na czas, ale on niekiedy daje się ponieść.

– Ale dlaczego? Co by osiągnął, oprócz ściągnięcia na wszystkich nieszczęścia?

Curran wzdycha.

– Problem Mahona polega na tym, że posiada bardzo ścisłą wizję tego, jaki powinien być niedźwiedziolak płci męskiej. Wszystko wydaje się sensowne, gdy o tym myśli, więc strasznie się podnieca. Dzieli się ze wszystkimi swoją niedźwiedzią mądrością. Jego poglądy zderzają się z rzeczywistością i zazwyczaj nie przeżywają. Mahon nie jest w głębi duszy zły. Ma dobre intencje i chce być postrzegany jako dobry człowiek, więc kiedy otoczenie źle reaguje na bzdury, które wygaduje, doznaje szoku i musi mieć czas na przystosowanie się. Na przykład, gdy Cioteczka B. po raz pierwszy zjawiała się na posiedzeniu Rady Gromady, wziął się za pouczanie jej odnośnie

powinności kobiety i mężczyzny. Według niego alfami klanu powinni być mężczyźni, wspierani przez swoje towarzyszki, a nie na odwrót.

Śmieję się.

– I co zrobiła?

– Poklepała go po ramieniu i powiedziała: „Biedactwo moje, ależ ty musisz być okropny w łóżku”.

Ha!

– Potem zwróciła się do Marthy i powiedziała jej, że gdyby potrzebowała faceta, który szanuje kobiety na tyle, by uważać je za istoty ludzkie, to ma kilku wolnych w klanie.

To do niej podobne.

– Mahon spurpurowiał i nie odezwał się słowem przez całe zebranie Rady – szczyrzy się Curran. – Nie podniósł więcej tego tematu. Zostawiłem go kiedyś na czele Gromady na miesiąc, ponieważ musiałem opuścić nasze terytorium, a kiedy wróciłem, zastałem bunt w toku. Nie chodzi o to co zrobił, bo w sumie rządził nieźle pod moją nieobecność, ale o to co powiedział podczas spotkania Rady. Tłumaczył mi, że próbował dać wskazówki innym alfom i zupełnie nie wiedział, dlaczego wszyscy chcieli rozszarpać mu gardło.

Podobnie byłoby z Eduardo. Początkowo wściekłby się i próbował sprowokować do napaści. Wszystko dlatego, że kocha George i chce być dobrym ojcem. W jego mniemaniu obowiązkiem ojca jest odwieść córkę od koszmarnego według niego związku. Pewnie jest przeświadczony, że gdyby tylko George spróbowała spojrzeć na sprawę jego oczami, przyznałaby mu rację.

– Jestem pewna, że to odnosi się do wszystkich.

Zdarzyło mi się doświadczyć Mahonowych „mądrości”, przez co miałam przemożną chęć zrobić coś brutalnego.

– Mahon uwielbia swoje córki. Gdyby George poszła teraz do niego, rozplakała się, powiedziała, że bez Eduardo jest nieszczęśliwa i czuje się okropnie, ten rzuciłby wszystko i pobiegł szukać jej narzeczonego.

Jestem zaskoczona.

– Serio?

Curran przytakuje.

– Ale ona tego nie zrobi i muszę przyznać jej rację. Dlaczego miałyby uciekać się do manipulowania własnym ojcem? Przecież nie prosi go o szczeniaczka. Mówi mu, że kocha tego faceta i oczekuje, że one zareaguje jak powinien to zrobić kochający rodzic. Zresztą oni są

oboje do siebie točka w tockę podobni. Dwa kłótniwe matolki. George kocha ojca, ale czasem również nienawidzi. To właśnie taki przypadek.

Musiało być ciekawie dorastać w takiej rodzinie.

– Manipulowałeś nim?

– Wiem co Mahonowa wersja Władcy Zwierząt powinna mówić i robić. Gdy chciałem wymusić na nim dane działanie, robiłem to właśnie w takim stylu. Czasem wystarczyło, że warknąłem i oświadczyłem, że ma być tak jak ja chcę, bo byłem Władcą Zwierząt. On oczekiwał, że będę od czasu do czasu dyktatorem, bo według niego to oznaka dobrego przywódcy. Gdy próbowałem tej taktyki z Jimem, kazał mi iść leczyć się na głowę.

– Czyli co, Mahonowy Władca Zwierząt to twardy facet, podejmujący męskie decyzje?

– Mhm. I taki, który nie ma czasu na głupoty. – Curran spogląda w górę. – Samochód.

[Wolałabym poczytać o dzieciństwie Kate.]

Chwilę później też to słyszę, zduszony warkot silników wodnych. Coś strzela i dźwięki cichną. W dziurze pokazuje się głowa Julie.

– Halo.

– Cześć – odpowiadam.

Jej głowa znika, zastąpiona stopą w pętli z liny. Sznur zjeżdża, opuszczając dziewczynę na dno jaskini. Ma na sobie ciuchy robocze: stare jeansy, czarny golf i trzewiki. W pętli na pasku wisi wojskowy tomahawk. Kestrel ma ponad trzydzieści centymetrów długości i waży pół kilograma. Jego szerokie, siekierkowate ostrze zwęża się w niebezpieczny kolec, zaginając lekko ku dołowi, aż do ostrego czubka. Przeznaczony jest głównie do okazjonalnego rzucania nim dla zabawy w zbutwiałe kłody.

Julie postanowiła, że to będzie właśnie jej główna broń. Żadne z moich wyjaśnień co do wszechstronności i lekkości broni siecznej nie przekonały jej. Wzdycham. Mam mnóstwo dobrej broni, wyważonej i wykonanej specjalnie dla niej. Gdy zaczęła nosić toporek, starałam się popchnąć ją w kierunku miecza, ale opierała się, aż w końcu spytałam ją, dlaczego włóczy go wszędzie ze sobą. Odpowiedziała mi tak: „Bo mogę nim zrobić dziurę w czym zechcę”. Uznałam, że takie wytłumaczenie mi wystarczy.

Voron pewnie przekręca się w grobie z powodu tego toporka. Poświęcił ostatnie lata życia ćwiczeniu mnie w walce bronią sieczną. Uważał że to idealny rodzaj broni. Niemniej on już dawno nie żyje, a ja wypędziłam go z pamięci. Słyszę jeszcze z rzadka jego głos w głowie, ale on już nie rządzi moim życiem.

Julie krzywi się.

– Czy to samochód Eduardo?

Przytakuje. Derek ześlizguje się po linie.

– No dobra. – Dziewczyna odwraca się do na wpół zmiażdżonego Tahoe. – Brzydki, żółtawy pomarańcz. Ghoul. Bardzo dużo.

Okrąża wolno auto i spogląda w górę, skupia wzrok jakieś dwa metry nad samochodem. Wytrzeszcza oczy. Potem uśmiecha się leciutko, jakby patrzyła na coś zachwycającego swym pięknem.

– To przypomina ogień – mruży. – Przepiękny ogień. Nie pomarańczowy czy żółty, ale miedziany.

– Miedziany?

Czyja, do jeża kolczastego, magia rejestruje się jako miedziana?

– Żłocisty, srebrzystawy odcień miedzi – tłumaczy Julie. – O tam wystąpiła eksplozja magii – wskazuje nad Tahoe. – Jak czerwone złoto. Śliczne. Jeszcze czegoś takiego nie widziałam.

Błękitny oznacza człowieka, srebrzysty istotę boską, jasnożółty zwierzę... Nie spotkałam się jeszcze ze żłocisto-srebrzysto-

miedzianym. To mi nic nie mówi i brzmi głupawo. Istota o rejestrze magii w kolorze czerwonego złota... Wszyscy by mnie wyśmiali.

Julie przekrzywia głowę.

– Jest mało różnorodna.

– Co masz na myśli? – pyta Curran.

– Kolory magii nie są jednolite – odpowiada.

– M-skanery drukują je jako pojedyncze barwy, ponieważ są mało dokładne – wtrącam.

– Naprawdę wygląda to tak, że magia zmienia się i przybiera różne odcienie – ciągnie Julie. – Magia ghouli wygląda żółto-pomarańczowo, ale tak naprawdę to pasma oliwkowego i pomarańczowego, połączonego z bladym brązem. Nawet wampiry mają smugi czerwieni i błękitu w swoim fiolecie. – Zerka w górę. – Natomiast to tutaj jest bardzo jednolite. Niby są delikatne plamki złocistego i srebrzystego, ale w większości to jeden kolor.

Jednolita magiczna sygnatura oznacza, że to co ją zostawiło, emituje bardzo skoncentrowaną magię.

– Są w tym ślady niebieskiego?

Julie kręci głową.

Wszystkie stworzenia mające w sobie pierwiastek ludzki, jak ghoulle czy zmiennokształtni, posiadają błękit w swojej sygnaturze magicznej. Nigdy nie pozbędą się zupełnie elementu ludzkiego. Zatem nasz przeciwnik nie urodził się jako człowiek.

Pocieram twarz. To jednak nie pomaga.

– Gdzie mniej więcej zaczyna się ten miedziany?

Julie marszczy brwi.

– Jakieś metr dwadzieścia nad dachem auta.

Wskakuję na maskę i wspinam się na dach.

– Co ty robisz? – pyta Curran.

– Sama jeszcze nie wiem. Staram się ogarnąć to wszystko.

Prostuję się.

– Jesteś w środku – oznajmia Julie.

Nic nie czuję. Zadzieram głowę i wpatruję się w niebo, czekając, aż wskazówka spadnie mi na łeb.

Widzę stąd całą jaskinię i oba tunele, dziurę, z której wyszliśmy oraz podłoże, w które uderzył Tahoe i zniszczoną glebę wokół, rozdeptaną przez ghoule. Mój wzrok przykuwa błysk po prawej stronie. Coś błyszczącego na ziemi odbija światło. Podobna iskierka skrzy się po lewej stronie, w tej samej odległości ode mnie. Hmm... Obracam się powoli. Widzę więcej iskierek, przysypanych pyłem.

Zsuwam się z Tahoe. Stąd błysk jest niezauważalny. Wyciągam z kieszeni gazę, klękam w miejscu, gdzie jak mi się zdaje zauważyłam odbłask i zmiotam warstewkę ziemi. Moim oczom ukazuje się wąska wstęga przezroczystego, lśniącego piasku. Wygląda krucho, ale jego drobiny trzymają się razem jak przetopione przez wysoką temperaturę szkło.

Julie klęka przy mnie i wyciąga dłoń, by odsunąć więcej ziemi.

– Nie dotykaj tego.

Podaję jej gazę. Pierwsza zasada przeżycia w Atlancie: jak widzisz coś dziwnego, trzymaj się od tego z daleka.

Zaczynamy oczyszczać pasmo piasku. Julie i ja z jednej strony, a Curran i Derek z drugiej. Całość odsłania się po dwudziestu minutach. Wspinam się ponownie na Tahoe. Idealnie okrągła wstęga szklanego piasku szerokości dwudziestu centymetrów otacza

auto, spoczywając na ziemi jak cienka warstewka brudnego lodu na powierzchni stawu po pierwszych przymrozkach.

Ktoś, pewnie któryś z ghouli, próbował to zakryć, ale nadaremnie.

– Miedziany? – pytam Julie.

Przytakuje.

– Co to znaczy? – dopytuje Curran.

– Wydaje mi się, że tam nastąpił wybuch magii. – Wskazuję na obszar ponad autem. – To pewnie ślad po teleportacji. Grupka ghouli od Oswaldów przybyła tutaj i została teleportowana do reszty swoich towarzyszy. Ten skryształizowany pierścień to fizyczna pozostałość tego procesu.

Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Do teleportacji potrzebna jest kotwica, jakaś materia z miejsca przeznaczenia. Hugh nosił wodę. Zeszlony piasek jest pewnie kotwicą. Muszę wziąć próbkę – dodaję.

Może dzięki analizie uda nam się ustalić, co to jest i skąd pochodzi. A potem wrócimy tu i poprosimy ghoule o zwrot Eduardo. Bardzo ładnie poprosimy.

– Jeśli piasek się zeszklił podczas teleportacji, kto go przykrył? – pyta Curran.

– Może przykryli piasek przed ewakuacją? – spekuluje Julie.

Zeskakuję z Tahoe, wyciągam torebkę strunową i dobywam Sarrat.

– Lepiej się odsuńcie.

Cofają się.

Wykonuję szybkie cięcie szablą. Cienka warstwa szkła łamie się na kawałki. Czekam, by sprawdzić, czy wyrosną temu kolce lub ma dla nas inną uroczą niespodziankę. Kawałki leżą na ziemi, wyglądając na dość bierne. Używam większej szmatki, żebym wsunąć fragmenty do torebki na dowody.

Julie mruży oczy i marszczy nosek.

– Strasznie waniacie. Czołgaliście się na śmietniku?

Przemądrzała pannica.

– Długo by opowiadać – mówi Curran. – Widzisz coś jeszcze?

Julie kręci głową.

– Dużo ghouli i miedziany wybuch. To wszystko.

– Czyli nic tu po nas – stwierdza Curran.

Eduardo zaginał ponad dwie doby temu. Każda minuta zwłoki zmniejsza szanse na odnalezienie go, a my utknęliśmy w martwym punkcie.

KONIEC Rozdziału 08

Rozdział 09 – Mieszkanie Eduardo

Odsyłamy Julie i Dereka do naszego domu, instruując ich, by zajechali do Oswaldów i zabrali auto George. Julie prowadząca samochód to dla mnie jakiś koszmar, ale sama prowadziłam w jej wieku, więc nie za bardzo mogę jej tego zabronić. Pomimo zimnego wiatru jedziemy z opuszczonymi szybami, inaczej się nie daje ze względu na okropny smród, który wydzielamy. Zastanawiam się nad wizytą w Cutting Edge i szybkim prysznicem, ale prościej będzie od razu zabrać się za przeszukanie mieszkania Eduardo i mieć to z głowy.

Eduardo mieszka w ładnym domu w Sandy Springs, w solidnym, ceglanym piętrowym budynku zbudowanym po Zmianie na niewielkiej działce. Ściany parteru wyglądają na wzmocnione. Ich okna są wąskie i zakratowane. Okna na piętrze są większe, ale też mają kraty. Nie ma ogrodzenia. Przemieniony w loup

zmiennokształtny lub wampir na wolności pokonałby każde ogrodzenie w mgnieniu oka, drut kolczasty też ich nie zatrzymuje. W postzmiennej Atlancie ogrodzenia nie trzymają potworów na dystans, lecz robią z ludzi wygodnie popakowane przekąski.

Curran otwiera stalowe drzwi zabezpieczające, a następnie solidne drzwi wewnętrzne kluczami, które dała mu George. Parkiet. Czysty i przestronny dom, pomimo wąskich okien. Schłodnie tu.

Curran wdycha głęboko powietrze.

– Wyczuwam tutaj jedynie Eduardo i George. Obejdę okolicę.

Wchodzę do kuchni. Czyste i wypolerowane granitowe blaty. Wesole kuchenne ściereczki z naszytymi jaskrawoczerwonymi jabłuszkami. Duży, porządny stół, bez ozdóbek, tylko dwa krzesła. Wynajęcie musi kosztować fortunę. Żadnych śladów walki. Brak krwi. Idę dalej. Pokój dzienny. Niemal pusty regał na książki stoi pod lewą ścianą. Dwie wygodne, ogromne kanapy, przykryte dzierganymi pledami stanowią wygodne miejsce odpoczynku. Na ławie leży stos książek. Ta na górze jest na wpół otwarta, bo ktoś wsunął w nią ołówek jako zakładkę. Filizanka z resztą herbaty na dnie stoi obok książek. To nie jest bezosobowe mieszkanie. To dom Eduardo, miejsce gdzie miał nadzieję mieszkać z George. Czuję się dziwnie wchodząc tutaj, jakbym naruszała ich prywatność bez pozwolenia. Mogę wyobrazić ich sobie siedzących na kanapie, każde ze swoją filizanką herbaty, czytających razem pod dzierganymi nakryciami.

Nie ma zdjęć na ścianach. George miała rację. Eduardo raczej nie utrzymuje kontaktów z rodziną. W mieszkaniu prawie nie ma mebli. Pewnie jeszcze nie zdążyli ich kupić albo nie stać ich na nie.

Po drugiej stronie znajduje się dosyć wąskie, prostokątne pomieszczenie. W założeniu była to jadalnia, ale teraz jest gabinetem. Jest tu maleńkie, kwadratowe okno, przez które nie prześlizgnie się nic większego od człowieka. Pod jedną ścianą stoi biurko, a na nim telefon i książka telefoniczna. Na ścianach zawieszono broń, przeważnie białą. Większość zmiennokształtnych posługuje się pazurami. Mały ich procent, wytrenowany do walki, zbroi się w noże. Eduardo nie wyrastają pazury. Jego arsenał składa się z różnorodnej broni krótkiej. Dwie potężne sztuki szczególnie się wyróżniają: wielki stalowy młot do rozłupywania, z drewnianym uchwytem oraz równie ciężki topór. Gdybym ja chciała walczyć którymś z nich, musiałabym ująć broń oburącz, a wzięcie zamachu trwałoby wieki. Eduardo pewnie macha nimi równie swobodnie jak ja swoją szablą.

Zatrzymuję się przy parze stalowych iberyjskich falcat. Pół metra długości, z czego trzydzieści pięć centymetrów to jednostronne ostrze, wypukłe na czubku, ale wklęsłe przy rękojeści. Broń, która zaskoczyła Rzymian w drugiej wojnie punickiej. Posiadam parę falcat z tej samej kuźni – noszą taki sam mały znaczek na uchwycie. Wykute zostały z wysokowęglowej stali 5160, zahartowanej przez przerywane chłodzenie w kąpeli solankowej, by zminimalizować

ryzyko wystąpienia skaz, odkształceń oraz pęknięć. Istnieje ogromna różnica pomiędzy bronią, a przedmiotem broniopodobnym. Widziałam przepiękne sztuki wykonane ze stali nierdzewnej, które wyglądały wspaniale dopóki nie pękły pod naciskiem podczas pierwszej próby użycia. Prawdziwa broń bojowa otrzymywana jest z odpornej na siły nacisku stali sprężynowej, jak właśnie 5160. Przed Zmianą używano jej do produkcji sprężyn w zawieszaniach ciężarówek. Zawiera chrom oraz krzem i jest kosztowna, ale prawie nie do zdarcia.

Podchodzę do biurka. Na tablicy korkowej przypięte są kawałki papieru. Większość wygląda jak notatki najemnika, numery klientów z drobnymi dopiskami.

„Maple Drive, numer 1728, uskrzydłony wąż na drzewie. Calwood 345, wściekły pies. Zadzwoń do Gildii w sprawie Waltersa, pięć dni opóźnienia w zapłacie.” Ściągam tablicę ze ściany. Przekopię się przez nią wieczorem. W odróżnieniu od detektywów, którzy rozwiązują zagadki kryminalne w przebłysku inteligencji, ja muszę ślęczyć nad śledztwami, ale wiem, że to się opłaca.

Stosik otwartej korespondencji leży na rogu biurka, przyłożony sporym, gładkim kamieniem. Odkładam go i przeglądam pocztę. Rachunki. Wszystkie świeże, żadnych zaległości. Wyciąg bankowy. Eduardo ma sześć tysięcy na lokacie oraz dwa tysiące na rachunku podręcznym. Do wyciągu przypięta jest kartka, na której wyszczególniono wydatki, opłaty za media, ubezpieczenie i tym

podobne, wszystko to napisane zamaszystym pismem. Niektóre kwoty pomnożono przez dwa. Eduardo kalkulował budżet dla nich dwojga. Pod spodem, wielkimi literami dopisał: „POTRZEBUJĘ WIĘCEJ PIENIĘDZY” i podkreślił zdanie dwukrotnie.

Sprawdzam szufladę biurka. Kartki, długopisy, karteczki samoprzylepne, kupka formularzy zleceń... Przeglądam je. Najmłodsze są sprzed tygodnia. Pewnie uzupełnia je raz na tydzień. W niektóre dni miał trzy zlecenia, a w inne nawet siedem, co kilka godzin. Zaharowuje się na śmierć. Przyjmuje zlecenie, wykonuje je, wraca do Gildii żeby się przespać aż zjawi się następne i tak dzień za dniem. George na pewno o tym nie wie, bo kazałaby mu przestać. Odkładam odcinki zleceń. Drewniane pudełeczko... Podnoszę je i otwieram. Na aksamitnym podbiciu spoczywa pierścionek. Wielki, okrągły szafir okolony trójkątnymi płatkami, wygląda jak kwiat lotosu najeżony diamencikami. Baza pierścionka jest czarna. To czternastokaratowe złoto pokryte czarnym rodem. Materiał ten był drogi jeszcze przed Zmianą. Teraz, gdy technika ledwie zipie, jego ceny są ekstremalnie wysokie. Zmiennokształtni nie lubią dotyku metali szlachetnych. Srebro jest trujące, a złoto niewiele lepsze. Rod stanowi warstwę izolacyjną dla złota. Raphael podarował Andrei na urodziny czarny pierścionek z rodu i zapoczątkował tym szła na tego typu błyskotki. Gromada gadała o tym całym dniami.

W tym pudełeczku leży ponad siedem tysięcy dolarów. George jest zbyt praktyczna, żeby nawet spodziewać się pierścionka powleczonego czarnym rodem. Gdyby ją zapytać, odparłaby, że

wystarczy stal nierdzewna. Ale Eduardo i tak by go kupił. Chce żeby miała to, co najlepsze. A ona pewnie zakatrupiłaby go, gdyby dowiedziała się, ile na niego pracował.

Szafir łapie światło dobiegające z okna, tańczy w nim ognista iskierka, jak skryształizowana kropla oceanicznej wody, która zachowała jego barwę i głębię. W wyścielanym aksamitem pudełeczku spoczywa przyszłość dwojga ludzi. Wracają do mnie słowa wypowiedziane przez George: „Może leży martwy w jakimś rowie”. Zaczyna mnie gryźć niepokój. Odkładam go daleko w głąb siebie i zamykam. Eduardo nie potrzebuje roztkliwiania się, ale pomocy. Sięgam do kosza na śmieci. Czasem rzeczy, które ludzie wyrzucają, pokazują więcej niż te, które zachowują. Z papierów w koszu wystaje czubek jakiejś rękojeści. Głowica jest jasna i wygląda delikatnie, w sposób charakterystyczny dla kości. Hmm. Dziwne.

Wyciągam broń ze śmietnika. Delikatnie zakrzywiony sztylet w osłonie o długości mniej więcej sześćdziesięciu pięciu centymetrów łącznie. Osłonę stanowi drewno owinięte czarną skórą. Czubek osłony ozdobiony jest srebrzystym liściem, przechodzącym w skomplikowany, zdobny wzór z plecionego srebrzystego drutu, połączanego filigranu oraz niello. Liczę splecione pasma: jedno, dwa, wszystkich razem pięć.

Rękojeść została starannie wyrzeźbiona z kości, pozostawiono ją na tyle chropowatą, by nie wyslizgnęła się z ręki po zbroczeniu krwią. Uchwyt zdobi jasny turkus wielkości paznokcia kciuka, a głowicę

wiekszy, jaskrawoczerwony karneol, wyglądający jak kropla matowej krwi. O rany.

Ujmuję rękojeść. Kość jest ciepła, miękka i lekko szorstka. Jak uścisk dłoni.

Klinga wysuwa się z osłony z delikatnym szelestem. Trzydziestopięciocentymetrowe, obustronne ostrze migocze jakby płomień słońca złapano i wtopiono w stal. Srebrzysty napis, subtelny i elegancki, biegnie wzdłuż żłobionego ostrza. Nie znam arabskiego, ale nauczyłam się rozpoznawać niektóre wersy. Są często wykorzystywane przez muzułmanów do obrony przed złymi siłami.

„Hasbiya Allahu la ilaha illa huwa řlayhi tawakkaltu wahuwa rabbu al-řrshi alřzhim”.

„Allah wypełnia mnie; nie ma boga poza nim; W nim całą ufność swą pokładam; On jest panem na tronie potężnym”.

Kindżał, ale nie rosyjski, profil jest zbyt zakrzywiony. To broń w stylu arabskim. Balansuję go na palcu. Idealnie. Ostrze wpuszczone aż po sam koniec rękojeści, ostre ale nie kruche; waga rozłożona tak, że sztylet zatapia się w ciele praktycznie sam. To nie jest broń, a dzieło sztuki. Taki sztylet to wysoce ceniony skarb, który przekazuje się dzieciom.

Podobnie jak wiszące na ścianie falcaty, ale to kindżał wrzucono do kosza. Dlaczego? Jeśli nie pasował Eduardo, dlaczego go nie sprzedał? Przecież potrzebuje pieniędzy.

Włoski na karku stają mi dęba. Ramiona tężeją. Ktoś mnie obserwuje.

Powoli patrzę do góry. Słońce za oknem zaczyna zachodzić. Jakieś czterdzieści pięć metrów stąd, w cieniu drzewa i na wpół schowany za gałęzią, stoi jakiś człowiek. Sylwetka ledwo odróżnia się na tle ciemniejszej kory.

Trzy sekundy żeby dobiec do drzwi, pięć by dotrzeć na miejsce. Za długo. Jeśli obserwujący nie jest do końca człowiekiem, zniknie zanim dopadnę drzwi.

Pochylam się, skupiając na obserwatorze. Spinam się.

Cień wciąż czai się przy drzewie. Zdecydowanie człowiek.

No wychodź, wychodź, nieznajomy.

Ludzki kształt porusza się.

O tak. Chodź bliżej. Wyjdź się pobawić.

Sięgam po szablę...

Spod drzewa wylania się Curran.

Jeżu kolczasty.

Łapię z półki płócienny worek, wsuwam do niego sztylet, tablicę korkową oraz papiery i wychodzę różnym krokiem na dwór. Curran wciąż stoi blisko drzewa.

– Przestań mnie straszyć.

– Eduardo był obserwowany. – Kiwa głową w kierunku pnia.

Na wysokości metra znajduje się ledwie widoczne zadrapanie. Chwytam grubą, dolną gałąź, opieram stopę w miejscu rysy i wciągam na drzewo, gdzie pień rozczepia się na dwie gałęzie. Po przykucnięciu wciąż widzę okno i biurko za nim. Przy włączonym świetle widać wnętrze gabinetu.

– To nawarstwiony zapach – dodaje Curran. – Ludzki. Męski. Przychodził tu kilka razy. Ostatnio dwa dni temu.

– Podglądacz?

Zeskakuję.

– Na to wygląda.

– Coś tu robił?

Curran kręci głową.

– Nie. Nie masturbował się nie pił i nie pocił. Od czasu do czasu wchodził na drzewo. – Curran przyklęka przy suchych liściach i ściółce w korzeniach. – Większość ludzi porusza się, gdy na coś czekają. Przeszepują z nogi na nogę. – Pokazuje ręką ściółkę.

– Nie wygląda na zruszoną – zauważam.

Kiwa głową.

– Zapach jest stary ale intensywny. Przychodził tu często i stał w bezruchu. Ten facet wie, jak pozostać niezauważonym. Nie był niezdecydowany, nie bał się, że go przyłapią. Stał i parzył. Potem oddalał się na koniec ulicy. Tam trop się urywa. Pewnie wsiadał do samochodu.

Zdyscyplinowany i cierpliwy. Dobrze dla niego, gorzej dla nas.

– Czy Eduardo domyśliłby się, że jest obserwowany?

– Trudno powiedzieć. – Marszczy brwi Curran. – Gdyby był kotem lub wilkiem, patrolowałyby swój teren, więc natychmiast zauważyłby ślady bytności podglądacza. Eduardo jest bizonem. Kij wie.

– Czy mógł nie wyczuć zapachu?

– O tej porze roku mamy południowo-wschodni wiatr. Nie wyczułem go, dopóki nie podszedłem do drzewa. Eduardo nie miał powodu, żeby tu podchodzić, czyli tak, mógł go nie wyłapać. Niemniej bizony mają świetny słuch i wyczulony węch, mógł więc wiedzieć.

– A gdyby wiedział, to nie zryłby ściółki czy coś w tym stylu, żeby oznaczyć teren jako swój?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia o zwyczajach bizonów, nie licząc szarżowania na intruzów.

– Możemy kogoś zapytać ?

Curran wpatruje się we mnie bezradnie.

– W Gromadzie jest tylko jeden bizonolak i właśnie zaginął.

Wrr. Każda znaleziona poszlaka wiedzie nas w ślepy zaułek.

– Jesteś bezużyteczny.

– Dlaczego nagle ja tu jestem ekspertem?

– Z nas dwojga, ty masz większe doświadczenie w prześladowaniu ludzi.

Odchyła się.

– Doprawdy?

– Owszem. Gdy wprosiłeś się do mojego mieszkania zanim zaczęliśmy się spotykać, czy wierciłeś się gdy mnie podglądałeś ?

– No weź już przestań – warczy.

– Nie.

– Nie wierciłem się. Sprawdzałem co u ciebie, żeby upewnić się, że jeszcze dychasz. Chciałem wiedzieć, czy nie wykrwawiasz się przypadkiem powoli na śmierć, bo nie masz za grosz rozsądku, a nierzadko nie było cię stać na medmaga. Wcale nie stałem jak kołek, żeby cię podpatrywać. Wszedłem, sprawdziłem co z tobą i wyszedłem. Nie było w tym nic niepokojącego.

– Troszkę było.

– Ale zdało egzamin, prawda?

– Niby jak?

– Wciąż żyjesz.

– Jasne. Przypisz sobie wszystkie zasługi.

Przyglądamy się jeszcze ściółce. Oboje jesteśmy rozzłoszczeni. Poszukiwania ciągną się za długo.

– Żadnych ghouli? – pytam.

– Żadnych. Obszedłem całą działkę. Dowiedziałaś się czegoś?

– Przygotował budżet dla siebie i George. Potrzebował więcej pieniędzy.

Curran wpatruje się w drzewo, wyraźnie sfrustrowany.

– No i jeszcze to. – Pokazuję mu broń.

– Ładny.

– Znalazłam go w koszu na śmieci w jego gabinecie. Wykonano go z przeznaczeniem dla mężczyzny.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ dużo kosztował. Gdyby ktoś chciał wydać tyle kasy na podarunek dla kobiety, miałyby połączone elementy. W islamie

noszenie złota i jedwabiu przez mężczyzn jest „haram”, zakazane. Muzułmanin powinien być zdecydowany, niezachwiany, stanowczy, oddany wierze i ochronie rodziny. Złoto i jedwab to oznaki luksusu, które są dozwolone dla kobiet, ale niepochwalane u mężczyzn. – Głaszczę srebrzysty wzór na osłonie kindżału. – Ten sztylet wykonano dla faceta. Ma na sobie prośbę o ochronę i jest przyozdobiony „feruzem”, turkusem, który pomaga uzyskać boską pomoc oraz zwycięstwo w walce oraz „aqiq”, karneolem, który ochrania przed złem i nieszczęściem.

Uświadamiam sobie, że Curran dziwnie się na mnie patrzy.

– No co?

– Jak ty to pamiętasz?

– Taki mam zawód.

Broń sieczna to moje narzędzie pracy. Jeśli coś tnie ludzkie ciało i to dobrze, na pewno posiadam o tym informacje.

Curran wyjmuje kindżał z moich rąk i wacha go.

– Został namoczony w czymś, co zabija zapach, a następnie natarty olejkami goździkowymi. Pachnie jak jeden z twoich okazów.

– To nie jest coś, co Eduardo sam by wybrał. Woli szersze klingi lub ciężką broń. Kindżał jest precyzyjnym narzędziem do samoobrony. Ghoule pochodzą z krajów arabskich. Wilcze gryfy podobnie. Czy Eduardo jest może muzułmaninem?

– Nie. Widzielibyśmy na statku jak się modli. Poza ty rozmawiałem z nim o tym kiedyś i powiedział, że nie jest religijny. Może sprzął podglądacza i odebrał mu sztylet? Ale dlaczego nie sprzedał go, tylko wyrzucił?

– Nie mam pojęcia. Mogę go jutro wziąć do kowala.

– Jeśli to prezent, zastanawia mnie po co obdarowywać zmiennokształtnego bronią z posrebrzonym ostrzem? Albo był wykonany dla kogoś innego, albo obdarowujący nie miał pojęcia o naturze Eduardo.

– Albo myślał, że Eduardo będzie musiał zaatakować coś co nie lubi srebra – wzdycham.

Prowadzę auto przez miasto, manewrując pomiędzy dziwnymi przeszkodami, stawianymi nam przez Atlantę na drodze. Curran siedzi rozwalony, z nieobecny spojrzeniem.

– Nad czym się zastanawiasz? – pytam.

- Myślę o ich mieszkaniu. Jeśli dorwę porywacza, ukręcę mu łeb.

- A ja o tym podglądaczu. Wynajęli dom półtora miesiąca temu, jakiś tydzień po rozmowie z Mahonem. Powiedziałeś, że podglądacz nie pachnie jak zmiennokształtny. Eduardo pracował na wyścigi, żeby zebrać tyle kasy ile się da. Cały czas poświęcał na wykonywanie zleceń i drzemki w Gildii. Poza George i pracą nie miał kontaktu ze światem zewnętrznym.

- Czyli podglądacz musi być powiązany z Gildią. Współpracownik albo osoba spotkana podczas realizacji zlecenia.

- Tak. Musimy dotrzeć do pełnego zapisu zleceń. Może w ten sposób dojdziemy do nazwiska podglądacza.

- Jak możemy zdobyć te dane?

- Nie da rady – odchyłam się w fotelu. – Bieżący dziennik to zapis kilku dni wstecz. Jak znam Asystenta, pozamykał i zarchiwizował księgi przed odejściem. Żeby dostać się do pełnego rejestru musielibyśmy poprosić Marka o odplombowanie starszych dzienników, a on tego nie zrobi.

- Dlaczego?

– Ponieważ technicznie rzecz biorąc to byłoby nielegalne bez nakazu sądowego, bo Gildia mogłaby zostać pozwana jeśli porywacz Eduardo jest z nią powiązany oraz dlatego, że jest dupkiem pierwszego sortu, który lubi nadużywać swej władzy. Jeśli nic na tym nie zyska, nie ruszy nawet małym palcem. Gdybyśmy mieli do czynienia z Asystentem, namówiłabym go żeby pozwolił nam zajrzeć do dzienników, ponieważ odpowiada za pracowników Gildii, a bezpieczeństwo jej członka jest zagrożone. No ale on odszedł. Mark nie wyświadczy nam żadnej przysługi, podobnie Bob i jego banda.

Pokrótkie rozważam włamanie się do siedziby Gildii i kradzież dzienników, ale nie jestem pewna dokąd Meadows je przeniósł, skoro nie było ich w sejfie przy starym biurku Asystenta. Poza tym w Gildii nigdy nie jest pusto. O ile nie zrobię się niewidzialna, wykonanie takiego skoku na oczach kilkunastu najemników będzie niezmiernie trudne.

– To sprowadzę Asystenta – oświadcza Curran.

– Musiałbyś ich zmusić do ponownego zatrudnienia Asystenta, a oni na to nie przystaną. Przede wszystkim mieli za mało kasy na wypłaty, a zresztą nie jestem pewna, czy komisja Gildii zachce go z powrotem. Wszyscy się nastawili na oskubanie funduszu emerytalnego i zrezygnowali z ratowania firmy.

Oczy Currana znowu stają się nieobecne.

– Zajmę się tym.

Wjeżdżamy na naszą ulicę już po zachodzie słońca. Widzę już rozświetlone na niebiesko okna naszego domu. Srebro w kratkach ochronnych połyskuje z lekka, reagując z magią i światłem księżycy jakby były skąpane w fluorescencyjnej farbie; podobnie świecą drzwi ochronne.

Pierwszy miesiąc po przeprowadzce spędziłam na ustawianiu pól ochronnych dookoła całej działki, więc gdy skręcam na podjazd, czuję delikatny, uspokajający nacisk przejścia przez zakłęcie ochronne; jakby dom pogłaskał mnie po głowie.

Ssie mnie z głodu. Dokucza mi ramię i boli bok. Jestem wykończona, brudna i cuchnę jak trzydniowe ścierwo. Ichor pająka zastygł na cement w moich włosach. Zabiłabym za prysznic.

Po drugiej stronie ulicy Heather Savell kończy rozmawiać z panią Walton i rusza w naszą stronę. Curran zaciska zęby. Heather bez wątpienia przygotowuje sobie właśnie w głowie przemowę w imieniu nieistniejącego zrzeczenia właścicieli nieruchomości. Już wcześniej bardzo uprzejmie uzmysłowiła nam, że większość ludzi chowa pojemniki na śmieci w garażu zamiast stawiać je z boku domu oraz że mamy półmetrowy łysy placek na trawniku, gdzie robotnicy rozkopali ziemię, by dostać się do pękniętej rury.

Nie znoszę ludzi, którzy mówią mi, co mam robić, a Curran wręcz ich nienawidzi. Do dwunastego roku życia mieszkał w chatce w lesie. Po śmierci rodziców mieszkał sam w dziczy przez niemal rok, aż znalazł go Mahon. Dwa lata później został Władcą Zwierząt. Gdy przemawiał, wszyscy w Twierdzy milkli. Gdy gdzieś wchodził, oczy zebranych skupiały się na nim. Gdy czegoś chciał, przynoszono mu to z przeprosinami, że zajęło to dłużej niż trzydzieści sekund. Życie wśród zwykłych ludzi nie figuruje w jego socjologicznym układzie odniesienia, a dzisiejszy dzień nie wprowadził go w pełen wyrozumiałości nastrój. Rozpylenie przez Heather pieprzu kajeńskiego też nie zaskarbiło sobie jego przychylności. Nie odgryzie jej głowy, ale sądzę, że mógłby potrzymać ją trochę w paszczy.

– Moja kolej – oświadczam. – Ty z nią ostatnio rozmawiałeś.

– W razie czego wezwij mnie na pomoc.

Wysiada i wchodzi do domu.

Też wysiadam i czekam przy aucie. Dam radę. Muszę tylko być serdeczna i nie przywalić jej. Bułka z masłem.

– Cześć – Heather rozciąga sylaby. Podchodzi ostrożnie jakby się bała, że mogę ją pokąsać.

– Cześć!

Tu Kate Daniels, dobra sąsiadka, chcesz ciasteczek?

– Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale... Co to za zapach?

Trzewia pająka.

– Czym mogę ci służyć?

– Nooo... Sąsiedzi poprosili mnie, bym poruszyła pewną kwestię.

No pewnie. A ona dzielnie znosi to brzemię.

– Dawaj.

– Chodzi o skrzynkę pocztową.

Kątem oka widzę naszą wspólną skrzynkę. Jest nienaruszona.

– Widzi pani, nasz listonosz spotkał pani męża podczas jednego z tych jego spacerów.

– To mój narzeczony – prostuję. – Żyjemy w grzechu.

Heather mruga, chwilowo zbита z tropu, ale odzyskuje rezon.

– To miło.

– Bardzo miło. Gorąco polecam.

– Jak mówiłam, listonosz zobaczył pani narzeczonego, gdy ów był w swej postaci zwierzęcej. I jak by to ująć... Zaniepokoił się.

To ogólnie rzecz biorąc zwykła reakcja przy pierwszym spotkaniu z Curranem.

– Nie jesteśmy pewni, czy będziemy jeszcze otrzymywać pocztę na miejsce.

– Otrzymaliście oficjalne zawiadomienie z urzędu pocztowego?

– Skądże, ale... – Heather uśmiecha się. – Pomyśleliśmy, że pani narzeczoney mógłby zaprzestać.

– Zaprzestać czego?

Nagle mam ochotę ją udusić. Mam już dość ludzi zachowujących się jakby Curran był nieludzkim seryjnym mordercą, który uśmierca dzieci we śnie.

– Spacerowania w swojej zwierzęcej postaci.

Żadnego duszenia. To nie byłoby dobrosąsiedzkie zachowanie.

– Było by też dobrze, gdyby ograniczył zasięg swoich spacerów.

To był bardzo długi dzień. Newy mam napięte do granic wytrzymałości, a ona jeszcze je szarpie.

Biorę głęboki wdech. Miesiące spędzone na babraniu się w polityce zmiennokształtnych opłaciły się.

– Według ustawy Guzmana zmiennokształtny na terenie Stanów Zjednoczonych może żyć i przemieszczać się w dowolnej postaci. Dyskryminowanie zmiennokształtnych ze względu na ich postać jest przestępstwem federalnym. Ponadto sprzeczne z prawem jest ustanawianie jakichkolwiek regulacji ograniczających ich wolność w przybieraniu formy. Mam szczerą nadzieję, że nasi sąsiedzi nie podpisali podobnej petycji.

Jeśli to zrobili, zmuszę ich żeby ją zezarli. Powolutku.

– Ależ nie, oczywiście że nie.

– Jestem pewna, że nie sugeruje pani iż mój narzeczony powinien mieć ograniczoną możliwość wyboru swojej postaci podczas chodzenia po ulicy we własnej dzielnicy, prawda?

– Skąd, oczywiście że nie – wycofuje się Heather. – Chodzi o to, że psy się strasznie denerwują...

– Poza tym on wcale nie spaceruje, a patroluje. Mieszkamy obok terenów zalesionych. Na pewno pani słyszała wyjące kojoty. Sądząc po plakatach o zaginionych zwierzątkach, porozlepianych na słupach latarni oraz ogrodzeniach, w okolicy zniknęło sporo psów i kotów, ale nie po piętnastym stycznia. Wie pani dlaczego?

Nie odpowiada.

– Ponieważ wtedy się wprowadziliśmy. Mój narzeczony to szczytowy drapieżnik. Zajął to terytorium i wszystkie słabsze drapieżniki wiedzą, że niemądrze jest z nim zadzierać.

Magia znika jak odsunięta zasłona. Latarnie magiczne gasną i włącza się żarówka na ganku, oświetlając mnie w całej, paskudnej, okrwawionej chwale. Heather zachłystuje się.

– Coś jeszcze? – pytam.

– Nie. – Kobieta blednie.

– Dziękuję za wizytę. Jeśli otrzymają państwo jakieś informacje z urzędu pocztowego na temat zakłóceń w dostarczaniu poczty, proszę mnie zawiadomić, a ja się tym zajmę.

Heather kiwa głową i wraca do domu niemal biegiem.

Wchodzę do siebie, zamykam drzwi ochronne oraz wewnętrzne i wypuszczam powietrze. Dociera do mnie przepyszny zapach gulaszu. Cieknie mi ślinka. Umieram z głodu.

Pakuję się do kuchni i widzę, że Curran już się wykąpał i wyciąga z kuchenki gulasz przygotowany przez Julie.

Grendel leży na dywaniku i ogryza dużą kość. Macha ogonem na mój widok i wraca do oddzierania paseczków mięsa. Julie nakryła już do stołu.

– Spotkałeś może wczoraj naszego listonosza?

Twarz Currana przyjmuje ostrożnie neutralny wyraz.

– Spotkałem.

– Zrobiłeś coś, żeby go przestraszyć?

– Zachowywałem się w stu procentach przyjaźnie.

– Mhm.

Wciskaj mi swój kit, nic nie zauważyłam.

– Wkładał pocztę do skrzynki. Mijałem go i powiedziałem: „Witam, jaki ładny wieczór”. A potem się uśmiechnąłem. Wskoczył do swojej ciężarówki i zatrzasnął drzwi.

– Niegrzecznie! – oświadcza Julie.

– Wymusknęło mi się – broni się Curran. – Jesteśmy nowi w okolicy, trzeba być grzecznym.

Były Władca Zwierząt, uprzejmy i wielkoduszny sąsiad.

– Czyli zakradłeś się, przestraszyłeś odzywając się, a kiedy się odwrócił i zobaczył prawie trzystukilowego, gadającego lwa, pokazałeś mu swoje zęby?

– To nie było tak.

– A właśnie że było, Wasza Futrzastość – śmieję się i ściągam buty.

KONIEC Rozdziału 09

Rozdział 10 – Dom

– Dzwoniła George – oznajmia Julie zanim jeszcze pozbywam się drugiego buta. – Dwa razy.

– Mówiła czy się czegoś dowiedziała? – pytam.

– Nie, pytała tylko co się dzieje. Poza tym zadzwoniła też kobieta o imieniu Sienna. Zapisałam jej numer na tablicy.

Podchodzę do telefonu, sprawdzam numer zapisany na tabliczce tuż nad nim i wybieram go.

– Halo? – odzywa się młody, kobiecy głos po drugiej stronie.

– Sienna, tu Kate.

– Dobrze, że dzwonisz.

– Czy to znaczy, że Wyrocznia postanowiła nie przekląć mnie po wieki?

Wiedźmy niezbyt dobrze przyjęły wiadomość o tym, że zajęłam Atlantę.

– Nie wypowiadam się teraz w imieniu Wyroczni – odpowiada Sienna. – Ale jako kobieta, której życie uratowałam. Patrę, z oczywistych powodów, w twoją przyszłość.

Czarownice martwią się, że wystąpię przeciwko sabbatowi. Ja i cała moja ogromna moc, do której nie umiem się dobrać ani użyć.

– W przeszłości widziałam możliwe ścieżki dla twojej przyszłości. Było ich wiele i różniły się. Ostatnio nieustannie miewam jedną wizję. Widzę mężczyznę stojącego na wzgórzu. Dzień jest słoneczny. Niebo jasne i błękitne, a trawa pod jego stopami szmaragdowozielona. Jego twarz jest niewyraźna, a za każdym razem, gdy się na niej skupiam, spotykam wyraźny opór. On coś trzyma, nie widzę co to, ale wiem, że jest niezmiernie ważne, a potem on odwraca się i odchodzi. Uważam, że ów mężczyzna to twój ojciec. Nie przychodzi mi na myśl nikt inny związany z tobą i posiadający moc wystarczającą, by zasłonić moją wizję.

Tu się zgadzamy.

– Masz może przecucie, co to może być. Jakiej jest wielkości?

– To jest... Rozmazane. Ale mam wrażenie, że to jest jakiś rodzaj broni. To mnie przeraża. [Wnuczek czy wnuczka :D]

No pięknie.

– Dziękuję. Powiadomisz mnie, jeśli zobaczysz coś więcej?

– Zastanowię się nad tym.

– Jeszcze raz dzięki.

Rozłączam się. Curran zerka na mnie. Cokolwiek mój ojczulek szykuje, będzie to dla nas złe. Druzgocąco złe. To ostatnia rzecz jakiej teraz potrzebuję.

Otwierają się drzwi łazienki i wychodzi z nich chudy człowieczek. Ma śnieżnobiałe włosy i błękitne oczy, czyste teraz jak letnie niebo, nie przesłonięte ani jedną chmurką myśli. O nie.

Christopher dostrzega mnie. Oczy mu rozbłyskują. Uśmiecha się jakby otrzymał drogocenny prezent i wydusza jedno szczęśliwe, ciche słówko:

– Pani!

Zostawiliśmy Christophera w Twierdzy. To najbezpieczniejsze miejsce dla niego. Wie jak przygotowywać panaceum, więc Gromada będzie go strzec i doglądać jego potrzeb. Nie można zostawiać go bez opieki.

Odwracam się do Julie, ale ta wzrusza ramionami.

– Siedział na naszych schodach, gdy Derek mnie podrzucił.

– Pani – powtarza radosny Christopher.

O pierzaste purchawki.

– Cześć – odzywam się najłagodniej jak potrafię. – Jak się tu dostałeś?

– Przyszedłem.

Przyszedł. Twierdza leży dwie godziny jazdy samochodem stąd. Jak on nas w ogóle znalazł?

Christopher wciąż się uśmiecha, a jego przejrzyście błękitne oczka są błogo puste.

– Może zostaniesz na kolację?

Pozbycie się pajęczej mazi z włosów zajmuje mi cały kwadrans i wymaga dwóch garści szamponu. Za to mam czas pomyśleć.

[NIEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEE!!!!!!]

Muszę jutro zabrać zeszlony piasek do eksperta. Niestety każde laboratorium, które mogłoby zanalizować magiczny piasek, będzie miało długą listę oczekujących, a zanieśenie go glinom nic nie da. Eduardo jest dorosłym zmiennokształtnym, mającym problemy ze swoim alfą. Z perspektywy osoby z zewnątrz wygląda na to, że odciął się od problemów. Będą go szukać, ale nie w pierwszej kolejności. Nie mam wyboru, muszę odwiedzić Saimana. Natomiast kindżał oferuje nowe możliwości pozyskania informacji. Ozdoba osłony jest

wymyślna, ale niespecjalnie unikatowa, za to sam sztylet bezbłędnie wskazuje wykonawcę. Inskrypcja na ostrzu została naniesiona metodą koftgari. Kowal musi wygrawerować napis, wklepać w rowki srebrny drut i rozgrzać całość, by się przyjął. Koftgari nie wytrzymuje długiego użytkowania, a kindżał nie wygląda na odnowiony antyk, więc to musi być niedawny zakup. W mieście mamy tylko dwóch kowali, którzy mogli wykonać broń tej klasy, a tylko jeden z nich używa koftgari. Drugi woli intarsję, gdzie wycina się głębokie rowki w ostrzu i wypełnia drutem. Zapukam jutro do drzwi Nitisha. Kupowałam u niego broń. Będzie niechętny, ale porozmawia ze mną. Szkoda że nie mogę już dziś pogadać z Mitchellem, ale darowanemu koniowi zagłada się w zęby. Mitchell żyje, ponieważ Biohazard zataja jego istnienie przed opinią publiczną. Mogę go widywać tylko na ich warunkach. Wkurzanie Biohazardu nie leży w moim interesie, choć bardzo zależy mi na pozyskaniu informacji o ghoulach. Poza tym mamy niewiele poszlak. Kilka lat temu spróbowałabym zaklęcia lokalizacyjnego, ale obecnie uważa się je za niewiarygodne. Ich magia kuleje i skazuje użytkowników na bezowocne poszukiwania.

Osuszam się, delikatnie przykładając ręcznik do ranek i przyglądam się sobie w lustrze. Moje plecy przybrały fantastyczny, śliwkowy kolor. Poza tym bołą, gdy się wykręcam by popatrzeć na ich odbicie. Kolejny dzień, kolejne obrażenia.

Ubieram się i schodzę na kolację.

Godzinę później już jest po kolacji, a ja odkładam umyte przez Currana naczynia. Julie gotowała, więc nie musi pomagać przy sprzątanu. Siedzi teraz nad pracą domową przy stole, a Christopher przegląda jej książki.

Wycieram talerz ściereczką.

– Spotykam się jutro z Saimanem. Potrzebna nam analiza piasku. To będzie sporo kosztowało.

Oczy Currana zachmurzają się.

– Weź ze sobą Dereka.

– Nie. Spotkam się z nim bez niańki.

– Nie podoba mi się to.

Christopher wstaje cichutko i wychodzi z kuchni.

– Ufasz mi?

Linia szczęki Currana twardnieje.

– Tobie tak – odpowiada. – Ale nie temu degeneratowi w sprawie twojego bezpieczeństwa.

– Wiem, ale musimy to zrobić dla Eduardo. W innych laboratoriach zejdzie się za długo.

– I tak mi się to nie podoba.

– Jeśli Saiman będzie próbował wykręcić jakiś numer, rozerwę go na strzępy.

Patrzmy na siebie. Nie żartowałam. Jeśli Saiman posunie się za daleko, zmiażdżę go.

– No dobrze, ja w tym czasie zajrzę do Gildii. Nie podgląda się przypadkowych nieznajomych. Ścieżki Eduardo i tego faceta na pewno jakoś się skrzyżowały. Nie mogę zajrzeć do dzienników, ale znam jego zapach. Jeśli był w ciągu ostatniego tygodnia w jej siedzibie, dowiem się tego.

– Czy Eduardo zwierzyłby się z tego komuś w Gromadzie? – myślę na głos.

– Nie powiedział nawet George – przypomina Curran.

Fakt. Nie wspomniała o tym, a przecież takich rzeczy się nie pomija, gdy znika ukochana osoba.

Christopher jeszcze nie wrócił.

– Julie, dokąd poszedł Christopher?

Dziewczyna unosi głowę znad pracy domowej.

– Powiedział, że idzie do domu.

– Co?

Do domu. Po ciemku. Do Twierdzy.

Rzucam ręcznik na wysepkę i wybiegam na dwór, gdzie chwycił już przymrozek. Podwórko przed domem jest puste. Biegnę do końca podjazdu i rozglądam się w obie strony. Jest. Idzie podjazdem sąsiadów.

– Christopher?

Macha do mnie i rusza do ich drzwi. Biegnę za nim, próbując nie wygrzmocić się na oblodzonym chodniku. Trzeba było założyć buty.

– Hej. – Dotykam jego ramienia. – Dokąd idziesz?

– Do domu. Lubię dom. Tam jest ciepło i są książki.

– To nie jest...

Drzwi otwierają się i w prostokacie elektrycznego światła pokazuje się Barabas. Ma na sobie przyłóżne dresy i koszulkę. Widzi mnie i wytrzeszcza oczy.

– Yyy – odzywa się. – Ech. Dobry wieczór, Kate.

– Co ty tu robisz?

– Ech.

– Mieszkamy tutaj – tłumaczy mi Christopher i wchodzi do domu.

Wprowadzili się do domu obok nas. Christopher i Barabas mieszkają po sąsiedzku i nikt mi o tym nie powiedział.

Barabas odzyskuje w końcu zdolność mówienia.

– Istnieje pewien wspaniały wynalazek. Zrobiony jest ze skóry i wyłożony miękką tkaniną, a zakłada się go na stopy w celu ochrony przed ostrymi krawędziami. Nazywają to buty. Powinnaś je wypróbować.

– Wynająłeś dom obok nas?

Barabas marszczy nos.

– Niezupełnie. Wejdz do środka. Twoje palce wyglądają jakby miały zaraz odpaść, a Curran mnie wypatroszy jak sobie coś odmrozi.

Wchodzę. Parter na planie otwartym, jak u nas. Po lewej stronie salonu stoi spory stos kartonowych pudeł.

– Dopiero co się wprowadziliście? – pytam lukrowanym głosem.

Wprowadzili się i nic mi nie powiedzieli.

– Mniej więcej dwa tygodnie temu. To wszystko książki Christophera. Wciąż składamy półki w jednej z sypialni oraz tutaj przy ścianach. – Barabas macha ręką w lewo.

Ktoś puka do drzwi.

[Ktoś bez zmysłu węchu, zapewne :)]

– Proszę! – woła Barabas.

W drzwiach pojawia się czupryna Dereka.

– Hej, macie może taśmę?

Widzi mnie, cofa się i zamyka drzwi bez słowa.

No proszę.

– Tchórz! – mówi Barabas na tyle głośno, by wilkołak usłyszał.

– Gdzie? – pytam.

– Po drugiej stronie waszego domu.

– Tak przypadkiem oba domy były na sprzedaż...

Milknę. Curran nie zostawia niczego szczęściu. Analizuje wszystko i myśli naprzód. Odtwarzam w pamięci wygląd ulicy. Po naszej stronie, tyłem do lasu stoi pięć dużych domów, a ja nie przypominam sobie, żebym widziała ich właścicieli lub ich samochody. Wykupił je wszystkie. O rany. To dlatego ma mało kasy.

– Oddzieliłeś się od Gromady?

– Owszem.

Barabas zaprasza mnie gestem ręki na ekskluzywną, brązową sofę. Siadam i wkładam zmarznięte stopy pod siebie.

– Kto jeszcze?

– Jak dotąd Christopher, Derek i ja. Jezebel zastanawiała się nad tym, ale zrezygnowała.

Kiwam głową. Jezebel jest w związku z facetem, który ma pięcioletnią córeczkę. W Twierdzy będzie bezpieczniejsza.

– Rozumiem motywy Dereka...

Nie ma dla niego miejsca wśród ludzi Jima. Młody wilkołak zna się na ochronie i jest dobrym żołnierzem, ale poza tym nie ma żadnych innych umiejętności. Próbowałam raz porozmawiać z nim o pójściu na studia. Tylko się uśmiechnął i sobie poszedł.

Praca w wywiadzie Gromady nie jest dla niego. Pozycję szefa ochrony przejął Robert Lonesco. Musi mieć zaufany personel, a Derek nie współpracował z nim na tyle długo, by to zaufanie uzyskać. [CO?] Robert zatrudni swoich ludzi i gdyby Derek chciał się przyłączyć, musiałby zacząć od dołu hierarchii. Drugą opcją był powrót do Klanu Wilków, gdzie Desandra naciskałaby aby zajął pozycję bety, [ZA GŁUPI DO OCHRONY, DOBRY NA BETĘ NALICZNIJSZEGO KLANU? :(] ponieważ [UWAGA] posiada duże umiejętności, jest szanowany i lepiej mieć w nim wsparcie niż wroga. Derek nie lubi mieszać się do polityki, jasno to powiedział. Jego oddzielenie ma sens, ale Barabas dobrze się sprawdzał jako prawnik Gromady.

– ...za to twoich nie – ciągnę. – Uwielbiasz swoją pracę.

– Będę pracował dla ciebie i Currana.

Zarządzał działem prawnym Gromady i zrezygnował? Sama nie wiem, czy mam mieć poczucie winy, być sfrustrowana, czy może wdzięczna.

– Chyba nie będziesz miał za dużo pracy.

– Jeszcze się zdziwisz.

– Myślałam, że przygotowujesz się do współpracy z Jimem.

Barabas kręci głową.

– Zostałem dłużej, żeby ułatwić zmiany. Jim potrzebuje prawnika innego rodzaju. Trisha przejmie po mnie pałeczkę. Jest odpowiednia na to stanowisko.

– A Christopher?

Barabas wzdycha.

– Nie zostałyby sam w Twierdzy. Bez ciebie albo mnie. Kiedy zorientował się, że oboje się wyprowadziliśmy, błąkał się z płaczem po korytarzach, a potem wpadł w stan przypominający katatonię.

Zgrzytam zębami.

– Kazałam im dzwonić w razie problemów.

– Zadzwonili do mnie, więc pojechałam i go zabrałam.

– A Jim ot tak go wypuścił?

Przecież to Christopher dostarczył nam receptę na panaceum i sposób jej realizacji.

– Nie miał wyboru. Christopher postanowił zamieszkać ze mną. Dobrze się nim zajmę. Dla Jima Christopher zawsze stanowił potencjalne źródło zagrożenia, a jeśli przygotowujący panaceum napotkają jakiś problem, wiedzą gdzie go szukać.

Stan Christophera polepsza się. Przez ostatnie pół roku stosował się do rozkładu dnia, ubierał sam i pilnował higieny osobistej. Niemniej wciąż miewa chwile zupełnego zagubienia. Ochrona w Twierdzy zawsze miała na niego oko, a tutaj cała odpowiedzialność spocznie na barkach Barabasa.

– Teraz gotuje – ciągnie Barabas. – To było niespodziewane. Wszedł do kuchni i zaczął pichcić.

– Co przygotował?

– Ptysie uformowane na kształt łabędzi. Były niebywale pyszne.

– Barabas...

– Kate, lubię się nim zajmować. To żaden kłopot. – Unosi głowę. – Curran jest na zewnątrz.

– Usłyszałeś go?

– Nie, poczułem – krzywi się Barabas. – Trudno to opisać, taki rodzaj instynktownej wiedzy, jak wtedy gdy w absolutnej ciemności i ciszy przechodzi obok człowieka coś ogromnego. Nie słyszy się tego, nie widzi, nie wywęszy, ale i tak wiadomo, że coś tam jest. W Twierdzy było trochę lepiej, choć on zawsze tam był, więc zawsze to się czuło, ale za to w małej dawce, bo to tłoczne miejsce, zatem odczucie było rozproszone. Teraz to jest bardziej rażące. Nie ma go i nagle jest. – Barabas wydmuchuje powietrze. – Trzeba czasu żeby się do tego przyzwyczaić.

Ha! Czyli nie zdawało mi się.

Curran puka do drzwi.

– Otwarte – zaprasza go Barabas.

Curran wchodzi, a w ręku trzyma moje buty, Przepisy Gildii oraz umowę, którą zostawił mu Jim.

Podaje mi buty z uśmiechem. Natomiast Barabasowi wręcza dokumenty.

– Gildia ma problemy z płynnością finansową. Najemnicy chcą wyczyścić fundusz emerytalny, więc wymusili praktycznie zamknięcie firmy. Administracja odeszła ze względu na brak pensji, podobnie obsługa. Chcę ją przejąć.

– Zobaczę, co da się zrobić. – Barabas bierze dokumenty. – Chcesz przejąć biznes siłą czy podstępem?

– Chcę znać opcje. Z przodu napisałem podsumowanie. Przyjrzyj się ostatniej klauzuli w Prawach Członków i sprawdź, czy da radę jakoś mnie tam wkręcić.

– Na jutro będę już coś miał.

– Nie zapomnij przysłać mi astronomicznego rachunku – dodaje Curran.

Barabas błyska zębami.

– Będzie dużo nadgodzin.

Wracamy do domu.

– Nie powiedziałaś mi.

– Bo to nie do mnie należało.

– Dlaczego oni mi nie powiedzieli też nie rozumiem.

– To członkowie naszego wewnętrznego kręgu. Dobrze wiedzieli, jak masz dosyć Gromady i Twierdzy. Nie chcieli cię od razu osaczać swoją obecnością.

– Myśleli, że strzelę focha?

– Maleńka, to nie w twoim typie. Twój styl to straszny uśmiech i dźganie szabelką.

Patrzę na niego.

– Babka o twardym spojrzeniu – uśmiecha się szeroko. – Wiedzieli, że potrzebujesz trochę prywatności. Oczywiście to zaczynało robić się absurdalne, dobrze więc, że Christopher się pokazał.

Macham ręką w kierunku naszej strony ulicy.

– Ile z tych domów jest twoich?

– Naszych. Wszystkie pięć po naszej stronie.

– Mamy coś jeszcze?

– Trochę lasu za domem.

Ten las ciągnie się spory kawał.

Było tam kiedyś ogromne pole golfowe i centrum handlowe, ale drzewa i krzaki dawno temu wszystko pochłonęły.

– Ile hektarów?

– Dwieście kilka.

Otwieram usta, ale nic się z nich nie wydostaje.

– Tak myślałem żeby nazwać go Dwustuhektarowym Lasem.

[A może Stumilowym? :P

W oryginale Magii: 'Five Hundred Acre Wood'.

W Kubusiu Puchatku: Hundred Acre Wood/100 Aker Wood/Hundred-Acre Wood/100 Acre Wood/The Wood.]

Moje usta zaczynają w końcu funkcjonować.

– Ile pieniędzy...

– Trzy miliony.

O mój lesie szeleszczący.

– To była prawdziwa okazja. Niejednokrotnie próbowano oczyścić ten teren, ale tamtejsze drzewa mają w sobie dużo magii. Odrastają w kilka tygodni, co jest dla nas idealne. Gdy pozwolimy lasowi się rozwinąć, rozrost sam się ureguje.

– Czy to dlatego kończy się nam forsa?

– Tak. – Curran posyła mi uśmiech. – Tyle, że nie kończy, musimy tylko być ostrożni z wydatkami.

Śmieję się pod nosem. Nagle wszystko zyskuje sens.

– Poza tym, powiedziałem ci o lesie trzy razy.

Nie powiedział.

– Jakoś sobie tego nie przypominam.

– Na początku lutego powiedziałem ci, że rozważam zakup dodatkowej ziemi koło domu.

Nie pamiętam tej rozmowy. Zresztą zakup „dodatkowej ziemi” znaczy kolejne pół hektara, a nie połać większą od Stumilowego Lasu.

– I co ci odpowiedziałam?

– Cytuję: „Teraz chcesz o tym rozmawiać?” A potem: „No weź, przegryź go w końcu na pół”.

Ach, teraz sobie przypominam.

– Byliśmy w na wpół zalanym garażu, w towarzystwie oszalałego lunatyka, ciskającego w nas piorunami.

– Potem podniosłem temat w drugi weekend po przeprowadzce. Byliśmy w naszej sypialni. Odwalałaś robotę papierkową, a ja wyszedłem spod prysznic i powiedziałem...

To akurat świetnie pamiętam.

– Powiedziałaś: „Hej , maleńka, często tu wpadasz?”

– Nie, wcześniej.

– Nie pamiętam, co powiedziałaś wcześniej. Trudno się było skoncentrować.

– Na swoją obronę dodam, że leżałaś tam nago – szczyrzy się Curran.

Nieważne.

– A trzeci raz?

– Byliśmy w pracy. Powiedziałem: „Spójrz, kupuję tę ziemię”. A ty odpowiedziałaś: „Głupio się czuję, mówiąc ci jak masz wydawać swoją forszę. Jeśli chcesz kupić dodatkową ziemię, zrób to”.

No dobra, dowiódł swego.

Curran wyciąga rękę i ściska moją dłoń.

– Co się stało, to się nie odstanie. Gromada należy teraz do Jima i choć oficjalnie marudzi, gdybym chciał mu ją odebrać, walczyłby o nią. Musimy teraz zająć się naszymi ludźmi. Podstawą jest dach nad głową, miejsce do wybiegania się nocą oraz praca.

Księżyc obiera sobie tę chwilę, by wyłonić się zza chmur, zalewając ulicę delikatną poświatą. Od zawsze lubię ciemność. Pod bezkresnym, nocnym niebem, świat wydaje się większy. Ogarnia mnie dziwny spokój.

– Martwię się o Eduardo – mówię. – Lepszy rydz niż nic, ale wszystkie nasze poszlaki są marne. Śledztwo posuwa się za wolno. Im dłużej go nie ma, tym bardziej nikłe szanse na odnalezienie go żywego. Kiepska ze mnie detektywa...

Curran unosi brwi.

– No, nie powiedziałbym.

Unoszę dłoń.

– Jestem kiepską detektywą, ale umiem wkurzać ludzi.

– Owszem.

Ha ha.

– Zwykle w tym momencie śledztwa stałabym się wrzodem na dupie porywacza. Wkurzałabym go na maksa i stała się celem, by ukrywający Eduardo osobnik, ujawnił się próbując mnie zniszczyć. To dałoby mi punkt zaczepienia, no i inni by nie cierpieli.

Oczy Currana rozbłyskują drapieżnym światłem.

– No to go wkurzmy.

Wskazuję palcem nasz dom.

– Julie.

Przedtem Julie mieszkała w Twierdzy. A teraz tutaj. Istnieje przeogromna różnica pomiędzy Twierdzą pełną zabójców, a domem na przedmieściu. To bardzo dobrze chroniony dom, ale jednak...

– Julie nic się nie stanie. Mamy mocne bariery ochronne i porządne drzwi, a nasi sąsiedzi są bardzo zaangażowani w jej bezpieczeństwo. Jak zajdziemy porywaczowi za skórę?

– Dzięki ghoulom. Nie wiem, czy są dla niego emocjonalnie cenne, ale wykorzystuje je.

– Czyli dobieramy się do ghouli.

– Porozmawiam o tym z Ghastkiem, jeśli ty pogadasz z Jimem. Piloci lub zmiennokształtni musieli widzieć przemieszczające się po mieście ghoule. Znajdziemy je i wybijemy. Jeśli uda nam się wybić mu sporo zębów, w końcu się wkurzy i wyjdzie nam przywalić.

Curran szczyrzy kły.

– Czuję, że to mi się spodoba.

– To jest nas dwoje.

Przynajmniej mamy plan. Lepszy taki, niż żaden.

Przez okolicę przetacza się warkot silnika samochodowego. Na naszym podejździe zatrzymuje się jeep Gromady. Wyskakuje z niego George.

– Dowiedziałaś się czegoś? – pyta Curran.

George kręci głową.

– Znaleźliście go? Czy...

– Wiemy, że porwały go ghoule – przerywam jej. – Żył, kiedy go zabierały. Nie wiemy dlaczego.

George wygląda słabo, ma zaciśnięte zęby i rozgorączkowane oczy.

– Ghoule? Co?

– Wejź – zapraszam ją. – Wytłumaczmy ci wszystko.

KONIEC Rozdziału 10

Rozdział 11 – Eksperci

Cuddles stuka kopytkami, kłusując przez miasto. Potrafi galopować jak prawdziwa mistrzyni, umie jechać stępą lub cwałować, ale przez ten szarpany kłus grzechoczą mi wszystkie zęby. Zwolniłam jej tempo kilka razy, ale ma dziś chyba ochotę właśnie na kłus, a jak już sobie coś wbije do łba, żadna siła na Ziemi tego nie zmieni. Wybrałam ją, ponieważ fale magii pojawiają się ostatnio w krótkich porywach, a rozgrzanie zaczarowanego silnika trwa wieki. Ostatnią przyczyną jest to, że dwa tygodnie temu Buckhead doświadczyło niewidzialnej burzy gradowej. Nie było widać gradu, ale skutki

uderzeń tak. W sumie nie wyrządziła wielkich szkód, bo większość dzielnicy to i tak kompletna ruina, ale przekształciła ulice w tor przeszkód z dziurami.

– Próbujesz mnie ukatrupić, co?

Wiercę się w siodle, próbując znaleźć pozycję, w której nie bolą mnie plecy.

Cuddles ignoruje mnie i kłusuje dalej.

Moje ciało dziś rano dało wyraz swojemu niezadowoleniu z racji tego, że musiało wstać i nie mogło spędzić dnia w łóżku. Po śniadaniu ja pojechałam w swoją stronę, a Julie z Curranem w swoją. Musimy poczynić dziś jakieś postępy w śledztwie i liczę, że dzięki Saimanowi coś się wyjaśni.

Docieramy do luksusowego, kilkunastopiętrowego apartamentowca Champion Heighst, gdzie mój ekspert wciąż mieszka. Zostawiam ośliczkę w luksusowej stajni, przechodzę bez problemu przez strzeżoną recepcję i wjeżdżam na górę. Podchodzę do drzwi wejściowych Saimana, znajdujących się na najwyższym piętrze, i pukam.

Nie otwiera.

Wiem, że jest w domu. Saiman ma stare przyzwyczajenia. Niezależnie od tego, jak bardzo zabaluje w nocy, rano zawsze wraca do domu.

Czekam przy drzwiach. Wiem, że usłyszał moje pukanie. Raz wystarczy. Potem ciekawość weźmie górę i otworzy.

Mija jedna chwila, potem druga.

Zamek klika, gdy zasuwa zmienia położenie.

Drzwi otwierają się, ukazując gospodarza.

Przybrał postać mojego ojca.

Zduplikował ją idealnie od eleganckiego zarysu szczęki do prostego nosa i mistrzowskich łuków kruczoczarnych brwi, ale nie potrafił odtworzyć oczu. Te należące do Rolanda rozświetla ledwie powstrzymywana moc. Hugh porównał to kiedyś do spoglądania w oblicze słońca. Spróbowałam tego, a moc ojca przypominała lawinę. Po raz pierwszy od bardzo dawna cofnęłam się przed walką. Ten tu „Roland” ma znajome spojrzenie Saimana: sardoniczne, zrozumiałe i pełne wyższości.

Śmieję się.

„Roland” przygląda mi się z namysłem, wyraźnie zbity z pantafelku. Pewnie zaplanował sobie, że mnie zastraszy lub zaniepokoi. Na nieszczęście dla niego jest tak samo podobny do mojego ojca jak osiemdziesięcioletnia starowinka.

Zerkam jeszcze raz, nie wytrzymuję i znowu parskam śmiechem.

– Wejdz – rzuca.

– Dobrze, tatusiu.

Idę za nim, chichocząc.

Jego twarz nabiera ślicznego, purpurowego odcienia.

– Nie widzę w tym nic zabawnego.

– Musisz zmienić maskę. Ta nowa tak mnie bawi.

Jak za dotknięciem różdżki, twarz Saimana zaczyna przypominać wijące się pod skórą węże. Obrzydlistwo.

– O wiele lepiej – chwale go, gdy przybiera typową neutralną formę.

Siadamy na białej kanapie, w tym samym, znanym mi futurystycznym wnętrzu.

- Jak na parającego się magią człowieka, bardzo lubisz technikę.
- Podoba mi się wpływ cywilizacji – odzywa się ze swojego miejsca naprzeciwko mnie.
- A fakt że te zabawki są coraz droższe, nie ma z tym nic wspólnego?
- To szczegół poboczny, Sharrim.

Sharrim. Księżniczka. Tak nazywają mnie ludzie Rolanda. Chce mi utrzyć nosa, ale nie on jeden zna tajemnice.

- To ważne dla naszej rozmowy, Ássie. Powiedz mi, czy twój dziadek, Loki, odwiedza cię czasem? Co sądzi o twoim gniazdku?

Saiman prostuje się.

- Oszczędzę ci kłopotu – ciągnę. – Przestańmy udawać, że nie domyśliłeś się mojego pochodzenia zanim jeszcze zajęłam miasto. Tym się przecież zajmujesz. Zobaczyłeś słowa na mojej skórze. Wybrałeś się z nami za Morze Czarne i łąziłeś po zamku d’Ambraya. Nie się zaprzeczysz, że fizycznie jestem podobna do ojca. Dodałeś dwa do dwóch, ale postanowiłeś nie wychylać się. Czekaliśmy, żeby zobaczyć, jak sprawy się potoczą. Teraz już to wiemy. Musisz dokonać wyboru. Wolisz rozmawiać z Sharrim, czy Kate Daniels? Mogę być jedną lub drugą, ale gwarantuję ci, że jedna z nich nie będzie ci się podobać.

– A co, jeśli wybiorę Sharrim? – pyta ostrożnie.

Odchylam się.

– Porozmawiamy wtedy o tym, dlaczego nie pomogłeś mi, gdy stawiałam opór ojcu. Posiadasz kontakty na całym kontynencie. Wiedziałeś o nadejściu Hugh d’Ambraya i że za nim pojawi się Roland. Nie ostrzegłeś mnie. Teraz jesteś w moim mieście i masz czelność przywdziewać twarz mojego ojca. To był żart, czy oświadczenie polityczne? – pochylam się i przygważdżam go spojrzeniem.

Saiman siedzi jak sparaliżowany.

– Bardzo bym chciała usłyszeć wyjaśnienie.

– A jeśli wybiorę Kate?

Wyciągam foliową torebkę z piaskiem.

– Potrzebuję analizy. Szukam zaginionego zmiennokształtnego. Może go pamiętasz: wysoki, szeroki, zmienia się w bizona. Nazywa się Eduardo Ortego i był z nami na wakacjach nad Morzem Czarnym. Znalazłam jego auto w pierścieniu takiego piasku. Miał niecałe cztery metry średnicy i dwadzieścia centymetrów szerokości szerokości. Na m-skanerze pojawia się jako miedziany. Potrzebuję

dosłownie każdej informacji. Mitologia, gałąź magii, cokolwiek. Stawka jak zwykle.

Saiman jest zaskoczony.

– I to wszystko?

– Nom.

Patrzy na torebkę, jakby to był próbujący go ukąsić skorpion. W jego głowie przebiega gorączkowa kalkulacja.

– A jeśli odmówię?

– To pójdę gdzie indziej.

Saiman zaplata palce obu dłoni w jedną pięść, opiera się na niej i spogląda w przestrzeń.

– Nie spiesz się.

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie masz zamiaru wpływać na wydarzenia w mieście?

– Nie, o ile według mojej oceny takowa interwencja nie będzie niezbędna.

– To nie jest pytanie szacunkowe, a rzeczowe, może mieć więc tylko dwie następujące odpowiedzi: „tak” lub „nie”. Czy masz zamiar rządzić?

– Nie mam.

Áss przygląda mi się wnikliwie.

– Trudno orzec, czy nie pojmujesz niebezpiecznej natury swego położenia, czy może celowo uciekasz przed rzeczywistością, jak struś chowający głowę w piasek.

– Zawsze wymyślasz dla mnie takie pochlebne metafory. Ostatnio porównałeś mnie do kaktusa.

Gospodarz marszczy czoło.

– Kate, tu nie chodzi o to kim jesteś oraz wartość twoich poszczególnych uczynków. Chodzi o Nimroda. Jesteś jego córką. Zajęłaś niezależne od niego terytorium. Każdy, kto ma z nim na pieńku, zjawi się tutaj.

Będą chcieli mnie zabić? No niemożliwe, nie domyśliłabym się sama.

– Dzięki, przypominajko. Twoje streszczenie rzeczy oczywistych jest nad wyraz imponujące.

– Będziesz sprawdzana i wyzywana. Potrzebujesz jakiejś bazy wsparcia. Jeśli to zlekceważysz, miasto zamieni się w pole wolnej amerykanki, gdy różne siły będą je sobie wzajemnie wrywać dla przywileju wyparcia stąd córki Nimroda.

– Mam zamiar bronić miasta. Nie będzie żadnej wolnej amerykanki.

Saiman milknie i znowu wpatruje się we mnie intensywnie. Chyba zwichnęłam mu tę jego potężną mózgownicę.

– Będziesz bronić miasta, ale nie rządzić nim?

– Tak.

– Jaki jest zatem sens owej obrony? Nic nie zyskasz. Narazisz się na niebezpieczeństwo, nie otrzymując nic w zamian. Chcesz zdobyć aprobatę swego ojca?

– Może sobie wsadzić tę aprobatę tam, gdzie słońce nie dochodzi.

– Zatem dlaczego?

– Ponieważ zajęłam miasto i moim obowiązkiem jest je chronić.

Znowu milczy.

– Mieszkam tu – tłumaczę. – Lubię Atlantę. Nie chcę by przeistoczyła się w okropne miasto rządzone przez idiotów, gdzie ludzie muszą się ciągle bać. Ty też tu mieszkasz. Chyba nie chcesz żeby to miejsce zamieniło się w przedsionek piekieł?

Cisza przedłuża się.

– Wszyscy, którzy wchodzą z tobą w styczność, stają się tymczasowo niepoczytalni. – Saiman opada na kanapę. – Twój ojciec, Budowniczy Wież, posiada niemal boską moc. Jesteś dzieckiem kobiety, która go zdradziła i najwyraźniej nie masz ochoty mu służyć. Twoja moc, sam fakt twego istnienia, to bezpośrednie wyzwanie dla niego. Zamiast jednak cię zabić, pozwala działać ci autonomicznie, dając niejako czas, by twa moc okrzepła i stała się dla niego prawdziwym zagrożeniem. Ten dzikus, z którym sypiasz, budował Gromadę przez kilkanaście lat. Rdzeń jego osobowości oparty jest na byciu Władcą Zwierząt, a jednak zostawia to wszystko w diabły, żeby zamieszkać z tobą na przedmieściu, choć przecież jego odejście nie było częścią ugody, którą zawarłaś z ojcem. A Gromada na to pozwala.

Skąd on wytrzasnął te informacje?

– Curran mnie kocha. Odszedł, bo chciał być ze mną.

– A twój ojciec?

– Już długo nie miał dzieci. Jestem jego pierworodną w tej epoce.

Saiman unosi brwi.

– Co mam przez to rozumieć?

– Intryguje go moja egzystencja.

Áss otwiera usta, po czym je zamyka.

– Nie godzę się na bycie częścią tego oblędu.

Podnosi torebkę z piaskiem i odpycha do mnie.

– To zły ruch – ostrzegam go.

– Twój ojciec cię zabije – wyjaśnia. – Może już nie teraz, ale wkrótce. Jeśli nie zamorduje cię w nieodległej przyszłości, zrobią to inne siły, próbujące przejąć miasto. Gdy to nastąpi, wszystkie wspierające cię osoby staną się ofiarami czystek. Jesteś trędowata. Zarazasz wszystkich, których dotykasz.

O jeżu kolczasty.

– Bycie twoim sprzymierzeńcem to wyrok śmierci. Wspierając cię nic nie zyskam. Odmawiając usług ryzykuję, że cię rozłoszczę, ale opuściłaś Gromadę, więc już nie możesz mnie nimi skutecznie

straszyć, a nie ukarzesz mnie osobiście, ponieważ jesteś spętana swoją własną moralnością.

No dobra, przynajmniej wiem na czym stoimy. Biorę torebkę z piaskiem i wychodzę.

Przez drzwi zbrojowni Kadam przechodzę o dziewiątej trzydzieści. Kuźnia zajmuje przysadzisty budynek w południowej części miasta. Siedem lat temu, gdy przyszłam kupić po raz pierwszy broń, pracowali tu jedynie Arnav, jego syn Nitish oraz córka, Neha. Przez lata interes rozrósł się, a wraz nim kuźnia. Po wejściu widzę dwóch czeladników, jeden pokazuje broń klientowi, a drugi układa towar na półkach. Ledwie piętnastoletni chłopiec w terminie podbiega do mnie i pyta czego potrzebuję. Proszę o spotkanie z Nitishem, a pięć minut później chłopiec prowadzi mnie na tyły, gdzie jego szef w milczeniu bada kilka bloczków stali.

Nitish zerka na mnie. Jest średniego wzrostu, ma gęste, czarne włosy, żywe, ciemne oczy i rozświetlający twarz uśmiech. Jego rodzina pochodzi z miasta Udaipur w Indiach, z okolic, które dostarczały władcom mughalskiej dynastii narzędzia wojny od szesnastego wieku. Koftgari ma we krwi. To niezmiernie precyzyjne rzemiosło, w szczególności gdy idzie o liternictwo. Najdrobniejsze odstępstwa w nachyleniu znaku w arabskiej inskrypcji lub zły kąt

pociągnięcia w celtyckich runach na głowni może zmienić ich znaczenie. Nitish jest najlepszy w mieście.

Odpakowuję kindżał i kładę go na stole. Uśmiech Nitisha znika. Wyciąga rękę i szybko zakrywa sztylet materiałem.

– To jeden z twoich – mówię.

Nitish kręci głową.

– Ależ tak. Na głowni jest twoje koftgari. Tylko jedna kuźnia potrafi wykonać broń tej jakości, a po wzorze poznaję, że to nie jest dzieło twojego ojca. Czyje to zlecenie?

– To nie jest dobry temat – mówi cicho.

– Wiem, że kupcem jest mężczyzna, prawdopodobnie należący do islamu.

Nitish kręci głową.

– Mój przyjaciel zaginął. Znalazłam to w jego gabinecie. Wiem, że nie należy do niego. On niedługo się żeni.

– A ja jestem żonaty i mam dzieci.

Zdejmuję szmatkę z kindżału.

– Potrzebne jest mi jedynie jego nazwisko. To nie zemści się na tobie. Mój przyjaciel wciąż żyje. To dobry człowiek, a jego narzeczona straciła rękę, broniąc ciężarnej kobiety. Zasługują na szczęście. Potrzebne jest mi tylko jedno nazwisko.

Nie patrzy na mnie.

– A gdyby to Prema zniknęła? – Imię jego żony zawisa pomiędzy nami jak ciężki kamień. Pójdę za to prosto do szumiącego piekła. – Nitish, nie przychodziłabym do ciebie, gdybym miała inny wybór.

Właściciel zakrywa ponownie broń i nachyla się.

– Chodź.

Biorę sztylet i idę za nim przez warsztat, mijamy żar kuźni i odgłos młotków, po czym wchodzimy do pomieszczenia na tyle. Gospodarz włącza światło i zamyka za nami ciężkie drzwi. Otaczają mnie cztery ściany wypełnione bronią.

– Nie znam jego nazwiska – odzywa się cicho. – Ale wiem co kupuje.

– Wskazuje nóż na ścianie.

Trzydziestocentymetrowe, jednostronne ostrze jest proste u nasady, a następnie wykrzywia się leciuteńko w prawo, robi się węższe i znowu skręca w lewo, prostując na końcu. Czubek sztyletu jest

trójkątny i wzmocniony, niemal przechodzi w igłę. Obrzydliwie ostra krawędź. Mocny środek, więc nie pęknie. Prosty uchwyt, kość owinięta skórą. Pesz kabz [przekłuwacz pancerzy] jest siedemnastowiecznym, perskim odpowiednikiem kul pancernych. Ten wzmocniony czubek rozdziera kolczugę jak papier. Prześlizguje się pomiędzy zebrami, a jeśli pchnąć go do góry, przebija serce. Jeżu kolczasty.

Patrzemy na broń w milczeniu.

– Nie ma falowanego wzoru.

– Nie ma. On zwykle nie wybiera stali damasceńskiej. To jest stal zero-sześć – odpowiada Nitish głuchym głosem. – Nie do zdarcia.

Zero-szóstka to stal narzędziowa. Nie tępi się i przewyższa trwałością nawet najlepszą damasceńską. Ponadto nie da się jej wyśledzić. Wybrał stal narzędziową, ponieważ tym właśnie jest ten nóż – narzędziem. Ta broń nie została wykonana, by pokonywać potwory. Jej zadaniem jest zabijać ludzi. Należy ona do mordercy.

Nitish podchodzi bliżej stołu, bierze album kilkucentymetrowej grubości i zaczyna go przeglądać. Zatrzymuje się, pokazując mi stronę. Sztylety. Nie żadne wymyślne okazy, ale praktyczne, proste paski stali, dwadzieścia pięć centymetrów długości i niecałe cztery szerokości. Na tyle grube, żeby ostrze się nie zginało, dwuostrzowe na pierwszych czterech centymetrach począwszy od czubka, a potem

jednostronne. Żadnych ozdóbek na rękojeści, sama stal. W przeciwieństwie do tego co pokazują filmy, zabicie człowieka tego typu bronią jest trudne. Nawet jeśli ostrze trafi w ciało, nie dosięgnie ważnych organów. Używa się ich najczęściej żeby wkurzyć przeciwnika i sprowokować do zrobienia czegoś głupiego. Albo żeby go rozproszyć, upuścić mu krwi lub zadać ból. Rzucony sztylet wchodzi w ciało jak nóż w masło i trudno go wyciągnąć.

Nitish przerzuca stronę. Następny sztylet, tym razem o prostym ostrzu. Ta sama niewyszukana, rzemieślnicza estetyka. Broń tego samego zabójcy.

Kowal zamyka album.

– Potrzebował dłuższej broni?

Kręci głową.

Kupiec albo nie używa długiej broni, co jest mało prawdopodobne, wzięwszy pod uwagę cały ten magiczny bajzel jakim częstuje nas Atlanta, albo ma już swoją ulubioną broń i jest na tyle dobry, że jej nie łamie.

– Możesz go opisać?

– Czarne włosy. Broda. Wielki. – Nitish unosi ręce. – Wysoki. Nosi okulary. Łagodny głos. Spokojny. Nie wygląda na faceta, który kupuje takie rzeczy. – Wskazuje kindżał.

– A na kogo wygląda?

– Na człowieka pokoju.

– Kiedy się zgłosi po pesz kabz?

– Nie wiem. Czasem przychodzi następnego dnia po wykonaniu zlecenia. Czasem po miesiącu. Nigdy przedtem nie dzwoni. Płaci z góry i zjawia się bez uprzedzenia.

– Zadzwonisz do mnie, gdy odbierze ten sztylet?

– Może wcale się po niego nie zgłosi. Rok temu rozmawiał z moim ojcem i zlecił mu wykonanie tego.

Otwiera album na ostatniej stronie, gdzie połowa kartki została podklejona do góry, by uformować kopertę i wyciąga z niej fotografię. Okrągła szkatułka z ciemnej stali, trochę mniejsza od piłki futbolowej, z okrągłym wieczkiem. Wzór na niej wygląda na pierwszy rzut oka jak przypadkowe, ozdobne Koftgari, naniesione na czarną powierzchnię stali. Niemniej zbliżenie wszystko wyjaśnia, wzór nie jest przypadkowy. Cieniutkie, jak pajęczyna pismo arabskie.

„Bismillah ir - Rahman ir – Rahim...”

„W imię boga miłosiernego i litościwego
mów: szukam schronienia u pana jutrzeńki
przed złem tego, co on stworzył,
przed złem ciemności, kiedy się szerzy,
przed złem tych, którzy dmuchają na wężły,
i przed złem człowieka zawistnego
chwili gdy żywi nienawiść”.

Al-Falak, sto trzynasta sura Koranu. Cała szkatułka jest pokryta ochronnymi wersetami.

– Już miał tę szkatułkę – wyjaśnia Nitish. – Nas potrzebował do wykonania koftgari.

Islam chroni swoich wyznawców przed siłami nadnaturalnymi. Nieznajomy umieścił coś na owej szkatułce i liczy na boską pomoc, by to coś nie wydostało się.

– Zajrzałem do szkatułki. Wnętrze było gładkie i wyglądało jak kość.

– Słoniowa?

– Nie. Zwykła. Jak wnętrze czaszki.

Robi się coraz lepiej.

– Mogę ją obejrzeć?

– Zabrał ją dwa dni temu. Nawet nie zapytał o sztylet. Chyba nie pamiętał, że go zamówił.

Gapię się przez szybę na łańcuch zagrządzający wjazd na parking Cutting Edge. Ten łańcuch zakłada się na noc. Jest prawie jedenasta. Powinien być zaczepiony na słupku obok. No ale nie jest. [Atlanta jest magiczna. Zamieniła Cuddles w autko.]

Derek zwykle przyjeżdża do Cutting Edge na ósmą. Jeśli nie on, Curran powinien był już wrócić z wizyty w Gildii. Raczej nic go tam nie zatrzymało. Po jego odpowiedzi na tyradę Boba, żaden najemnik go nie zaczepi. To powinno zająć góra kwadrans. Wpakował się tam w jakieś problemy? Wyobraźnia podsuwa mi obraz Gildii w ruinie oraz mojego mysia-pysia wyłaniającego się z jej szczątków, ryczącego i machającego bezwładnymi ciałami Czwórki Jeźdźców.

To byłoby przekomiczne.

No dobra, z takiego myślenia nic nie wyjdzie.

Rozmowa z Saimanem przyprawiła mnie o podły nastrój. Słyszę głos mojej zmarłej ciotki: „Ludzie są jak rybki. Zdychają. Ty trwasz”. W pewnym sensie Saiman ma rację. Jestem skalana, ale nie dlatego, że Los szykuje dla mnie rychłą śmierć. Jestem skażona mocą, która niszczy i wypacza ludzi. A już i tak jestem pokrecona.

Parkuję przed budynkiem i ciągnę za klamkę. Oczywiście zamknięte. Otwieram i wchodzę do sporego, głównego pomieszczenia. Rolety są wciąż opuszczone. Podciągam je i wpuszczam światło, które ukazuje cztery biurka. Kiedyś były tylko dwa – moje i Andrei. Teraz jest zajęta kierowaniem swoim klanem i ciążą. Staramy się jeść wspólny lunch w każdy piątek, a kiedy ostatnio wybrałyśmy się razem do knajpki, zezarła prawie dwa kilogramy grillowanych żeberk sama. Chciała też schrupać kości, ale odwiodłam ją od tego. Nadała się i powiedziała, że psuję jej nastrój.

Jej biurko stoi teraz puste. Andrea twierdzi, że wróci, ale bardzo w to wątpię. Moje stoi po prawej. Dereka za moim, a Currana za Andrei. Na żadnym nie ma zostawionej informacji. Świetnie.

Siadam w swoim krześle. Saiman miał rację w jeszcze jednej sprawie: jeśli ja się poddam, miasto upadnie ze mną. Sojusz ze mną jest wyrokiem śmierci. Jak ja ich wszystkich obronię? Nawet nie umiem znaleźć Eduardo. Wcześniej byłam odpowiedzialna za swoje własne bezpieczeństwo. Potem za bezpieczeństwo przyjaciół. Następnie za całą Gromadę. A teraz muszę strzec miasta. Moje

zobowiązania wciąż się powiększają i ani trochę mi się to nie podoba.

Wcale tego nie chcę. Nie mam ochoty być odpowiedzialna za całe miasto.

To wszystko przez zajęcie Atlanty. Niemniej pozwolić ojcu dodać je do jego powiększającego się imperium byłoby gorszym wyjściem.

Użalaniem się nad sobą niczego nie osiągnę. To wcale nie pomaga Eduardo. Muszę poszukać kogoś, kto zanalizuje piasek. Im szybciej, tym lepiej. No i muszę znaleźć sposób na dobranie się do dzienników Gildii.

Sprawdzam automatyczną sekretarkę. Odzywa się głos Luthera: „Hej, szurnięta małpo. Mój gość od robaków sprawdził twojego ogromnego robala. To solfuga, pajęczak. Największe gatunki dorastają do piętnastu centymetrów i nie są jadowite lub niebezpieczne dla ludzi. Żyją u nas w Arizonie, ale gość od robali twierdzi, że ten twój pochodzi z Bliskiego Wschodu lub Afryki Północnej. Nie jest jeszcze za późno powiedzieć mi co wiesz. Oddzwoń do mnie, jeśli zostało ci choć trochę przyzwoitości”.

Ghoule, wilcze gryfy, inskrypcje po arabsku, a teraz solfuga. Wszystko to wskazuje na ten sam rejon geograficzny. Kłopot w tym, że nie mam zielonego pojęcia, jak to połączyć. Nie mogę powiedzieć Lutherowi, co wiem, bo w sumie nie wiem nic. Może jak wręcę

jałmużnę biednym, jakaś mistyczna staruszka sprzeda mi magiczną lampę, z miłym dzinem, który odpowie na wszystkie moje pytania.

Maszyna klika, przewijając się do następnej wiadomości: „Cześć, tu Barabas. Oddzwoń jak najszybciej”.

Wybieram numer. Następna sytuacja kryzysowa?

Barabas odbiera po pierwszym sygnale.

– Hej, chyba znalazłem lukę prawną – rzuca bez przywitania.

Można się wyluzować.

– Opowiedz mi o działaniach doraźnych w Gildii – prosi rzeczowym tonem.

Też miło cię słyszeć.

– Ten „środek tymczasowy” to wstrzymanie zatrudnienia. Najemnicy Gildii są wykonawcami, ale i tak muszą zostać formalnie wcześniej zatrudnieni przez Gildię. Jeśli firma uzna, że jest za mało zleceń na głowę, wprowadza się takowy środek tymczasowy aż napłynie więcej zleceń lub ubędzie najemników.

Zaczynam rysować klif na kartce papieru.

- Oni są w tej chwili właśnie w takiej sytuacji.

- To mnie nie dziwi. Wszystko się sypie. – Dodaję kilka patykowych ludzików na klifie, a po nim dorysowuję spadający banknot dolarowy.

- Z mojego wywiadu oraz informacji otrzymanych od Jima wnioskuję, że administracja jest najważniejsza, by Gildia mogła osiągać zyski.

- Tak. Asystent umożliwia sprawne działanie całego systemu.

- Popraw mnie, jeśli się mylę. Bob Carver i jego Jeźdźcy pragną dostępu do funduszu emerytalnego. Storpedowali budżet Gildii, więc pracownicy administracyjni przestali otrzymywać pensję. Dlatego odeszli. Bez Asystenta i jego ludzi nie istnieje skuteczny system przydzielania zleceń. Nikt ich nie przyjmuje, nie rozdziela, nie monitoruje, więc klienci denerwują się, gdy nikt się nie pojawia. Interes usycha, co skutkuje brakami finansowymi. Istny paragraf 22.

- No właśnie. – Dodaję patyczaka nurkującego za banknotem i dopisuję „Bob” nad jego łebkiem. – Gildia potrzebuje kasy żeby znowu zatrudnić administrację, ale warunkiem jej zarobienia jest właśnie posiadanie administracji.

- Musimy przerwać ten zaklęty krąg.

– Jak?

– W przepisach znajduje się klauzula pozwalająca każdemu najemnikowi na wniesienie pieniędzy do budżetu Gildii z konkretnym przeznaczeniem.

Pocieram twarz, ale nie doznaję od tego olśnienia.

– Sugerujesz, że powinniśmy dać Gildii naszą forszę?

– Tak.

– Barabas, ten interes już ledwie zipie. Chcesz utopić w nim więcej pieniędzy?

– Wysłuchaj mnie.

Słynne pierwsze słowa.

– No dobra.

– Dajemy Gildii zastrzyk gotówki pod warunkiem, że zostanie wydana na ponowne zatrudnienie pracowników administracji. Wraca Asystent i przydziały...

– Zlecenia.

Jak już się upiera przy tym idiotyzmie, to może zacząć używać właściwej terminologii.

– Wtedy zlecenia zostają odpowiednio rozdzielone, najemnicy zarabiają pieniądze, a dodatkowo od razu poprawiamy naszą reputację.

– A co się stanie, gdy pieniądze się skończą?

– Musimy dopilnować, żeby wystarczyło ich do czasu aż Gildia odbije się od dna. Użyjemy dobrej renomy oraz naszych udziałów, żeby przerwać zastopowanie budżetu. Ludzie nie lubią chaosu, bo wtedy nie mogą zarabiać. Potrzebują silnego przywództwa. Musimy uzyskać reputację ludzi, do których przychodzi się z problemem do rozwiązania.

– Ile pieniędzy będziemy na to potrzebowali?

– Mój projekt budżetu wskazuje, że potrzebujemy co najmniej 142 860 dolarów żeby sfinansować funkcjonowanie administracji, łącznie ze stworzeniem podstawowego zespołu, przez około cztery miesiące. Tyle właśnie potrzeba, według mojej oceny, żeby Gildia zyskała płynność finansową.

Zastanawiam się nad tą kwotą.

– Kate?

– Daj mi chwilę.

– To da się zrobić. Curran dał mi budżet w wysokości trzystu tysięcy dolarów.

Lesie szeleszczący.

– Kate?

Wydaliśmy miliony na las, możemy wyrzucić je też na Gildię.

– Mów dalej.

– Indywidualny wkład jest ograniczony do pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Jim nie chce w to wciągać innych członków Gromady, a brak budżetu nie pozwala zarejestrować Currana, czy kogokolwiek innego jako najemników. Utknęliśmy. Nie mamy wystarczającej liczby ludzi żeby zasilić budżet potrzebną kwotą.

– Tak na marginesie, uważam, że to poroniony pomysł.

– Twoje obiekcje zostały odnotowane.

- Zajrzyj do rozdziału o członkostwie pod ustęp o funkcjonowaniu grup. Mogę zapisać trzy osoby jako moje wsparcie pomocnicze. Drugą stroną medalu jest to, że jak spierdziela, ja za to oberwę.
- Widziałem ten paragraf. Żeby to zrobić musisz być zrzeszonym członkiem przynajmniej przez pół roku.
- Jestem zrzeszonym członkiem od roku. Zmieniłam członkostwo, gdy Curran sfinansował Cutting Edge. Bardzo mądry prawnik Gromady z czerwonymi, nastroszonymi włosami doradził mi to ze względu podatkowych. Poza tym Gildia ma świetne ubezpieczenie dentystyczne dla zrzeszonych członków.
- Prawnicy Gromady dają dobre rady, nawet jeśli nie zawsze je pamiętają. Oddzwonię później.

Rozłącza się.

Jak widać Curran zajął się wszystkim.

Do przejęcia Gildii jest nam niezbędny Asystent. Przerzucam kartki książki telefonicznej. Nie mam bladego pojęcia, jak go znaleźć, ale wiem gdzie jest Lori. Dziewczyna jest jego protegowaną, ponieważ jak wyznała mi kiedyś późną nocą, nie jest kretynką. Rodzice Lori, Karen i Brenda prowadzą cukiernię na Campbelton Road, która nazywa się Pączuszki. Pamiętam to, bo wstąpiłam tam raz, żeby

kupić dużego marcepanowego lizaka, a jedna z jej mam droczyła się ze mną o szablę, aż Lori wyszła i kazała jej przestać.

O, mam. Wybieram numer.

– Piekarnia Pączuszki.

– Czy mogę rozmawiać z Lori?

– Hej, Kate. Jak ci się mogę „przysłużyć”?

Miło być rozpoznaną.

– Nie wiesz może, gdzie znaleźć Asystenta?

Lori wzdycha.

– Pamiętasz jak zawsze nawijał, że chce po przejściu na emeryturę prowadzić bar?

Nie pamiętam, ale nie odpowiadam.

– Kupił bar?

– Zatrudnił się w Stalowym Koniu. Mówi, że chce wyczuć biznes.

– Hipotetycznie mówiąc, gdyby ktoś chciał cię na powrót zatrudnić w Gildii, byłabyś zainteresowana?

Następuje chwila milczenia, a po niej gorączkowy szept:

– Kate, jak mnie stąd wyciągniesz, przez rok będę ci kupowała drinki. Jeśli będę musiała wycisnąć krem na jeszcze jedną marchewkową babeczkę to się obwieszę.

– Dzięki za pomoc.

Rozłączam się. Stalowy Koń będzie otwarty za godzinę lub dwie.

Mruga do mnie światło automatycznej sekretarki. Racja. Więcej wiadomości.

„Tu sekretariat Akademii Seven Star. Nasza uczennica, Julie Lennart-Daniels, nie pojawiła się dzisiaj na zajęciach w następujących godzinach...”

Julie nie wagaruje...

„Pierwsza...”

Nie czuła się źle dziś rano.

„Druga...”

Przecież Curran miał zabrać ją prosto do szkoły.

„Trzecia...”

Nie było jej w szkole od rana. Nie dotarła tam razem z Curranem.

„Proszę dostarczyć zwolnienie w ciągu dwóch dni roboczych”.

Zjawia się fala magii. Lesie szeleszczący, nie teraz.

Łapię słuchawkę i wykręcam numer Akademii Seven Star. Działaj, dziadu.

Sygnał. Drugi...

– Akademia Seven Star. Mówi Emily.

– Z tej strony Kate Daniels. Czy Julie zjawiała się dziś w ogóle w szkole?

– Nie, proszę pani...

– Proszę do mnie natychmiast zadzwonić, jeśli tylko się pojawi.

Rozłączam się i dzwonię do domu. Dryń. Dryń. Dryń. Dryń...

Co się mogło stać?

„Zostaw wiadomość”, odzywa się mój głos.

– Curran, gdzie jesteś? Nie mogę znaleźć małej. Julie, jeśli tam jesteś, podnieś słuchawkę. Nie masz kłopotów. Muszę tylko wiedzieć, że tam jesteś i nic ci nie grozi.

Cisza.

Odkładam słuchawkę i wybieram numer Barabasa.

– Widziałeś jak Curran dziś rano odjeżdża?

– Tak.

– Miał ze sobą Julie?

– Tak.

–Wrócił?

– Nie. Jestem tu cały rano, usłyszałbym jego samochód.

– Zadzwoń do mnie jeśli go zobaczysz.

Rozłączam się.

Zniknęli oboje. Zupełnie jak Eduardo. Żeby pokonać Currana potrzeba całej armii ghouli. Prędzej by zginął niż pozwolił zabrać Julie. Gdzie mógł z nią pojechać?

Wybieram numer Twierdzy, budkę strażniczą.

– Gromada, słucham – mówi Archie.

– To ja.

– Towarzyszko? To znaczy nie-Towarzyszko. Eks-Towarzyszko?

– Czy Curran jest w Twierdzy?

– Nie. Żadne z was nie może przebywać w Twierdzy dopóki nie minie dziewięćdziesięciodniowy okres separacji...

Odkładam słuchawkę.

Julie mieszkała kiedyś na ulicy. Jeśli nie porwały ją ghoule, a tylko związała ze szkoły, odnalezienie jej będzie trudne. Łatwiej będzie znaleźć Currana. A kiedy już go znajdę, powie mi czy podwiózł ją do szkoły. Wybieram numer Gildii. Zmuszę jednego z tych dupków żeby powiedział mi, czy on tam był.

Nagły sygnał przerwane połączenia wyje mi w uchu jak puls uciekiniera. Co znowu? Wybieram numer bezpośrednio do biura Marka. Telefon klika raz, drugi i moje ucho atakuje przeraźliwy krzyk, pierwotny wysoki wrzask ludzkiego przerażenia:

– Pomocy! Pomóż mi!

Głośny huk zagłusza resztę, a potem znajomy, dziewczęcy głos krzyczy:

– On się zbliża!

Julie.

Gildia znajduje się niecałe dwadzieścia minut jazdy konnej stąd. Wybiegam.

[I tak Cuddles powróciła do swej pierwotnej postaci :P]

Koniec Rozdziału 11

Rozdział 12 – Atak na Gildię

Jestem przecnicę od Gildii, gdy kawał ściany wielkości auta przelatuje nad budynkiem, zasłaniając słońce. [Biedna Kate, prawie jak Gothmog, porucznik Morgulu z „Powrotu Króla”, pod Minas Tirith.]

Szarpię wodze Cuddles w lewo, ta skręca, a ściana spada na bruk trzy metry od miejsca, w którym przed chwilą stałyśmy. Cegły rozsypują się po ulicy, odbijając od podłoża. Na cegły spada ciało, bezwładne jak szmaciana lalka. Głowa trupa przekręca się ukazując znajomą twarz. Krew cieknie z jego ust, a martwe oczy wpatrują się w niewzruszone niebo. Leroy. Jeżu kolczasty.

Cuddles galopuje. Pędzimy dalej tą ulicą, zakręcamy i wyłaniamy się na Phoenix Drive, prowadzącej do siedziby Gildii.

Widok przesłania ogromna para nóg. Owłosione kolumny wznoszą się na dziesięć metrów, gdzie kończą się obwisłym, pomarszczonym tyłkiem. Jego trzymetrowe stopy jarzą się pomarańczowo, jak kuty metal. Dociera do mnie żar, jakbym otworzyła drzwi pieca, w którym buzuje ogień. Czuję zalatujący smołą smród topiącego się asfaltu. Ulica wokół olbrzyma mięknie niczym wosk płonącej świecy.

Cuddles hamuje gwałtownie, zszokowana, a potem ja zbieram szczękę z asfaltu.

Za olbrzymem widać, że trzymetrowe drzwi budynku są lekko uchylone i pocięte.

Pewnie je kopał lub uderzał pięściami, ale wzmocniona stal nie poddała się, więc zmienił taktykę i zaczął dobierać się do budynku z góry, jak niedźwiedź próbujący dostać się do ula. Drzwi nie

wytrzymają długo, ich powierzchnia już się jarzy. Prędzej czy później żar stóp olbrzyma stopi je.

Gdzie jest policja, gdy naprawdę jej potrzeba? Dlaczego WAN nie rzucił się na tego człowieka-górę całą swoją siłą? Oni przecież żyją dla takich chwil.

Kolos odwraca się, ukazując blade plecy, a potem brzuch. Skórę ma pomarszczoną i obwisłą jakby był jednocześnie szczupły i sflaczały. Gdyby był normalnych rozmiarów człowiekiem, powiedziałabym, że jest około pięćdziesiątki. Jego łeb sięga do czwartego, połowicznie zniszczonego, piętra Gildii, czyli ma ponad dwadzieścia metrów wzrostu. [Czym się zabija Człowieka-Górę? Włóczy! Przydałby się Oberyn Martell.]

Jeśli Julie jest uwięziona w środku, to na pewno jest z nią Curran. Dlaczego nie ma go na zewnątrz, walczącego?

Muszę dostać się do środka.

Odsuwam wzbierający strach na bok. Spływa na mnie spokój. Jeśli Julie i Curran są w budynku, najszybciej im pomogę, usuwając olbrzyma. Panikować będę potem.

Rozchodzący się od jego stóp żar jest nieznośny. Nie ma mowy, żeby zaatakować z poziomu ulicy. Przez drzwi frontowe też nie przejdę. Muszę zrównać się z poziomem jego głowy, a wszystkie sąsiednie

budynki są za daleko, żeby potem na niego skoczyć. Lepiej będzie odciągnąć go od Gildii. Jeśli sprawię, że zacznie mnie gonić, poprowadzę go w dogodne miejsce. To może nie zadziałać, ale warto spróbować.

Biorę głęboki oddech i krzyczę ze wszystkich sił:

– Hej, dupku!

Olbrzym nie zwraca na mnie uwagi.

– Do ciebie mówię, pomarszczona dupo! Tutaj, ty wielki, włochaty półgłówku!

Kolos patrzy mętным wzrokiem w lewo. Jego twarz niegdyś była ludzka, czego ślady pozostały: ludzki nos, małe oczka, łysiejący czerep, ozdobiony peleryną ciemnych, długawych kudłów. Wargi ma podwinięte i wyzierają spośród nich ostre zębiska. Uszy mu rosną w oczach, wydłużając się i zyskując spiczaste czubki. Kość czołowa jest wypchnięta do przodu, osłaniając oczy.

Wciąż metamorfuje. Trudno powiedzieć, jak będzie wyglądał, gdy transformacja się skończy.

– Patrz na mnie, gdy z tobą rozmawiam, mendo!

Kolos znowu się odwraca chybotliwie, pokazując na chwilę paskudną mordę. Coś błyszczącego lśni w jego lewym uchu, jakaś maleńka, połyskliwa iskierka.

Jego oczy jarzą się jasnym, niezmiennym, pomarańczowym płomieniem. Nie ma w tych ślepiach inteligencji, a jedynie przymulona, głupia wściekłość.

Próbuję jeszcze raz.

– Taki wielki urosłeś, a fiutka nadal masz małego!

Zero reakcji. To na nic. Nie słyszy mnie albo jest za bardzo skupiony na wdarciu się do Gildii.

Olbrzym nachyla lekko cielsko. Wygląda na to, że zamierza zgiąć się w pół. O nie, lepiej nie... O jeżu kolczasty. Pewne obrazy potrafią wyryć się w pamięć na całe życie.

Kolos zagląda przez okno na trzecim piętrze, prostując się cofa wielką jak pień rękę i wali górne piętro Gildii. Cegły lecą w powietrze. Jego stopy jarzą się mocniej. Ciemny, metaliczny połysk posuwa się w górę łydek. Po nogach przesuwają się małe płomyki, a powietrze wypełnia swąd palonych włosków. Zmienia tkanki w metal, a sądząc po stopach, będzie on rozpalony do czerwoności. W życiu jeszcze czegoś takiego nie widziałam. Ilość magii niezbędna do stworzenia olbrzyma a następnie jego przemiany jest zatrważająca.

Zabić najpierw, zastanawiać się później.

Z okna drugiego piętra wychyla się człowiek i wypuszcza dwa bełty w miękką tkanę pod szczęką potwora. Monstrum ryczy i trzepie go łapą z zadziwiającą szybkością. Mężczyzna próbuje się uchylić i traci równowagę. Dłoń olbrzyma wali najemnika. Ten wypada z okna i uderza z chrupnięciem o chodnik. Monstrum unosi nogę i rozdeptuje leżącego.

Psisyn.

Żelazo na jego nogach przesuwają się o kilkadziesiąt centymetrów w górę. Jeśli cały zamieni się w metal, będzie niezniszczalny. Muszę rozprawić się z nim, zanim będzie za późno.

Jest jeszcze tylne wejście. Zwykle jest zamknięte i zabarykadowane od wewnątrz, ale lepsze to niż nic.

Kieruję Cuddles na bok i zmuszam do galopu. Budynki migają. W lewo. Jeszcze raz. Ludzie przebiegają obok mnie, uciekając w miasto. Wjeżdżam w boczną uliczkę, zeskakuję i biegnę za róg, na tył Gildii.

Tylne drzwi blokuje poskręcany wrak ciężarówki. Na niej leży pognieciony sedan, a na sedanie drewniany wóz. Pewnie złapał

pierwsze lepsze pojazdy z ulicy i poustawiał je na sobie, blokując drzwi. Chytrze.

Trzy metry nad ową barykadą znajduje się zabite deskami okno. Musiała być tam kiedyś szyba, bo ktoś zadał sobie trud zainstalowania na nim metalowej kraty. Osłony już nie ma, ale zostały stalowe wsporniki i fragment futryny.

To nie jest najmądrzejszy pomysł. Wspinanie się po tych samochodach wystawi mnie na ryzyko. Jeśli potwór zorientuje się co robię, nie będę miała dokąd uciec. Poza tym nie mam pojęcia, co jest za deskami. Może być mur, a wtedy będę miała kłopoty. Nieważne. Muszę dostać się do środka.

Olbrzym ryczy. Cegły lecą nad Gildią niczym deszcz meteorytów. Chowam się za rogiem i obserwuję, jak spadają na uliczkę. Ostatni kawałek odbija się od bruku. Wybiegam na ulicę i rozpędzam się.

Kretynka, kretynka, kretynka...

Pędzę do aut. Półtora metra przed ciężarówką odbijam się i skaczę na wraki. Wyciągam się i chwytam podziurawionej ściany, i podciągam. Budynek drży. Wspinaczka skałkowa nie jest moim hobby. A już na pewno nie wdrapywanie się na drżącą ścianę, podczas, gdy goły olbrzym przeżywa kryzys wieku średniego i uderza w budynek jak rozpuszczony szkrab. Może w ramach „rozrywki” powinnam się podpalić?

Palce mi się ślizgają, zsuwam się, ale łapię wystającej cegły. Powolutku.

Olbrzym ryczy jak tornado. Biedactwo. Taki znerwicowany. Nie szkodzi. Poczekaj jeszcze parę minut, a zlikwiduję wszystkie twoje frustracje

Wciągam się pod okno, sięgam ręką i łapię metalową framugę lewą dłonią. Trzyma się na miejscu. Prawą walę w deski, sprawdzając okno. Odpowiada mi głuchy pogłos. Pod spodem nie ma cegieł.

Chwytam się ramy obiema rękami i podciągam kolana. Futryna trzeszczy pod moim ciężarem i chwieje się, jak wypadający ząb. Pewnie wyleci po pierwszym kopniaku. Mam jedną, góra dwie próby.

Kopię deski obiema nogami. Pękają, ale nie puszczaają.

Odchylam się i uderzam ponownie. Deska po prawej stronie łamie się z trzaskiem.

Wielka łapa chwyta róg budynku na prawo ode mnie. Na zgniłe liście!. Nie słyszał, jak się wydzieralam, ale pękającą deseczkę już tak.

Powoli pojawia się łeb: najpierw policzek, potem podbródek, a na końcu oko wielkości opony samochodu. Coś mruga jasno w uchu olbrzyma.

Walę deski stopami. Drewno pęka, a pozostałości framugi wypadają. Przelatuję przez okno i spadam na stół, rozrzucając kartki oraz środki czystości.

Światło dziury okiennej zasłania wielka ręka. Przez okno wchodzi dwa paluchy, zaczepiają o ścianę i wyrywają spory jej kawał. Skaczę na równe nogi. Łapsko sięga po mnie. Dobywam Sarrat i rozcinam paluchy. Cieknie krew.

Olbrzym wyje i szybko cofa rękę. Odwracam się. Przy ścianach stoją metalowe regały, wypełnione stosami kartek i środkami czystości. Jestem w jakimś magazynku. Na przeciwległej ścianie mającą drzwi. Chwytam klamkę. Zamknięte. Niech to jeź kolczasty dziugnie!

Ściana za mną chwieje się. Zerkam przez ramię i widzę zbliżający się jak taran czerwony samochód. Uskakuję w bok, pod ścianę. Auto wali w drzwi, trzeszcząc metalicznie. Psisyn próbuje zgnieść mnie samochodem jak robaka.

Zakleszczone w olbrzymiej łapie auto ponownie uderza w drzwi.

Śmigam w lewo, wciskając się pomiędzy półki a jego rękę i rozcinam mu głęboko kciuk. Leje się krew. Stwór wrzeszczy i cofa dłoń, nie wypuszczając z niej auta. Przecięłam ścięgno prostownika. Już nie wyprostuje dłoni.

Tnę jeszcze dwukrotnie, szybko i precyzyjnie. Krew zalewa podłogę. Jego pięść wyskakuje z pomieszczenia jak korek z butelki. Pędzę do drzwi, odchylam się i kopię mocno tuż pod zamkiem. Drzwi łamią się. Przedzieram się przez nie na korytarz. Jestem na pierwszym piętrze, na wewnętrznym tarasie. Poniżej rozpościera się podłoga parteru Gildii. Ludzie przywierają do ścian.

Budynek drży. Znika część najwyższego piętra, oderwana potężną siłą. Przez chwilę słońce rozświetla wnętrze tej eks-wieży i dostrzegam Kena i Juke, przyciśniętych do ściany na trzecim piętrze, tuż obok nieczynnej windy. Wargi Kena poruszają się, ma skupiony wzrok. Juke ściska w dłoni łuk. Nigdzie nie widać Julie i Currana.

Światło słoneczne zostaje przesłonięte łbem olbrzymia, który zagląda przez dziurę. Potwór otwiera usta, ukazując pożółknięte zęby. W Gildii rozlega się głuchy ryk. Dobrze. Wkurzyłam go. Biegnę tarasem do schodów. Olbrzymia łapa sięga na dół, palce rozszerzone jak pysk smoka, ale nie dostaje do podłogi. Paluchy orzą powietrze.

Juke wybiega ze swojej kryjówki, unosi łuk i strzela. Strzała tnie powietrze i trafia pod lewą powiekę potwora. Juke chowa się.

Olbrzym szaleje, próbując rozwalić taras, na którym dziewczyna się kryje.

Ken łączy dłonie. Strumień żółtej pary strzela spomiędzy nich. Olbrzym podnosi łapę, by zakryć twarz. Para trafia w jego dłoń. Pod skórą pojawiają się pękające pęcherze. Rozlega się potężny wrzask bólu, tak głośny, że nieomal zwała mnie z nóg.

Mam przed sobą schody. Wbiegam po klatce. Mijam trzecie piętro. Wybiegam zza zakrętu i widzę nad sobą niebo. Olbrzym oderwał spory kawał czwartego piętra i teraz schody wystają nad budynek, prowadząc donikąd.

Zmuszam się do zwolnienia tempa i kilka ostatnich stopni pokonuję wolnym krokiem. Muszę być teraz jak najbliżej niego, ale nie chcę żeby zepchnął mnie z klatki.

Olbrzym ryczy tuż przede mną, łapiąc ludzi w dole. Przyciągam magię do siebie i wyrzucam słowo mocy.

Aarh! Stój!

Magia wyrywa się ze mnie jak piekielny ogień i mknie w kierunku potwora. Zamiast jednak pochwycić go, moja moc wpada na niewidzialną ścianę. Odbija się rykoszetem i wali we mnie. Spadam po schodach i wpadam na ścianę. Kości mi grzechoczą. Próbuję krzyczeć, ale ból pozbawia mnie głosu. Nie mogę mówić. Nie mogę

myśleć. Nie mogę się poruszyć. Olbrzym nade mną, jak wielki rozmazany cień, wciąż próbuje dostać się do środka.

Nie zadziało. Moje słowo mocy odbiło się rykoszetem.

Czas się zatrzymuje. Kręci mi się w głowie. Chwyta mnie wir bólu, ciemny i bezwzględny. Czuję się jakby ktoś kroił mi duszę na cienkie plasterki. Żyłki wypełniają mi usta i gardło. Borze szumiący, jak to boli. Strasznie. Bolą mnie uszy, krwawią dłonie. Klatka piersiowa nie chce się unieść. Jakbym umierała. Kurczowo trzymam się życia, ale to tak potwornie boli. Jeśli odpuszczę, to chyba przestanie boleć.

Wstać. Muszę wstać. [Get up, Trinity. Just get up.]

Nogi mam jak z waty, a kości jakby połamane i teraz ich odłamki wypełniają ciało.

Olbrzym prostuje się i podnosi pięść, w której szarpie się ludzka postać. Widzę jej czarne włosy, Żeby to nie była Juke... [A kto? Lepiej żeby zginął nieznajomy, bo jego życie jest mniej cenne?]

Wielgachna paszcza olbrzyma otwiera się i żółte zęby przegryzają człowieka.

Ty psisynu.

Odrzuca dolną połowę tej osoby jak zużytą chusteczkę i sięga po następną.

O nie, nie zrobisz tego.

Moja wściekłość pokonuje ból. Chwytam się jej jak koła ratunkowego i wstaję z wysiłkiem na czworaki. Wstanę. Muszę wstać.

No dalej nóżki. Prostujcie się. Po centymetrze.

Nie ujdzie mu to na sucho. Odpowie mi za to. Nikogo już więcej nie zabije.

Pojawia się spazm bólu. W głowie eksploduje biała mgiełka i przestaję widzieć.

Skupiam się na oddychaniu. Spokój. Nie mogę się denerwować.

Mgiełka wypala się w następnej eksplozji bólu. Chowam Sarrat i wyciągam dwa sztylety. Teraz wystarczy tylko pobiec. Bułka z masłem.

Wbiegam po schodach. Ból znowu atakuje. Jeden stopień, dwa, trzy. Przede mną ostatni. Plecy olbrzyma znajdują się poniżej, ponieważ schylił się i wyciąga żeby kogoś złapać. Skoczę i spadam na niego z wyciągniętymi sztyletami. Stopami dotykam już jego pleców.

Ześlizguję się i jednocześnie mocniej wbijam oba ostrza. Jego skóra jest gorąca jak drzewiczki piecyka.

Olbrzym obraca się, usiłując strącić mnie łapskiem, ale wylądowałam prawie centralnie w martwym polu jego pleców, blisko kręgosłupa. Jego paluchy mijają mnie, nie czyniąc szkody.

Wyciągam lewy nóż i znowu go wbijam, piętnaście centymetrów wyżej. Z rany cieknie gorąca krew, mocząc mi ubranie. Olbrzym porusza ramionami, mięśnie pod skórą przesuwają się. Wyrywam prawy sztylet i zatapiam wyżej niż lewy. Lewy, prawy, lewy, prawy. Ręce mi się wyrywają ze stawów z wysiłku. Lewy, prawy, lewy, prawy...

Grube, chropowate, żelazne kolce wyrastają z kręgosłupa, tuż przy mnie tworząc grzebień. Skóra bardzo parzy. Wciąż podlega metamorfozie i akurat teraz jest mi to na rękę. Chwytam kolce i wciągam się dzięki nim.

Wielkie łapsko sięga przez ramię i uderza kilkadziesiąt centymetrów nad moją głową. Skóra pode mną trzęsie się. O lesie szumiący. Jeśli dalej będę się wspinać, rozplaszczy mnie jak naleśnik.

Z Gildii wylatuje chmara much wielkości piłek tenisowych i zaczyna bzyzczyć dookoła łba giganta. Ten macha rękami. Moje nogi odrywają się przez to od cielska olbrzyma, ale utrzymuję się na nim. Przestaje się wiercić i wali się w twarz. Zerkam do góry. Muchy unoszą się w

gęstej chmarze po jednej stronie, po czym powoli przesuwiają się na drugą. Olbrzym próbuje je rozgonić i wyje.

Ktoś mi pomaga.

Wspinam się po plecach kolosa, wbijając pojedynczo sztylety i wspomagając się jego własnymi kolcami. Już widzę bark. Prawie na miejscu. Wsadzam nóż ostatni raz. Ramię ma metr dwadzieścia długości i niecały metr szerokości. Szyja ma metr wysokości. Chwytam jego kudły w garść i przerzucam jedną nogę przez ramię, dosiadając go.

Jego twarz straciła niemal wszystkie oznaki człowieczeństwa. Usta to szeroka jama, nos jest płaski z dwoma wystającymi znikąd dziurkami, jak u byka. Muchy wciąż latają wokół jego głowy. Daleko w dole stoi z wyciągniętymi rękami Ken. Wciąż inkantuje, a na jego twarzy maluje się wysiłek.

Dobynam Sarrat. Nie wystarczy naruszyć tętnicę szyjną. Umarłby dopiero po dziesięciu minutach. Unoszę klingę i dźgam głęboko bok szyi, pod jabłkiem Adama, gdzie tętnica szyjna rozgałęzia się na wewnętrzną i zewnętrzną. Jucha moczy mi dłonie, wydostając się z rany gorącym strumieniem. Wbijam ostrze głębiej, przecinając arterię. Nie muszę całkiem jej zniszczyć, a jedynie wyrządzić duże obrażenia. Częściowo przekrojona tętnica wykrwawi go szybciej niż odcięta żyła. Jasna krew tryska gejzerem, polewając mnie jak wąż strażacki. Tak!

Olbrzym traci równowagę. O lesie liściasty, jak ja stąd zejść?

Chowam Sarrat i chwytam obiema rękami kudły. Kolos chwieje się w przód i do tyłu. Przykłada łapę do szyi, próbując powstrzymać potop. Trzymam się kurczowo włosów, ale śliskie od juchy dłonie ześlizgują się. Upadnij. No upadnij już.

Olbrzym zatacza się do tyłu z głośnym krzykiem, kręcąc się jak oszalały, wytrącony z równowagi, a potem znowu do przodu. Krew wciąż tryska. Potrzebuję jeszcze minutki lub dwóch. On już jest martwy, tylko o tym nie wie.

Szarpnięcie w prawo i widzę kogoś wbiegającego po schodach.

Kolos ponownie kołysze się jak pijak, próbując podeprzeć się o budynek Gildii. Jego łeb opada do tyłu. Biegający skacze z włócznią w dłoni i widzę jego twarz. Lago. Łąduje na olbrzymim policzku. Czubek włóczni błyszczy w słońcu, a Lago wbija go prosto w gałkę oczną olbrzyma.

Jakie dramatyczne i zupełnie zbędne wejście. Gdybym nie bała się o życie, biłabym mu sarkastyczne brawa.

Kolos ryczy, a całe jego ciało drży. Kołysze się obok Gildii, próbując złapać się czegoś, ale ręce trafiają w pustkę. Kolana załamują się pod nim i opada, a jego twarz ociera się o zniszczony dach budynku.

Lago przeskakuje na zrujnowaną Gilde. Mnie nie przypada w udziale taki luksus.

Olbrzym odchyła się do tyłu. Jeśli upadnie na plecy, już po mnie.

Krew wciąż cieknie. Kolos opada niezgrabnie na czworaki przed zniszczonymi drzwiami. Pięć i pół metra do ziemi, a wszystko zasłane szczątkami z jego napadu wściekłości. Nie ma innej rady, muszę stąd spadać.

Puszczam się i staczam po zakrwawionym cielsku, nabierając prędkości. Plecy kończą się a ja spadam pionowo, zginając kolana i obejmując głowę. Uderzenie wibruje mi w stopach.

O jeżu, ale to boli. Przetaczam się, opuszczam ręce i widzę, że olbrzym wpatruje się we mnie jednym, wściekłym okiem, a z drugiego wystaje włócznia. Jego potężna dłoń zasłania słońce.

Nie mam gdzie uciec. Zwijam się w kłębek. Jego paluchy uderzają w ziemię po bokach.

Nie trafił. Nie trafił!

Ręka znowu się unosi, a ja podnoszę się niezdarnie i przedzieram przez zlepki cegieł oraz zaprawy. Kolos próbuje mnie złapać, ale wysiada mu lewa ręka. Potem upada i przetacza się na plecy. Ziemia drży.

Wycofuję się do drzwi Gildii. Jego dłoń opada, a oko przewraca w czaszce. Drży po raz ostatni i nieruchomieje. Gejzer krwi spowalnia.

Z drzwi Gildii wybiegają ludzie. Przeszukuję wzrokiem zszokowane twarze, chcąc odnaleźć znajome rysy twarzy i blond włosy. Na próżno.

Na końcu wlecze się kulejący facet.

– Czy to już wszyscy? – pytam go.

– Tak. Ja jestem ostatni.

Z boku podbiega kobieta, przedzierając się przez wychodzący tłum. Twarz ma rozgorączkowaną.

– Mamo! Mamo! Tutaj!

Julie. Odwracam się w kierunku głosu.

Z tłumy wybiega czarnowłosa nastolatka. Biegnąca kobieta bierze ją w ramiona. Dołącza do nich mężczyzna.

Borze szumiący. To jej głos słyszałam w słuchawce. Mojej Julie tu nie ma. To jest czyjaś inna córka.

Z ulgi kręci mi się w głowie. Siadam na fragmencie ściany, opierając się o niego plecami. Bolą mnie ręce, ramiona jeszcze bardziej, a ostatnie echa rykoszetu słowa mocy wciąż kołaczą się we mnie, dławiąc piekącymi skurczami.

Stanie boli, więc sobie siedzę, pławiąc się w przyjemnym odczuciu ulgi w nogach. Wyciągam szmatkę i ocieram oczy. Robi się cała karmazynowa. Słowo mocy odbiło się rykoszetem i trafiło we mnie. Zdarzało się wcześniej, że słowa mocy nie działały. Na przykład „ud”, słowo które zabija zwykle nie działa. Żeby coś nim zabić trzeba zupełnie osiąść cel. Pierwsze dwa razy kiedy je wypróbowałam, ból był tak przejmujący, że sądziłam iż umrę. Tym razem było gorzej. „Aarh” to prosta komenda nakazująca się zatrzymać. Zwykle powoduje unieruchomienie celu na około cztery sekundy. Jeszcze nigdy nie odbiło mi się czkawką. Czy słabnę? Może olbrzym był za duży? Odporny na moja magię? Tyle pytań i żadnych odpowiedzi. Wrr.

Czerwony strumień wypływający z szyi kolosa w końcu ustaje. Wykrwawił się. To koniec.

Zamykam oczy i siedzę w kompletnym bezruchu.

KONIEC Rozdziału 12

Rozdział 13 – Plujki

Pojawienie się olbrzyma jest czymś niezwykłym nawet w postzmiennej Atlancie. Pierwszy na miejsce przyjeżdża WAN, a w ślad za nim flota karet pogotowia, które ustawiają się wokół siedziby Gildii. Policja bada giganta i ustala, że nie żyje, ale na wszelki wypadek obstawia go swoimi pojazdami pancernymi oraz przeprowadza przesłuchania wszystkich obecnych. Biorą moje zeznanie i nakazują nie opuszczać miejsca przestępstwa.

WOOP (Wojskowe Oddziały Obrony Przeciwnadnaturalnej) zjawia się w drugiej kolejności i natychmiast wdaje w wojnę o jurysdykcję z WAN-em, ponieważ ten nie pozwala im wysadzić truchła olbrzyma i dla pewności spalić szczątków na popiół.

WOOP także przyjmuje moje zeznanie i nakazuje nigdzie się nie ruszać. Gdy zjawia się dochodzeniówka, mówię im z góry, że nigdzie się nie wybieram i nie zamierzam odpowiadać na żadne pytania, chyba że zjawi się tu jakiś kapitan z policji, który stwierdzi, że jestem zagrożeniem dla cywilów i zażąda żebym oddała odznakę. Potem dają mi spokój. [Dirty Harry czy Death Wish? :P]

Następnie przyjeżdżają ekipy reporterskie we wściekle rozentuzjasmowanej fali. Odkąd internet padł a telewizja działa tylko okresowo, większość wiadomości dostarczana jest za pośrednictwem gazet. Niemniej i tak zjawia się kilka ekip telewizyjnych, które od razu otaczają Lago. Najemnik stoi tam teraz z uroczym, zbyt skromnym uśmiechem.

– Czy został pan ranny? – dopytuje nieco zbyt głośno jeden z reporterów.

– To nic poważnego, ale tak, nogi będą mnie bolały. – Lago mruga.

– Już nie jestem pierwszej młodości i nie zdrowieję tak szybko, ale przecież ktoś musi bronić domu.

Siedzę na kawałku betonu, niedaleko drzwi Gildii. Okropnie boli mnie głowa, jakby ktoś walił w nią młotem. Każde „uderzenie” niemal rozszczepia czaszkę na pół. Potem na sekundę ból znika i czuję falę ulgi do następnego ciosu. Orientuję się, że owe „ciosy” są skorelowane z uderzeniami serca. Dzieje się ze mną coś złego, związanego z krwią. Odczuwam zawartą w niej magię jako wrzenie. Piecze mnie od wewnątrz każde naczynie krwionośne. Nic na to nie poradzę. Posiedzę tu i przeczekam. Kiedy ten cyrk się skończy, zajrzę do Doolittle'a. Przyjmie mnie, choć odeszłam z Gromady. Tyle że jeszcze przez miesiąc mam zakaz wstępu do Twierdzy. Niech to wąż ściśnie.

Zwłoki olbrzyna leżą jakieś pięćdziesiąt pięć metrów ode mnie. Upadł na drugi koniec rozległego parkingu Gildii i spoczywa na boku. Jego lewe ramię jest wyciągnięte ku Phoenix Drive, a stopy do siedziby Gildii. Większość sił porządkowych ulokowana jest na prawo ode mnie, na ulicy. Przypadkowi gapie przyglądają się kolosowi i płaczą po parkingu, pomimo dzielnych prób WAN-u, by trzymać ich z daleka. Stoi tu pojedynczo kilkoro najemników, oglądających swe zniszczone auta. Alix Simos, którego

stuningowany lexus skończył bezpośrednio pod udem olbrzyma, wygląda jakby stracił członka rodziny.

Do cielska kolosa zbliża się grupka nastoletnich chłopców, w wieku od mniej więcej dwunastu do szesnastu lat. Chudy blondasek z tej paczki dźwiga długą gałąź.

– Hej! – krzyczy policjantka. – Wynocha stąd!

Chudzielec dźga trupa gałęzią.

Policjantka rusza ku dzieciakom z miną świętego oburzenia na twarzy. Gnoje dźgają cielsko jeszcze raz i zwiewają, skacząc przez zgliszcza.

Hej, tu jest trup czegoś ogromnego i straszego, co pożerało ludzi za życia. Chyba podejść i dziugnąć to patykiem, będzie fajnie. Wzdycham. Nastolatki. Pewnych rzeczy nie zmieni nawet magiczna apokalipsa.

Z bocznej uliczki wyłania się koniowate, biało-czarne stworzenie i jak gdyby nic przechodzi obok najemników, policji oraz żołnierzy i trąca mnie pyskiem.

– Hej, ty – odzywam się.

Cuddes znowu mnie trąca. Sięgam do juków, wyciągam marchew i podaję jej. Ośliczka zgarnia ją z mojej dłoni i chrupie radośnie. Głaszczę ją. Jest mi strasznie niedobrze.

Staram się myśleć krótkimi, nieskomplikowanymi zrywami. To mniej boli. Currana i Julie nie było w budynku. Nie mam pojęcia gdzie są. Dam WAN-owi jeszcze pięć minut, a potem zmywam się stąd. Jak będą się burzyć, poszczuję ich Barabasem.

Podchodzi do mnie Juke, z Kenem u boku. Dziwię się w duchu. Twarz dziewczyny jest bledsza niż zazwyczaj, wyostzona adrenaliną. Wygląda na nieźle wkurzoną. Natomiast Ken jest jak zwykle spokojny.

– Ty żyjesz – odzywam się. – Zdawało mi się, że przegryzł cię na pół.

Juke wykrzywia buzię.

– To nie byłam ja. To Roger.

– Och.

Znałam Rogera jedynie z widzenia. Młody chudzielec z czarnymi włosami.

– Jak ty możesz to tolerować? – Juke macha ręką w kierunku Lago.

– On udaje wielkiego bohatera!

Wzruszam obojętnie ramionami.

– Serio? Przecież to bzdura! – Wskazuje palcem na Lago, uśmiechającego się do dziennikarzy. – Ty zabiłaś olbrzymia, a on przypisuje sobie całą zasługę.

– Nie zrobiłam tego dla zasług.

Juke wpatruje się we mnie przez dobrą sekundę, klnie i odchodzi, znikając wewnątrz Gildii.

– Dzięki za te muchy – zwracam się do Kena.

Mag zastanawia się. Dawkuje słowa jak wodę na Saharze.

– Nie ma za co – odzywa się w końcu. Zerka na za Juke. – Ona jest jeszcze młoda.

Wkłada w to zdanie dodatkowe znaczenie. Juke jest impulsywna i aż nadto odważna, no i chce dowieść swojej wartości. Stojący w światłach reflektorów Lago jest dla niej ogromną niesprawiedliwością. Dla mnie wygodną wymówką. Nie chcę być napastowana przez dziennikarzy. Jeśli Lago nawet o mnie nie wspomni, ucieszę się.

Kiwam głową w kierunku olbrzymia.

– Wiesz może od czego się zaczęło?

Ken opiera się przy mnie o bryłę betonu.

– Do Gildii przyszedł mężczyzna. Po wejściu nie odezwał się, tylko czekał. Wyglądał jakoś dziwnie. Chris zapytał czego chce, a ten odpowiedział: „Zmiażdżyć wrogów”. Potem odwrócił się i wyszedł, a potem – Ken klaszcze głośno – zadziałała magia. Kopnął drzwi wejściowe, ale się zaklinowały. Próbowaliśmy wydostać się tylnym wyjściem, ale było zablokowane na amen. Resztę wiesz.

Szczupły, żyłasty Alix Simos przykuca na parkingu przy swoim lexusie. Stojący kilka metrów dalej Cruz coś do niego mówi, ale Alix ignoruje go. Cruz jest spory, piętnaście centymetrów wyższy i dwadzieścia kilogramów cięższy.

– Wydawało mi się, że widziałam coś błyszczącego w lewym uchu olbrzyma – dzielę się spostrzeżeniem.

Ken przytakuje.

– Zniknęło. Sprawdziłam.

– Nie miał go, gdy upadał – stwierdza Ken.

– Na pewno.?

Kiwa głową.

Oboje spoglądamy na Lago. No proszę, wygląda na to, że ktoś zabrał sobie pamiątkę. Ty chciwy głupku.

– Wzięcie tego to zły pomysł – dubluje moje myśli Ken.

Tym razem ja przytakuje.

Reporterzy zaczynają się rozchodzić. Improwizowana konferencja prasowa pewnie się skończyła. Lago rusza do mnie spacerkiem, uśmiechając się olśniewająco.

– Hej, Kate! Aleśmy dziś dali czadu!

– Co zabrałeś olbrzymowi?

Unosi ze zdziwieniem brwi, ale uśmiecha się chytrze.

– Wyjąłeś coś z jego ucha.

Lago uśmiecha się od ucha do ucha.

– Nie wiem o czym mówisz, słonko.

Nazwij mnie jeszcze raz „słonko” to ci przefasonuję gębę.

– To bardzo głupi ruch. Nie miał na sobie nic, oprócz tego jednego przedmiotu, czyli dzięki niemu stał się olbrzymem. Wziąłeś zaklęty artefakt o nieznannej mocy od niszczycielskiego potwora, który zapewne był przedtem człowiekiem. Nie masz pojęcia jak na ciebie zadziała.

– Ale ty masz bujną wyobraźnię.

– Ona ma rację – popiera mnie Ken.

– Oddaj go. Nie jest tego wart.

Uśmiech Lago gaśnie.

– Słuchaj, rozumiem. Masz żal, że nie tobie przypadła cała zasługa. Ale po co od razu zmyślać?

– Lago, patrzyłam w oczy tego monstrum. Były puste. Jeszcze niedawno był człowiekiem, a skończył jako olbrzym o umyśle trzylatka. Nawet nie mówił. Takiej przyszłości pragniesz?

Unosi ręce na boki. Podnosi głos.

– Uważasz, że to mam? Przeszukaj mnie! Śmiało!

Gliny patrzą w naszym kierunku. Dupek jest zbyt pewny siebie. Pewnie nie ma tego przy sobie. Jeśli przeszukam teraz zabójcę olbrzyma, zaczną zadawać pytania i może aresztują. Spędzenie godzin na dołku lub na przesłuchaniu nie jest mi teraz na rękę. Muszę znaleźć rodzinę.

– Próbuję uratować ci życie – cedzę przez zęby.

– Zawsze cię szanowałem. – Lago opuszcza ręce. – Ale to? To czysta zazdrość. Miałem o tobie lepsze mniemanie. To wielki wstyd, gdy starsi najemnicy tak się traktują.

Wrr.

Odwraca się na pięcie i odchodzi. Z tyłu grupa nastolatków robi drugie podejście do dziugania olbrzyma. Mają tyle samo rozsądku co Lago.

Ken patrzy za Vistą.

– Muszę teraz się zastanowić.

Unoszę pytająco brew.

– Pewnie niedługo będziemy musieli zabić następnego kolosa. Muszę zastanowić się jak.

Znajomy jeep podjeżdża do taśmy policyjnej i zapominam o Kenie oraz Lago. Drzwiczki otwierają się.

Serce wali mi w piersi.

Z auta wyskakuje z poważną miną Curran. Jest umazany krwią. Z drugich wysiada Julie. Jej twarz, ubrania i toporki są spryskane juchą. Za nią z auta wydostają się Derek i Ascanio, obaj w postaciach bojowych.

Gdzie oni się podziewali?

Twarda, metalowa skóra na stopie olbrzyma buzuje i pęka jak lawa. Okolicę zasnuwa chmura śmierdzącego gazu. Z truchła wysypują się gady wysokości człowieka, pokryte spiczastymi łuskami jak u jaszczurek kolczastych. Wyskakują na umięśnionych odnóżach.

Wyciągam Sarrat z osłony.

Jaszczury ustawiają się w nierównym półkolu na obrzeżach parkingu jak pstrokata czarno-brązowa fala, blokując przejście do Currana i WAN-u. Patrzymy na siebie przez ułamek sekundy, a potem jego skóra wybucha szarą sierścią. Przesłaniają mi go jaszczury.

Znowu mamy przeobrażenie ożywińcowe. Jest zbyt rzadkie, by nie być powiązane ze sprawą solfugi. Z nieznanego powodu koci

antagonista, który dręczył Oswaldów, postanowił raz na zawsze rozprawić się z Gildią. Może to zemsta za regularne zabijanie jego zwierzątek.

Nastolatki zamierają jak zajęce w światłach reflektorów, ponieważ odcięto im drogę ucieczki. Dwaj najemnicy, którzy pozostali na parkingu, sięgają po broń. Samotny gliniarz, uwięziony przy głowie olbrzyma, powoli dobywa wojkowego miecza, przyciskając się plecami do pogniętego chevroleta.

Jaszczury wpatrują się w nas błyszczącymi ciemnopomarańczowo ślepiami. Różnią się rozmiarami – od psa do kucyka. Szybkie, zwinne i uzbrojone w pięciocentymetrowe kły. Szanse na to, że to roślinożercy są nikłe. Gady reagują na ruch. Jeśli będziemy uciekać, zaczną nas gonić. Od nastolatków dzieli je osiemnaście metrów, a od chłopców do mnie i Kena są następne trzydzieści dwa.

W życiu nie dobiegniemy do pojazdów WAN-u. Naszą najlepszą opcją jest Gildia.

Ken unosi dłonie i zaczyna łagodnie inkantować, nieustająco mruczając, wkładając moc w każde słowo.

– Nie biegnijcie! – wołam.

Dzieciaki okręcają się do mnie.

– Chodźcie w moją stronę. Powolutku.

Chłopcy ruszają. Dwaj najemnicy, Simos i Cruz również wycofują się z wolna i ostrożnie, obserwując jak morze zwierząt zwiększa objętość, produkując kolejne sztuki. Są najdalej od Gildii.

Jaszczury wciąż napływają. Niemożliwe, żeby jeden trup zmienił się w tę całą hordeę. Jak gdyby głęboko w martwym ciele giganta otworzył się portal i wyrzucał je tutaj.

Fala jaszczurów rozdziela się, oba strumienie zawracają i zbierają się, a zwierzęta oceniają pobojewisko. Najbliższy jaszczur, wielki, brązowy, nakrapiany czarno stwór otwiera pysk. Wydobywa się z niego niski głos, poszarpany ostrymi rzędami zębów.

– Mięso.

O jeżu kolczasty.

Drugi jaszczur odzywa się podobnym głosem:

– Mięso.

Zwierzęta nie mówią. Są dwa rozwiązania: albo to są niezwykle zaawansowane stworzenia mityczne, albo ktoś kontroluje całe stado, tak jak piloci wampiry. Tak czy inaczej jesteśmy w czarnej dupie.

– Mięso.

– Mięso.

Powietrze faluje, gdy setki gadzich pysków powtarzają bez końca:

– Mięso... Mięso... Mięso...

– Nie biegnijcie! – wołam jeszcze raz.

Cruz odwraca się i popycha z całej siły Alixa. Mniejszy najemnik upada na asfalt. Alix zatrzymuje się na dłoniach, jakby robił pompki i nieruchomieje. Cruz biegnie w stronę Gildii. Ty psisynu.

Łby jaszczurów odwracają się momentalnie jak rekiny do krwi w wodzie. W stronę Cruza rusza niewielka, smoliście czarna jaszczura. Wzdłuż kręgosłupa podnosi się jej wachlarz jaskrawych, cynobrowych kolców. Najemnik bierze zamach maczetą.

Czarna jaszczura otwiera pysk i wypluwa strumień pianistej plwociny prosto na Cruza. Ten wrzeszczy. Jego skóra rozciąga się jak roztopiony воск, odłazi i ześlizguje się z niego, obnażając nagie, krwawe mięśnie. Cruz upada, krzyk urywa się w połowie. Gady dają nura za nim, a miejsce, gdzie upadło jego ciało zmienia się w kłębiący się wir łuskowatych cielsk.

– Mięso! – ryczy reszta stada. – Mięso!

Nastolatkwie biegną. Jaszczury ruszają za nimi pędem. Po drugiej stronie parkingu ludzie krzyczą, gdy pierwsza fala gadów wdziera się w gapiów.

Ruszam biegiem, trzymając Sarrat przed sobą. Moja głowa protestuje zgrzytliwie, ból rozrywa mi czaszkę.

Alix skacze na równe nogi i goni za dzieciakami. Wysoki, tyczkowaty chłopak potyka się o cegłę i upada. Reszta bandy omija go i przebiega koło mnie. Alix biegnie co sił, pracując mocno rękami.

Najbliższy jaszczur w pościgu kłapie zębiskami, rozdzierając puste powietrze dwadzieścia centymetrów od jego łydki. Przedostaję się przed leżącego chłopaka. Dobiega do mnie pierwszy jaszczur, a ja obcinam mu łeb.

Simos mija mnie, podrywa chłopca na równe nogi i ciągnie za sobą. Zbyt wolno. Potrzebują więcej czasu, żeby dostać się do budynku. Muszę go im zapewnić.

Jaszczury rzucają się na mnie gromadą. Dźgam i tnę, cofając się. Mdłości stają się nie do wytrzymania. Piekący, niemalże oślepiający ból głowy grozi utratą przytomności.

Nad parkingiem Gildii unosi się zbiorowy ludzki krzyk.

Ciąć i wycofywać się. I tak cały czas. Muszę wydostać się stąd powoli i nie dać rozerwać na strzępy. Jaszczury poruszają się naprzód w nierównym półkolu, próbując mnie okrążyć. Jest ich zbyt wiele...

Czarne, kudłate cielsko wbija się w jaszczury. Strumień żrącej śliny strzela obok mnie i rozpryskuje się na ziemi, nie czyniąc nikomu krzywdy. Ogromny pies zaciska szczęki na karku gada i potrząsa nim jak terrier szczurem.

Grendel. Pewnie Curran wziął go ze sobą. Jaszczury zamierają w szoku.

Potężny pies porzuca martwe ciało i szczyrzy się do mnie białymi zębami. Błękitny ogień tańczy na jego kłach i kudłatej sierści.

– Dobry piesek.

Grendel staje przy moim lewym boku i powarkuje.

Migrena znowu przypieka mi mózg. Mam zawroty głowy, a kwas pali mi gardło. W dupę żaby z tym. Nachylam się i wymiotuję. Zaczynają działać endorfiny i ból łżeje na chwilę.

Jaszczury wahają się. Ich pozbawione źrenic oczy płoną głodnym, pomarańczowym ogniem. Nie bały się, gdy ja je zabijałam, lecz najwyraźniej czarny, kudłaty kundel jest dla nich czymś niepojętym.

– Mięso! – ryczą znowu.

Inne podłapują okrzyk:

– Mięso! Mięso! Mięso!

Gady ruszają na mnie jednocześnie. Tnę, rozcinam, pcham, kopię i dźgam. Ciała wokół mnie padają. Wycofujemy się razem z Grendelem, walcząc o każdy centymetr. Kły gada kłapią na mnie. Stwór chwyta bok psa. Ten powarkuje, a ja zatapiam Sarrat w grzbiecie potwora. Pazury rozorują mi nogi. Okręcam się i zabijam następne monstrum. Z jego gardła wystaje strzała. Kątem oka widzę za mną Alixa z łukiem w dłoniach. Naciąga i wypuszcza strzały szybkimi, płynnymi pociągnięciami, które przychodzą mu naturalnie jak oddychanie.

– Wszyscy do broni! – Po drugiej stronie parkingu, gdzieś za hordą jaszczurów, wrzeszczy na całe gardło kobieta. – Uformować szyk! Walczący wręcz na przód! Chcę maga tutaj i drugiego tam! Oślepić je! Łucznicy, ustawić się za magami! Bierzcie ich w ogień krzyżowy! I zachowywać się jak na żołnierzy przystało!

Cofamy się bardzo powoli. Oddech mi się wyrównuje. Umysł kataloguje obrażenie i ignoruje je. Grendel krwawi, ale wciąż walczy, wgryzając się w gadzie cielska. Stado zacieśnia okrąg wokół nas. Skupiają się na Grendelu, uważając go za łatwiejszy cel. Po moim trupie!

Ryzykuję zerknięcie przez ramię.

Osiemnaście metrów do Gildii. Bardzo trudnych metrów. Zaraz znowu zwymiotuję.

Po prawej stronie ciała gadów zaczynają odlatywać jak odrzucone buldożerem. Ktoś bardzo silny i ogromnie zmotywowany przedziera się przez pole walki.

– Na wielki dąb, co to jest? – pyta Alix.

– To mój misio-pysio.

Na widoku pojawia się Curran jako ponad dwumetrowy potwór, odziany w stalowe mięśnie i szare futro. Jego kończyny poprzecinane są bladymi pasami, a z pazurzastych dłoni kapie krew. Na lewym boku brakuje mu kawałka skóry, mięśnie są odkryte.

Łapie najbliższego jaszczura, skręca mu kark z głośnym trzaskiem i odrzuca go na bok.

– Hej, maleńka.

– Cześć. – Odcinam gadowi łeb. – Gdzie są dzieciaki?

– Z WOOP-em. – Patroszy stwora szybkim machnięciem pazurów. –
Bawisz się beze mnie?

– Lenię się. Herbatka, ciasteczka, te rzeczy. – Rozprawiam się z
następnym gadem. – Rozmyślam nad naturą życia.

Kocham cię.

– Chyba dołączę do ciebie.

On też mnie kocha.

Cofamy się razem. Drzwi Gildii mającą za nami.

– Padnij! – krzyczy ostro Ken.

Obejmuję mocno Grendela i przyciskam do asfaltu. Curran też się
rozpłaszcza, ochraniając mnie ramieniem.

Strumień paskudnej, żółtej pary strzela nad naszymi głowami i
wgryza się w pierwszy rząd jaszczurów. Zaczynają drżeć, ich
kolczasta skóra pokrywa się pęcherzami, po czym zdychają. Skaczę
na równe nogi i przebiegam kilka ostatnich metrów do Gildii.
Pomiędzy metalowymi skrzydłami przemyka Grendel, potem ja, a
na końcu Curran. Obracamy się oboje i blokujemy wąską przerwę, w
której nie zmieszczą się więcej, niż trzy jaszczury jednocześnie. Juke
ustawia się z włócznią w dłoni obok nas, a z tyłu Alix naciąga łuk.

Curran obejmuje mnie ramieniem, a ja go przytulam, choć jest pokryty futrem i juchą. To uczucie nie do opisanie. W życiu można doświadczyć zaledwie kilka momentów całkowitego szczęścia. To właśnie jeden z nich. Przytulam się mocniej, ciesząc każdą chwilą czułości.

– Migdalcie się gdzie indziej – rzuca Juke.

Rozdzielamy się, akurat żeby zobaczyć jak zabija pierwszego jaszczura.

– Gdzie byłeś? Co się stało?

Odcinam pół łba następnemu gadowi.

– Zabrałem dzieciaki na walkę z ghoułami.

Och, czyli wszystko dobrze... Moment.

– Co?

Curran kopie jaszczura, który leci jak kula armatnia.

– Przed wyjściem zadzwoniłem do Jima, żeby pogadać o ghoułach i powiedział mi, że znaleźli kilka w tunelach SSTSA. Wziąłem więc dzieciaki na małe polowanko.

Zatłukę go.

– Czyli co, Jim dzwoni do ciebie i mówi: „Hej, znaleźliśmy hordeę ghouli w tunelach SSTSA”, a twoją pierwszą myślą jest: „zajebicie, wezmę dzieciaki”?

– Dobrze się bawiły.

Nutka ostrożności wkrada się do jego głosu. Właśnie zobaczył rekinia płetwę w wodzie, ale nie wie, z której strony nastąpi atak.

– Nawet psa wzięłeś.

Grendel wybiera sobie właśnie tę chwilę, by spróbować przepchać się przede mną. Wpycham go na powrót do Gildii, więc zaczyna biegać w tę i z powrotem, powarkując.

– On też się dobrze bawił. Tylko spójrz na niego. Wciąż jest podniecony.

Grendel zatrzymuje się, strząsa krew z sierści i powraca na swą orbitę.

– Myślałam, że masz pudła – odzywa się Juke.

– To jest pudel.

– Wcale nie.

– Przemienia się.

Przez stos ciał przeciska się pojedynczy gad i ginie natychmiast, ugodzony strzałą Alixa.

– No dobra – droczy się Juke. – Twój koń jest osłem, twój pudel olbrzymim wilkiem, a twój chłopak sama nie wiem czym. Masz ze sobą problemy, dziewczyno.

– Zamknij się – strofuję ją.

– Mógł się wytarzać w martwych ciałach ghoulów – przekonuje mnie Curran. – Świetnie się bawił.

Wcale mnie to nie dziwi. Grendel ma spalone poczucie higieny osobistej.

– Jesteś bezmyślnym, nieodpowiedzialnym dupkiem.

– Ja? – Curran rozdziera gada na pół.

– Tak, ty.

Juke uśmiecha się szeroko.

– Chciałaś wkurzyć porywacza, więc tak zrobiłem. Chcesz porozmawiać o braku odpowiedzialności? – Oczy Currana iskrzą się złością. – Zobaczyłaś olbrzymia niszczącego budynek i wbiegłaś do tego budynku. Potem wspięłaś się na kolosa, żeby podziurawić go szablą. Jak planowałaś z niego zejść? Nauczyłaś się latać i zapomniałaś mi powiedzieć?

– Nie zmieniaj tematu. Otrzymałam telefon z Akademii Seven Star, że Julie nie zjawiała się w szkole. Nie mogłam jej znaleźć. Ani ciebie.

Juke chichocze.

– Nie trzeba było brać dzieciaków, co?

– Nie wtrącaj się – warczę, wyciągając Sarrat z następnego ciała. – Przygotowałeś to wszystko, ale nawet raz nie pomyślałeś co będzie, gdy nie będę mogła was namierzyć. Korona by ci z głowy spadła, gdybyś zostawił wiadomość?

Juke mruga zaskoczona.

– Wystarczy dwadzieścia sekund. „Cześć, Kate, biorę dzieci na polowanie, wrócimy w południe”. – Macham ręką. – Myślałam, że utknęłaś z Julie w Gildii.

– Po co miałbym być z nią w Gildii?

– Bo miałaś tam jechać dziś rano, no i wydawało mi się, że słyszę jej krzyk w słuchawce.

Curran obdarza mnie swoim twardym spojrzeniem przez całe pół sekundy.

– Gdybyś nawet sądziła, że tam jestem, to co według ciebie robiłem, gdy olbrzym rozwalął budynek? Siedziałem z założonymi rękami?

– Myślałam, że możesz być ranny.

Curran patrzy na mnie.

– Czy my się znamy?

Robię duży, aktorski krok w tył.

– Co znowu? – warczy.

– Robię miejsce dla twojego ego.

– Dobrze. Powinienem był zostawić wiadomość!

– Powinieneś był.

– Powiedz mi tylko jedno. Zawahałaś się przez chwilę, czy może zobaczyłaś olbrzyma i pomknęłaś na niego jak Bójka, Bajka i Brawurka?

– Pomknęła na niego – zeznaje Juke.

– Przegryzał ludzi na pół.

– Poddaję się – mówi Curran. – Wiadomość, że nie ma tam Julie, nie zrobiłaby różnicy.

W dupie z wiadomością. Cieszę się, że żyją.

Fala magii kończy się. Jaszczury padają jednocześnie. W czasie eksploduje mi ból, jakby ktoś polał mózg benzyną i podpalił. Z ust cieknie mi coś mokrego i orientuję się, że to krew.

– Kate? – Curran zmienia się w człowieka i mruga.

– Boli mnie głowa.

– Nie rozumiem, co mówisz. – Na jego twarzy pojawia się wyraz gorączkowej paniki. – Co się stało?

– Boli mnie głowa.

Wiem, że to mówię. Słyszę swój głos, tylko nie potrafię ułożyć słów.

– Sanitariusz! – krzyczy Curran.

Ból głowy zaciemnia świat. Opadam na kolana i kładę na podłodze.
Nie słyszę nic, oprócz bicia własnego serca.

KONIEC Rozdziału 13

Rozdział 14 – Magia miasta

Otwieram oczy i natychmiast tego żałuję. Migrena wyhodowała sobie ostre sztylety i dźga mnie nimi w głowę przez oczodoły.

Sufit nie wygląda znajomo, ale za to znam unoszący się w powietrzu zapach. Wyśmienity aromat środka dezynfekującego, spirytusu salicylowego oraz ten nieokreślony posmak leku mówi mi, że znajduję się w szpitalu. Następnymi oczywistymi wskazówkami są wenflon oraz opaska ciśnieniomierza. Moja dłoń spoczywa na osłonie szabli. Ktoś położył mi moją broń do łóżka.

Mamo, jak to boli.

Przez ból głowy przedziera się łagodny głos, naznaczony akcentem wybrzeża Georgii. Ów elegancki, nizinno-południowy dialekt amerykańskiego angielskiego nie chce zaniknąć i połyka spółgłoski na końcu słów, więc „/ˈbeɪ.ə/” i „/ˈoʊ.və/” brzmią jak „/ˈbeɪ.ə:/” i

„/ˈoʊ.vəː/”. Sądząc po intonacji jest tu jakiś bardzo niezadowolony lekarz.

Co jeszcze jest nowe? Budziłam się w ten sposób, widząc nieznanymi sufity i zdenerwowanych medmagów więcej razy, niż mogę zliczyć. Ciekawe tylko w którym szpitalu tym razem wylądowałam.

Przechyliłam głowę na poduszce. Szanowny doktor siedzi na wózku inwalidzkim, rozmawiając z innym pacjentem lub asystentem, którego nie widać. Jego głos jest cichy i kojący, ale nie do końca rozróżniam słowa.

Po zmrużeniu oczu mogę trochę odczytać z ruchu warg. „Krwotok wewnątrzczaszkowy”. Chyba powinnam wiedzieć co to znaczy.

Lekarz odwraca się. Coś w moim mózgu naciąga się i w błysku bólu rozpoznaję jego twarz. Doolittle. Dlaczego nie poznałam go po głosie? Moment, skoro to Doolittle, muszę być w Twierdzy. Nasze ostatnie trzydzieści dni jeszcze nie upłynęły. Otwieram usta, żeby go zawołać, ale nie dobywa się z nich żaden dźwięk.

No dobra, skoro nie mogę mówić, to sobie siadę.

Plecy odmawiają mi posłuszeństwa. Atak paniki skraca oddech. Czuję ciało, nogi, ręce, nawet palce. Wyczuwam opuszkami palców

osłonę Sarrat. Nie mogę jednak nimi poruszyć. Mięśnie nie poddają się rozkazom umysłu.

Jestem sparaliżowana.

Nie. Nie, nie, nie. Żyję z szabli. Nie mogę być sparaliżowana. Nie mogę.

Z otchłani pamięci wyłania się słowo. Krwotok. Krwotok w głowie nazywany jest wewnątrzczaszkowym. Wiem to. Kiepsko ze mną. Tyle że przez ból głowy nie mogę ogarnąć tego wszystkiego.

Otwierają się drzwi i ukazuje się w nich głowa kobiety.

– Doolittle?

Lekarz odwraca wózek w jej stronę, a po jego minie poznaję, że urwałby jej głowę, gdyby była w zasięgu. Poważna sprawa.

– Trisha pyta, czy nie zechciałbyś poświęcić kilku minut na robotę papierkową.

– Jeśli Trisha chce się ze mną spotkać, może tu zejść – jego głos wibruje ostro.

Kobieta cofa się i zamyka drzwi.

Odzywa się poprzedni rozmówca lekarza. Znowu nieznamy głos. Mrugam rozpaczliwie, starając się widzieć wyraźniej. Curran. Co się ze mną dzieje?

– Nic więcej nie mogę zrobić – odpowiada mu ostro Doolittle. – Rezonans magnetyczny ujawnił liczne, mikroskopijne krwawienia. Naczynka krwionośne w jej mózgu eksplodowały. Zasklepiły się jednak prawie natychmiast, inaczej tuliłbyś teraz zwłoki. Zaczęła leczyć się dzięki magii, ale uszkodzenia są nieodwracalne. Powinna już nie żyć. Tak by się stało, gdyby to był ktoś inny, ale ona jest zbyt uparta, by umrzeć. W tej chwili mam zawiązane ręce. Dopóki nie napłynie fala magii mam do dyspozycji jedynie leczenie objawowe. Monitoruję ciśnienie krwi. Zaordynowałem Mannitol, żeby pozbyć się opuchlizny mózgu i leki przeciwdrgawkowe, żeby nie miała znowu napadu. Muszę się teraz tym zająć, a twoja obecność nie jest tu potrzebna. Przecież dałem ci zajęcie?

– A co, jeśli znowu przestanie oddychać?

– Jeśli jej mózg nie da rady nadzorować oddychania, podepnę ją do respiratora. Idź sobie.

Curran zerka na mnie i zaraz nachyla się nad moim łóżkiem.

– Kate. Maleńka.

Wciąż nie rozpoznaję jego głosu.

– Powiedz coś.

Otwieram usta, ale słowa nie nadchodzą.

– Curran, – warczy Doolittle – odsuń się.

Curran odsuwa się, a jego miejsce zajmuje lekarz.

– Czy. Mnie. Sły-szysz? – pyta Doolittle, wymawiając poszczególne słowa bardzo wolno. – Mrugnij raz, jeśli tak.

Mrugam raz.

– Rezonans głowy wskazuje, że nastąpiły pęknięcia licznych naczynek krwionośnych w twoim mózgu. – Głos lekarza jest bardzo spokojny.

Krwawię do mózgu, nie mogę się poruszyć i mam problem z mówieniem. Objawy ustawiają się jak ogniwa w łańcuchu. Skup się. Dasz radę. Po jednej głosce.

– U...

Wyduszę z siebie to słowo!

– Ud... Udar.

Curran przeciąga dłonią po twarzy.

– Tak – potwierdza Doolittle. – Miałaś udar. W zasadzie było to kilka jednoczesnych mikroudarów.

Cała ja, zawsze najlepsza.

Doolittle mruży oczy i przybiera poważny wyraz twarzy. Zwykle wygląda na pięćdziesiąt lat, ale dziś zdaje się być o wiele starszy.

– Jak się czujesz? – pyta.

Skupiam się mocno na wymówieniu słowa. Mam taki słaby głos.

– Ś...

Pochylają się obaj, próbując mnie usłyszeć. Walczę z atakiem bólu, wdychając gwałtownie powietrze.

– Ś-świetnie.

Curran wyskakuje z krzesła i znika mi z oczu.

– To dobrze – odpowiada poważnie lekarz.

Próbuję ścisnąć szablę. Nie daję rady. Moja dłoń spoczywa na niej pewnie dlatego, że Curran ją tam położył. Wiedział, że przy niej poczuję się bezpieczna. Ale nawet nie mogę zacisnąć na niej palców. Nie mogę utrzymać szabli w dłoni.

Chcę do domu. Muszę do domu już teraz. Muszę wydostać się z łóżka szpitalnego.

Do sali zagląda mężczyzna.

– Ariela rodzi.

Doolittle podjeżdża do niego.

– Zaraz wracam. Ona jest splątana i pod wpływem środków uspokajających. Nie denerwuj jej. Żadnych stresujących tematów. Im mniej informacji, tym lepiej. Sam, zostań tu i monitoruj ją.

Czarnowłosa mężczyzna wchodzi i opiera się o przeciwległą ścianę.

Muszę się stąd wydostać. Panika chwyta mnie za gardło.

Światło z okna zasłania Curran. Czuję jego ciepłą dłoń.

– Wszystko będzie dobrze. – Głaszcze moje palce. – Będzie dobrze.

Muszę mu powiedzieć, żeby zabrał mnie do domu.

– O co chodzi? – Nachyla się nade mną.

– Nie powinieneś zachęcać jej do mówienia – odzywa się Sam.

Curran odwraca się do niego i mierzy spojrzeniem mieniących się złociście oczu.

Sam zamyka szybko usta.

– O co chodzi, maleńka?

Udaje mi się w końcu wydusić:

– Dom.

Mięsień na twarzy Currana drga.

– Nie, maleńka. Nie możemy jechać do domu. Doolittle dobrze się tobą zajmie. Musisz tylko wytrzymać do następnej fali magii.

– Dom.

– Będzie dobrze.

Musi mnie zrozumieć.

– Ona za bardzo się denerwuje – ostrzega Sam.

– Będzie dobrze – powtarza Curran. – Jesteś bezpieczna. Nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić.

Oczy mi wilgotnieją. Curran blednie.

– Dom.

– Nie możemy teraz jechać do domu. Pojedziemy jak ci się polepszy.

Wilgoć spływa mi po policzkach gorącymi strumieniami.

– Muszę jechać do domu.

Twarz Currana martwieje. Ból wykrzywia mu usta. Zmusza się do przybrania spokojnego wyrazu twarzy, ale ja wiem. Widziałam. Jeśli mnie zrozumie, zabierze mnie do domu.

– Nie płacz – szepcze.

– Proszę – błagam go. – Proszę.

– Co jest takiego ważnego w domu?

Otwieram usta. Mój głos jest taki słaby. Curran obejmuje mnie i przyciąga do siebie.

– Chcę... Umrzeć w domu.

Na twarzy Currana odmalowuje się szok.

Doolittle wydaje piskliwy dźwięk, który razi mi uszy. Curran puszcza mnie.

– Wyjdź – nakazuje mu lekarz lodowatym tonem.

Lwołak otwiera usta.

– Wyjdź albo każę cię usunąć z Twierdzy.

Curran okręca się na pięcie i wychodzi.

Doolittle zwraca się do Sama.

– Co powiedziałem?

– Wiem, ale...

– Ale?

– To Curran – odpowiada Sam, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Nieważne kto to jest. Na swoim oddziale ty jesteś bogiem. Idź już.

Sam ulatnia się. Doolittle podjeżdża do mnie.

– Dom.

– To w oczywisty sposób niedorzeczne. Nikt stąd nie wyjdzie.

Zimno rozchodzi mi się w żyłach. Za późno spostrzegam jak Doolittle wyjmuje strzykawkę z wenflonu. Ogarnia mnie zmęczenie, zaraz stracę przytomność. Wysiłam się, by coś jeszcze powiedzieć:

– Nie chcę... Umierać... Tutaj.

– Teraz mnie obrażasz. Nikt dziś nie umrze. – Głos Doolittle'a oddala się i słabnie. – Jesteś bezpieczna. Twój szalenciec jest za drzwiami i pilnuje cię. Odpoczywaj...

Budzę się, ponieważ ktoś na mnie patrzy. Pomieszczenie tonie w półmroku. Moje ciało jest ociężałe. Jestem zmęczona. Wszystkie układy wyłączają się, jeden po drugim. Trudno powiedzieć, które objawy wywołane są udarem, a które środkami usypiającymi. Czuję się zagubiona i nie mogę rozeznąć w sytuacji.

Łagodnie, elektryczne światło lampy oświetla siedzącą przy moim łóżku nastolatkę. Jest blada, jasnowłosa, a na jasnym tle jej wielkie, brązowe oczy odcinają się jak dwa mroczne jeziora.

Dziewczynka jest ważna. Jest dla mnie niezmiernie ważna.

Julie.

– Kate – szepcze drżącym głosem. – Kate?

– Tak? – odpowiadam z trudem.

– To ja, Julie. Czy ty umierasz?

Czuję, że rozpaczliwie pragnie usłyszeć inną odpowiedź.

– Kocham cię.

Wnętrznosci mi się przewracają na widok wyrazu jej twarzy. Patrę to na nią, to na Currana.

– Bardzo kocham was oboje...

– Nie możesz umrzeć – Julie chwyta moją dłoń. W oczach zbierają jej się łzy. – Mam tylko ciebie. Proszę, Kate, nie umieraj.

Tak bardzo boli mnie głowa. Nie podoba mi się, że moje dziecko płacze. Muszę poprawić jej nastrój.

– Kate, nie opuszczaj mnie. – Łzy ciekną jej po policzkach. – To nie w porządku. To niesprawiedliwe!

Otwierają się drzwi.

– Czy mam zamknąć te drzwi na klucz? – pyta Doolittle.

– Chodź. – Przy łóżku pojawia się Curran, ujmuje Julie za ramiona i delikatnie, choć stanowczo, odciąga ją od swojego łóżka.

– Czy ona umiera? – Julie nie chce wychodzić.

– Wyjdzie z tego.

– A co, jeśli nie wyzdrowieje? Jeśli...

Drzwi zamykają się i nie słyszę reszty rozmowy.

W życiu nie czułam się taka bezradna.

– Dom – mówię do Doolittle'a.

– Niedługo – obiecuje.

Łgarz. Muszę się stąd wydostać. Nie chcę zemrzeć w szpitalnym łóżku. Fala techniki trwa za długo, więc moje ciało powoli przegrywa. Czuję się coraz słabsza. Muszą zabrać mnie do domu. Chcę umrzeć w naszym domu.

– Za długo...

– Jesteś tu zaledwie kilka godzin. Wydaje ci się że dłużej, ponieważ wciąż wybudzasz się z narkozy.

– Julie.

– Nic jej nie będzie. Nie martw się teraz o to – uspokaja lekarz. – Skup się na zdrowieniu. Odpoczywaj.

Budzę się w bólu. Moja głowa pracuje wolno i jest skołowana. Usta wypełnia mi smak lekarstwa. Jestem taka zmęczona. Zapadam się coraz głębiej w mętne wody bólu i zmęczenia. Rozpoznaję te objawy. Moje ciało poddaje się. Dlaczego nie pozwolą mi wrócić do domu...

Już zapadła noc. Sala, w której leżę, jest cicha. Doolittle siedzi w swoim wózku z książką na kolanach i zamkniętymi oczyma.

Przez szparkę w drzwiach wpada smużka jasnego, pomarańczowego światła. Ktoś ich nie domknął. Do sali napływają niewyraźne słowa. Muszę się wysilić, by je odróżnić.

– A co, jeśli z tego nie wyjdzie?

Julie.

– Wyjdzie.

Curran. Jego głos niesie ze sobą spokój, pocieszenie i siłę.

– Ascanio mówi, że może być sparalizowana do końca życia i mieć amnezję...

Iskierka starej mnie na krótką chwilę toruje sobie drogę na powierzchnię. Jezu kolczasty, czy ten chłopak nie umie trzymać gęby na kłódkę?

– Nie słuchaj tego idioty. Kate nie opuści rodziny. To nie w jej stylu i na pewno tego nie zrobi.

O której Kate mówimy? Ponieważ ta leżąca w łóżku nie ma żadnego wyboru.

– No ale jeśli nie wyzdrowieje – naciska Julie drżącym głosem. – Nie zachowuje się normalnie. Nigdy się nie poddaje, a teraz nawet

nie podjęła walki. Ascanio powiedział, że słyszał jak mówiła, że chce jechać do domu, żeby umrzeć.

Jak mi się polepszy, urwę łeb temu boudzie.

– Ascanio nie powinien tyle gadać – ucina Curran. – Czasem ludzie po urazach głowy zmieniają się na jakiś czas. Niedługo wróci do normy.

Tyle że owe zmiany często bywają stałe. Zabiłam kiedyś mężczyznę, który po urazie czaszki zmienił się w brutalnego, sadystycznego włóczęgę.

– Wiem, że to straszne, ale musisz zaufać Doolittle'owi. Kate dostała środki usypiające i nie jest teraz sobą. Doolittle wyleczy ją podczas następnej fali magii.

– A co, jeśli nie wróci do domu? Co ja... Nie będę miała nikogo bliskiego...

– Będziesz miała mnie. Kate wróci do domu, ale gdyby nawet było inaczej, będziesz miała mnie. Jesteśmy rodziną. Zawsze będzie dla ciebie miejsce w moim domu. Nie opuszczę cię. Jeśli coś mi się stanie, Andrea i Raphael zajmą się tobą. Derek też cię nie opuści. Masz grono przyjaciół. Nie jesteś sama...

„Nie jesteś sama...”

Los naprawdę mnie nienawidzi. Też chciałam mieć grono przyjaciół. Tak długo pragnęłam usłyszeć podobne słowa, a teraz, kiedy już otrzymałam swój okruszek szczęścia, stracę to wszystko przez jakąś głupotę. Muszę wyzdrowieć i to jak najszybciej.

Zaciskam zęby.

Nie wykończy mnie taka pierdoła. Nie umrę w ten sposób. Nie dziś. Przeżyję. [Co mówimy Śmierci? Nie dziś. ~ Syrio Forel]

Walczę z pulsowaniem w głowie, by znaleźć coś, cokolwiek co wyciągnie mnie z zimnych, mętnych głębin na powierzchnię. Muszę tylko przeżyć do następnej fali magii.

Wykorzystam wszystko. Przyjmę każdą pomoc, nieważne jak skromną.

Nie mam zamiaru zniknąć. Wyjdę stąd. Będę znowu z Curranem. Zobaczę jak Julie dorasta.

Chcę żyć.

Walczę o to, próbując wynurzyć się, ale wciąż tonę. Coś w głębi mnie przesuwają się, niezidentyfikowany mięsień, zaciśnięty zbyt długo, odpręża się, znowu zalewając mnie bólem. A potem czuję to. Delikatny strumyczek wypychający mnie w górę. Jest słabutki.

Owijam się nim i na krótką chwilę mój przyćmiony mózg rozpoznaje jego naturę: miasto które zajęłam oddaje mi okruchy szczątkowej magii, którą przechowuje podczas panowania techniki.

Ziemia, którą zajęłam stara się utrzymać mnie przy życiu. Magii nie wystarcza, by wynurzyć się na powierzchnię. Jest ledwo wyczuwalna, ale sięga do mnie. Czuję oddech miasta. Jest przepelnione życiem. Maleńkie żyjątka wijące się w ziemi, rosnące w glebie rośliny, bluszcz i kudzu, wspinające się po ruinach, płochliwe stworzonka, kryjące się w swoich norkach, czyhający w ciemnościach drapieżcy, ludzie w domach; wszyscy poświęcają okruch magii, zmagazynowanej w ciałach. To grabież, odebranie czegoś cennego, a jednak oddają to na moją prośbę.

Przestaję się zapadać.

– Idź i powiedz mu, że jeśli mu się zdaje, że może mi dyktować, kogo mogę leczyć, to rezygnuję – mówi Doolittle. – I nigdy nie wrócę.

Otwieram oczy. Sala dalej jest zaledwie słabo oświetlona. Wciąż boli mnie głowa, ale wypłynęłam blisko powierzchni.

Obok lekarza stoi kobieta, której twarz widzę niewyraźnie. Curran jest jak ciemny cień, oparty o drugie łóżko. Ręce ma skrzyżowane na

piersi. Jego oczy świecą złością. Emanuje złowrogą energią, a powietrze w sali gęstnieje.

– Władca Zwierząt wcale tak nie twierdzi. Prawo stwierdza, że były alfa nie może przebywać w Twierdzy podczas okresu rozłączenia. Dlatego też przyniosłam ten dokument. – Kobieta podaje go lekarzowi. – To poprawka do przepisów prawnych Gromady, która daje panu prawo do leczenia pacjentów nie będących członkami Gromady w naszych oddziałach szpitalnych, o ile podkreśli pan, że ich stan wymaga natychmiastowej pomocy lekarskiej.

– To jest szpital. Nie potrzebuję niczych pozwoleń, by leczyć tu ludzi. – Lekarz przyjmuje dokument i czyta go.

Kobieta spogląda na lwołaka.

– Curran.

Twarz Currana jest ponura.

– Trisha. Jak mu się udało to przepchnąć? Gromada nie poszłaby na coś takiego.

– Nie wiedzą, że chodzi o was – odpowiada prawniczka. – Zaczęli sesję tuż przed waszym przyjazdem, a Jim przemycił to przy okazji Uchwały o Współpracy, dodając szczególny przypadek, w którym określono, że gdy zraniony zmiennokształtny znajduje się na

naszym terenie, nie zawsze jest czas, by przestrzegać ustalonych ogólnie zasad. Dodał to do załącznika o polityce granicznej i przyjęli to bez bliższego przyjrzenia się zapisowi.

– Sprytne – zauważa Curran.

– To przecież Jim – kwituje Trisha. – Nikt oprócz straży osobistej nie wie, że tu jesteście. To się w końcu wyda, ale Rada właśnie opuściła Twierdzę, więc macie jeszcze kilka godzin. Jaki jest jej stan?

Zamykam oczy. Nie chcę być teraz w centrum uwagi.

– Odpoczywa – odpowiada Curran.

– Nasrin! – Słyszę jak Doolittle wyjeżdża na korytarz. – Potrzebna mi druga opinia w sprawie tego dokumentu.

– Co zrobisz, jeśli okaże się, że paraliż nie ustąpi? – pyta cicho prawniczka.

– Zaopiekuję się nią.

Na pewno. Wiem, że tak. Otwieram oczy.

– Moja ciotka ma porażenie czterokończynowe – szepcze kobieta. – To niezwykle trudne. My moglibyśmy zaopiekować się nią dla ciebie... – dociera do niej, co mówi. – Przepraszam.

Świetne wyczucie. Może powinna pożyczyć mój sztylet i go dźgnąć, skoro jest taka gorliwa?

Wraca Doolittle, trzymając dokument w ręce.

– Podpisaliśmy to.

Curran bierze kartkę i podaje ją Trishy.

– Czy Jim potrzebuje czegoś jeszcze? – pyta Curran chłodnym tonem.

– Nie. – Trisha orientuje się, że została odprawiona. – Powodzenia.

Odwraca się i wychodzi.

Curran przez dłuższą chwilę wpatruje się w zamknięte drzwi.

– Nie szkodzi – mamrocze Doolittle kojącym głosem. – Chodź, dam ci herbatki.

Curran odmawia.

– No to nie ruszaj się stąd – mówi na to lekarz, jadąc do drzwi. –
Zaraz wrócę z herbatą.

Drzwi zamykają się za lekarzem. Przez chwilę nic się nie dzieje, po czym postawa Currana zmienia się. Cały sztywnieje jak przyparty do muru człowiek, w dodatku otoczony przez licznych wrogów i poraniony; pogodzony z przeznaczeniem, ale ponuro zdecydowany nie oddać mu pola. Jego twarz jest neutralną maską, ale oczy już nie. Wyziera z nich ból i strach.

Och, Curran...

To wszystko przeze mnie.

Chcę mu powiedzieć, że jeśli dopadnie Trishę i sprowadzi ją tutaj, to mogę jej przywalić. Udaje mi się wykrztusić tylko jedno słowo.

– Jędza.

Curran odpycha się od łóżka, o które się opierał. Z jego twarzy znikają wszelkie ślady zmartwienia. Zmusza się do przybrania neutralnego wyrazu twarzy. Mój Władca Zwierząt.

– Chodź – szepczę.

Przysuwa się do łóżka.

– Bliżej...

Pochyla się.

Wyteżam całą siłę woli. Unoszę rękę i uderzam go w szczękę. To najżałośniejszy cios na świecie. Moje palce ledwo muskają jego zarost, a potem ręka słabnie i opada na łóżko.

Curran mruga.

– Wyglądałeś na smutnego – tłumaczę.

– I tak mnie próbujesz rozweselić?

– No i jak się zemścisz... Wasza Mięczakowatość?

Przykłada palec wskazujący do mojego czoła. Mówi szorstkim głosem:

– Puk. Zostałaś powalona, Twardzielko.

– Zostawiam was samych na pięć minut, a wy już okładacie się i bawicie w macanki – odzywa się z głębi sali Doolittle. – Spodziewałem się tego po tobie, Kate, bo nie masz za grosz rozsądku, ale ty, Curran, ty powinieneś być mądrzejszy. Figlować w szpitalu! Wypij herbatkę. – Lekarz podtyka Curranowi szklaneczkę.

Curran bierze ją posłusznie i opróżnia.

– To z herbatką to kłamstwo – mówię mu cicho.

Kiwa głową.

– Szpikuje ją środkami usypiającymi.

Wiedział, ale i tak ją wypił.

– Co ci dał? To musi być coś mocnego.

– Nie wiem. – Twarz Currana odpręża się. – Nie chce mi powiedzieć.

– On tego potrzebuje – stwierdza lekarz. – Nie spał od waszego przybycia. A ty dostajesz herbatkę przez kroplówkę.

– Żadnych herbatek. Przez nie jestem zdezorientowana i smutna.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś powstrzymała się przed instruowaniem mnie, jak wykonywać moją pracę. Jeśli będę potrzebował wskazówek jak rozplatać coś dwadzieścia razy większego ode mnie i przy okazji o mało się nie zabić, zapytam ciebie. W tej sali znajduje się tylko jeden medmag i ja nim jestem, więc decyduję co i kiedy zaordynować. A tak swoją drogą, winowajcą jest tu uraz głowy, a nie środki usypiające.

– To kiepsko.

Czuję się dziwnie lekko i sennie.

– Połóż się ze mną – szepczę.

Curran wyciąga się przy mnie. Nasze ręce stykają się. Czuję jego znajomy i usypiający zapach.

Palce Currana obejmują moją dłoń, głaszcząc delikatnie kciukiem moją skórę. Przypominam sobie jak smakuje. Jak to jest czuć jego ciało na moim. Jego ciężar. Siłę obejmujących mnie ramion. Jego oczy. Sposób, w jaki na mnie patrzy...

– Nie opuszczaj mnie, Kate.

– Nie opuszczę.

Fala magii wybudza mnie nieprzyjemnie ze snu. Głowa mi pęka. Ta jednonocna przygoda z udarem za bardzo się przedłuża. Ból jest intensywny, ale moje myśli już nie są splątane. Magiczny prąd miasta wypchnął mnie bliżej powierzchni.

Otwieram oczy na światło poranka i widzę wpatrującego się we mnie doktorka. Na drugim łóżku siedzi Curran.

– Na to właśnie czekaliśmy. – Doolittle podjeżdża bliżej.

– O pierzaste purchawki.

– Wyjdź, proszę – rozkazuje lekarz.

Curran wstaje i podchodzi do mnie.

– Tylko pamiętaj – ostrzega go Doolittle. – Mamy umowę. Masz jej dotrzymać.

Curran staje przy łóżku i przytula mnie mocno aż kości trzeszczą.

Odzywa się głębokim głosem:

– Zaczekam na ciebie tyle, ile będzie trzeba. Nawet jeśli postanowisz nie wracać. Ale to twój wybór.

Puszcza mnie, odwraca się i wychodzi.

Nooo... Dobra...

Doolittle przypatruje mi się ciemnymi oczami.

– Twój mózg jest niezwykle delikatny. Pomyśl o nim jak o lesie poprzecinanym wieloma ścieżkami, po których sygnały wędrują do twojego ciała. Niektóre są czyste, inne zarosły z czasem, ale wszystkie uformowały się naturalnie. W tej chwili owe ścieżki są uszkodzone. Mogę użyć magii by przywrócić ich działanie.

Wyczuwam tu wielkie „ale”.

– Ale?

– Musiałbym oczyścić ścieżki na siłę zamiast pozwolić, by las sam się uregulował. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, ale ona jest ograniczona. Ścieżki które stworzę, nie będą się dokładnie pokrywały ze starymi. Robiłem to już czterokrotnie. Przywróciłem funkcje ciała oraz w jednym przypadku utracone w trakcie urazu wspomnienia o zdarzeniu. Jednakże jeden z moich pacjentów doznał drastycznej przemiany osobowości, a dwoje następnych ciężkich stanów lękowych. Ponadto odnotowałem epizody depersonalizacji, podczas których czuli, że nie potrafią kontrolować swoich działań, a doświadczane wydarzenia działy się poza nimi, jakby przytrafiały się komuś innemu. Czuli się wyłączeni z rzeczywistości i swoich wspomnień. Stan mężczyzny poprawił się z czasem, ale kobieta opuściła rodzinę i przeniosła się do innego stanu. Miała czworo dzieci, starych rodziców i wspierającego ją męża. Nie odezwała się od tamtej pory, a minęło już dziewięć lat.

– Tryskasz optymizmem, doktorku.

– Jest jeszcze inna możliwość. Możesz postawić na stopniowe leczenie. Istnieje szansa, że twój mózg sam się naprawi.

– Jak duża jest ta szansa?

– Znacząca. Żyjesz i odzyskałaś część funkcji motorycznych wyłącznie dlatego że natychmiast po wystąpieniu urazu, który spowodował udary, twoje naczynia krwionośne zaczęły się uleczać. Ów proces rozpoczął się jeszcze zanim trafiłaś do mnie. Uważam że z upływem czasu oraz moją pomocą odzyskasz niemal całkowitą sprawność.

– Ile to potrwa?

– Nie wiem. – Lekarz pochyła się. – Niemniej masz realną szansę na samodzielne wyzdrowienie.

– Ile trwała rehabilitacja u twoich pacjentów?

– W jednym przypadku trzy lata do pełnego wyzdrowienia, a w innym czternaście miesięcy.

Trzy lata.

– A ile jeśli mnie teraz wyleczysz?

– To będzie cudowne uzdrowienie – wyjaśnia. – Gdy skończę, wyjdiesz stąd i bez wątpienia znowu wpakujesz się w następną, beznadziejną walkę.

Na bank.

– Musisz wiedzieć, że masz swobodę wyboru – dodaje Doolittle. – Curran jest... No cóż, słuchaliśmy go nie bez powodu. Potrafi być bardzo przekonujący, gdy czegoś pragnie.

– No co ty nie powiesz.

– On dopasuje się do twojej decyzji, to ci mogę obiecać. Nie liczą się tu niczyje oprócz twoich uczucia. Tylko ty możesz postanowić, jakie tempo leczenia wybrać. Nie w pełni rozumiemy funkcjonowanie mózgu, ale wszystko jest tam ze sobą połączone. Nie ma gwarancji, że gdy załagodzę uszkodzenia, wciąż będziesz kochać swoich bliskich. Niemniej Curran zaczeka na ciebie.

Jeśli Doolittle mnie uleczy, istnieje ryzyko, że już nie będę sobą. To musiało być niezwykle trudne dla Currana – wiedzieć o tym i wyjść stąd.

– Będzie się tobą opiekował i nie opuści cię, jeśli postanowisz się nie spieszyć. Podobnie Julie. Ja też będę cię wspierał.

Pozostaje mi powiedzieć tylko jedno:

– Dziękuję.

Doolittle dotyka delikatnie mojej dłoni. Jego surowe, lekarskie opanowanie łamie się.

– Nie powinnaś była opuszczać Twierdzy. Zobacz co się porobiło.

Chce mi się przez to płakać i sama nie wiem dlaczego. Ściskam jego dłoń.

– Naprawdę uważasz, że Curran na mnie poczeka?

– Dał mi na to swoje słowo. Uwierz mi, on nie odejdzie. Należy całym sercem do ciebie, więc zaczeka.

– A czy mój ojciec zaczeka?

Doolittle wzdycha.

– Co się stanie, gdy ojciec dowie się, że nie mogę utrzymać szabli? Poczeka te trzy lata, czy spali miasto na popiół, bo ja nie będę w stanie go powstrzymać?

– To nie powinno mieć znaczenia.

– Ale ma.

– Przecież zawarłaś z nim porozumienie.

– Ale jestem go pewna tylko dlatego, że mogę osobiście je wyegzekwować. Roland wie, że jego moc też podlega ograniczeniom. W walce na śmierć i życie mogę go poważnie osłabić i niepokoi się tym. Muszę być zdolna do walki, w przeciwnym wypadku nie zdołam ochronić miasta.

– To nie czas na zamartwianie się o miasto. Musisz teraz myśleć o sobie.

Zapada milczenie. Jakie to niesprawiedliwe, że po tym wszystkim co przeszliśmy, zajęcie miasta spowoduje utratę moich bliskich. Życie rzadko gra fair. Dobrzy ludzie umierają, a źli wiodą szczęśliwe życie. Dlatego ktoś musi się temu przeciwstawić i ja jestem tą osobą.

– Curran mnie kocha jak nigdy dotąd. Widzę to w jego oczach. Chcę, by został przy mnie. Chcę mieć przy sobie Julie. Pragnę rodziny. Przyjaciół. Zrobię wszystko, by zatrzymać bliskich przy sobie.

Wszystko oprócz sprzeniewierzenia się swoim przekonaniom.

– Ale żyję dlatego, że uratowało mnie miasto – wyjawiam lekarzowi.

– Oddało mi swoją magię, gdy umierałam.

– Kate... – odzywa się łagodnie Doolittle. – Technika była w górze przez cały czas.

– Wiem, ale przecież wszystko co żyje, wytwarza i magazynuje magię. Nie opuszcza nas ona nawet podczas fal techniki. Dlatego zmiennokształtni mogą zmieniać postać. Gdy umierałam ostatniej nocy, każda żywa istota w granicach terytorium które zajęłam, ofiarowała mi maleńki fragmencik swej magii. A ja ją przyjąłam. – Głos mi drży. – Wzięłam ją, by przeżyć.

Doolittle otwiera usta.

– Zajrzyj w mój mózg. Dostrzeżesz postęp, który nie powinien był nastąpić. Mówię pełnymi zdaniami. – Pochyliłam się. – Mogłabym poprosić o więcej. Zabrać całą magię miasta i uleczyć się. Zabić was wszystkich.

Doolittle wytrzeszcza oczy, gdy dociera do niego w pełni znaczenie moich słów. W mojej mocy jest siać zniszczenie, by się ocalić. Wzdryga się.

– Roland nie może zająć tego miasta.

– Nie zrobi tego póki żyję. Wzięłam za nie odpowiedzialność i mam je chronić. Jestem z nim teraz związana, ale nie do końca rozumiem jak. Wiem natomiast, że to miasto nie poświęciło swojej magii, żebym leżała trzy lata w łóżku i odpoczywała. Nawet teraz grasuje

tam terroryzujący je stwór, który ma hordy ghouli na posyłki. Jest odporny na moją magię, czyli jego moc ma coś wspólnego z moją. Może ojciec go tutaj przysłał. Muszę go powstrzymać. Nie mogę odwrócić się plecami do Atlanty. Co oznacza, że muszę poświęcić Currana, Julie i was. Za bardzo mi na was zależy, żeby zostawić was na pastwę losu. Ulecz mnie.

Doolittle kręci głową i pociera nos.

– Kiedy już zacznę, będę musiał przeprowadzić proces do końca. Zajmie to dużo czasu i nie będzie przyjemne. Ponadto możesz nie przypomnieć sobie niczego, co działo się, gdy powstawał uraz. Nie jestem w stanie tego wyleczyć.

– Dziękuję.

Wzdycha.

– Każdy musi dźwigać swoje brzemie.

– A ja jestem twoim?

Przytakuje.

– Tylko nie wiem czy to przekleństwo, czy błogosławieństwo.

– Jedno i drugie po trosze – uśmiecham się.

Czuję jakby setki pajaków łąziło mi po mózgu. Swędzi mnie nos. Od czasu do czasu pajęczki szarpią za coś i robi mi się niedobrze. Wymiotuję. Curran przynosi mi wiaderko.

Kontrola nad ciałem wraca powoli. Przypomina to próbę chodzenia w strumieniu wody z węża strażackiego lub też chodzenie pod wodą z obciążeniem na głowie. Ciężar czasem wpasowuje się idealnie w głowę, ale często spada na nią z hukiem, rozrywając mi mózg. W umyśle wybuchają mi minione zdarzenia, jakby pamięć zafiksowała się na ciągłym odtwarzaniu tych samych scen.

Julie płacząca w knajpie nad krabem i krewetkami.

Wyciągająca mnie na lunch Andrea.

Nadchodzący nieubłagane potop. Rozbłysk. Biegący naprzód Fomorianie.

Mishmar.

Rozprute ciało Grega.

Moja ciotka. „Żyj długo, dziecko. Obyś dożyła dnia, w którym umrą wszyscy twoi bliscy. Cierp tak jak ja”.

Curran. „Nie zostawiaj mnie, maleńka”.

Nie zostawię. Obiecuję.

Umierająca Cioteczka B.

Curran.

Łabędzi Pałac.

Ojciec.

Śmierć. Tyle śmierci. Tak wielu zabiłam. Mnóstwo osób, na których mi zależało, umarło. Ogrom trupów w moim życiu.

„Zaprawdę jesteś moją córką”.

„Kiedy kocha się coś jak ty twoich poddanych, kwiatuszku, trzeba za to zapłacić”.

„Budzą się stare moce. Ci, którzy spali oraz ci, którzy byli martwi lub prawie martwi”.

Zginam się pod przytłaczającym mnie ciężarem. Z oczu wycieka mi coś gorącego i uświadamiam sobie, że płaczę.

„To moje miasto i moi poddani”.

„Będę cię ścigać aż dopadnę. Może nie w tej chwili, ale nigdy się nie poddam”.

– Gotowe – mówi ochrypłym z wysiłku głosem Doolittle.

Curran obejmuje mnie.

Ten prosty gest wyciąga mnie z chaotycznej plątaniny wspomnień do rzeczywistości i nie pozwala mi ponownie odpłynąć.

Patrzają na mnie obaj.

– Hej – odzywa się cicho Curran.

Przełykam ślinę. Głowa mi pulsuje.

– Powiodło się? – pyta Curran Doolittle'a.

– Nie wiem – lekarz brzmi na wykończonego.

Curran podnosi się i wyciąga rękę:

– Kopnij moją dłoń.

Wstaję z łóżka. Mówi się, że chodzenie jest kontrolowanym, rytmicznym upadaniem. Nie udaje mi się. Upadam na tyłek.

Curran nawet nie drgnie.

Wstaję. Moje ciało przypomina zdrętwiałą kończynę, której wraca krążenie.

Wykonuję szybki kopniak z półobrotu. Napędzany siłą biodra jest tak błyskawiczny, że aż niezauważalny. Stopa wali w dłoń. Curran cofa się ze zmrużonymi oczami.

– Puk – kwituję.

– Powiodło się – oświadcza Doolittle.

– Co pamiętasz sprzed urazu? – pyta Doolittle.

– Moje słowo mocy odbiło się rykoszetem i trafiło we mnie, co chyba spowodowało udar. Próbowałam zatrzymać olbrzymia i nie udało mi się. Odbita magia wybuchła mi w głowie.

Czuję się wyzuta z wszelkich uczuć. Jakbym w ogóle nie mogła odczuwać żadnych emocji.

– Tak było – stwierdza lekarz.

Curran przygląda mi się uważnie.

– To był najgorszy ból głowy w moim życiu. Wydawało mi się, że umieram. – Usiłuję przywołać wspomnienia. – Mordowałam olbrzyma. Skoczył na niego Lago, ale ja już przecięłam szyję kolosa. Upadliśmy. Potem już nic.

Mój głos też brzmi bezbarwnie, jakby to mówił ktoś obcy.

– Zabiłaś olbrzyma. Zjawiły się siły porządkowe. Z jego zwłok zaczęły wyskakiwać jaszczury – relacjonuje Curran.

– Duże? Jakiego koloru?

Dziesięć minut zajmuje im przywrócenie mi pełnej jasności myślenia. Jest piątek, 4 marca, godzina piętnasta. Zgubiłam czwartek i kawał piątku, choć przysięgłabym, że leżałam w łóżku szpitalnym o wiele dłużej. Dobowe opóźnienie może kosztować Eduardo życie.

– Jakież nowe informacje w sprawie Eduardo?

- Nie – odpowiada Curran.
- Gdzie byłeś? Myślałam, że utknąłeś z Julie w Gildii.
- Pojechałem zapolować na ghoule.
- Trzeba było zostawić wiadomość.
- Trzeba było. – Linia jego szczęki twardnieje.

Wstaję z łóżka i kieruję się do łazienki. O dziwo nogi są mi posłuszne. Wciąż lekko ćmi mnie głowa, ale ból powoli ustępuje. Myję zęby i twarz. Czuje się odrętwiała i nieobecna duchem, jakbym stała obok i obserwowała kogoś obcego.

– Musisz uważać – dobiega mnie głos Doolittle'a. – Trudno określić, jakie funkcje zostały przywrócone. Może być zdezorientowana, mogą wystąpić ostre zmiany osobowości. Przy normalnym pacjencie, spodziewałbym się paniki...

– Ale Kate raczej kogoś zabije zamiast tego – kończy za niego Curran.

Wycieram twarz ręcznikiem i przyglądam się swemu odbiciu w lustrze. Z wolna zaczynam się rozpoznawać. Cześć. Jestem Kate Daniels. Miło mi cię poznać. Wciąż potrafię kopnąć przeciwnika w głowę. Żyję. Mam swoich bliskich i zadanie do wykonania.

Czuję się dużo lepiej. Moje ciało przez wiele godzin odpoczywało w szpitalnym łóżku. Powoli zaczynam być sobą. Jestem wypoczęta jak w poniedziałkowy poranek po relaksującym weekendzie.

Wychodzę z łazienki.

Doolittle podjeżdża do drzwi wyjściowych.

– Opuszczasz nas?

– Muszę się położyć. Jestem stary, zmęczony i przekroczyłem miesięczną dawkę stresu. Kate, zakaz wyczerzonego wysiłku. Żadnych walk, seksu i słów mocy. W szczególności przeciwko olbrzymom. Jeśli to znowu ci się przydarzy, umrzesz. Twój mózg nie zakończył jeszcze procesu leczenia. Nie rób niczego, co może podnieść ciśnienie krwi. Przyjdź na wizytę kontrolną za tydzień. Nie wiem, po co sobie zdieram gardło, skoro z pewnością mnie nie posłuchasz.

Podchodzę do niego i przytulam go.

– No już dobrze– lekarz kręci głową.

– Dziękuję za wszystko.

– Masz mnie słuchać – Doolittle przeszywa mnie spojrzeniem. – Nie mam ochoty cię grzebać. Musisz kiedyś przestać traktować swoje ciało jak broń, którą możesz naprawić, gdy się złamie.

– Złamanej broni niewiele pomoże.

Doolittle wkurza się.

– Kate! Dbaj o siebie. Jeśli masz gdzieś moje uczucia, zrób to dla córki i przyszłego męża.

– Nie używać słów mocy przeciwko olbrzymom – obiecuję.

Wychodzi.

Zamykam oczy i odwracam się.

Curran stoi z założonymi rękami przy łóżku.

– Jesteś sobą? – pyta cicho.

– Do pewnego stopnia.

– Kate.

Wypowiada moje imię tak, że o mało nie rzucam się na niego.

– Muszę wiedzieć, na czym stoimy. – Jego szare oczy ciemnieją; nie są zagniewane, a zrezygnowane. – Czy jesteśmy razem? Może jesteśmy sobie obcy, czy już na pierwszej randce lub wszystko jest w porządku i wrócimy razem do domu?

Podchodzę bliżej i całuję go. W pierwszej chwili nie oddaje pocałunku, ale potem otwiera usta i przyciąga mocno do siebie. Smakuję go. Jestem podniecona. Tak jest dobrze. Mój Curran. Prawie go straciłam, ale walczyłam o niego, więc jest tu przy mnie i kocha mnie. Przesuwam dłonie po jego klatce piersiowej do szyi. Stoimy połączeni, zjednoczeni, smakując się wzajemnie, dzieląc oddech. Czuję się spełniona.

Płonę. [Curran... Żadnych podnoszących ciśnienie krwi aktywności. Chcesz ją zabić?]

Jego twarde, gorące ciało pod moimi palcami i jego dłonie przesuwające się po moich plecach i pieszczące tyłek. Wciąż mocno całuje, a każdy dotyk języka podnieca mnie bardziej. Wsuwam dłonie w jego krótkie włosy, przyciskając się do niego. Pragnę by to trwało wiecznie, żebym na zawsze mogła pozostać w jego objęciach, spełniona, kochana i pożądana. Chcę więcej.

W mojej pamięci pojawiają się ludzie.

Voron, Greg, Roland.

Spadajcie. On jest mój. Pragnę go. Wybrałam go. Nie muszę usprawiedliwiać się przed wami, czy kimkolwiek innym. Jak się wam coś nie podoba, spadajcie.

Rozdzielamy się. Oczy Currana przepełnione są złocistymi iskierkami. Złamałam jego kontrolę. Jego wzrok powinien magicznie zedrzeć ze mnie ubrania, aż dziw że wciąż mam je na sobie. Unoszę podbródek a on rzuca się na moją szyję. Skubie skórę zębami aż cała drzę.

– Kochaj się ze mną – szepczę. – A wszystko będzie dobrze.

Pieści mnie dłońmi, każdym ruchem rozbudzając większą potrzebę. Wdycha mój zapach. Ocieram się o niego, wyczuwając pod materiałem jeansów twardą męskość. O tak, proszę.

Ktoś puka do drzwi.

– Co? – odpowiada Curran spokojnym głosem.

Całuję czuły punkt pod jego szczęką. Doprowadza go to do szaleństwa. Pamiętam to.

Oczy Currana stają się zupełnie złociste.

– Chciałeś żeby informować cię na bieżąco w sprawie Gildii – mówi Derek przez drzwi.

Jeżu spiczasty.

– Mają spotkanie za godzinę. Ponadto Trisha mówi, że mamy pół godziny na opuszczenie Twierdzy, zanim spowoduje to problemy. Nie mogą tak długo utrzymywać naszej obecności w tajemnicy.

Cisza.

– Curran? – woła Derek.

– Już się zbieramy.

Curran puszcza mnie z cichym warknięciem, wyglądając jakby sprawiało mu to fizyczny ból.

– Zawsze przerywa nie w porę – mówię. – Zawsze.

– To jego super-moc – krzywi się Curran. – Zresztą i tak nie możemy posunąć się dalej. Nie chcę żebyś tego później żałowała albo żeby wybuchła ci głowa.

– Poważnie? Jesteś tak w tym dobry, że głowa by mi wybuchła?

Zastanawia się chwilę, zmieniając wyraz twarzy z pożądlivego na szacujący.

– Istnieje taka możliwość. Nie jestem lekarzem, ale Doolittle twierdzi, że tak może się stać.

– Trudno sprostać takim oczekiwaniom.

– Ja je przewyższam.

I jaki skromny.

– Chcesz jechać do domu? – pyta.

– Nie. Jedziemy do Gildii, a potem szukamy Eduardo.

I wykopiemy porywacza z miasta.

Wyciąga torbę spod łóżka.

– Twój sprzęt. Kazałem Derekowi wstąpić po niego do domu.

Rozciągam wlot torby i widzę pas, sztylety, stare, zdarte jeansy oraz torebkę tego dziwnego, stopionego w szkło piasku.

– Kocham cię.

Ściska mnie, całuje czoło i wdycha zapach włosów. Dotyka mnie z widoczną ulgą.

– Wszystko jest dobrze – zapewniam go.

– Wiem – odpowiada cicho. – Zawsze będę dla ciebie, choćbym miał obejść kulę ziemską.

Zamykam oczy i szepczę:

– Ja tak samo.

Dwie minuty później wchodzimy do poczekalni. Derek opiera się o ścianę. Julie siedzi obok Ascanio. Tego samego, który powiedział jej, że mogę zostać na zawsze sparaliżowana lub mieć amnezję oraz że chciałam pojechać do domu żeby umrzeć.

Julie zauważa mnie i wstaje szybko, a Ascanio łapie jej dłoń, starając się ją przytrzymać.

Amnezja, co? Czekał no.

– Nie wiem, kim jesteś – zwracam się do niego. – Ale trzymaj łapy z daleka od mojej córki.

Wybałusza oczy, zdziwiony. Puszczą jej rękę i Julie obejmuje mnie. Odwzajemniam uścisk.

– Dobrze się czujesz? – pyta dziewczyna.

– Dobrze. Nie wybieram się na tamten świat. Nie opuszczę cię.
Rozumiesz?

– Jasne – przytakuje.

Porozmawiamy o tym później na osobności. Curran rusza różnym krokiem, a ja idę z nim ramię w ramię. Z tyłu dołączają Derek i Julie, a Ascanio goni mnie.

– Kate, to ja.

– „Ja” to okropne imię – odpowiadam. – Powinieneś wybrać co najmniej trzyliterowe.

– Ascanio! Na pewno mnie pamiętasz.

Kręcę głową.

– Niet.

– To niesprawiedliwe – oświadcza.

– Tak, wszystko kręci się wokół ciebie – rzuca Julie.

Ascanio zatrzymuje się.

– Przypomnisz mnie sobie. Obiecuję! – woła.

Nasza czwórka idzie równym krokiem.

– Pamiętasz go? – pyta Julie szeptem.

– No jasne, że go pamiętam.

Dziewczyna chichocze.

– Gdzie jest Barabas? – pyta Curran.

– Powiedział, że będzie w Gildii, na wypadek gdybyśmy postanowili dołączyć do spotkania. Zapakował nam wałówkę i potrzebne rzeczy. Jest w moim aucie.

– Dobrze – podsumowuje Curran.

– Musimy wstąpić do Stalowego Konia i zabrać Asystenta – dodaje.

Wejście z Asystentem u boku będzie dla Boba niespodziewanym ciosem.

– Przyjrzałaś się olbrzymowi?

– Tak?

– Jakiego koloru była magia jego zwłok?

– Miedzianego, jak wokół samochodu Eduardo.

Tak podejrzewałam.

– Porozmawiamy o tym w aucie.

Otwieramy wielkie drzwi. Drogę zagradza sześcioro ludzi. Rozpoznaję dwójkę z nich. Osobista Straż Władcy Zwierząt.

Curran nawet nie zwalnia kroku.

– Yyy... – jąka się jedno z nich.

– Z drogi – powarkuje Curran.

Rozstępują się. Ruszamy korytarzem. Zza rogu wyłania się drobna kobieta i idzie do nas, poprawiając ciężkie okulary. Dali. Hej, rozpoznałam ją. Punkt dla mnie.

– Czekaście. – Dali zastępuje nam drogę. – Kate, ty chodzisz!

– Tak.

Jeszcze nie umarłam.

– Możesz mi powiedzieć, co się dzieje? Wiem że to jest powiązane z Gromadą, ale Jim miga się przed wyjaśnieniem mi sprawy.

– Mamy wszystko pod kontrolą – odpowiada Curran.

– Nie ciebie pytam. – Dali zwraca się do mnie. – Co się dzieje?

W starych czasach odeszłybyśmy daleko korytarzem, żeby nikt nas nie słyszał i nie wywołało to problemów. Ale już nie jestem Towarzystką i mam to w dupie.

– Eduardo Ortego zaginął, a Mahon nie ruszy dupską, żeby go poszukać, ponieważ uważa, że bizonolak nie nadaje się na jego zięcia. George poprosiła Jima o pomoc, ale on nie chce nadużywać władzy.

Dali jest zaskoczona, ale zaraz i zwraca się do strażnika:

– Rodney, przynieś mi teczkę z dokumentami na temat sprawy Eduardo.

– Nie mogę – wielki zmiennokształtny przyjmuje przepaszający wyraz twarzy. – Jimowi się to nie spodoba.

Dali nachyla się w jego kierunku, mierząc go ciężkim, bezpośrednim spojrzeniem.

– Mam gdzieś, czy to spodoba się Jimowi. Przynieś ją.

Rodney waha się.

– Na co czekasz? – pyta Dali głosem wskazującym, że nie interesuje ją odpowiedź.

– Czeka na „albo” – podpowiadam.

– Że co?

– Zwykle za taką groźbą stoi jakieś „albo”. Zrób to albo stanie się coś złego.

– On nie potrzebuje żadnego „albo”. – Słaby, zielony poblask przetacza się przez oczy Dali. – Nie ma żadnego „albo”. Zrób to, bo ja tak mówię.

Rodney skłania głowę.

– Tak, alfo.

Patrzymy za nim, gdy znika w głębi korytarza.

– Robisz się w tym dobra – zauważam.

Wzrusza ramionami.

– Już to rozpracowałam. Większość ludzi robi co im się każe, jeśli wyda się rozkaz władczo, nie pozostawi się wyboru oraz przyjmie odpowiedzialność za czyny. Straszne, nie?

KONIEC Rozdziału 14

Rozdział 15 – Przejęcie Gildii

Wyciągnięcie asystenta z Gildii okazuje się być dziecinnie proste. Wchodzę tam z Curranem i siadamy przy barze. Asystent wyciera kieliszki ściereczką. Na pewno byłby z niego dobry barman, bo lubi słuchać ludzi.

– Kate. Kopę czasu się nie widzieliśmy – dostrzega nas. – Co podać?

– Lubisz tę pracę? – pytam.

– Ma swoje dobre strony. To skomplikowany biznes. Trzeba pilnować dostawców i użerać się z klientami.

Nie zabrzmiało to entuzjastycznie.

– Ile zarabiałeś w Gildii Najemników? – pyta Curran.

– Czterdzieści tysięcy rocznie.

– Będę ci płacił sześćdziesiąt, jeśli wrócisz.

Asystent zdejmuje ściereczkę z ramienia i woła gdzieś do tyłu:

– Hej, Cash! Odchodzę!

Gdy wychodzimy z baru Asystent uśmiecha się

– Zrobiłbym to za mniej.

– Nie chcę żebyś pracował za pieniądze poniżej twojej wartości. Gdy rozruszasz Gildię, porozmawiamy o podwyżce.

Asystent uśmiecha się szerzej.

– Trzymam cię za słowo.

Jedzie teraz swoją ciężarówką za naszym jeepem.

Krok po kroczku do zwycięstwa.

Curran prowadzi. Na szczęście izolacja dźwiękochłonna kabiny pozwala na prowadzenie rozmowy podczas pracy zaczarowanego silnika.

– Podsumujmy co wiemy – zaczynam. – Ghoule pochodzą ze starożytnej Arabii. Podobnie jak wilcze gryfy oraz solfugi. Przed

gryfem, Oswaldów zaatakował olbrzymi kleszcz, ale one żyją na całym świecie. Czyli możemy założyć, że był to arabski kleszcz.

– A co z jaszczurami ? – pyta Julie.

– Nie pamiętam jak wyglądają ze względu na uraz głowy, ale to mogą być azdaha.

– Co to są azdaha? – dopytuje Derek.

– Perskie smoki. Stara irańska mitologia jest pełna pogromców smoków.

To rozumowanie wskazuje na konkretnego sprawcę, który niestety przysporzy nam wiele kłopotów, więc na razie udaję sama przed sobą, że jeszcze tego nie rozgryzłam.

– Jest w tym pewien wzór – odzywa się Curran. – Wszystkie sprawy łączy miejsce pochodzenia.

– Owszem. Ponadto przemiana ożywieniowa jest bardzo rzadka. Dwa takie przypadki w tym samym mieście, to nie jest zbieg okoliczności. Założę się o wszystko, że stoi za tym wszystkim jeden sprawca.

– Zabierzmy Julie do tego twojego przyjaciela czarownika – proponuje Curran.

– Do Luthera?

Kiwa głową.

– Powiedziałaś, że obejmują zwłoki kwarantanną. Jest szansa, że czarownik trzyma solfugę w lodzie?

Znając Luthera? Będzie trzymał ją w lodzie i zabawiał się z nią, aż ktoś wyżej w hierarchii straci cierpliwość, odbierze mu i spali zabawkę. Wiem o co chodzi Curranowi. Jeśli solfuga także emituje magię miedzianej barwy, mielibyśmy potwierdzenie, że wszystkie sprawy są powiązane.

– Luther obiecał mi dostęp do Mitchella. – Zerkam przez ramię na Julie. – Chcesz ze mną odwiedzić kostnicę Biohazardu, żeby obejrzeć dziwne szczątki, a potem spotkać się z ich ghoulami – maskotką?

Dziewczyna marszczy nosek.

– Drugą opcją jest spędzenie wieczoru na pisaniu wypracowania na angielski, na temat okropnie nudnej książki, opowiadającej o małomiasteczkowym życiu ludzi sprzed Zmiany, która to nie ma absolutnie żadnego wpływu na moje życie i w niczym mi nie pomoże. No nie wiem, obie możliwości są takie ekscytujące.

– Przez tę nową szkołę zrobiłaś się jeszcze bardziej przemądrzała – mówię.

– Nie, to przez ciebie – odpiera Julie. – Teraz cierp.

Kręcę głową.

– W każdym razie wszystko, na co natknęliśmy się w trakcie poszukiwań Eduardo, pochodzi z arabskiej mitologii, czyli z tego samego regionu geograficznego co moja magia. Tym samym magia Rolanda.

– Uważasz, że stoi za tym twój ojciec? – pyta Curran.

– Tego nie wiem, ale olbrzym był odporny na moje słowa mocy. Magia odbiła się od niego i trafiła we mnie. Nie mogę zaryzykować ponownego użycia słowa mocy przeciwko podobnemu stworzeniu, bo głowa mi eksploduje.

– Czyli tracimy najcięższy argument – podsumowuje Derek.

– Niekoniecznie – mówi Curran.

– Nie mogę zaatakować potencjalnego przeciwnika słowem mocy, ale mogę użyć go przeciwko jego otoczeniu. Użyłam go przeciwko służącym mu ghoulom i zadziałało jak trzeba.

– Dlaczego? – dziwi się Derek.

– Ponieważ między ghoułami, a gryfem i olbrzymem istnieją kluczowe różnice. Załóżmy, że jakaś istota, nazwijmy ją Zaklinaczem, stoi za tym wszystkim. Ma jakiś ukryty cel, ale może działać tylko podczas fal magii, więc znajduje sposób na kontrolowanie ghouli i zmusza je do wykonywania rozkazów. Moje słowa mocy działają na nie, ponieważ choć są pod kontrolą Zaklinacza, to jednak zachowały swoją magię.

– To trzyma się kupy – mówi Derek.

– Dobrze. Gryf jest „przywołaniem”, czymś co Zaklinacz stwarza z niczego. To wyraz jego magii, więc moje słowa mocy mogą, ale nie muszą na niego działać. Natomiast olbrzym nie był przywołaniem, ponieważ nosił obiekt mocy, blokujący moją magię. To było coś błyszczącego, co zauważyłam w jego uchu. Jakiś rodzaj biżuterii.

– Skąd wiesz, że był to obiekt mocy? – pyta Julie. – Może to był przypadkowy kolczyk?

– Ponieważ olbrzym miał tylko ten przedmiot na sobie, no i był on dla niego zbyt mały. Ów przedmiot przemienił zwykłego człowieka w olbrzyma. W takim przypadku Zaklinacz musi całkowicie nasycić ludzkie ciało swą mocą.

– Rozumiem. Przywołujący opętał człowieka i zmienił go w olbrzyma, czyniąc go swym awatarem. Przywołujący stał się tym olbrzymem.

– Właśnie tak. Moje słowa mocy działają na stworzenia, które kontroluje i ewentualnie na przywołaniach, ale na pewno nie na nim bezpośrednio.

– Zakaz używania słów mocy – mówi Curran.

– Popieram – dorzuca Julie.

– Nie mam takiego zamiaru – deklaruję.

Notuję w pamięci by spytać Luthera, czy odzyskano ów przedmiot mocy. Czuję, że coś ważnego mi umknęło, ale nie mogę sobie przypomnieć, co to takiego.

– Nie rozumiem dlaczego zaatakował Gildię – zastanawia się Derek.

– Po co?

– Z zemsty – odpowiada mu Curran. – Spójrz na to z jego punktu widzenia. Najpierw uznaje, że nie przepada za kotami, więc zaczyna atakować rodzinę Oswaldów. Przywołuje kleszcza. Eduardo, najemnik, zabija go. Potem przywołuje wilczego gryfa. W międzyczasie Kate i ja zabijamy jego ghoule. Po czym gryfa załatwiają dwa głąby z Gildii. Zmienia truchło gryfa w solfugę i

znowu my wkraczamy do akcji, a dopiero co wyszliśmy z Gildii. Następnie we czwórkę eksterminujemy jego ghoule w miejskich tunelach. Na jego miejscu byłbym wkurzony i przyszedł do Gildii wyrównać rachunki z najemnikami, żeby przestali przeszkadzać w głównym planie.

– Problem z tą teorią jest taki, że Eduardo do niej nie pasuje – stwierdzam.

– A to dlaczego? – pyta znowu Derek.

– Nie zabili go od razu – tłumaczy Curran. – Jeśli stał się obiektem ataku, ponieważ jest najemnikiem, dlaczego porywacz go nie zabił? Po co zadawać sobie tyle trudu z uprowadzeniem? Co jest takiego wyjątkowego w Eduardo?

– Nie dowiemy się, dopóki nie sprawdzimy jego poprzednich zleceń – mówię.

Do tego muszą zostać spełnione dwa warunki. Asystent musi nam pomóc, a Gildia musi go przedtem zatrudnić. Tak czy inaczej wszystko zależy od Gildii.

Curran skręca w Phoenix Drive. Górne piętro Gildii jest zupełnie zniszczone, linia dachu nierówna, ale cały gruz z parkingu zniknął. Zmiażdżone auta oraz kawały budynku zostały uprzątnięte. Ulicę pokrywają dwa centymetry srebrzystego proszku.

– Wojskowy Oddział Obrony Przeciwnadnaturalnej sypnął i spalił – mówię.

Curran patrzy na mnie pytająco.

– Podpalili skażone podłoże, a później posypali solą.

Sól jest uniwersalnym środkiem antymagicznym. Gdy nie wiadomo jaki rodzaj magii wchodzi w grę, istnieją dwa rozwiązania: podpalić skażony obiekt lub zasypać go solą. WOOP zwykle stosuje oba te środki, co funkcjonuje pod nazwą „sypnąć i spalić”. Mają fantastyczne miotacze płomieni, a na ulicy leżą teraz tony soli. Wątpię, żeby taki pogrom przeżyło cokolwiek magicznego.

– No dobra, zróbcie poważne miny – rozkazuję młodzieży.

Parkujemy na uboczu. Biorę torbę, którą przygotował dla nas na tę okazję Barabas. Curran wysiada z auta i zarzuca na siebie płaszcz. To pomysł mangustołaka. Ogromny, czarny, wykończony czarnym piórami i zebrany na prawym ramieniu. Gromada zrobiła go z piór Morfana, ale Curran nigdy go nie nosił. Barabas dołączył do niego notatkę: „Założ go, proszę”.

Oprócz tego przysłał mi ubrania na zmianę. Płaszcz zmusza do patrzenia na twarz osoby, która go nosi, a patrzenie w pełne mocy oczy Currana Bożkobójcy, nie należy do najłatwiejszych czynności.

Asystent podchodzi do nas, rozglądając się na boki i oceniając straty.

– Orzeszku chrupiący, byłem tutaj wczoraj, ale nie mogłem podejść bliżej, ponieważ władze odizolowały okolicę.

– Złożymy to wszystko do kupy – odzywam się. – Będzie jak nowa.

– Będzie lepsza – obiecuje Curran.

Podchodzimy do budynku Gildii, sól skrzypi nam pod stopami.

Zmaltretowane, metalowe drzwi wejściowe są niedomknięte. Ktoś próbował je zamknąć, ale się nie wysilił. Zapewne udział brało kilka osób, ponieważ dolne krawędzie drzwi zostawiły rysy na podłodze.

– Powinieneś mieć dramatyczne wejście – odzywam się do Currana.

– Chciałabyś?

– Owszem. Bardzo.

Uśmiecha się przelotnie. Idziemy szybciej, prawie marszem. Ze szczeliny wystawia głowę najemnik, dostrzega nas i znika.

Docieramy do drzwi, a Curran nie zwalnia nawet odrobinę. Unosi ręce, które uderzają wrota. Popycha je, a one otwierają się na oścież z metalowym zgrzytem.

Curran idzie dalej. Mój straszny draniuszek.

Wchodzimy do holu. Podłoga jest tu rozebrana. Brakuje większości dachu, więc widać niebo. Trzeba w to włożyć wiele pracy. I pieniędzy.

Najemnicy siedzą i stoją pod ścianami. Widzę przycupniętego po lewej stronie Barabasa. Spotykamy się spojrzeniem i mangustołak uśmiecha się.

Na środku stoją: Mark Meadows, Bob Carver, Ivera, druga z Czwórki Jeźdźców w Zgromadzeniu, Rigan, blond wielkolud, który przypomina zostawionego tu przypadkiem najeźdźcę wikingów oraz Sonia, zgrabna Afroamerykanka, umięśniona jak szermierka. O jak dobrze, są tu wszyscy członkowie Zgromadzenia Gildii.

Wszyscy na nas patrzą. Mark zerka na nas przelotnie i odwraca się do tłumu. Garnitur wisi na nim krzywo, a krawat zwisa luźno wokół szyi. Wygląda na rozgorączkowanego.

– Tyle lat prowadziłem ten burdel. Prowadziłem za rączkę waszego niedorozwiniętego założyciela – mówi Mark.

Ludziom rzedną miny. Obrażanie pamięci Solomona Reda nie jest dobrym posunięciem.

– Ja układałem się z dostawcami. To ja załatwiałem wam duże kontrakty. Ja zajmowałem się ważnymi klientami. Kontrakt dla Malinova? Ja go wam zapewniłem. Robota dla Horowitza? Ja to ustawiłem. Nie Solomon Red. Nie Asystent. Ja.

Zajebiaszco. Złapaliśmy go w środku przemowy pod tytułem: „Jestem taki wyjątkowy”.

– Gównu prawda – odpiera zarzuty Rigan. – Byłem przy załatwianiu roboty dla Horowitza. Nie chcieli nawet z nami gadać, dopóki Salomon Red nie przekonał ich, że jesteśmy dobrzy.

Mark odwraca się do niego.

– Wiesz co, Rigan?

Nabiera dużo powietrza.

Chwila... Jeszcze...

– Pierdol się!

I jest!

– Wszyscy się pierdolcie!

Odejdzie. Czuję to. Bob też to wie, bo się nie odzywa. W odróżnieniu od trzech czwartych zebranych tu ludzi Bob wie, że prowadzenie Gildii bez Marka jest niemal niemożliwe.

– Mam dosyć bronienia się i usprawiedliwiania. Ten interes jest skończony. Skończony – Mark szczyrzy się. – Nie zamierzam iść z wami na dno. Załatwiłem sobie pracę. Odchodzę.

– Ale co my mamy teraz zrobić? – woła jeden z najemników.

– Mam konkretnie w dupie, co wy gównozercy teraz zrobicie. Wypisuję się. Chciałem tylko żebyście wiedzieli, jak bardzo nienawidzę każde z was z osobna. Możecie sobie zgnić w piekle.

Meadows odwraca się do wyjścia.

– Czekał – woła za nim Bob. – A co z twoimi udziałami?

Mark odwraca się gwałtownie.

– Chcesz moje udziały Carver? – rechocze. – O to chodzi? Moją bezwartościową część, którą ty i twoi neandertalczyki obniżyliście z dwustu siedmiu dolarów do pięćdziesięciu sześciu centów za udział? Nie dostaniesz ich Bob. Już je sprzedałem i to za cenę wyższą od rynkowej. Życzę powodzenia z tą ruiną.

Meadows kłania się z przytupem, odwraca i wychodzi.

Zapada cisza.

– Kto kupił jego udziały? – pyta Sonia.

– Ja – odpowiada Barabas.

Wszyscy na niego patrzą. Carver gorączkowo kalkuluje siły.

– Powołuję się na „Dotacje i Wkłady Finansowe” – mówię głośno.–
Ostatnia klauzula w Prawach Członka, zawartych w przepisach
Gildii.

Teraz z kolei wszyscy wpatrują się we mnie.

Unoszę torbę.

– Wnoszę dotację w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów na rzecz
Gildii, które mają być przeznaczone na jeden cel: zapewnienie
wyплаты Asystentowi oraz wybranemu przez niego pomocnikowi na
następne dwa miesiące, o ile Gildia przywróci go na stanowisko.

– Nie możesz tego zrobić – wcina się Bob. – Nie możesz się wkupić.

– Ależ może – oponuje Rigan. – Jak najbardziej.

Bob odwraca się do niego.

– Umówiliśmy się.

– Sytuacja się zmieniła. Myślisz, że gdzie jesteś? W Zakonie? – Rigan zwraca się do tłumu. – Niech podniosą ręce ci, którzy chcą pracować za darmo.

Nikt nie drgnie.

– A kto chce wypłatę?

Las rąk w górze. Fajnie, gdy ktoś odwała robotę za mnie.

– Trzy ostatnie wypłaty były obcięte – dodaje Sonia. – Aż trzy! Mam tego dosyć!

Rob odwraca się do Ivery, ale ta tylko wzrusza ramionami.

– Po co w ogóle o tym gadamy? – pyta Rigan. – Wnoszę o przywrócenie asystenta na stanowisko. Kto jest za?

Unosi rękę. Dołączają do niego Sonia i Ivera. Bob waha się i też podnosi łapsko. Głosowanie przeciwko Asystentowi pogrążyłoby go jako lidera.

– Większość – ogłasza Rigan. – Zostałeś przywrócony – zwraca się do Asystenta.

Ktoś z tyłu zaczyna klaskać. Tłum podłapuje to i hol wybucha brawami, słychać tupanie i gwizdy.

Asystent kłania się leciutko.

– No dobra, dobra! – krzyczy Carver. – Mamy większe problemy na głowie, jak na przykład ten diabelny dach.

– Powołując się na klauzulę stowarzyszeniową, rejestruję w Gildii trzy osoby jako moich niezbędnych pomocników – mówię.

– To może poczekać – gromi mnie spojrzeniem Bob.

– Nie, nie może.

– Kiedy ostatnio sprawdzałem, Daniels... – zaczyna Bob.

– Ona zabiła olbrzyma! – woła jakaś kobieta. – Przecięła mu gardło. Lago przypisał sobie całą zasługę, ale to ona go wykończyła, widziałam.

Lago przypisał sobie całą zasługę? To do niego podobne. Nic z tego nie pamiętam. To musiało się wydarzyć pomiędzy upadkiem olbrzyma, a jaszczurami o których opowiadał mi Curran.

- A co ma jedno do drugiego? – odkrzykuje Bob.
- Gdyby nie ona budynek Gildii byłby zupełnie zniszczony, a my martwi – odpowiada kobieta. – Niech załatwi swoje sprawy.
- A gdzie ty wtedy byłeś? – pyta Carvera inny najemnik.
- Na zleceniu – odpowiada Bob.
- Niech mówi. – Do przodu wychodzi Alix Simos. To niespodziewane, przecież ledwo go znam.
- Kogo rejestrujesz? – pyta mnie Sonia.
- Jego, jego i jego – wskazuję na Currana, Dereka i Barabasa.
- Nie – oponuje Carver. – Nie widzicie? Ona chce obejść narzucone spowolnienie w pracy Gildii.

Barabas otwiera usta, ale kręci głową. Lepiej żebym ja to powiedziała.

- Bob, nie masz tu nic do powiedzenia. Jestem stowarzyszonym członkiem od ponad roku. Mogę zarejestrować pomocników w każdej chwili.

– Ma rację – popiera mnie Asystent.

– Będziesz pociągnięta do odpowiedzialności, jeśli coś spierniczą – ostrzega Bob.

– Dobrze, jesteście zarejestrowani – oświadcza Sonia. – Asystent dopełni formalności.

Carver rozkłada ręce.

– No co? – Sonia zerka na niego znacząco. – Chcę zobaczyć, do czego to wszystko zmierza. Wy trzej jesteście zapisani.

Cofam się, a Barabas wychodzi przede mnie.

– Cutting Edge, powołując się na „Dotarcje oraz Wsparcie Finansowe”, wnosi następujące dotacje, zgodne z limitem: 150 tysięcy dolarów, po 50 tysięcy na każdego pomocnika, z przeznaczeniem na: 18 tysięcy na naprawę dachu, 10 tysięcy na remont wnętrza, 12 tysięcy na uregulowanie rachunków za media...

Wyliczanka trwa przez chwilę. Jak mu się udało opracować taki plan w mniej niż dwie doby? Z każdą pozycją twarz Carvera posepnieje.

– ... i ostatnie 16 tysięcy dolarów na uzupełnienie amunicji do pozostającej w zbrojowni broni. W celu zapewnienia prawidłowej

dystrybucji wniesionego wkładu, Cutting Edge mianuje mnie skarbnikiem dotowanych pieniędzy.

– Wszyscy są za zgarnięciem tej forsy zanim oni się rozmyślą i wyznaczeniem tego faceta do pracy administracyjnej? – pyta Rigan.

– Nie rozumiecie? – Bob wskazuje na stojącego obok mangustolaka Currana. – To on. Przecież to on wszystko finansuje!

– Mam w nosie kto to finansuje – odpowiada Sonia. – To forsa, Bob! W zasięgu ręki!

Carver zgrzyta zębami.

– Wszyscy zapłaciliśmy własną krwawicą by utrzymać to miejsce. Nie możesz wpuścić tu ludzi z zewnątrz i pozwolić im przejąć interes. On się tu wkupuje.

– Wytlumacz mi jakim cudem jestem „człowiekiem z zewnątrz”, Bob? – pytam. – To wredne z twojej strony. Zraniłeś moje uczucia i w ogóle.

Tłum chichocze.

Rigan zwraca się do Boba:

– Przecież on niczego nie żąda.

Bob otwiera usta, ale zaraz je zamyka.

O tak, właśnie zostałeś wyrolowany. Mój misio-pysio nie prosił o dodatkowe względy.

Curran uśmiecha się.

– Ten facet daje nam magiczne pieniążki i nie chce nic w zamian – dodaje Rigan. – Nie poprosił o stanowisko. Nie targuje się z nami. Zwyczajnie daje nam kasę. Masz te pieniądze, Bob? Jak dasz nam sto pięćdziesiąt patoli, to chętnie ich użyjemy zamiast tamtych. Wszystko jedno, czyje są to pieniądze, o ile znowu zaczniemy zgarniać zlecenia.

– Głosujemy – Sonia unosi rękę.

Rigan podobnie.

Ivera waha się.

– Ivera, weź się w pizdu zdecyduj – ponagla Rigan.

Ivera też głosuje za. Bob patrzy na nią z wyrzutem.

– Potrzebujemy tych pieniędzy – tłumaczy cicho.

– Czyli postanowione – Rigan zaciera ręce. – Właśnie zatwierdziliśmy budżet na następne dwa miesiące.

Carver spluwa na podłogę i wychodzi. Ivera idzie za nim. Zły ruch z jego strony. Właśnie oddał Curranowi pole, a ten nie przegapi takiej okazji.

Curran przygląda się w zamyśleniu plwocinie Boba.

– Musimy posprzątać to miejsce. Łapać się za szufle i szczotki, i do roboty!

– Nie jestem woźną! – sprzeciwia się Paula.

Lwołak odwraca się do niej.

– No popatrz, ja też nie. Choć to kwestia semantyki. Czasem przychodzi mi sprzątać bałagan po innych. Ale wszyscy dobrze to znamy. Właśnie na tym polega praca najemnika, nieprawdaż?

– Nic o tym nie wiesz – odpiera Paula.

Curran zerka na nią.

– Zakładam, że wychowałaś się w dobrobycie.

Paula wycofuje się.

– Nie twoja sprawa.

– Nie pochodzę z bogatego domu – mówi Curran donośnym głosem.

– Wszystko co mam, zdobyłem tyimi rękoma w pocie czoła.

– Nawet Daniels? – rzuca inny najemnik.

Słysząc zbiorowy chichot. Curran uśmiecha się promieniście i zaraźliwie.

– W szczególności Daniels. Ciężko pracuję, żeby utrzymać ją przy sobie. Inaczej nie wytrzymałaby ze mną.

Więcej śmiechów.

– Myślałem kiedyś, że będę bogaty, ale po przejściu na emeryturę zamiast zapłaty dostałem udziały w Gildii.

– Wyrolowali cię! – ktoś woła.

– Tak im się zdawało – odpiera Curran. – Okazało się, że to ja ich wyrolowałem. Według mnie ten interes to dojna krowa.

Ludzie śmieją się.

– Weź sobie głowę zbadaj – proponuje Paula.

Lwołak ignoruje ją.

– Nie jestem tu żeby przemawiać lub czymś kierować. Już to robiłem w życiu. Teraz moim głównym zmartwieniem jest rodzina i dlatego tu jestem. Żeby zarabiać pieniądze.

Wypowiedział magiczne słowa. Teraz słuchają go uważnie.

– Gdy kogoś wynajmuję, przyglądam się jego narzędziom i miejscu pracy. Jeśli zatrudniam elektryczkę, chcę żeby była schludna i zorganizowana, a jej narzędzia w dobrym stanie. Jeśli korzystam z usług zabójcy, chcę wiedzieć, że szanuje on swój zawód oraz broń. Rozejrzyjcie się wokół. Na podłodze leżą śmieci. Kurz. Resztki jedzenia. To nie wygląda dobrze, a pachnie jeszcze gorzej.

Najemnicy rozglądają się, jakby zobaczyli wewnątrz Gildii pierwszy raz w życiu.

– Gdybym teraz tu wszedł i zobaczył to wszystko, nie wynająłbym nas. Sprawiamy wrażenie słabych i niechlujnych. Sądząc po wyglądzie tego miejsca, nie powiedziałbym, że to gildia zdolnych fachowców. Ponieważ nimi właśnie jesteście. Codziennie kładziecie na szali własne życie, żeby coś zarobić i pomóc komuś. Nie każdy Kowalski nadaje się do tej pracy. To jest taka sama gildia jak ta elektryków czy murarzy, tyle że jeśli członek tej gildii nawali, efektem nie jest spięcie albo krzywa ściana, a czyjaś śmierć.

Uważnie słuchają każdego jego słowa.

– Zaslugujecie na coś lepszego niż praca w takim syfie. Gdy zaczną napływać zlecenia, zatrudnimy sprzątaczy, bo będziemy mieli na to pieniądze. Ale żeby ktoś chciał nas zatrudnić, musi wejść tu bez odruchu wymiotnego. Poza tym, tam jest moja córka – wskazuje Julie. – Nie chcę, aby myślała, że pracuję na śmietniku.

Dlatego zakaszę rękawy i zabiorę się do sprząkania. Jeśli jesteście za szlachetni, żeby się tym przejmować, albo jeśli boicie się brudu, nie mam wam tego za złe. Usiądźcie z boku razem z resztą wybrańców losu.

Piętnaście minut później stoję obok Asystenta, który wyciąga listę zleceń Eduardo. Trochę kręci mi się w głowie i swędzi mnie lewa połowa ciała. Jeśli to wszystkie efekty uboczne, będę zachwycona.

W Gildii wrze jak w ulu. Śmieci są zamiatane, gruz usuwany do taczek, a Curran własnoręcznie dźwiga ogromne kawałki ścian i wynosi je na zewnątrz.

– Tu jest wszystko – Asystent wręcza mi napisaną odręcznie listę.

Przeglądam ją. Same rutynowe zlecenia. Nic, co choćby w przybliżeniu sugeruje mitologię arabską. Nic na tym konkretnym osiedlu. To wygląda na mylny trop. Eduardo dużo pracował w ciągu ostatnich tygodni. Czy on w ogóle sypiał?

Moment.

Wskazuję na wpis z piątego lutego.

– Napisano tutaj, że zrezygnował ze zlecenia.

Asystent sprawdza listę.

– Pamiętam to. Przyjął zlecenie rano, a wrócił już dwie godziny później i zrezygnował.

To się czasem zdarza, ale po przyjęciu zlecenia jest się zobowiązanym je wykonać, a Gildia pozwala na jedynie trzy takie wyjątki w roku. Poza tym to było niebieskie, podwójnie płatne zlecenie.

– Co się stało?

– To było zlecenie na ochronę, priorytetowy klient. Pracował razem z Rose. Przepytałam ją potem, by ocenić solidność Ortego, a ona powiedziała, że wszystko było dobrze, dopóki Eduardo nie zobaczył wracającego do domu sąsiada. Chwilkę... Nie pamiętam tego ze

szczegółami. – Asystent przegląda inny dziennik. – Mam. „Mężczyzna po pięćdziesiątce. Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, postawny, czarne włosy i ciemne oczy, krótka broda, ciemna karnacja, okulary...”

Założę się, że to był klient Nitisha.

– ...„dosiadający zapierającą dech w piersiach arabkę”.

– Arabkę?

– Tak. Rose zna się na koniach. Trajkotała pięć minut na temat jakości tego wierzchowca. Sprawdźmy. Rose „powiedziała do Eduardo: <<To koń wart milion dolarów>>, a Eduardo przyglądał się zsiadającemu mężczyźnie. Ten zawołał Eduardo po imieniu. Ortego nie odpowiedział. Wszedł do domu, zabrał swój sprzęt i wyszedł. Ów mężczyzna przyglądał mu się, ale nie wtrącał się”. Koniec.

No proszę, podglądacz Eduardo.

Asystent podnosi wzrok.

– Przyszedł prosto tutaj, zrezygnował ze zlecenia i zaraz przyjął następne. Powiedziałem mu, że to zły nawyk, na co on odpowiedział, że to była sprawa osobista.

– Czy mamy adres tego sąsiada?

– Nie, ale jest adres zlecenia. – Asystent zapisuje coś na kartce papieru. – Ten jeden raz.

– Obiecuję.

– Był twoim przyjacielem?

Nie podoba mi się słówko „był”.

– Jest nim.

– Mam nadzieję, że go znajdziesz.

– Ja też.

Potrzebuję Dereka do śledzenia tego faceta. Niedługo się ściemni, a ja muszę porozmawiać z Mitchellem, żeby ustalić, czy coś wpływa na ghoule w obrębie miasta. Nie mogę przegapić tego wieczoru.

Podnoszę głowę i widzę jak Ascanio przedziera się przez podłogę. Za nim idzie Afroamerykanin w średnim wieku, ubrany w garnitur.

Bouda dostrzega mnie i koryguje kurs.

– Co tu robisz? – pytam.

– To pan Oswald – przedstawia mężczyznę. – Przyjechał do biura, więc pomyślałem, że lepiej będzie jak porozmawiasz z nim osobiście.

– Słucham pana? – wyciągam dłoń.

– Dziękuję pani za uratowanie mojej żony oraz dzieci.

– To żaden problem, proszę pana. Przepraszam za panujące tu warunki. Mieliśmy kłopoty podczas ostatniej fali magii. Jak się miewa pańska rodzina?

– Dobrze. Zatrudniliśmy firmę przeprowadzkową i wystawiliśmy dom na sprzedaż. Nie chcemy ryzykować.

– To zrozumiałe – zachęcam go do mówienia.

– Pamela wspomniała, że pytała pani, czy ktoś miał coś przeciwko nam lub kotom. Otóż w ubiegłym tygodniu pracowałem na podwórku, sprzątając po burzy. Byłem przed domem, gdy podszedł do mnie jakiś mężczyzna i zaczął narzekać, że nasze koty wchodzą mu na auto.

– Zna go pan?

Pan Oswald kręci głową. No jasne, to byłoby za proste.

– Powiedziałem, że chyba mnie z kimś pomylił, bo Sherlock i Watson są kotami domowymi. Chłopcy boją się, że coś im się stanie, więc nie wypuszczamy ich z domu.

– Co odpowiedział tamten nieznajomy?

– Bardzo się zdenerwował – marszczy brwi pan Oswald. – Podniósł głos, przesadnie gestykułował i kontynuował tyradę. Pomyślałem, że jest czymś upojony lub też odurzony. Ostatecznie powiedział, że wszystko było dobrze, dopóki „tacy jak my” nie zamieszkali w okolicy razem ze swoimi „rozpuszczonymi bachorami”. Wtedy kazałem mu opuścić moją posesję.

– Zrobił to?

– Powiedział, że teraz ma związane ręce i odszedł.

Wyciągam notesik.

– Proszę opisać jak wyglądał.

– Przed sześćdziesiątką, ciemne włosy, łysiejący, średniej budowy.

– Biały, latynos?

– Biały. Ubrany w garnitur, pod krawatem. Miał okulary.

Zbyt ogólne.

– Coś jeszcze? Inne szczegóły? Tatuże, blizny, cokolwiek zwracającego uwagę?

– Nosił kolczyk – pan Oswald zastanawia się nad tym i kiwa głową.

– Tak, przypominam to sobie. Miał w lewym uchu wiszący kolczyk ze sporym szklanym kamieniem. Wydawało mi się to dziwne, ponieważ nie pasował do niego.

– Skąd pan wie, że klejnot był szklany?

– Był jaskrawoczerwony, wielkości migdału w osłonce, prawie dwa i pół centymetra długości. Wyglądał moim zdaniem idiotycznie.

Słyszę w głowie dzwonek ostrzegawczy.

– Czy może pan narysować ten kolczyk? – podaję mu notesik.

Rysuje coś szybko i oddaje mi prosty szkic. Wygląda to jak winogrono, ściętnione i przykryte metalowym korkiem, z klejnotem w środku.

– To była bardzo kiepska imitacja – dodaje Oswald. – Złoto wyglądało zbyt blado, jak farbka, a metal był stary i pogięty.

Orzeszku chrupiący. Stary wygląd oraz prosty wzór to złe wieści.

– Czy był fasetowany? – pytam jeszcze.

– Nie, gładki. Jak to się nazywa? – krzywi się.

– Kaboszon – podpowiada Ascanio.

– A tak.

No to już gorzej być nie może.

– Bardzo panu dziękuje, panie Oswald. Niezmiernie nam pan pomógł.

– Przepraszam, że nie dowiedziała się pani o tym wcześniej, ale nie informowałem Pameli o tamtym zdarzeniu. I tak już się martwiła wydarzeniami w sąsiedztwie.

– A co ją tak martwiło?

– Działy się dziwne rzeczy. Zaczęło się od aut. W ślepym zaułku naszej ulicy mieszka mężczyzna, którego można określić jako entuzjastę motorów. Każdej diabelnej niedzieli (a to przecież dzień, w którym wszyscy chcą pospać dłużej), o ile technika była w górze, on zaczynał jeździć motorem w tę i z powrotem ulicą. W ubiegłym tygodniu spotkałem go płaczącego na krawężniku. Ktoś zmiądzzył

wszystkie jego auta i motory. Widziałem ich szczątki, wyglądały na zdeptane.

No niemożliwe.

– To było w poniedziałek. Najgorszy był jednak czwartek. Udekorowaliśmy ulicę na Dzień Zmiany. Na ulicy mieszka dużo dzieciaków.

Dzień Zmiany to nowe święto, zrodzone ze związanego z pierwszą falą magii strachu. W jej rocznicę ludzie umieszczają dekoracje: wstęgę z proporczykami, przybraną wstążkami, krzyżykami, półksiężycami, gwiazdami Dawida. Zapalają błękitne światełka, a dzieciaczki chodzą po ulicach, pukając do drzwi i wręczając przynoszące szczęście amulety w zamian za ciastka i cukierki. To sposób na świętowanie życia w rocznicę dnia, w którym zginęła 1/12 populacji planety.

– Wywiesiliśmy nasze dekoracje, wstążki, potwory z drutu i całą resztę. Całe osiedle zostało ozdobione. W ciągu jednej nocy wszystko zniknęło. – Pan Oswald odchrząkuje. – Wszystko w całej okolicy zniknęło, jakby w ogóle nie istniało. Rozmawiałem z Arniem z naprzeciwka. Powiedział, że wracał wtedy późno do domu. Minał dekoracje, zatrzymał się w garażu, a potem przypomniał sobie o korespondencji, więc wyszedł, żeby ją wyjąć ze skrzynki. Przykładamy się do dekoracji umieszczonych na naszym domu. Opletliśmy drzewka wstążkami. Dzieciom zajęło to dobrą godzinę.

Arnie był może minutę w garażu, ale kiedy wyszedł, zniknęły wszystkie ozdoby na całej ulicy. Jaka magia może tego dokonać?

Taka, która zmienia normalnego starszego pana w dwudziestometrowego potwora. W czwartek był 24, a w poniedziałek, gdy zaginął Eduardo, 28.

– Panie Oswald, proszę sobie przypomnieć kiedy dokładnie rozmawiał pan z tym mężczyzną od kotów?

– Kilka dni temu.

– To było przed czy po czwartku?

Marszczy brwi.

– Raczej wcześniej. Wyjechałem w czwartek, czyli to było... W środę. Pamiętam, że to była środa, ponieważ wystawiłem śmieci przy chodniku.

– Wie pan kto może za tym stać?

– Nie mam pojęcia, ale mam nadzieję, że znajdzie pani tego drania. Muszę już iść.

– Rozumiem. Dziękuję z pomoc.

Wychodzi.

– Dlaczego jest ważne, czy klejnot był fasetowany? – pyta Ascanio.

– Ponieważ nie zaczęto szlifować w ten sposób klejnotów do czternastego wieku naszej ery. Przedtem nie było odpowiednich narzędzi, więc formowali je w kaboszony. Ten facet zobaczył starożytny kolczyk z wielkim rubinem. – Odwracam się do chłopaka.

– Pracujesz dla mnie?

– Tak. Awansowałaś mnie z niepłatnego na płatnego stażystę.

– Czyj to był pomysł żebyś został stażystą?

– Twój. Andrea uważała, że to zbyt niebezpieczne – dodaje usłużnie.

– Andrea ma więcej rozumu niż ja. Zadzwoń do wydziałów policji w Chamblee i Dunwoody, i zapytaj ich, czy są skargi na Oswaldów lub inne osoby w okolicy.

Ascanio patrzy na mnie dziwnie.

– Już kazałaś mi to zrobić. Nie było żadnych skarg.

– Dzwoniłeś czy byłeś osobiście?

– Zadzwoniłem.

Skoro jest stażystą, muszę go szkolić.

– Głośny motor, jasne dekoracje oraz siadające na autach koty. Co te rzeczy mają ze sobą wspólnego?

– Zrzedliwego sąsiada, potrząsającego laską i wrzeszczącego na ludzi, żeby złazili z jego trawnika.

Może coś jeszcze z niego będzie.

– Zrzedliwi sąsiedzi często składają skargi, zwykle na piśmie, do różnych instytucji.

A czasem, gdy władze ich ignorują, układają się z tajemniczymi mocami, za co niestety zawsze muszą słono płacić.

– Umiesz być czarujący Ascanio?

Chłopak błyska uśmiechem. To nie jest zwykły uśmiech, ale pocisk z katapulty, mający katastrofalny wpływ na osoby płci żeńskiej w jego zasięgu. Idealnie.

– To udaj się do wydziału policji w Dunwoody i bądź czarujący. Popytaj. Ktoś musi pamiętać, jak dzwonił lub składał osobiście skargę. Jeśli nic nie wskórasz, jedź do wydziału zdrowia, a potem do weterynarza okręgowego. Masz auto?

– Tak – przytakuje.

– No to jedź i nie wracaj z pustymi rękoma. Potrzebne mi nazwisko.

– Dobra. A będziesz mnie po tym pamiętać?

– Nie wiem. Przecież mam amnezję, paraliż i myśli samobójcze, a to nie mija tak od ręki.

Chłopak otwiera usta i zamiera.

– No dobra. Jestem dupkiem. Julie chciała wiedzieć, co może się stać, więc jej powiedziałem. Nie powinienem był tego robić.

Dobry wybór.

– Przynieś mi nazwisko. A potem zobaczymy co z moją pamięcią.

Ascanio wychodzi, a ja idę po Julie. Musimy znaleźć Luthera i zapytać go o kilka rzeczy.

KONIEC Rozdziału 15

Rozdział 16 – Biohazard

Wydział Biohazardu zajmuje spory, solidny budynek wybudowany z dużych bloków miejscowego szarego granitu. Wielki, czarny napis na froncie głosi jego oficjalną nazwę: Ośrodek Magicznej Kwarantanny i Zapobiegania Chorobom.

Parkuję na miejscu dla gości. Jestem tu tylko z Julie. Poprosiłam Dereka, żeby udał się pod potencjalny adres zamieszkania podglądacza i zrobił tam swoje czary-mary żeby być niewidocznym. Curran został w Gildii.

Dzień wypalił się do chłodnego wieczoru, niebo jest zimno – fioletowe od chylącego się ku zachodowi słońca. Magia jest dziś silna.

Curran zaproponował, że przyjedzie tu ze mną, ale nie zgodziłam się. Najlepiej było żeby został w Gildii i pracował z innymi, ponieważ najemnicy to docenią, a ja bezwarunkowo muszę zobaczyć się z Lutherem oraz Mitchellem. Nalegał, ale pozostałam nieugięta i to nie tylko dlatego, że ghoul nie wyszedłby ze swojej nory gdyby wyczuł lwołaka. Trudno było ignorować Currana. Nie opiekował się mną jak kwoka, ale wciąż był tuż obok, na wypadek gdybym miała stracić przytomność.

Muszę znowu poczuć się sobą. Potrzebny jest mi teraz strach. Dobry, elektryzujący rodzaj strachu, który wyostrza zmysły, gdy waży się moje życie. Chcę się upewnić, że mogę funkcjonować jak dawniej, że jestem szybka i zabójcza oraz mogę sama zadbać o miasto.

– Wiem, że się martwisz. Muszę to zrobić. Albo tam pojedę, albo mogę od razu zrezygnować z pracy i ochrony miasta – powiedziałam mu. Będę ostrożna.

– Powinnaś poczekać – odrzekł.

– Ile?

Z jego oczu wyczytałam jasną odpowiedź: jak najdłużej. Musiałam to zrobić, ponieważ nie zawsze będzie mógł być u mego boku i musimy sobie z tym jakoś radzić.

– Obiecuj mi, że jeżeli natkniesz się na następnego olbrzyma, nie rzucisz się na niego do mojego przybycia – poprosił.

– Obiecuję.

Olbrzym to anomalia. Spotkanie następnego jest bardzo mało prawdopodobne.

– Mówię poważnie, Kate. Nie przeżyjesz następnego udaru.

On też by tego nie przeżył.

– Przysięgam.

Stoimy teraz przed budynkiem Biohazardu. Mam nadzieję, że moje ciało będzie tak samo sprawne, jak przed urazem.

– Jak oni skrócili OMKZC do „Biohazardu”? – pyta Julie.

– Ośrodek powstał jako wydział Departamentu Policji w Atlancie. Przed zmianą wzywano na miejsca zbrodni specjalną ekipę sprzątającą. Oczyszczali miejsce z krwi, śladów rozkładu ciała, odchodów zwierzęcych i podobnych skażeń biologicznych, stąd „Biohazard”.

Wychodzę z auta i kieruję się ku budynkowi. Julie dołącza do mnie.

– Gdy nadeszła magia, szybko okazało się, że jej fizyczne objawy muszą być przebadane i poddane kwarantannie. Nie bardzo wiadomo jak się do tego zabrać i skończyło się na tym, że DPA utworzył podwydział Biohazardu. Nadano mu znajomo brzmiącą nazwę, żeby stworzyć pozory bezpieczeństwa. Podwydział rozrastał się w ciągu następnych lat, aż w końcu gubernator odłączył go rozporządzeniem wykonawczym. – Zatrzymuję się przy ścianie i wskazuję lśniący punkcik w granicie. – Wiesz co to jest?

Julie mruży oczy.

– Nie.

– Ciemny turmalin. Budynek postawiono ze sprowadzonego ze Stone Mountain granitu, w którym występują naturalne inkluzje turmalinu. – Wiesz po co?

Julie marszczy czoło.

– Turmalin jest często używany do oczyszczania. Pod wpływem słońca lub ogrzewania wytwarza słaby prąd elektryczny. Jest też dobrym przewodnikiem magii, dzięki czemu ich bariera ochronna jest mocniejsza.

– Co jeszcze?

Spogląda na mnie.

– Yyy...

– Przepowiadanie przyszłości – podpowiadam. – Jest używany w jasnowidzeniu, pomaga tutejszym magom w badaniach. Chodź.

Przechodzimy przez wielkie drzwi. Magiczne pole ochronne ściska mnie, dławiąc na chwilę, a potem zaraz znika. Jesteśmy w środku. Kiwam do strażniczki siedzącej z opancerzonym kontuarem recepcji.

– Kate Daniels do Luthera Dillona.

– Proszę wejść – odpowiada kobieta. – Pierwsze piętro, duże drzwi na prawo.

Wspinamy się po kamiennych schodach. Mijają nas rozmawiający ludzie; głosy są ciche, czasem spokojne, a czasem wzburzone. Na piętrze skręcamy w prawo. Widzimy pusty korytarz, oświetlony błękitem magicznych latarni.

– Kate? – pyta Julie cienkim głosem.

– Mhm?

– Pamiętasz mnie, prawda? Nie masz amnezji?

Oh, Julie.

Okręcam się na pięcie i przytulam ją. Przywiera do mnie.

– Pamiętasz, jak zabrałam cię do Cypla Pelikana? Jadłaś krewetki i płakałaś.

Dziewczyna pociąga nosem.

– A jak kupiłyśmy twoją sówkę? Tamta baba chciała za nią trzydzieści dolców, a jak wróciłyśmy do domu musiałam zabrać ci ją siłą, żeby ją uprać?

– Pamiętam.

– Gdybym nawet miała amnezję, wciąż pamiętałabym, że cię kocham.

Ściska mnie mocnej i puszcza. Idziemy korytarzem jakby nic się nie stało, wprost do wielkich, metalowych drzwi. Pukam i otwieram je.

Przy stole laboratoryjnym stoi Luther, trzymający przezroczysty, plastikowy pojemnik, wypełniony suszonymi ziołami. Przyodziany jest w mocno sprany kitel i kwaśny wyraz twarzy. Na owym stole leży rozpostarte ciało łuskowatego, jaszczuropodobnego zwierzęcia. Luther nachyla się i posypuje odsłoniętą tkanekę ziołami. Fuj.

– No wiesz, Luther. Gdybym wiedziała, że jesteś taki głodny, wzięłabym coś na wynos.

Mag odwraca się na dźwięk mojego głosu.

– Ty!

– Ja.

– A to co? – Spogląda na Julie. – Mini ty?

– Julie, to Luther Dillon. Uważaj na niego, jest jędzowaty. Luter, poznaj Julie, moją przybraną córkę.

– Pokazujesz jej co i jak? – Czarownik przygląda się jej bacznie, mrużąc oczy. – Jaką masz magię? Wykrywaczka? Masz pod ręką wykrywaczkę i nie podzieliłaś się? Niefajnie, Daniels. Bardzo nieładnie z twojej strony.

– Dzielenie się działa w obie strony.

Luther rozkłada ramiona.

– Wszystko co Moje jest Twoje, a Twoje jest Moje.

– Ewangelia według Świętego Jana, rozdział siedemnasty. Prośba za uczniów – mówi Julie. – Ale nie wersja Króla Jakuba.

Prawidłowo. Wersja Króla Jakuba zawierałaby historyczne zaimki dzierzawcze.

– Nowy Standard Amerykański – mówi Luther. – Jestem dumnym patriotą.

– Czy to jeden z jaszczurów, który wylazł z ciała olbrzyma? – Pytam zanim zaczną próbować olśnić się wzajemnie swoją błyskotliwością.

– Tak. Musiałem się o nie wyklócać z Biurem Dochodzeniowym stanu Georgia oraz wojskiem. Posypałem je bylicą.

Nieźle. Lutherowi można przypisać różne wady, ale nie głupotę.
Podchodzę i przyglądam się truchłu.

– Dlaczego bylica? – pyta Julie. – Zdaje mi się, że ona chroni przed złem?

– Ponieważ jest związana z boginią Nu Wa – wyjaśnia czarownik.

– Nie bez powodu Nu Wa jest wyobrażana w starożytnej sztuce chińskiej jako postać z ludzką głową i ciałem wija – dorzucam.

Luther zerka na zegar.

– Trzy, dwa... Jeden.

Odsłonięty miesiąc zmienia barwę na jaskrawą, szmaragdową zielen.

– Drakonoid – wyrokuję.

Z deszczu pod rynnę.

Luther wpatruje się w sufit i wydaje sfrustrowany dźwięk.

– Dlaczego to są złe wieści? – pyta Julie.

– Istnieją cztery udokumentowane przypadki spotkań z prawdziwym smokiem – tłumaczy jej Luther. – To UFO naszej epoki. Niewiele o nich wiemy. Nie, wróć. Mamy szeroką gamę mitów, więc wiemy czym mogą być, ale nie ma prawie żadnych dowodów empirycznych na potwierdzenie tych bredni. Wiemy natomiast, że są istotami o ogromnej mocy magicznej. Trzy przypadki miały miejsce podczas rozbłysku.

– Drakonoid to uniwersalna nazwa dla wszystkich proto-smoków – wcinam się. – Proto-smok jest czymś w rodzaju prymitywnego smoka. To nie całkiem smok, ale na pewno nie zwykły jaszczur, czy żmij. Są na wskroś przesiąknięte magią. Jeśli Zaklinacz może je wezwać, to gdzie kończą się jego możliwości?

– Myślałam, że już walczyłaś ze smokiem – zauważa Julie.

– Nie, to był nieumarły smok. Kupka kości ze słabą pamięcią dawnych dni. Jeśli Zaklinacz wezwie smoka, będziemy w czarnej dupie.

– To nawet nie musi być smok – dodaje Luther. – Wystarczy wielki jaszczur i mamy pozamiatane. Nie mamy protokołów określających jak z nim walczyć. Nikt nie wie, czego się spodziewać. Musielibyśmy walczyć na ślepo. To miasto nie jest gotowe na smoka.

– Zerkam na Julie – kolor?

– Taki sam, miedziany.

Tak podejrzewałam.

– Miedziany? – Luther jest zaskoczony. – Co rejestruje się w tym kolorze? Czego mi nie mówisz, Daniels?

Nie ma sensu okłamywać dalej samej siebie. Biorę głęboki wdech.

– To chyba djinn.

Luther opada ciężko na krzesło.

– Na ile jesteś pewna?

– Na tyle, żeby powiedzieć to na głos.

Czarownik przeciąga dłonią po twarzy.

– Wiesz, gdyby powiedział mi to ktoś inny, uśmiechałbym się i potakiwał, a potem zadzwonił do krewnych i doradził natychmiastową hospitalizację na oddziale psychiatrycznym.

– Wiem.

– Czy djinn to kłopot, bo jest istotą wyższą? – dopytuje Julie.

Przytakuje. Prawdziwi bożkowie nie mogą ukazywać się, chyba że podczas rozbłysku, gdy magia płynie długim, nieprzerwanym strumieniem. W innych przypadkach bożkowie ucieleśniają się jako konstrukt ich woli lub awatar czy kukła. Ich moce w tychże formach są mocno ograniczone.

Większość napotykanych w tym świecie stworzeń powstało z ludzi i zyskało moce lub ich wrodzone, ludzkie moce były znacząco większe niż u przeciętnego człowieka. Jednak nawet wtedy uzależnione są od magii. Fomoriańskie demony zaatakowały podczas rozbłysku, a rakszasowie robili wypadki do naszego świata przez portal i uciekali do siebie, gdy magia odchodziła.

Djinn i smoki to zupełnie inna para kaloszy.

– Jak się z nim zetknęłaś? – pyta mnie Luther.

– To długa historia.

Czarownik wstaje i pociąga jakąś dźwignię. Na stół laboratoryjny opada gruba, metalowa pokrywa, skrywając truchło jaszczura. Przez oczka pokrywy i stołu przeciąga łańcuch, okręcając go kilka razy dookoła, zamyka go na kłódkę i znika w pomieszczeniu obok. Chwilę później wyłania się z trzeba kubkami i dzbankiem kawy.

Rozpoczynam opowieść od spotkania z ghoułami, prześlizgując się po takich szczegółach jak donoszący o ghoułach Ghastek, opieka nad

miastem oraz mikroskopijne udary. Czarownik szybko łączy elementy zagadki. Mamy zręczliwego sąsiada, który jakimś cudem wplątał się w romansik z władającym ogromną magiczną mocą kolesiem z mitologii arabskiej. Spełnił trzy życzenia, a potem magiczna moc przemieniła ofiarę w giganta. Olbrzym ukarał Gildię za przeszkadzanie mu w wypełnieniu zadania. Wszystko to wskazuje na djinna. One spełniają życzenia, pochodzą z tego regionu i niełatwo zapominają urazy. Ta teoria jest solidna, jak złoty ser – niby cała, ale ma dziury. Wciąż nie wiemy czego dokładnie chce djinn, dlaczego zbiera ghoulę i w jakim celu porwały one Eduardo.

Gdy kończę, Luther sapie głośno.

– Nieograniczona moc w rękach tego gościa, a on życzy sobie zmiżdżenia motoru sąsiada, kradzieży dziecięcych dekoracji oraz przywołuje potwora, żeby pożarł wszystkie koty.

– Los okazał się dla nas łaskawy.

Mogło się skończyć znacznie gorzej.

– Taki pokaz mocy wymaga istoty wyższej, czyli masz rację. Choć brzmi to dziwnie, mamy w mieście djinna. Ale dlaczego teraz i tutaj?

Sama zadaję sobie to pytanie. Jeśli djinn naprawdę istnieje, stanowi takie samo zagrożenie dla Rolanda, jak i dla mnie. Czy to jest jakiś

super-sprawdzian? Czy mój kochający tatuś przysłał mi ten wspaniały prezent, by zobaczyć jak i czy sobie z nim poradzę? Czy to jego sposób na podważenie mojej pozycji, unikając osobistego zaangażowania? A może to nie ma nic z nim wspólnego? Trudno powiedzieć.

– Jeśli to djinn, to jaki typ? – marszczy brwi Luther. – marid, ifrit czy shaytan?

– Na pewno nie jann – rozważam na głos. – One nie mają tyle mocy. Może marid, jeśli jednak wierzyć literaturze, są żywiołakami.

– Ale to maridy opisywane są jako olbrzymy – oponuje Luhter.

– To prawda. Mam tu coś dla ciebie. – Wyciągam z worka torebkę zbrudzonych szkiełek. – Znaleźliśmy pierścień zeszlonego piasku wokół auta Eduardo. Wydaje mi się, że użyto go jako kotwicy teleportacyjnej. Musimy wiedzieć skąd pochodzi.

Czarownik bierze torebkę i trzyma ją pod światło. Mruży oczy.

– A co to jest, to wijące się, błyszczące coś wewnątrz szkła?

W szkle znajdują się jedynie drobinki kurzu. Sprawdziłam to szkłem powiększającym. Wzdycham.

– Luther, nie wszyscy mają zdolność magicznego widzenia. Nie dostrzegamy tego, co ty.

Otwiera torebkę i zanurza palce w piasku.

– Ooo. To jest coś.

– A co? – pyta Julie.

– Jeszcze nie wiem, ale na pewno coś.

Magowie. Wieczne zagadki.

– Uważasz, że to trzyżyczeniowy cykl? – pyta Luther. – Spełnia trzy życzenia, a potem opętuje ciało? Dlaczego?

– Nie wiem. Mogę porozmawiać z Mitchellem? Proszę?

– Możesz spróbować. Ja to zrobiłem ubiegłej nocy, ale bez powodzenia. Wziąłem nawet przepyszną padlinkę, ale nie chciałem wyjść z nory.

– Spróbuję.

– No dobra – zgadza się mag. – Wezmę broń usypiającą na wypadek, gdyby magia poszła precz.

– Czy to niebezpieczne? – ciekawi się Julie.

– Tak – odpowiadam. – Masz zostać z Lutherem. Możesz przyglądać się z balkonu.

– Ale...

– Jeśli ze mną pójdziesz, Mitchell nie będzie chciał wyjść.

Buzia jej markotnieje.

– Dobrze.

KONIEC Rozdziału 16

Rozdział 17 – Mitchell

Luther wychodzi z kanciapy na tyle, niosąc wielgachną strzelbę.

– No to chodźmy.

Wychodzimy za nim z sali badań i podążamy dalej korytarzem do wiodących na zewnątrz drzwi. Luther wyciąga kółko z kluczami z kieszeni, przebiera w nich jedną ręką, aż znajduje pasujący i otwiera te drzwi. Przechodzimy na odosobniony, betonowy balkon, ciągnący się wzdłuż ściany przez jakieś piętnaście metrów. Przed nami rozpościera się spora działka, zabezpieczona sześciometrowym

murem, okolonym zwojami drutu kolczastego. Wschodzący księżyc pokrywa drut niebieskawym blaskiem, czyli zawiera on domieszkę srebra. Na działce punktowo rosną drzewa, jedne normalne, inne dziwnie poskręcane. Z pnia po lewej stronie wycieka smołowata maź. Po prawo grupa krzaczków prezentuje półmetrowe, jaskrawopomarańczowe kolce. W trawie unoszą się maleńkie, błękitne kule, poruszające się we wszystkich kierunkach. W całym terenie zbiera się magia i przepływa przez niego, skręcając pomiędzy drzewami, ściekając z liści spiralnym torem, wchłaniając się w ziemię. Gleba też jest odmieniona. Jej powierzchnię przecinają odkrywki przezroczystego, cytrynowożółtego kryształu, przypominające płetwy grzbietowe mitycznych węży morskich, płynących pod wodą. Tu i tam niewielkie żyłki bielutkiej skały wystają nad podłoże, formując guzowate wypukłości, sięgające do połowy łydek, a oparte na ziemi cienkimi „korzeniami”.

– Co to jest? – dopytuje Julie.

– Strefa zrzutu – odpowiada Luther. – Umieszczamy tu obiekty badań.

– Wrzucają tu obiekty nieznane lub tymczasowo niepotrzebne – koryguję. – Luther, nie wciskaj kitu mojej córce.

Luther przewraca oczami.

– Jest dokładnie tak jak powiedziała.

– A jeśli „obiekty” będą chciały się wydostać? – docieka dziewczyna.

Czarownik pokazuje bronią do góry. Julie wychyla się. Wiem co on pokazuje, ale też tam zerkam. Potężne katapulty i działka skierowane są na działkę. Nie wydostanie się z niej żaden ruchomy „obiekt”.

Zdejmuję kurtkę i ściągam trzewiki.

– Czemu trzymacie tam ghoulą? – dziwi się Julie.

– Ponieważ był jednym z nas – wyjaśnia Dillon. – Mitchell był błyskotliwy. Badał zjawisko gholuizmu i myśleliśmy wszyscy, że rozwikła tę zagadkę. Okazało się, że jest jednym z tych dwóch dziesiątych promila populacji.

– Och – kiwa głową Julie. – Rozumiem.

Mitchell i ja znamy się od dawna, jeszcze z czasów, gdy był człowiekiem. Był jednym z tych świrniętych na punkcie zdrowego trybu życia, którzy biegali mordercze maratony i byli źli, gdy nie zmieścili się w pierwszej dziesiątce. Gdy zaczął się przemieniać i zniknął, Biohazard wynajął mnie bym odszukała go i sprowadziła po cichu, ponieważ czuli się za niego odpowiedzialni. Przy każdym nowym przypadku ghoulizmu ludzie panikują, dlatego WAN

starannie eksterminuje wszystkie nowe ghoule bez wyjątku. Nikt w Biohazardzie nie chciał by Mitchell został złapany i odstrzelony.

Tylko dwoje ludzi na każde dziesięć tysięcy mieszkańców jest podatnych na ghoulizm i są dowody na to, że owe osoby są ze sobą spokrewnione. Statystycznie rzecz biorąc, obywatel Atlanty ma większe szanse na zostanie poturbowanym przez zmiennokształtnego, mimo tego przemiana człowieka sieje panikę, ponieważ nie ma na nią lekarstwa. Zmiennokształtni wciąż są ludźmi. Mieszkają w domach, mają pracę i dzieci, wiodą prawie normalne życie. Natomiast ghoule kryją się po cmentarzach i obżerają zwłokami.

Po przemianie Mitchell zrobił to samo, co większość ludzkich i nadnaturalnych uciekinierów – kluczył nieco i schował się w pierwszej dziurze, którą znalazł, czyli w tunelu Kanału Ściekowego Rzeki Południowej. Odnalazłam go tam i sprowadziłam do Biohazardu, zanim capnął go WAN.

Zdejmuję golf.

– Mitchell lubi tu mieszkać. Ma poczucie bezpieczeństwa, jest karmiony dobrze i na czas, no i nikt go nie niepokoi. To chyba najlepsze miejsce dla niego. Nie radziłby sobie zbyt dobrze sam na wolności.

Zdejmuję również uprząż z Sarrat, pas i spodnie. Owiewa mnie zimny wiatr. Grrr.

– O mchu zielony, Daniels – Luther kręci głową.

Zerkam w dół. Moje nogi pokrywają duże, fioletowe siniaki. Nie pamiętam skąd się wzięły.

– Ryzyko zawodowe.

Zaczynam drżeć. Jestem rozebrana do bielizny.

– Nie wejdiesz tam bez broni – protestuje Julie.

– Takie są zasady – tłumaczę. – Mitchell jest płochliwy. Musi wiedzieć, że nie mam żadnej broni.

– Właśnie dlatego Mitchell z nią gada, zwariowane, nie?

Luther odkłada strzelbę i przekręca ciężką korbę z boku balkonu. Wysuwa się spod niego trzydziestocentymetrowa, metalowa rampa. Sunie w dół i zatrzymuje półtora metra nad ziemią.

– Nie wszedłbym tam na golasa – komentuje Luther. – A jestem wykwalifikowanym magiem. Nie chodzi tylko o to, co sami tam wrzucamy. Są jeszcze paskudztwa, które same się tam lęgną.

– Przestań! – rzucam ostrzegawczo.

Luther zerka na Julie i zamyka buzię.

Przerzucam nogi przez betonową poręcz i wchodzę na rampę. Metal jest obrzydliwie zimny. Wiatr znowu mnie smaga i czuję się przemarznięta do kości. Jak to się dzieje, że zawsze pakuję się w takie rzeczy?

– Pamiętaj żeby dobrze mi go wystawić – rzuca Luther. – Nie mogę go uziemić jeśli nie będę go widział.

Ruszam rampą. Idę po śliskim i zabójczo zimnym metalu, dziewięć metrów nad twardym podłożem, a ostry wiatr próbuje obedrzeć mnie żywcem. W razie upadku wyląduję na drutach kolczastych.

Borze liściasty, ależ ten wiatr jest lodowaty.

– Twoja druga mama jest miłą osobą – odzywa się cicho Luther z tyłu. – Niewiele osób przejmowałoby się, że przestraszy ghoula.

Spodziewam się, że Julie powie, że nie jestem jej mamą, ale ona milczy.

Dochodzę do końca rampy, akurat nad ostrymi skałami. Świetnie. Po prostu wspaniale. Przykucam, siadam i ześlizguję się delikatnie. Uderzam stopami w twardą skalę. Dzwonię zębami z zimna.

Chciałabym się objąć, ale różne istoty obserwują mnie z ciemności. Wyglądanie jak ofiara zachęca drapieżniki. Prostuję ramiona i przekradam się po skalistym podłożu.

Coś dygocze w wysokich, czarno liściastych krzakach po lewej stronie. Rozjarza się para srebrzystych, podłużnych oczu. Dostaję gęziej skórki. Adrenalina zaczyna krążyć w żyłach, czuję instynktowny, przeszywający strach.

Wpatruję się w te ślepie.

– Odwal się.

Oczy mrużą się. Krzewy szeleszczą gdy właściciel ślepi wycofuje się.

O tak. Pora na ciebie.

Przeskakuję kałużę oślizłej, pomarańczowej mazi i wychodzę na niedużą polanę o promieniu blisko dziesięciu metrów. Znam jej dokładne wymiary, ponieważ Luther każe ją kosić co kilka tygodni. Potrzeba do tego pięciu ludzi. Jeden kieruje pancerną kosiarką, a pozostała czwórka chroni go.

Pośrodku polanki sterczy z ziemi spora, biała skała. Obok niej ziele jama, tak ciemna jakby była wypełniona płynną nocą.

Wybieram miejsce około trzech metrów od owej skały, podnoszę kamień wielkości grapefruita, przykucam i stukam nim w skaliste wyrostki.

Puk, puk.

Nic.

Przy Mitchellu trzeba uzbroić się w cierpliwość. Pukam raz jeszcze, rytmicznie stukając kamieniem. Jestem odwrócona plecami do krzaków, będąc zajebistym celem – przykucnięta i prawie naga.

Puk... Puk... Puk...

No dalej, Mitchell. Wyjdź ze mną pogadać.

Coś porusza się w ciemności ghoulowej nory.

Odkładam kamień i czekam.

Wyłania się długa, szpadlowata dłoń, uzbrojona w proste, wąskie pazury. Za nią chuda ręka, groteskowy łeb, a potem ramiona. Po chwili z nory wyslizguje się Mitchell i przykuca. Księżycowa poświata prześlizguje się po jego burej skórze, nakrapianej szarością i ciemniejszym brązem oraz rozświetla jego ślepiea niehumanym, srebrnym kolorem. Jego różki, zakrzywione, ostre wyrostki na plecach i ramionach mają piętnaście centymetrów długości, o

połowę więcej, niż kiedy go ostatnio widziałam. Coś go przeraziło i jego ciało zareagowało zmianą. Lewą kostkę oplata mu łańcuch, a nad nim widać tkankę bliznowatą. Rozdrapał ciało, żeby go zdjąć. Jeśli to Luther uwiązał go na łańcuchu, będę miała z nim do pogadania.

Mitchell nawet nie drgnie. Ja podobnie. Dzieli nas zaledwie metr. Musimy niezłe razem wyglądać – nagi ghoul i prawie goła kobieta, drżący na wietrze i siedzący nos w nos.

Mitchell odwraca łeb i spogląda jarzącymi się ślepiami na księżyc.

– Wyjaśnij mi ten łańcuch – proszę go.

– Znalazłem go. – Jego głos jest szorstki jakby miał w ustach żwir.

– Uwięziona na nim istota nie żyła, więc wziąłem łańcuch.

Czyli co, sam się uwiązał?

– Dlaczego?

– Nie słyszysz tego? Przyzywania? – Mitchell znowu spogląda na księżyc. – On wzywa. To jak przytłaczający ciężar, naciskający aż do bólu. – Zwraca wzrok na mnie, twarz ma wykrzywioną. – To boli. – Dotyka czoła. – Tutaj. – Pazurzasta dłoń obniza się do gardła. – I tutaj. – Obniza dłoń do piersi. – Tu. I jeszcze tutaj. Ścisną mnie w żołądku. Boli.

Zalewa mnie nagła fala gniewu. Mitchell wystarczająco dużo już utracił – człowieczeństwo i rodzinę. Jest wystraszonem, spokojnym stworzeniem, które nigdy nikogo nie skrzywdziło. Chce jedynie żyć w swojej norze i być bezpiecznym. A teraz torturuje go jakiś nadnaturalny dupek.

– Kto cię wzywa?

– Nie wiem. Ale czuję to. Widzę go w głowie. Nie chcę iść. – Patrzy na łańcuch. – Nie chcę. Umrę jeśli tam pójde, ale ból wzmacnia się. Któregoś dnia przegryzę sobie nogę i pójde.

– Wiesz skąd dochodzi wezwanie?

– Dlaczego pytasz? – głos Mitchella ocieka rozpaczą.

– Żebym mogła tam pójść i powstrzymać Zaklinacza.

– Nie możesz. Jesteś za słaba. Nie podołasz jego magii.

– Ależ pokonam. Jeszcze cię nie zawiodłam i tym razem też mi się powiedzie.

Mitchell nie odpowiada.

– Chcę ci pomóc – szepczę. – Zatrzymam ból.

Twarz ghoulu drży, podobnie jak całe ciało.

Na moich oczach łatki na jego skórze ciemnieją, a różki wydłużają się o kolejne kilka milimetrów. Jeżu kolczasty. Takie tempo jest szalone, nawet jak na ghoulu. On jest ledwo żywy ze strachu.

– Będzie wiedział – szepcze Mitchell. – Będzie wiedział jeśli powiem.

– Jak?

– Wysłał po mnie innych, ale zakopałem się głęboko i wystraszyli się zanim do mnie dotarli. Obserwują mnie.

– Kiedy to było?

– W dniu, w którym mnie karmiono.

Czyli we wtorek.

– Jak przedostali się przez ogrodzenie?

Ghoul przybliżył się i szepcze:

– Wykopali jamę. Czekają tam teraz i obserwują nas.

Wykopali tunel. No jasne. Luther i ja będziemy musieli go znaleźć.

– Jeśli mi powiesz, obiecuję, że ich zabiję, a potem znajdę jego i też go zniszczę.

Skóra ghoulu robi się niemal czarna.

– Nie. On ma innych. Podobnych do mnie oraz w rodzaju, w który i mnie jest przeznaczone się przemienić. Ma innych. Ma człowieka w klatce.

Eduardo. To moja jedyna szansa.

– Umrzesz, a potem on wyśle innych po mnie.

– Nigdy cię nie okłamałam.

Rozdrapuję paznokciami skórę a lewym przedramieniu. Z ranki wypływa kropelka krwi.

– Powstrzymam go.

Wyciągam do niego rękę. Porusza nozdrzami. Skupia się na krwi.

– Spróbuj jej – szepczę.

Powolutku ghoul opiera jedną pazurzystą dłoń na ziemi, pochyla się i obniża głowę. Zlizuje krew grubym, szorstkim językiem. Z jego ust dobywa się światło, przepięknie ogniste, jakby połknął gwiazdę. Żyły na szyi rozświetlają się żarem, po czym ów blask rozchodzi się naczyniami krwionośnymi do serca, tułowia i kończyn.

Mitchell podrywa się, świecąc, a jego ciało staje się większe, mocniejsze i bardziej umięśnione. Kręci się wokół niego ogień, pieszcząc go, ale nie dotykając. Twarz przekształca się w długi pysk, przynależący do smoka lub demonicznego psa. Z głowy wystają spiralne rogi ognia. Oczy rozbłyskują jaskrawopomarańczowo, jakby tlił się w nim ogień piekielny. Z chłodną obojętnością przygląda mi się obca inteligencja.

Ghoul krzyczy. Czuję jakby magia wybuchła w nim i poszybowała do ziemi. Przez polanę przetacza się fala gorąca, łamiąc gałęzie. Mitchell drży i powraca do swojej pierwotnej postaci.

Wszystko wydarzyło się tak szybko. Może mi się tylko przewidziało?

– Jasny gwint! – rzuca Luther.

Nie. Nie przewidziało mi się.

Mitchell unosi głowę. Oczy wciąż ma rozplomienione.

– Przyjmij to! – szepcze ponaglająco.

Ogniste oczy wdzierają się do mojego umysłu. Przepływa pomiędzy nami magia, utkana z mocy i żaru. Dotykam swego umysłu, a on wybucha ogniem i obrazami.

Pieczara... Nie, wewnątrz częściowo zawalonego budynku. Podłogi się zapadły, pozostały jedynie ściany. Białe strumienie księżycowej poświaty wpadają przez dziury w stropie. U góry wisi klatka. Siedzi w niej człowiek: chudy i w podartych ubraniach. Eduardo. Ghoul. Dziesiątki ghoulów pod nim, zaścielających podłogę ciałami.

Strumień światła i ognia, jak gdyby ktoś rozszczepił rzeczywistość i wpuścił kosmiczne płomienie. W owym ogniu twarz. Surowa, grubo ciosana, ze świetlistymi, choć czarnymi tatuażami na policzkach i czole. Tak podobny do człowieka, a jednak nieludzki wygląd... W długich, spiczastych uszach osadzone są złote kółka, jedno za drugim. Złota obroża wysadzana jaskrawozielonymi klejnotami. Grzywa czarnych, prostych włosów, a rdzeń każdego żarzy się złoto, jak bursztyn ledwie powleczony sadzą. Unoszą się skrzydła...

Ogniste oczy, przepełnione arogancją i szaleństwem.

Słyszę w głowie głos:

„Jesteś słaba. Umrzesz. Zdrajca także umrze. Twoje miasto padnie przede mną na kolana”.

– To miasto nie klęka, patafianie. Już po ciebie idę. Lepiej zacznij się modlić.

Wizja rozmywa się, a rzeczywistość przyjmuje mnie w swe zimne objęcia. Mrugam i widzę tylko stopy ghoula znikające w otworze.

– Poczekaj...

Czuję na plecach czyjś wzrok. Ktoś wpatruje się intensywnie we mnie. Nie ruszam się, przykucnięta, z jednym kolaniem na ziemi.

Następna sekunda wlecze się boleśnie wolno.

Czekam na twój ruch. Zobaczymy jak dobrze walczysz.

Coś wyskakuje z krzaków. Okręcam się i widzę sunącego w powietrzu ghoula.

Przewracam się na plecy, dopasowując się do jego rozpędu i wyrzucam stopy do góry. Uderzam go piętami w brzuch i przerzucam nad głowę. Spada twardo, waląc plecami w ziemię. Odwracam się i rzucam na napastnika w momencie gdy już jest odwrócony na brzuch. Przygniatam go mocno kolanami. Stwór próbuje wstać. Łapię go z obu stron głowy i odciągam ją na plecy, ściskając kręgi, po czym przekręcam. Kark łamie się jak zapałka.

Ghoul gulgocze i drży. Zaraz zregeneruje uszkodzenie.

– Odsuń się! – wrzeszczy Luther. – Muszę go widzieć!

Chwytam kamień, którym pukałam do Mitchella i rozwalam nim czaszkę leżącego ghoul. Rozpryskują się maleńkie krople krwi. Uderzam jego czerep raz za razem. Czaszka pęka i zapada się, a ja miażdżę kamieniem miękką tkankę mózgu.

Ghoul wiotczeje. Skaczę na równe nogi. Z ciemności wpatrują się we mnie srebrzyste oczy. Jedna para, dwie, trzy... Za dużo ich.

Gnam do ogrodzenia, niemal frunąc ponad skalistym podłożem. Poszycie za mną szeleści. Dźwięki pazurów i ciężkie oddechy podążają za mną.

oCzekający na balkonie Luther wyrzuca dłonie do góry, jego ręce drżą z napięcia jakby płonął. Nieziemski, zielony blask owija się wokół niego, jak jaśniejąca aureola. Julie chwytła korbę zawiadującą metalowym mostkiem.

Luther szarpie do góry lewą dłoń, ustawiając palce jak pazury. Z podłoża strzelają ciemnie korzenie, rozsypując dokoła grudki ziemi. Unoszą się i wyrastają z nich trzydziestocentymetrowe, zielone kolce. Ghoul na lewo ode mnie skrzeczy. Kątem oka widzę jak trzepoce się w zbitce pędów. Czarownik unosi drugą dłoń i następny ghoul wydaje wrzask.

Kolejny omija korzenie, biegnąc na czterech i skacze na mnie z boku. Łapię jego prawe przedramię lewą ręką, wyciągając je do przodu i ściągam go w dół, potem wsuwam ramię pod jego łapą i zatrzymuję na karku. Przedramieniem ściągam jego łeb ku ziemi, jednocześnie przyklękając. Wkładam całą siłę ciała w łokieć, rozrywając tkankę miękką i miażdżąc krąg. Cała operacja zajmuje pół sekundy. Puszczam drgającego ghoula i biegnę do rampy.

Metr przed nią skaczę. Chwytam palcami zimny metal, podciągam się i mknę mostkiem. Julie odkręca korbę i rampa zaczyna się wsuwać. Przeskakuję ostatnie półtora metra oraz barierkę, ląduję obok niej i odwracam się. Przy ogrodzeniu w bezsilnej furii wyje siedem ghoulów. Ich ślepie świecą, a zęby są obnażone.

Najmniejszy z nich odwraca się do ucieczki. Z podłoża wyrastają korzenie, formując półkolistą barierę o średnicy niecałych trzydziestu metrów. Ghoulki obracają się, orientując się, że są w pułapce.

Luther uśmiecha się.

– O nie, śliczności moje. To moje królestwo, a wy wtargnęliście tu bez pozwolenia. Słono za to zapłacicie.

Czarownik nabiera powietrza, jego ramiona unoszą się jakby miał odlecieć. Zgromadzona przed nim magia drży, jak zbyt mocno

napięty sznur. Mięśnie jego pleców napinają się, a potem ramiona opadają nagle, z dłońmi skierowanymi wewnętrzną stroną do góry.

Podłoże pod ghoułami przesuwa się jakby stało się ciekłe. Stwory zapadają się, gorączkowo starając się uwolnić kończyny, ale gleba szybko je chwyta. Pośrodku polany formuje się zielony bąbel, rośnie do rozmiaru piłki do kosza i pęka. Rozsypuje się z niego jasny, szmaragdowy pył. Zarodniki, uświadamiam sobie. To są miliony zarodników. Zielony pył opada na ghoule. Zaczynają mniej się szamotać, a potem spowalniają całkiem, poruszając się jakby w zwolnionym tempie, jakby ich tkanki stopniowo kamieniały. [Petrificus totalus!]

Zarodniki kiełkują. Wyrasta gęsty dywan mchu w kilkunastu rodzajach, pokrywając ciała ghouli aksamitnym kocem. Nad ledwo rozpoznawalnymi ciałami wyrastają delikatne, różowe łodyżki. Na ich czubkach otwierają się maleńkie, białe kwiatuszki, uwalniając jaśniejące złościście kropeczki. Powietrze pachnie słodko, jak las po porannym deszczu.

Luther bierze wdech i uśmiecha się.

– Ślicznie – oznajmia Julie.

– Przecież nie tylko grzejemy tyłki na stołkach, wypełniając papierzyska – odpowiada Luther. – Ciężko pracujemy na zapłatę.

Wciągam spodnie. Stopy mam poranione po biegu wśród skałek, a lewy, środkowy palec złamany.

– Wydawało mi się, że obiecałaś Curranowi nie używać przemocy – zauważa Julie, podając mi golf.

– Nie, obiecałam mu, że nie będę walczyć z olbrzymami.

– Czyli przestrzegasz zasad idiotycznie dosłownie – kwituje dziewczyna.

– Owszem.

Przestaję w końcu szczekać zębami. Uwielbiam swój golf. I kurtkę. I trzewiki. Mmm, wspaniałe, ciepłe trzewiki.

– To dlaczego się czepiasz, gdy ja to robię?

– Bo nie robisz tego dość dobrze, żeby uszło ci na sucho.

Julie mruga.

– Co to był za ruch na końcu?

– To z eskrimy, filipińskiej sztuki walki. Zaprezentuję ci go jak znajdziemy wolną chwilę, ale będziesz musiała go dużo ćwiczyć, bo musi być wykonany bardzo szybko, żeby zadziałał.

– Dowiedziałaś się czegoś od Mitchella? – pyta Luther.

– Tak. To ifrit i to potężny. Ubarwiony smoliście czarno i czerwono, bardzo lubi ogień. – Marid według wierzeń ludowych byłby błękitny, a dopóki życie nie dowiedzie inaczej, trzeba im zaufać. – Posiada ogromną moc i z niewyjaśnionego powodu trzyma Eduardo w klatce.

Widziałam w tej klatce miskę wody, ale żadnego jedzenia. Ramiona Eduardo odznaczały się pod jego koszulką, a twarz miał wymizerowaną, więc prawdopodobnie głoduje. Przeciętny człowiek może wytrzymać bez pożywienia dwadzieścia dni. Zmiennokształtny musi pochłonąć dwa do trzech razy kalorii więcej niż człowiek tych samych rozmiarów.

Zbiorowo wypadamy przez drzwi. Ulica jest pusta. Nic prócz długich śladów po ogniu.

– Gdzie on się podział? – woła Luther.

Milczenie.

– Gdzie jest Pusia? – ktoś pyta. [Fluffy - w H.P. to trzygłowy pies, Cerber :D]

– Jana zabrała ją na miejsce zbrodni – ktoś odpowiada.

– No co wy? Jaki pożytek z dobrej suki tropiącej, jeśli nigdy jej nie ma? – Luther unosi ręce do góry.

Nad naszymi głowami przelatuje kula ognia i rozpryskuje płomienie po ulicy.

– Garcia, przestań wszystko podpalać! – ryczy Luther.

– Sorki! – woła facet z okna. – To niechcący!

Klepię się w czoło. Julie zaciska usta i wydaje ciche miauknięcia, próbując powstrzymać się od śmiechu.

Drzwi znowu się otwierają i wylania się Patrice Lane, dyrektorka działu Chorób Zakaźnych, ze stadem laborantów za sobą.

– No dobra. Gdzie on jest? Jestem naładowana „staphylococcus” [gronkowiec]. Dajcie mi sekundę, a będzie cały pokryty pęcherzami. Wyśpiewa nam wszystko.

– Uciekł – wyjaśnia czarnowłosa kobieta.

– Że co? – Patrice jest zaskoczona.

Julie zgina się wpół i parska śmiechem.

– Przestań – rozkazuje jej Luther.

Z cienia wyłania się mężczyzna. Ma na sobie jeansy i brązową kurtkę z kapturem, odrzuconym teraz na plecy. Jest średniego wzrostu, ma jasnobrązowe, lekko falowane włosy i przystojną, przyjazną twarz, z głęboko osadzonymi, błękitnymi oczami, wydatnym nosem oraz zarysem zarostu. W jego oczach jest coś lekko znajomego.

Podchodzi do mnie.

– Towarzyszko. To zaszczyt znów cię spotkać. Ups. Nie powinienem cię już tak nazywać.

Ma lekki irlandzki akcent.

– Może cię nie pamiętać – odzywa się Julie. – Miała...

– Jardin – przerywam jej.

Kiedy ostatnio się widzieliśmy miał postać szczurołaka i prawie kujnęłam go w oczko. Pracuje dla Roberta Lonesco.

– Ach – mówi Jardin. – Pamiętasz mnie. To zaszczyt.

– Kto to? – żąda odpowiedzi Luther. – Kim jesteś?

– To nie on – odzywa się czarnowłosa. – Tamten facet był starszy, wyższy i nosił się na czarno.

– To członek Gromady – wyjaśniam.

– Och. Moment! – Oczy Luthera rozświetlają się. – Umiesz tropić?

– Owszem.

– Świetnie. Wybiegł stąd mężczyzna. Złapałeś jego zapach?

– Jasne. Widziałem go i mogę go wyczuć, ale widzicie i tak go nie złapiecie.

– Co? – dziwi się facet w kombinezonie. – Dlaczego?

– Miał konia.

– Konia? – gestykułuje gwałtownie Luther. – Posiadamy kilka zaawansowanych pojazdów. Prześcigniemy konia. Jeśli wszyscy będziemy inkantować, odpalimy jeden w trzy minuty.

Ha. Jeśli inkantuje więcej niż jedna osoba auto startuje szybciej. Dlaczego nigdy tego nie spróbowałam? Archiwizuję tę informację w głowie do dalszego rozpatrzenia.

– To był bardzo szybki koń – dodaje Jardin.

– Jak szybki? – pyta czarnowłosa.

Szczurołak uśmiecha się.

– Miał skrzydła.

Zapada grobowa cisza.

– Piękne, czarne skrzydła – potwierdza Jardin.

Czyli tak, mamy ifrita przetrzymującego Eduardo w bliżej nieznannej lokalizacji, a nasz jedyny ślad odleciał na uskrzydłony koniu.

Wszyscy zaczynają mówić nieraz. Magowie mocno gestykulują.

Przebija się głos Luthera.

– Dzwonię po Zakon.

– Serio? – unoszę brew.

– Sorki, Daniels – mówi czarownik. – Tego wymaga protokół bezpieczeństwa. Potrzebujemy teraz ciężkich dział.

Odchodzę na bok i uśmiecham się do Jardina.

– Czarny koń?

– Tak – potwierdza.

– Arabka?

– Przykro mi, nie znam się na tym.

Założę się, że wyglądała jak klacz za milion dolarów.

– Chcesz czegoś ode mnie?

Sięga do kurtki.

– Mój alfa zwrócił na to uwagę Władcy Zwierząt, ale ten uważa, że to nie jest odpowiednia pora na rozmowy na ten temat. Mój alfa jest innego zdania. Sądzi, że stanowi to zagrożenie dla Gromady oraz miasta. Powiedział, że powinnaś o tym wiedzieć.

Podaje mi talię polaroidów. Na pierwszym widać duży, szary blok, utworzony ze szczątków różnych budynków. Ktoś obok niego stoi. Blok musi mieć co najmniej dziesięć metrów wysokości. Serce podskakuje mi w piersi. Widziałam już coś takiego. Tak mój ojciec zbudował Mishmar.

Przeoglądam resztę polaroidów. Następny blok. I jeszcze jeden. Niewielki, drewniany model, stojący na składanym stoliku pośrodku

pola. Roland stojący obok mężczyzny trzymającego plany. Wciąż nosi powłokę „mądrego ojca” – starszego mężczyzny o wyglądzie Zeusa lub może Mojżesza w drugiej połowie życia; mądry, piękny, posiadający nieziemską moc, a jego brązowe oczy nie znają upływu czasu... Profil ojca rozmazuje się nagle. Odwraca się do mnie na fotografii i mruga. Fajnie. [Roland czytał HP? ;P]

Julie zatyka usta dłonią, a Jardin blednie.

Psisyn. Buduje kolejną wieżę. Nie zajmie tej ziemi.

– Gdzie je zrobiono?

Jardin dochodzi do siebie na tyle, żeby mówić.

– Niedaleko Lawrenceville.

Tuż za granicą mojego terytorium. O nie, nie zrobisz tego. Po moim trupie. A lepiej po jego.

– Dziękuję – mówię Jardinowi. – Przekaż Robertowi, że się tym zajmę.

Odwracam się i ruszam do naszego auta. Zwrócenie się do mojego ojca bezpośrednio może być postrzegane jako akt agresji, a prośba skontaktowania się z nim przy pomocy magii, to proszenie się o kłopoty. Biję mnie na tym polu na głowę. Otwieranie magicznego

połączenia pomiędzy nami jest niemądre. Nie mam pojęcia jak się z nim skontaktować, ale znam kogoś, kto to wie.

– Jedziemy do domu? – pyta Julie, maszerując przy mnie.

– Nie – odpowiadam twardym głosem. – Jedziemy do Kasyna. Muszę rozmówić się z ojcem.

KONIEC Rozdziału 17

Rozdział 18 – Kasyno

– Jak on zrobił tę sztuczkę z fotografią? – pyta Julie. – Jak? Technika była w górze, kiedy je zrobiono.

– Nie wiem.

Tyle niewiadomych, w tym wizja Sienny, ale jak dotąd nie wymyśliłam nic mądrego. Martwi mnie to.

Idziemy przez parking Kasyna, gdzie znajduje się główna siedziba Korporacji, będącej połączeniem sekty z nieumarłym małym zoo.

– Ale jak ty przez to nie bzikujesz? – dopytuje Julie.

– Nie mogę sobie na to pozwolić. Ty również nie.

– Wiesz ja... – Julie zatrzymuje się z wytrzeszczonymi oczyma.

Odwracam się do niej.

Wpatruje się w miejsce, gdzie stoi Kasyno, w dół, gdzie pod ziemią ukryte są stajnie.

– Czy to są...

To nie jest jej magia wykrywająca. Jesteśmy za daleko od stajni i dzieli nas dużo skał i gleby.

– Wampiry.

Jeszcze nie powiedziałam Julie, że rytuał Areza związał ją ze mną i pozbawił wolnej woli. Teraz jednak muszę stawić czoła całkiem nowemu efektowi ubocznemu. Zdaje się, że moja krew ją zmienia.

– Mają ich tak wiele – szepcze.

– Tak. Nie chwałą się tym. Gdyby opinia publiczna dowiedziała się ile wampirów jest pod Kasynem, nikt nie przyszedłby tu grać.

Omiata wzrokiem budynek.

– Czujesz je wszystkie? – pytam.

– Tak.

– Myślisz, że mogłabyś sięgnąć i chwycić jednego?

Mruży oczy.

– Mam wrażenie, że tak.

– Dobrze. Poćwiczmy po odnalezieniu Eduardo. Chodź za mną i nie wychylaj się ze swą mocą.

Podchodzimy do drzwi Kasyna. Strażnicy umyślnie nas ignorują. Wchodzimy do lobby. Najpierw uderza mnie hałas: mechaniczny warkot automatów przystosowanych do funkcjonowania podczas fal magii, wrzawa ludzkich głosów, podekscytowane krzyki wygrywających, brzmiące jak zraniony ptak oraz pobrzękiwanie metalowych żetonów; wszystko to łączące się w dezorientującą, histeryczną kakofonię. Dostrzegam główną salę: dziesiątki automatów, oświetlonych magicznymi latarniami i zatłoczonych, a za nimi zielone stoliki do gry w karty i ruletkę oraz twarze pokerowych graczy, pozbawione ludzkich uczuć. Obsługa przemyka pomiędzy nimi, a gdzieś tam stoją czeladnicy w czarno-fioletowych barwach Kasyna i obserwują klientów.

Jeden z czeladników, średniej budowy, po dwudziestce, ze ściągniętą twarzą, zachodzi mi drogę.

– Przepraszam, proszę okazać dowód tożsamości.

Marszczę brwi.

– Mój?

– Jej. – Wskazuje Julie. – Nieletni mają zakaz wstępu na główną salę Kasyna.

– Powiedz Stefanoffowi, że Kate chce się z nim widzieć. Dla mnie zrobi wyjątek.

Czeladnik nadyma się.

– Przykro mi, ale szef w tej chwili nie przyjmuje gości.

– Mnie przyjmie.

– Nie wydaje mi się. Jest moim bezpośrednim przełożonym i wiem, że nie przyjmie pani dzisiaj. – Wskazuje ręką drzwi. – Wolalby nie wzywać ochrony.

Wzdycham.

– Dobra. Chyba sama mu to powiem.

Sięgam magią i chwytam morze czerwonych światełek, umiejscowionych pod nami. Cała stajnia wampirów nieruchomieje. Utrzymanie dwustu nieumarłych jest niezmiernie trudne, a mojemu umysłowi wcale a wcale się to nie podoba.

Stojący przede mną czeladnik niczego nie zauważa.

– Być może nie wyraziłem się jasno – mówi rozciągając przesadnie słowa. – Czasem mówię za szybko.

– To przez pański błyskawiczny intelekt, prawda? – pyta Julie.

Z całych sił staram się nie śmiać. Oby ktoś zauważył, że ich wszyscy nieumarli patrzą w jednym kierunku i nie ruszają się, bo czuję, że moja magia trzeszczy w szwach.

Czeladnik robi się czerwony na twarzy.

– Słuchaj no, to jest miejsce dla dwóch rodzajów ludzi. Utalentowanych jak ja, którzy tu pracują oraz tych, którzy przychodzą tu rozerwać się i wydać pieniądze. Ty tu nie pracujesz i – spogląda znacząco na moje jeansy i sfatygowane trzewiki – nie wyglądasz na milionerkę.

Z tylnych drzwi wyłania się Rowena, jak zwykle wytwornie ubrana i uderzająco piękna. Sunie jak gejsza w wąskiej sukni i na wysokich obcasach. Za nią podąża dwoje czeladników w garniturach, starając

się jej nie wyprzedzić. To ostatnioroczni uczniowie, tuż przed egzaminem końcowym.

Puszczam wampiry.

Rowena dostrzega mnie i przyspiesza marsz pingwina.

– To nie jest miejsce dla was – ciągnie „mój” czeladnik. – Nie tolerujemy tu żebraków.

– Ale masz przesrane – oznajmia Julie.

Rowena podchodzi do nas. Uśmiecha się tak ślicznie jak wygląda, ale jej oczy ciskają gromy. Nieszczęsny czeladnik dostrzega ją.

– Pani, zajmę się...

Rowena wali go w tył głowy, a on kuli się.

– Pokłoń się – wydusza przez zęby.

– Co?

– Pokłoń się, gamoniu.

Czeladnik robi zdziwioną minę i pochyla się.

Pani Umarłych uśmiecha się do mnie.

– Sharrim. Z głębi serca przepraszamy za to nieporozumienie. On jest nowy, a my nie spodziewaliśmy się wizyty.

Sharrim. Księżniczko. Nienawidziłam być nazywana Towarzystką gdy Curran był Władcą Zwierząt, ale wolę to po stokroć od „Sharrim”.

– Nie ma sprawy.

Czeladnik tkwi zgięty w pół, nie mając zielonego pojęcia co się dzieje.

– Proszę za mną.

Julie i ja idziemy za nią. Czeladnik prostuje się.

– Kto to jest?

– Nieważne – odpowiada starsza czeladniczka. – To twoja przepustka chorobowa. Idź natychmiast do domu.

– Co?

- Jesteś bardzo chory – mówi drugi czeladnik przez zaciśnięte zęby.
- Idź do domu i się połóż się. Cały wieczór byłeś chory, a jeśli Stefanoff spyta, nie masz pojęcia kto cię zastępował. Idź już.

Skrećamy za róg i schodzimy do podziemi. Dociera do mnie zatechły, odrażający smród – zapaszek życia po śmierci. Nad naszymi głowami wiszą uczone sufitu szponami wampiry i to one wydzielają ową obrzydliwą magię. Odruchy wymiotne mi teraz nie przystoją, więc powstrzymuję się. Schodzimy, a wampiry idą za nami.

Rowena przybrała neutralny wyraz twarzy. Nasze matki były daleko spokrewnione, czego już się pewnie domyśliła.

Wciąż zanurzamy się głębiej w czeluści Kasyna, mijamy stalowe drzwi i wchodzimy do betonowego korytarza, idziemy dalej labiryntem tuneli zaprojektowanych tak, by zmylić niepilotowane wampiry na wypadek gdyby zamki w kłatkach zawiodły. Tunele kończą się i wydostajemy się do przestronnego, okrągłego pomieszczenia, wypełnionego wampirzymi celami, ustawionymi w podwójnych rzędach, biegnących do środka tej komnaty. Sztynch jest przejmujący. Julie zachłystuje się powietrzem.

- Nie ma się czym martwić – uspokaja Rowena. – Są zabezpieczone.

Julie zerka na mnie. Kładę jej dłoń na ramieniu, próbując dodać otuchy. Zbyt wielu nieumarłych. Ich magia przeciąża jej magiczny zmysł.

– Rozumiem, że Ghastek nie chciał gabinetu Nataraji?

Były zarządca Korporacji miał pełne przepychu biuro w kopule Kasyna, włączywszy w to złoty tron i bezcenne dzieła sztuki.

– Przemeblowaliśmy je i zmieniliśmy w klubik dla dzieci, żeby miały się czym zająć gdy pozbawiamy ich rodziców pieniędzy – objaśnia Rowena. – Staramy się być przyjaznym dla rodzin miejscem rozrywki.

O mało nie wybucham śmiechem.

Skręcamy w lewo i wchodzimy schodami na galerię z matowego szkła, zasłaniającą olbrzymi pokój.

Rowena puka i przytrzymuje dla nas otwarte drzwi. Bywałam już w jego gabinecie. Nie zmienił się zbyt wiele. Te same regały na książki i przeróżne dziwne przedmioty stoją pod ścianami, te same okowy na czarownice pochodzące z końca szesnastego wieku wiszą na ścianie na honorowym miejscu, ta sama półkolista sofa oraz oczywiście wampir przycupnięty w kącie niczym czujny, bezwłosy kot. Ghastek stoi przy szklanej ścianie, popijając kawę z białego kubka z napisem: „Nocna zmiana: Robimy to po ciemku”. Z tej strony szyba jest

przezroczysta i daje doskonały widok na stajnię nieumarłych, a Stefanoff przebiega po nich wzrokiem pana i władcy, co niewiele mija się z prawdą. Ubrany jest w dopasowane, granatowe spodnie i dziergany, szary sweter z domieszką błękitu. Obie części garderoby są eleganckie i wyglądają zwodniczo prosto, czyli pewnie są idiotycznie drogie. Niewielki czarny trójkącik zakłóca strukturę splotu tuż pod płaskim rąbkiem kołnierza. Sam trójkącik kosztował go zapewne dodatkowe trzysta dolców. Ubrania nieco na nim wiszą. Powinien jeść więcej. Z jakiejś przyczyny myśl o jedzeniu i Ghasteku spina mnie. Zastanawiam się nad tym, aż po czasie mnie olśniewa: głodowaliśmy razem w Mishmarze. O to chodzi.

– Czyli podoba ci się kubek? – pytam. To prezent świąteczny ode mnie.

– Dziękuję za uroczy prezent – udaje mu się odrzec te cztery słowa z jakichkolwiek emocji. – Czym mogę służyć ?

– Chcę żebyś zadzwonił do mojego ojca.

Ghastek lampi się na mnie, a Rowena jest wyraźnie oszołomiona.

– Co dokładnie masz na myśli mówiąc „zadzwoń do ojca”?

sz– Weź telefon, wykręć numer i zadzwoń do niego.

Stefanoff wyraźnie zмага się ze słowami.

– Nie da się tak po prostu zadzwonić do Rolanda. [„One does not simply walk into Mordor” – Boromir, LOTR.]

O pierzaste purchawki. Chyba zaraz strzeli mi wykład o zagrożeniach wynikających z wejścia do Mordoru.

– No dobra, jak się zwykle z nim kontaktujecie?

– Nie robimy tego – odpowiada Rowena.

– Jeśli wypływa jakaś ważna kwestia – dodaje Ghastek – składamy petycję.

Dzwoni telefon.

Stefanoff odbiera.

– Powiedziałem żeby nie łączyć rozmów! – Milknie i wybałusza oczy. Odstawia kubek i podaje mi słuchawkę. – To do ciebie.

– Kwiatuszku – rozlega się głos ojca w moim uchu.

Obmywa mnie jego magia, jakby ktoś rozszczepił niebiosa i spłynęła na mnie cała ich chwała. Monumentalna potęga jego mocy zapiera mi dech w piersi. Chyba nad czymś pracuje, pewnie nad tą zasraną wieżą, ponieważ gdy rozmawiał ze mną w Twierdzy postarał się

złagodzić sączącą się z jego głosu magię i jej wpływ nie był tak kosmiczny.

Wciskam guzik głośnika i kładę słuchawkę na stoliku. Chcę mieć obie ręce wolne na wypadek gdyby coś wyskoczyło z telefonu i chciało rozszarpać mi gardło.

– Moja noc jest jaśniejsza – ciągnie ojciec.

Rowena zamiera jak posąg. Julie wyciąga z kieszeni kredę, rysuje okrąg ochronny na podłodze i siada w nim.

Stefanoff zaciska szczęki, próbując zapewne zmniejszyć efekt głosu Rolanda. Powodzenia.

– Jak się miewasz? – pyta ojciec.

Powiedz coś dyplomatycznego... Coś...

– Jeśli wybudujesz tę wieżę w Lawrenceville, zniszczę ją, spalę i zasolę ziemię na której stała.

Ghastek zakrywa twarz dłonią. Nie wiem czy to frustracja, czy strach.

– Porozmawiajmy osobiście. Wiem, spotkajmy się na kolacji.

Co?

– Nie.

– Gdy przebudziłem się kilka lat przed Zmianą, często chodziłem do tamtej sieci restauracji, gdzie mieli duży wybór w menu. Nie pamiętam nazwy, ale było coś z owocem i insektem.

Ghastek mówi coś do mnie bezgłośnie. Kręcę głową. Muszę skupić się na utrzymaniu bariery ochronnej. Rozmawianie z nim podczas fali techniki jest o wiele łatwiejsze.

– Uznaję to za akt agresji. Przeszkadzasz mi w rozszerzaniu terytorium. To narusza warunki naszego porozumienia.

Stefanoff bierze kartkę z biurka i rysuje coś na niej jak szalony.

– Chciałbym się z tobą spotkać.

Ghastek pokazuje szkic. Na kartce jest tyłek, a nad nim lata pszczołka. Co?

– Nie rozmawiałem z tobą od ponad stu dni.

– To nie jest z mojej strony niedopatrzenie.

Chyba zrobiłam głupią minę, bo Ghastek gryzmoli coś na kartce i znowu ją podnosi. Dorysował liść nad tyłkiem. No tak, to wyjaśnia zagadkę. Aleś pomocny. Macham do niego żeby dał mi spokój. Rowena wstaje, podbiega do niego na paluszkach i odbiera mu kartkę.

– Jestem wolny jutro o siedemnastej – mówi ojciec. – Przyrowadź rodzinę.

Rowena podnosi kartkę do góry. Napisała na niej dużymi literami: „APPLEBEE’S”.

[Jabłko + pszczoła. Tak naprawdę nazwa pochodzi od nordyckiego nazwiska Appleby, dla którego 'Applebees' jest wariantem pisowni. W staroskandynawskim to popularna nazwa miejsca, wywodząca się od dwóch wyrazów: 'apple' czyli jabłko oraz 'byr' czyli gospodarstwo lub osada. Czyli raczej Jabłoniowy Dwór, Jabłoniowy Gród albo U Jabłońskiego ;P]

Och.

– Nie mam zamiaru jeść z tobą kolacji w Applebee’s.

– Zatem jutro o piątej. Dziękuję, za zaproszenie na twoje terytorium. Tak się cieszę na tę okazję. Będę ponadto mógł wpaść do tamtejszej filii i zobaczyć jak sprawy się mają.

Słyszę dźwięk przerwane połączenia.

Niech to jeż kolczasty!

Wyłączam głośnik.

Julie oddycha z ulgą i wychodzi z okręgu.

– Pomogło? – pytam.

– Nie wiem. – Patrzy na Stefanoffa. – Przepraszam, że pomazałam panu podłogę.

Ten macha lekceważąco dłonią.

– Nie szkodzi.

Rowena unosi brwi.

– Zapomniałeś jak się pisze? – pyta łagodnie.

Stefanoff mrozi ją spojrzeniem. Dobrze to rozumiem. Obcowanie z magią Rolanda wymaga niepodzielnej uwagi. Człowiek koncentruje się na blokowaniu owej mocy aż następuje zwarcie w mózgu. Przypomina to próbę prowadzenia inteligentnej dyskusji gdy jest się wciągany przez wir wodny. Trzeba młócić wodę żeby pozostać na powierzchni, a to wymaga każdej odrobiny uwagi.

Przyjechałam tu z zamiarem ogłoszenia wojny, a skończyłam na spotkaniu przy kolacji z moim ojcem. W mieście jest tylko jeden lokal Applebee's, który przetrwał Zmianę.

Muszę iść na tę kolację. Ta uwaga o wpadnięciu do filii to groźba. Nie wiem czy Ghastek i Rowena to załapali, ale dla mnie znaczenie tych słów jest jasne. Ode mnie zależy jak przebiegnie owa niespodziewana inspekcja oraz ile głów się potoczy.

Jak na faceta, który nie był pewny czy w ogóle żyję, Nimrod szybko rozpracował mój charakter.

Ghastek odchyła się i zakłada ręce na piersi.

– Miałem obiecującą karierę. Miałem osiągnięcia, uznanie i minimalne poczucie bezpieczeństwa. A potem ty się pojawiłaś.

Aha. On i dziesiątki pracujących tu zakładników mogą się uzalać nad sobą ile wlezie.

– Kto cię uczył rysować? To nawet w przybliżeniu nie przypomina jabłka. Raczej tyłek.

– Bardziej brzoskwinie – zauważa Rowena.

– Mam inspekcję za kilkanaście godzin – przerywa nam Ghastek. – Wybacz, ale mam mnóstwo rzeczy do zrobienia.

– Martwisz się tym?

Wygląda na obrażonego.

– Nie. Możemy przyjąć audyt w każdej chwili bez obawy, że nie skończy się pozytywnie.

– Jeśli się niepokoisz, dopilnuję żeby Roland zjadł coś słodkiego zanim tu przyjedzie. Dużą porcję ciasta mlecznego, tres leches, lub czekoladowy deser lodowy.

Ghastek wpatruje się we mnie.

– Wynoś się.

Wstaję i teatralnie pociągam nosem.

– Chodź, Julie. Nie chcą nas tutaj.

– Odprowadzę was – oferuje Rowena.

Idę do drzwi, ale odwracam się i patrzę na Ghasteka. Może i ojciec mnie rozpracował, ale ja też nie zasypywałam gruszek w popiele.

– Wciąż myślisz o nim jak o bożku. To człowiek. Kocha życie i każda chwila jest dla niego cenna. Każdy moment wypełniony jest

niekończącym się zachwytem. Zauważa teksturę obicia kanapy pod palcami oraz kolor kawy w filiżance. To trzyma go przy życiu. Jeśli znudzi się i rozczaruje światem, stanie się cieniem samego siebie i umrze, jak Erra. Traktuj go jak człowieka. Jeśli chcesz wyrzeć dobre wrażenie nie rób wielkiego, uroczystego powitania. Wyjdź mu sam na spotkanie i bądź grzeczny jak dla zwykłego znajomego.

Wychodzę.

KONIEC Rozdziału 18

Rozdział 19 – Lago Vista

– Możemy porozmawiać na osobności? – mamrocze Rowena cichutko, gdy wchodzimy do lobby. – Na zewnątrz?

– Jasne.

Dobrze wiem jak będzie przebiegać ta rozmowa. „Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jesteś córką mojego niemal nieśmiertelnego szefa?” Jakoś się nie złożyło. „I co teraz?” Bleh.

Zwracam się do Julie:

– Idź przodem i odpal auto.

Julie rzuca Rowenie krzywe spojrzenie, przepelnione ilością nastoletniej pogardy zdolną w jednej sekundzie spopielić niewielką armię, po czym wyprzedza nas.

– Ta dziewczyna jest taka podobna do ciebie. – Ton głosu nekromantki zdradza, że to nie jest komplement.

– Dziękuję.

Jesteśmy prawie u drzwi, gdy podbiega do nas czeladniczka.

Rowena odwraca się i rzuca krótko:

– Nie teraz.

Czeladniczka łapie haust powietrza i szepcze:

– Frederic obnażył się koło damskiej toalety przed dwiema młodymi paniami.

Moja towarzyszka wytrzeszcza oczy. Odwraca się do mnie i mówi:

– Sekundkę.

– Nie spiesz się. Poczekam przy fontannie.

Wychodzę. Po smrodzie nieumarłych nocne powietrze odświeża mnie jak łyk zimnej wody w upalny, letni dzień. Wystarczy mi gościnności Korporacji jak na jedną noc. Może jeśli opłuczę twarz wodą z tych ślicznych fontann, zmyję z siebie ten sztych.

Drogę zastępuje mi jakiś facet.

– Kate!

Skąd ja go znam... Już go gdzieś spotkałam.

Przesuwa się i światło pada na jego twarz. Lago Vista. Tyle że ten Lago tutaj odmłodził o jakieś dwie dekady. Vista, którego pamiętam, jest po czterdziestym piątym roku życia. W mojej pamięci jego włosy są przeredzone, mięśnie zwiotczałe i ma zmarszczki. Ta jego wersja jest w kwiecie wieku. Wyprostowany jak struna, szerokie bary, pierś wypina skórzaną kurtkę. Nie kuleje. Ma gęste włosy, przejrzyste oczy, a jego uśmiezek zmienił się z nazbyt skromnego na pełen zadowolenia.

Zapala mi się światełko ostrzegawcze w głowie.

– Hej – puszcza mi oczko. – Nie wiedziałem, że grasz.

– Bo nie gram. Przyszłam tu w interesach.

Jest coś ważnego, co powinnam pamiętać o Lago. Coś bardzo istotnego. Myślenie o tym przyprawia mnie o ból głowy i w żaden sposób nie mogę dotrzeć do tych wspomnień.

– Chcę ci tylko powiedzieć, że wszystko między nami gra. Nie jestem pamiętliwy.

– O czym ty mówisz?

Lago szczyrzy się.

– To mi się podoba. Nie ma co chować urazy. – Macha ręką jakby rzucał niewidzialną piłkę do kosza. – Ziut i po sprawie, wszystko zapomniane.

No dobra, mam sporą lukę w pamięci.

– Gdzie twój facet?

– W domu.

– Uuu. Sama w mieście – kiwa głową. – To mi się podoba. Chodź, zafunduję ci parę obstawień w ruletkę.

– Stać cię na hazard, Lago?

Sięga do kurtki, która wygląda na nowiutką. Podobnie jak spodnie. I buty. Lago wyciąga zwitek banknotów spięty gumką i pokazuje mi.

– Jestem nadziany.

Prawie to sobie przypominam. Czuję końcówkę wspomnienia wijącą się tuż poza moim zasięgiem.

– Masz jakiegoś bogatego wujka, o którym nie wiem?

– Niee. Wszystko zawdzięczam sobie. To co powiesz, Kate? Chcesz się zabawić? Twój facet nie musi o niczym wiedzieć.

Jaki odważny się znalazł.

– Przykro mi. Mam tu spotkanie za kilka minut, a potem jadę do domu.

Lago zastanawia się nad tym.

– Wiesz co, masz rację, po co się szlajać po kasynie. Za dużo ludzi. Lepiej się przejdźmy. Jesteś seksowna. Nóżki że mniam.

Robi się obleśnie. Nie chcę połamać mu rączek.

– Nie.

– Nie?

– Idź sobie.

Uśmiecha się do mnie.

– Jejku, szkoda. Trzeba będzie podejść do tego inaczej. Chcę tę!

Magia ściska mnie i próbuje ciągnąć. To przytłaczająca i destrukcyjna moc. Muska mnie jakaś obca inteligencja. Dostaję gęziej skórki. Opuszczam osłonę i opieram się. Nogi drętwieją mi z wysiłku. Nie mogę wydobyć z siebie głosu. Wszystkie siły pochłania koncentracja na pozostaniu w miejscu.

Lago kiwa dłonią na coś z tyłu.

– Auto, auto, auto. Szybko.

Z cienia bezgłośnie wyłania się elegancki, srebrny kabriolet.

Vista otwiera drzwi.

– Wskakuj.

Magia znowu ściska i dusi. Płynie od Lago, ale nie należy do niego. On jest zaledwie skorupą, kotwicą dla czegoś pradawnego i potężnego, co jest mi już znajome. Dopiero co ucieliśmy sobie

pogawędkę w strefie zrzutu Biohazardu. Tu jesteś, złotko. Szybko cię znalazłam.

Moc naciska, chcąc zmusić mnie do uległości. Silna. Taka silna. Zaciskam zęby i odpycham ją. Magia ifrita cofa się lekko, zszokowana oporem.

Tak jest, gnoju. Zmierz się ze mną. Dopadnę cię.

Moc zaciska się na mnie coraz mocniej. Skupiam się na uniesieniu dłoni. Lago pewnie położył łapę na tamtej błyskotce z ucha olbrzyma. Co za matolek. Nie wolno dobijać targu z istotami, których się nie pojmuje.

– Powiedziałem, że chcę tę – ponagla Lago. – W czym problem?

Moc ściska, starając się ściąć mnie z nóg.

Zabiję cię. Dorwę i ukatrupię.

Moja dłoń pełźnie żałością wolno, jakbym płynęła przez stygnącą smołę. Mam wrażenie, że mięśnie oddzierają mi się od kości, jeden po drugim. Rzucająca czar istota posyła całą swoją siłę przeciwko mojej. Nasze magie ścierają się jak dwa klinczujące miecze.

Dłonią niemal sięgam Sarrat. Jeszcze tylko parę centymetrów. Przykro mi, Lago. Jeśli zlikwiduje się kotwicę, stateczek odpłynie.

– Kate? – podchodzi do nas Rowena.

Vista pociera brodę.

– Jeżu szpiczasty. Bez obrazy, Kate. Daj sobie z tą spokój. Bierzemy tamtą zamiast niej.

Twarz Roweny traci wyraz. Magia znika. Odlatuję kilka metrów w tył i ląduję tyłkiem na chodniku. W pół sekundy staję na nogi. Auto już umyka w noc. Rowena siedzi z pustym wzrokiem na miejscu dla pasażera.

Ruszam biegiem za kabrioletem.

Wpada na mnie i zbija z nóg wampir. Przetaczamy się, a stwór ląduje na mnie, ziopiąc się płonącymi czerwono ślepiami. Potężne szczęki rozwierają się tuż przy mojej twarzy. W świetle księżyca jego kły wyglądają jak dwa sierpy.

– Nie ruszać się! – rzuca pilot. – Nazwisko!

Walę krwiopijcę przez łeb.

– Ty głąbie! On porywa waszą Panią Umarłych! Złaź ze mnie, do stukonarów! Skontaktuj się ze Stefanoffem! Powiedz mu, że jakaś

dawna magiczna moc zabrała Rowenę! Weź się rusz, wyleńiały poroście!

Wampir zastyga na moment.

Wrota białych minaretów nade mną otwierają się i na parking wysypują się wampiry.

* * *

Piętnastolatki to okropni kierowcy. Przekraczają dozwoloną prędkość, lekceważą zasady ruchu drogowego i myślą, że są nieśmiertelne. Jednak mus to mus. Na przykład gdy rusza się w pościg za kabrioletem z uprowadzoną nekromantką. W środku nocy. Ulicami Atlanty.

– Jest za szybki – wkurza się Julie.

Wjeżdżamy na garb. Nasz jeep frunie i spada ze zgrzytem. Sprawdzam językiem, czy mam jeszcze wszystkie zęby.

Wyżej wampiry mkną po ścianach budynków. Coś z hukiem ląduje na dachu jeepa. Opuszczam szybę, wiszący do góry nogami wampir zagląda do auta.

– To jest mało zabawne – odzywa się Ghastek.

- O, jak mi przykro. Zwrot kasy za bilet w okienku.
- Mogłabyś choć raz odwiedzić moje miejsce pracy bez powodowania poważnych problemów?
- Nie ja je wywołałam.
- Ależ skąd, masz rację. Źle się wyraziłem. Rozmawiałaś z człowiekiem, który następnie porwał Panią Umarłych, przez co musimy ujawnić nasze zasoby badawcze, co w efekcie skończy się stratami finansowymi i uszczerbkiem na naszym wizerunku publicznym. A wszystko to na kilkanaście godzin przed inspekcją szefa, którą też zawdzięczam tobie. „Problem” to zbyt łagodne określenie. Jeśli to dywersja, wiedz że nie poskutkuje. Ponad jedna trzecia naszych zasobów pozostała w Kasynie, pod odpowiednim dowództwem. Są zdolni odeprzeć każdy atak.
- To nie dywersja – wyduszam przez zęby. – To ifrit, który chce zawładnąć miastem.

Poza tym wyprowadzili mniej niż jedną czwartą swoich zasobów.

Wampir nieruchomości, gdy Stefanoff trawi informację.

- Trzymać się!

Julie bierze zakręt z zawrotną szybkością. Auto przechyla się. Łapie uchwyt nad oknem. Przez mrozącą krew w żyłach sekundę jedziemy na dwóch kołach, a potem wracamy do normalniej pozycji.

– Djinn – odzywa się w końcu Ghastek.

– Tak. Pradawna moc, prawdopodobnie związana z zaklętym przedmiotem. Facet w kabriolecie to najemnik. Wydaje mi się, że zwędził ów przedmiot, odmłodził się, zażyczył sobie auta wypchanego po brzegi forszą oraz kobiety. A teraz będzie musiał za to zapłacić.

– Djinn przejmie ludzkiego gospodarza – stwierdza Stafanoff. – Zatem olbrzym, który zniszczył siedzibę Gildii pochodził od djinna, a skoro cykl trzech życzeń tego człowieka właśnie się wyczerpał, możemy spodziewać się następnego olbrzyma.

Głupi to on nie jest.

– Co jeszcze powinienem wiedzieć?

– To ifrit, czyli lubuje się w ogniu. Tamten olbrzym wciąż metamorfował, gdy go usiekłam. Miał już metalowe nogi i żarzył się. Niska inteligencja, brak umiejętności mowy, dużo gniewu, a po śmierci przemiana ożywieniowa. Jego trup zmienił się w horde drakonoidów.

– Cudownie – komentuje Ghastek. – Czy umiejętności jego ludzkiego gospodarza wpływają na aktywność olbrzyma?

Czemu ja o tym nie pomyślałam?

– Nie mam pojęcia. Lago to dobry, świetnie wyszkolony najemnik. Sami się przekonamy.

Łeb wampira znika i daje się słyszeć głos Ghasteka: [Mhm, w ryku zaczarowanego silnika? ;p]

– Dowódcy grup jeden i dwa, zbliżyć się do ściganego! Grupa trzecia i czwarta pozostają w odwodzie! Grupa pierwsza, próba przejęcia, w razie niepowodzenia rozproszyć się! Uwaga, jest ekstremalnie gorący!

Wampiry przyspieszają i zrównują się z autem. Sześć wampirów z prawej strony skacze na kabriolet. Gdy szybują w powietrzu, dach aura zamyka się. Tworzą się na nim metalowe płytki, zachodzące na siebie jak łuski. Pięć wampirów ląduje na nim zwinnie jak koty. Ostatni z nich ześlizguje się, spada i turla.

– Evgenia, szybciej następnym razem – poucza pilotkę Ghastek.

Krwiopijcy wbijają szpony w zbroję auta. Zarys samochodu zmienia się, pancerz grubieje i pokrywa również koła. Wampirom udaje się

ściągnąć górny panel, który odrzucają na bok. W jego miejscu natychmiast pojawia się nowy.

– Nie łapię tego. – Julie skręca ostro. – Ten djinn przejmuje ciało po trzech życzeniach, tak?

Może ifrit nas nie zabije, ale jej jazda na pewno.

– Tak mówi teoria.

Ponadto z nieznanego nam powodu djinn bardzo chce przejąć ciało gospodarza, więc mocno popycha swe ofiar do wypowiedzenia tych życzeń. Dla osoby o słabej woli oparcie się przymusowi wypowiedzenia tych życzeń jest niemożliwe. A im więcej życzeń się spełni, tym bardziej odrywają się od rzeczywistości. W zwykłych okolicznościach Lago nie posunąłby się próby porwania. Uważa się za Casanovę, ale nie jest gwałcicielem. A sąsiad Oswaldów nie chciałby, żeby po dzielnicy mieszkalnej grasował zabójczy potwór. Musimy zapobiec temu szaleństwu zanim ucierpi więcej osób.

– Ale Lago już spełnił swoje trzy życzenia. Dlaczego auto wytwarza pancierz?

– Ponieważ ifrit potrzebuje czasu, by się transformować. Przerwiemy przemianę zabijając Lago, więc go chroni.

– A dlaczego zmienia ich w olbrzymy?

– Gdybyśmy wiedzieli wszystko, sprawa byłaby już rozwiązana.

Pancerne łuski porastają kolcami. Wampiry uchylają się jednocześnie. Jeden z nich skręca się, nadziany, ale zdejmuje się z kolca i wraca do rozrywania pancerza.

– Dowódca grupy drugiej! Przerwać i rozproszyć się!

Pędzimy na łeb na szyję, a Lago znowu skręca. Świetnie. Objechaliśmy zygzakiem pięć kilometrów kwadratowych miasta i znajdujemy się w punkcie wyjścia. Hmm. Jeśli skierujemy się na wprost, wylądujemy w Molenowie, gdzie po wykluciu się feniksa powstał olbrzymi, szklany krater. Odbywają się tam różne imprezy sportowe, od roller derby do turniejów hokeja ulicznego, ale teraz powinien być pusty.

– Jego auto jarzy się – donosi Julie.

Oslaniające kabriolet metalowe łuski zyskują łagodny poblask po lewej stronie. Lago przemienia się. Jak się nie pospieszymy, Rowena ugotuje się żywcem.

Pukam w dach. Ghastek nie reaguje.

Odpinam pas.

– Chcesz skoczyć na jego samochód? – pyta Julie. – Mogę podjechać bliżej.

– Kompletnie oszalałaś. Nie zamierzam tego robić, bo to sprawdza się tylko w filmach. – Wystawiam głowę przez okno. – Ghastek!

Krwiopijca obraca łeb do mnie.

– Trzymaj się mocno! – informuję go.

Wracam na siedzenie i przypinam się. Może i Lago ma kabriolet, ale ja mam córkę, która uczyła się prowadzić od Dali Harimau.

– Vista musi zaraz skręcić ostro w prawo, więc zwolnij. Pamiętasz, jak wykonać manewr wytrącenia z toru jazdy?

Julie uśmiecha się promiennie.

– Mogę? Proszę!

Przygotowuję się.

– Walnij go.

Auto Lago zwalnia, by wejść w zakręt. Julie wciska gaz do dechy. Przez chwilę nasz jeep zrównuje się z byłym kabrioletem, podjeżdżając równolegle od lewej strony. Samochody stykają się

łagodnie i Julie obraca kierownicą w prawo. Zderzenie trzęsie jeepem. Kabriolecik okręca się i ześlizguje z drogi przez nierówność chodnika wprost do Molenowa.

Witam w dwudziestym pierwszym wieku, zasrańcu.

Jeep wciąż pędzi, wirując niebezpiecznie blisko jednego z budynków. Mijamy słup lampy o kilka centymetrów i Julie hamuje.

Wali w kierownicę obiema dłońmi i śpiewa wysokim głosem:

– Zaa-łaa-twioo-nyy!

– Świetna robota – chwalę ją.

Wyskakuję z auta, trzymając w dłoni szablę i podbiegam do krawędzi Molenowa. Kabriolet leży na boku. Dwa wampiry dobierają się do drzwi od strony pasażera.

– Chronić panią Daniels! – rozkazuje Stefanoff.

Zjawiają się przede mną cztery wampiry.

– Co to ma znaczyć?

– To sprawa Korporacji – stwierdza Ghastek. – Jakiegokolwiek przejawy przemocy z twojej strony uznamy za wypowiedzenie wojny.

– Ni kija!

– Mówię poważnie. Masz jutro bardzo ważną kolację. Nie zamierzam ryzykować.

Wrr. Przywalenie krwiopijcy nic nie da, bo Ghastek tego nie poczuje, ale i tak z trudem opieram się pokusie. Świerzbi mnie ręka żeby odciąć mu łeb.

– Kate! – rozlega się głos Julie. – Nie możesz walczyć z olbrzymem. Obiecałaś.

Niech to gałąź trzaśnie. Wsuwam Sarrat do osłony.

– Zapamiętam to sobie – cedzę przez zęby.

– Już się boję – odpowiada Ghastek. – A teraz proszę mi wybaczyć.

Krwiopijca rozpędza się i daje dużego susa. Ląduje pomiędzy dwoma wampirami starającymi się otworzyć konserwę i wrywa drzwi. Wampir Ghasteka daje nura do środka i wyłania się z bezwładnym ciałem Roweny. Przekazuje je innemu krwiopijcy, który oddala się od auta.

Kabriolet wybucha.

Pojawia się chmura dymu, wznosząca się w niebo. Porusza się w niej coś bardziej materialnego. Coś potężnie zbudowanego i po brzegi wypełnionego magią. Dym formuje się w kolumnę, wijąc się jak tornado i wynurza się z niego olbrzym. Twarde mięśnie opinają jego ponad dwudziestometrową sylwetkę. Oczy jarzą mu się na czerwono, uszy ma szpiczaste, a na plecy opada grzywa prostych, czarnych włosów. Niemniej jego twarz jest wciąż rozpoznawalna – Lago.

Olbrzym zaciska pięści. Olbrzymie łapska zginają się w łokciach i potwór ryczy w niebo. Owiewa nas fala gorąca. Coś błyszczy pod szyją Lago. Mrużę oczy. Kolczyk. Przekłuł skórę w okolicy obojczyka, aby go tam schować. Żeby kolczyk działał, potrzebny jest kontakt z krwią. Lago, ty głąbie. Umrze. Nie da się go uratować. Jaka szkoda.

– Obiecałaś – protestuje Julie cienkim głosem.

– Uspokój się. Nie zamierzam z nim walczyć.

Przez Molenowo przetacza się głos Ghasteka:

– Wszystkie grupy, zdjąć go!

* * *

Zakładam ręce na piersi.

– To już piętnaście minut.

– Szesnaście, proszę pani – koryguje jedno z moich wampirzych opiekunów.

Dowiadujemy się czy umiejętności ludzkiego gospodarza wpływają na możliwości olbrzyma. Lago pracował dziewięć lat w Gildii. Jest diabelnie szybki. Wampiry próbują go rozszarpać, ale on wyłapuje je, łamie na pół i odrzuca. Krwiopijcy regenerują się, a on ponownie je niszczy. I tak w koło Macieju.

Na nogach zaczynają mu się formować jarzące łuski. Pokrywają go od stóp, do połowy ud.

Coś odpada od olbrzyma i leży jak kupka nieszczęścia. Wygląda jak ludzkiej wielkości larwa. Wytężam wzrok. To wampir. Normalnie wychudzony, teraz jest spuchnięty do absurdalnych rozmiarów. Podobny jest do ludzika Michelina, zamienionego w nieumarłe paskudztwo. Jakby wampiry nie były już dość obrzydliwe.

Stojący obok nas wampir odzywa się:

– Dowódco, mamy przypadek 20-80 w toku. Proszę o pozwolenie na wycofanie osobnika.

– Pozwolenie udzielone.

Wampir pędzi przez szklany krater do nieumarłej larwy.

– Co mu jest? – pyta Julie.

– Zbyt dużo krwi – wyjaśnia pilotka. – To niecodzienne zjawisko, ale obserwowano je w kontrolowanym środowisku laboratorium. Wywołanie takiego stanu u wampira wymaga nieprzerwanego strumienia czterdziestu pięciu skonsumowanych litrów krwi, czyli ilości, którą może dostarczyć 1,28 krowy.

Olbrzym ma za dużo krwi i w dodatku regeneruje się. Nie dadzą rady wysuszyć go odpowiednio szybko. Nie mogę użyć przeciwko niemu słowa mocy, ale mam inne niespodzianki w zanadrzu.

Wampir, który pobiegł po swojego napompowanego towarzysza, przerzuca go przez ramię, wraca szybko i zrzuca paskudztwo obok nas. Oczy larwy przygasają.

– Fuj – trzącha się Julie. – Fe.

„Fuj” to za mało powiedziane. Wygląda, jakby zaraz miał pęknąć.

– Dlaczego nikt go nie pilotuje?

– Nie będzie w stanie się ruszyć przez następną godzinę – objaśnia pilotka.

– Proszę przekazać Stefanoffowi wiadomość ode mnie – zwracam się do „nianiek”. – Twoja strategia nie działa. Chcę pomóc.

Wampir powtarza wiadomość słowo w słowo.

– Szef mówi: „Mamy sytuację pod kontrolą”.

– Proszę mu powiedzieć, że wcale nie. Już teraz nad nim nie panujecie. Co będzie, gdy skończy przemianę?

– Szef mówi: „Twoja troska została odnotowana”.

Wrr.

– Dupek.

Nieumarły zastyga z otwartymi ustami, gdy pilot gryzie się w porę w język.

– Czy powinienem?

– Nie, nie powinieneś – poucza go koleżanka.

Drogę wiodącą do Kasyna tarasuje karawana czarnych SUV-ów.auta zatrzymują się w półokręgu wokół Molenowa i wysiada z nich Ghastek oraz stadko czeladników. Rozpoznaję dwoje Panów Umarłych: Toakase Kakau, kobietę pochodzenia tongijskiego oraz Ryana Kelly'ego, białego mężczyznę sporych rozmiarów, który wygląda jak typowy biały kołnierzyk, tyle że z długim, purpurowym irokezem na łepetynie.

Czeladnicy i Panowie Umarłych rozciągają się, tworząc niezbyt gęste koło wokół Molenowa. Stojąca obok Ghasteka czeladniczka unosi spory róg do ust i wydobywa z niego ostry dźwięk.

Wampiry puszczają się w dół krateru. Czeladnik może pilotować jednego. Pan Umarłych dwa lub w przypadku ich szefa, trzy. Dookoła Molenowa znajduje się około dwudziestu osób, a wewnątrz jest jakieś trzydzieści wampirów. Każdy jest oznaczony farbą fluorescencyjną w innym kolorze – kółkiem lub krzyżykiem. Co tu się dzieje?

Krwiopijcy rzucają się chmarą na Lago, wspinając się po nogach na brzuch i pierś. Vista ryczy i rozrzuca je na boki. Spadają na szkło, lądując na łapach lub imitując naleśniki. Łuski sięgają do mu pasa, a stopy zaczynają się jarzyć. Szkło pod spodem niedługo zacznie się topić.

Ghastek unosi rękę. Rogi grzmią w odpowiedzi.

W głowie widzę jak przyćmione, czerwone smugi wampirzej magii, znajdujące się wewnątrz leja, zmieniają się w jaskrawoczerwone.

Borze szumiący, puścili je wolno.

Teraz rozumiem tę farbę. Oznaczyli poszczególne sztuki, żeby je potem sprawnie „połapać”.

Nieumarli zaciekle atakują olbrzyma, który wciąż ryczy i gorączkowo próbuje je postrącać. W powietrzu latają fragmenty tkanki. Wampiry nacierają oszalałe z żądy krwi.

Mija minuta... Olbrzym jeszcze stoi.

I następna...

Dwa opite wampiry odpadają, a Lago rozdeptuje je.

– Przygotować się! – wydaje komendę Ghastek.

Olbrzym zatacza się, poruszając ramionami jakby chciał zwinąć się w kulkę. Wampiry oblazły go całego.

Magia eksploduje jak uderzenie grzmotu. Lago prostuje się i wyciąga ręce. Wampiry spadają, odrzucone ogromną siłą.

– Przejmujemy wampiry! – woła Ghastek.

Róg znowu się odzywa, tym razem nagląco. Piloci chwytają umysły przypisanych im wampirów.

Bezdymne, pomarańczowe płomienie pokrywają stopy Visty. Odwraca się. Jego twarz straciła wszelkie ślady człowieczeństwa. Metalowe łuski sięgają już obojczyków, a te w pasie są rozżarzone. Szkło pod nim zmiękło. Olbrzym obraca się w naszą stronę, obrzucając spojrzeniem miasto i unosi stopę...

Nie ma mowy.

Dobytam Sarrat, nacinam lewe przedramię, po czym wpycham zakrwawione ostrze w opitego wampira, leżącego wciąż obok.

Moja krew sunie wzdłuż klingi, a jej magia rozprzestrzenia się w nieumarłej posoce jak iskierka skacząca po loncie. W pół sekundy cała jest moja. Wyciągam ją z wampira. Unosi się przede mną w postaci potężnej kuli. Wsadzam w nią krwawiącą rękę, spłaszczając ciecz w twardego dysku o średnicy pół metra, obracam się i ciskam go, wkładając w rzut całą siłę mięśni i magii.

Dysk leci, rozszerzając się w powietrzu, tworząc ostrą jak brzytwa krawędź i wbija się w szyję olbrzyma. Uderzenie roztrzaskuje półtorametrową broń w pył. Łeb giganta przechyla się na bok, odcięty w trzech czwartych. Jego usta wykrzywiają się w milczeniu, a czerwone ślepia patrzą w różnych kierunkach

Tryska krew, wylewa się na tułów i syczy, wyparowując przy zetknięciu z gorącymi łuskami.

No i proszę. Żadnych słów mocy.

KONIEC Rozdziału 19

Rozdział 20 – Mikuś

Na Molenowie zapada kompletna cisza, a w niej daje się słyszeć stukot końskich kopyt. Ogromny, szary koń galopuje ku nam, niosąc na grzbiecie jeźdźca w szarym płaszczu. Dźwiga lancę zakończoną jarzącą się, zieloną iskrą. [Gandalf?]

Olbrzym opada na czworaki, jego szyja szarpie się, usiłując ustawić ciężki, opadający łeb na miejscu. Rana szyi zabliznia się z wolna.

Koń podjeżdża do krawędzi Molenowa i skacze na plecy olbrzyma, tupiąc po metalowym kręgosłupie i zmierza ku głowie. Jeździec przyciska lancę do ciała i wsadza ją w czaszkę giganta. Wierzchołek cofa się, dobrze widoczny na tle języków ognia. Płaszcz jego właściciela trzepocze, kaptur opada na plecy. Nick.

W zadek jeża, mamy przerąbane.

Potężny koń jednym susem pokonuje odległość pomiędzy olbrzymem i brzegiem Molenowa. Łeb olbrzyma eksploduje, wyrzucając w powietrze tkankę mózgową i krew, ochlapując wszystkich, a mnie pokrywając juchą od stóp do głów.

No w dupę robaczka, fantastycznie. Wisienka na zasranym torcie. Curran mnie zamorduje.

Głos Nicka rozchodzi się po Molenowie:

– Zakon dziękuje za pomoc! Proszę się rozejść!

Ghastek występuje do przodu, nie speszony rozmiarem rumaka. Dwa wampiry poruszają się jednocześnie i siadają po jego bokach jak wierne psy. Przygotowuję się na przedstawienie.

– To sprawa Korporacji – oznajmia chłodno Ghastek.

– Nie obejmuje jej jurysdykcja Korporacji – kontruje Nick. – Dochodzenie prowadzi Zakon.

– Popelniono wykroczenie przeciwko członkowi Korporacji, a my wykazaliśmy się stanowczą reakcją i rzuciliśmy odpowiednie siły. Zdaniem Korporacji obecność i możliwości ZMP są niewystarczające, by właściwie zabezpieczyć ciało.

Tłumaczenie: jesteś sam jeden, a nas jest wielu.

– Jestem przedstawicielem prawa – odpowiada Nick.

– O ile mi wiadomo ZMP nie jest oficjalnie organizacją, która ma pilnować przestrzegania prawa – odpiera Stefanoff niebezpiecznie spokojnym głosem.

– Jesteś sam! – krzyczy ktoś z tyłu.

Ghastek patrz znacząco na osobę, która się wyrwała. Da im popalić po powrocie do Kasyna.

No nie, naprawdę nienawidzę Zakonu.

– Jest nas troje – mówię.

Wszyscy spoglądają na mnie. Julie wyciąga toporki.

– Jest nas trójka – powtarzam. – Biohazard wezwał ZMP w związku z poprzednim wypadkiem pojawienia się olbrzyma. Czyli to zdarzenie jest kontynuacją trwającego śledztwa, zatwierdzonego oficjalną prośbą przez stanowe służby porządku publicznego. On jest przedstawicielem prawa. A ja będę przestrzegać prawa.

Ghastek milknie, zastanawiając się gorączkowo nad czymś. Nie może całkiem się wycofać. Nie ma też żadnego dobrego wyjścia. Jeśli odpuści przejęcie ciała, będzie musiał wytłumaczyć, jak to się

stało, że djinn porwał Rowenę, a on stracił kilka wampirów, żeby go zabić, ale nie ma nic, by tego dowieść ani czym się pochwalić. Jeśli natomiast przejmie siłą ciało, będzie musiał się tłumaczyć Rolandowi z ataku na rycerza Zakonu, złamania kilku przepisów prawnych oraz przysporzenia szybko powiększającej się kupki pozwów sądowych.

Zdecyduje się na zabranie ciała. Wartość przejętych i przemienionych przez djinna zwłok jest dla Rolanda ważniejsza niż jakieś tam kłopoty prawne.

Macham szablą, rozgrzewając nadgarstek. Będzie krwawo.

Ghastek unosi rękę. Nieumarli pochylają się jednocześnie, gotując do biegu.

– Trzymaj się blisko mnie – rozkazuję Julie.

Nagle daje się słyszeć wycie syren. Zza zakrętu wyłania się flota aut Biohazardu i WAN-u. Stefanoff gapi się na nie dłuższą chwilę.

– Sprowadźcie mi ludzi z działu prawnego.

Patrzę na Nicka.

– To kolczyk. Wielkości śliwki. Miał to na klatce piersiowej, przyczepione jak piercing.

Nick udaje, że mnie nie słyszy.

Nawet nie podziękuje, dupek.

– Ifrit przenosi się z gospodarza na gospodarza, żeby znaleźć jak najpotężniejszego. Musisz zabezpieczyć kolczyk.

Feldman odjeżdża bez słowa.

– A niech go muchomor!

– Spodziewałaś się wdzięczności od rycerza? – pyta Toakase.

[Toakase to właściwa pisownia, czyta się „tolkis”, a znaczy „kobieta morza”.]

– Nie. Spodziewałam się, że zamknie magię ifrita na trzy spusty, żebyśmy nie mieli następnego olbrzyma.

Muszę poszukać Luthera. Jemu da się przemówić do rozsądku.

Podbiega do mnie czeladniczka i wciska kartkę do ręki. Zerkam na nią. Rachunek na osiemdziesiąt trzy tysiące dolarów.

– Co to ma być, do ciernistych krzaków?

– Koszt zniszczonego wampira – szczebioce babol radośnie. – Życzę miłego dnia.

* * *

Zostaję do odnalezienia kolczyka. Biohazardowi zajmuje cztery godziny przesianie zakrwawionego ścierwa, bo poddają kwarantannie każdą usuniętą część truchła.

Siedzę na krawędzi Molenowa i przyglądam się ich pracy. Julie zasypia w aucie. Przez jakiś czas prawnicy Korporacji wyklócają się z prawnikami Biohazardu o to, kto dostanie kolczyk, ale w końcu milkną i tylko się przyglądają.

Technicy Biohazardu ostrożnie umieszczają kolczyk w szkatułce wyrzeźbionej z kostki soli, którą wkładają do plastikowego pudełka, wyłożonego skałą wulkaniczną. Owa skała została poddana działaniu takich temperatur, że jest obojętna i nieprzenikliwa dla magii ognia.

Technicy zamykają szczelnie pudełko, a Nick natychmiast je konfiskuje.

– Nie możesz go zabrać! – woła Luther.

Jeśli się biedak jeszcze bardziej zdenerwuje, dostanie ataku apopleksji. Ma na sobie kombinezon przeciwskażeniowy, a do rozmowy zdejmuje kask.

– Musimy to sprawdzić i przebadać!

– Niby jak? – pyta Nick. – Macie zamiar zaprosić to coś na herbatkę i wypytać o rodzinę? Wiemy że to djinn. Musi pozostać zamknięty. To jest najważniejsze.

Luther zwraca się do swoich prawników, którzy porzucili wszelkie pozory profesjonalizmu i rozwalili się na kocach obok prawników Korpo, którzy podzielili się z nimi kawą.

– Wolno mu to zrobić?

– Owszem – odpowiada latynoska, poprawiając okulary.

– Jakim cudem?

– Podpisując prośbę sam mu dałeś taką władzę – wyjaśnia inny prawnik. – Mówiłem ci, żebyś tego nie robił.

Nick umieszcza pudełko w jukach.

– Zwłoki za każdym razem przechodzą przemianę ożywieniową – mówię do niego na tyle głośno, żeby Luther słyszał. – Wszystkie prócz tych tutaj. Czyli djinn chce, żebyś wziął ten kolczyk. Chce mieć bardziej uzdolnionego gospodarza, a my nie wiemy, jaki jest jego

ostateczny cel. Nick, nie umieszczaj pudełka w tutejszym skarbcu Zakonu, gdzie będzie miał do niego dostęp każdy rycerz.

Nick ignoruje mnie. Jasne. To chyba wiem na czym stoimy. Mam przeczucie, że moje pochodzenie oraz to, że dzieli nazwisko z moim zmarłym opiekunem, ma z tym wiele wspólnego. Jednak to nie czas i miejsce, żeby to omawiać.

– Niezależnie od tego, co o mnie sądzisz, wiesz, że nie okłamałabym cię w takiej sprawie. Nie kładź tego pudełka na półce w skarbcu, dokąd każdy ma wstęp.

Nic. Jak grochem o ścianę.

Lesie liściasty, co za okropna noc.

Luther gestykuluje mocno, ponaglając prawników.

– Nie możecie tego podważyć czy coś? On zaraz z tym odjedzie!

– To ty zawaliłeś – mówi jeden z prawników Korpo. – Złożona ZMP prośba jest nie do ruszenia.

– Dokładnie tak – potwierdza inna prawniczka. – Czy to znaczy, że to już wszystko?

– Będzie wszystko, jak zdobędziecie dla mnie to ciało – rzuca Ghastek.

Prawnicy wydają zbiorowy jęk.

Nick odjeżdża w ciemność nocy.

– Jeśli djinn opęta rycerza Zakonu, będziemy mieli przerąbane. Popatrzcie, co udało mu się zrobić przy pomocy najemnika – mówię Lutherowi.

Czarownik przygląda się chwilę leżącemu w dole ciała, po czym wali pięściami powietrze, nawet kopie kilka razy, a na koniec rzuca kaskiem o ziemię.

Bycie porządnym obywatelem jest czasem do bani. Idę do jeepa, żeby obudzić Julie. Mam na dziś dosyć Atlanty.

* * *

– Nie mówimy Curranowi o olbrzymie – zwracam się do Julie.

Właśnie wschodzi słońce i zapowiada się piękny poranek. Dałam Curranowi słowo, że nie będę walczyć z olbrzymami i zламаłam je. Nie chcę teraz się z nim kłócić. Nigdy nie mam ochoty na kłótnie, to oczywiste, ale dziś w szczególności. Tydzień temu powiedziałabym, że nasz związek jest trwały, ale wiele się przez ten czas wydarzyło i

oboje jesteśmy u kresu sił psychicznych. Nie wiem, na ile mogę sobie pozwolić. Zwyczajnie nie wiem. I nie mam siły się teraz tym zajmować.

Poza tym muszę się wyspać. I coś zjeść. Mogłabym zabić za żarcie. I prysznic. I sen. Muszę przestać w kółko myśleć o tym samym. Rozważam przez chwilę, czy nie pojechać do Cutting Edge, żeby wziąć prysznic, ale i tak przecież wyczułby krew. Musiałabym bardzo długo się moczyć, żeby zmyć smród ze skóry i włosów, a chcę jak najszybciej znaleźć się w domu.

W końcu będę musiała mu powiedzieć, ponieważ obiecaliśmy nie okłamywać się wzajemnie. Poza tym ifrit jest mściwym psisynem, a ja obraziłam go i prawie ukatrupiłam olbrzymą. Ostatni ruch należał wprawdzie do Nicka, ale przyłożyłam do tego rękę. Czyli kiedy się pozbiera, wyśle nam śliczny prezencik. Szkoda, że nie wiadomo za ile odzyska siły.

Julie wybałusza oczy tak mocno, jakby zobaczyła latającego fioletowego słonia, który właśnie przed nami wylądował.

– Chcesz żebym skłamała?

Kiedy jej to pasuje, nie ma problemu z naginaniem prawdy, a teraz zgrywa mi tu pierwszą świętą. Nie rozumiem tego.

– Ależ skąd. Proszę tylko żebyś się z tym nie wyrywała.

- A jeśli mnie zapyta?
- Skierujesz go do mnie.
- Zamierzacie się rozwieść? – pyta cienkim głosem.
- Nie możemy się rozwieść, przecież nie mamy ślubu.
- O lesie leszczynowy, będę jedną z tych dzieciaków.
- Jakich dzieciaków?
- Z weekendowymi rodzicami.
- Julie, do stu biedronek, nie rozwodzimy się... Dlaczego na naszym podjeździe stoi sześć aut?

Wpatrujemy się obie w podjazd wypełniony czterema jeepami Gromady, Pooki – plymouthem Prowlerem Dali oraz eleganckim srebrnym ferrari należącym do Raphaela.

- Coś się stało – stwierdza Julie.

KONIEC Rozdziału 20

Rozdział 21 – Pełna chata

Na wszelki wypadek parkuję czterdzieści pięć metrów przed domem i biegnę do drzwi. Naciskam klamkę. Otwarte. Wchodzę, a Julie zaraz za mną.

– Chcę wiedzieć dlaczego nikt nie powiedział mi, że Kate prawie umarła! – domaga się odpowiedzi Andrea.

Idę za jej głosem do kuchni. Siedzi przy stole, wcinając „Mieszankę Studencką”. Obok niej siedzi Raphael i głaszcze jej plecy.

– Jestem jej najlepszą przyjaciółką. Miałam prawo wiedzieć.

– Ty miałaś prawo wiedzieć? – George gestykułuje ręką. – Ja jestem bezpośrednio zaangażowana w tę sprawę i nikt nie raczył mnie powiadomić!

– Wszyscy mieliśmy prawo wiedzieć – zauważa Robert Lonesco. Trzyma w dłoni słuchawkę. Stoi obok niego jego mąż, Thomas, popijający kawę z ozdobionego kociakiem kubka.

– Kate zajęła miasto – dodaje Robert. – Ochrona Gromady powinna była wiedzieć, co się z nią dzieje.

Lonesco przykłada dłoń do wolnego ucha i wraca do rozmowy telefonicznej.

– To prywatna sprawa Kate i Currana – oponuje Dali.

Jim przeciąga dłonią po twarzy.

– Nie powiedzieliśmy wam, bo sprzeczałibyście się o to cały dzień, a Kate umarłaby, zanim byście coś zdecydowali.

– Proszę cię – prycha Desandra – przecież nie jesteśmy dziećmi.

– Trudno to zauważyć – rzuca Dali.

Alfa wilków puszcza do niej oczko.

Curran stoi przy kuchence, za wszystkimi. Spotykamy się spojrzeniem. Widzę ulgę w jego oczach, a następnie moment, w którym uświadamia sobie, że jestem pokryta juchą. Złocisty ogień zasłania jego oczy.

– To była moja decyzja – Jim dodaje. – Musicie się z tym pogodzić.

– Co to za zapach? – Andrea odwraca się.

Zapada głucha cisza.

– Zwiadowcy donoszą, że niedaleko Kasyna miał miejsce incydent z olbrzymem. – Robert odkłada słuchawkę.

– Jaki incydent? – dopytuje Desandra.

– Z udziałem olbrzyma – uściśla Robert.

Curran rusza. W jednej chwili stoję w kuchni, a w następnej jestem w korytarzu, a nogi majtają mi w powietrzu. Wziął mnie pod pachy i uniósł do swojej twarzy.

Jego głos jest lodowaty.

– Prosiłem cię tylko o jedno.

Naprawdę się wkurzył. Już wolałabym ryczenie.

– Przepraszam.

Coś łomoce w drzwi wejściowe.

– Dałaś mi słowo i je zламаłaś.

– Tak. Przepraszam. Nie miałam innego wyboru. Próbowałam ratować życie Roweny.

Curran otwiera usta.

– Nieostrożna, głupia, zła i zdradziłam twoje zaufania. Przepraszam. Nie gniewaj się na mnie.

Coś znowu wali w drzwi. Curran puszcza mnie i otwiera je szarpnięciem.

– Czego? – wrzeszczy.

Wpatruje się w nas dziewięciometrowy byk, z olbrzymimi metalowymi rogami. Ślepia ma wielkości spodków. Ogromne rogi pokrywają płomienie, falujące niespokojnie wokół racic. Byk otwiera pysk i zionie ogniem.

Curran okręca mnie, przyciągając do piersi, tak by jego plecy były skierowane w stronę ognia. Na szczęście ogień wpada na barierę ochronną i odbija się, rozpryskując niegroźnie po ziemi. Curran stawia mnie pod ścianą. Jego ludzkie ciało przekształca się w potwora i rusza na byka.

Ósemka zmiennokształtnych w mojej kuchni porasta jednocześnie futrem, mija mnie w korytarzu, goniona przez szczekającego zawzięcie Grendela.

– Bierzcie go żywcem! – wołam za nimi. – Musimy zadać mu kilka...

Byk obniża łeb, gotów nadziać Currana, ale ten łapie go za lewy róg i wali na odlew w łeb. Głowa byka odchyła się od uderzenia, ale lwołak prostuje ją i znowu wali z pięści.

Nieważne.

Curran wali go raz za razem, jego pięść pracuje jak młot pneumatyczny, tłukąc czaszkę. Byk próbuje się wycofać i uwolnić róg, ale Curran trzyma go mocno i nie przestaje walić. Z boku głowy zwierzęcia leci krew. Byk zmienia taktykę i próbuje zwalić Currana z nóg, prac do przodu. Lwołak zaciska dłonie na obu rogach i wpina się pazurami łap w podłoże. Mięśnie wybrzuszają się pod szarym, pasiastym futrem. Jego stopy ześlizgują się nieco i zatrzymują. Siłują się teraz pyskiem w paszczę, szalone, ogniste ślepia zwierzęcia wpatrują się w lodowato-szare oczy Currana. Reszta zmiennokształtnych czeka w nierównym półkolu.

Byk napina się, ale Curran nie odpuszcza.

Lesie liściasty.

Byk otwiera pysk i ryczy. Curran odpowiada tym samym, brzmiąc jak rozjuszone tornado. Dostają gęsiej skórki.

Ogień błyska, pokrywając boki zwierzęcia. Lwołak skacze mu na grzbiet, jedną ręką wciąż trzymając róg. Olbrzymimi, lwimi szczękami obejmuje gardło byka z boku i zaciska. Potwór ryczy, a zmiennokształtni rzucają się na jego boki, niepomni płomieni.

– To mu dobrze zrobi – odzywa się Robert. – Był bardzo zestresowany. A teraz przepraszam.

Dołącza do rzezi. Opieram się o futrynę i patrzę.

* * *

– Przystaniesz w końcu się obżerać? – powarkuję na Andreę.

– Nie – odpowiada bouda. Siedzi na ziemi i przeżuwa jakiś niezidentyfikowany fragment ciała byka.

– To kawałek mięsa z istoty przywołanej przez djinna!

– Nie wiesz tego na pewno.

– A kto inny przysłałby ognistego byka po tym, jak pomogłam zabić sterowanego przez djinna olbrzyma? Przestać jeść. To mógł być przedtem człowiek!

– Mam to gdzieś.

– Andrea! Nie wiesz, czy to nie zaszkodzi dziecku!

– Ależ skąd. Będzie silniejsze. – Bouda wgryza się w mięso i rozszarpuje ostrymi zębiskami.

– To dowód.

– Masz tu dużo tych dowodów – macha ręką na resztę zwłok byka porzrzucanych po trawniku. Curran porozdzierał go na kawałeczki gołymi rękami. – Cały dzień głodowałam jedząc tylko te zasrane bakalie. Jestem w ciąży, buzują we mnie hormony, do tego padam z nóg i jestem diabelnie głodna. Posiedzę tu i zjem moje mięsko.

– Ona ma rację – popiera Andreę Desandra, odgryzając kawałek mięsa. – To jest naprawdę nieszłe. Według mnie smakuje jak normalna, trawozerna krowa. Jak miło sze sztrony twojego narzeczonego, że je szmiękczył.

To przelewa czarę goryczy. Mam dość. Do dupy z tym wszystkim.

Idę różnym krokiem do domu. Na moim podjeździe leży rozwalona olbrzymia biała tygrysica. Odgania ogonem chmarę unoszących się wokół niej motylków. Okrażam Dali i motylki, i wchodzę do domu. Na kanapie w salonie siedzi Curran. Jest już w postaci ludzkiej. Kanapa jest ubabrana krwią. Nie szkodzi. I tak zastanawiałam się nad zmianą obicia. Siadam obok niego.

– Julie spytała, czy się rozwodzimy – zagajam.

Nie reaguje.

– Powiedziałam jej, że nie możemy skoro nie mamy ślubu.

Cisza.

Zaczynam bablać różne głupoty, ale on przerywa mi, przyciągając mnie do siebie.

Milknę.

Siedzimy tak sobie.

– Nie dotknęłam tego olbrzyma. Nie użyłam słów mocy. Tylko rzuciłam w niego krwią nieumarłego. Ochlapała mnie.

Prawie dodaję „przysięgam”, ale gryzę się w język.

– Zabiję wszystko, co spróbuje cię skrzywdzić – mówi cicho.

– Wiem. I wzajemnie – odpowiadam.

Curran patrzy na mnie.

– Nie wiem tylko, co mam robić, gdy sama sobie szkodzisz? Na kogo mam się wściekać?

Otwieram usta, ale nie przychodzi mi do głowy nic mądrego.

– Tylko ty możesz się w tym połapać, bo tylko ty ze mną wytrzymujesz.

Milczy.

– Mam złe wieści.

Równie dobrze mogę załatwić wszystkie niemiłe sprawy przy jednym posiedzeniu.

– Wal.

– Zakon przejął kolczyk, w którym mieszka ifrit. Nie pozwolą nikomu go przebadać. Eduardo jest przetrzymywany przez djinna w jakimś opuszczonym budynku, ale nie mam pojęcia gdzie. Jest głodzony i nie zostało mu wiele czasu. Widziałam to w wizji.

– Coś jeszcze? – pyta Curran spokojnym głosem.

– Tak. Ojciec buduje wieżę w pobliżu Lawrenceville. Chce się spotkać dziś z nami na kolacji. O piątej w Applebee's.

Obejmująca mnie ręka drży. Zerkam na niego. Śmieje się.

– Wiesz, że wszyscy sąsiedzi się teraz wyprowadzą?

– W dupie z nimi. Buzi na drogę. Mam gdzieś, czy dopasujemy się do nich czy nie. Nie chciałam być „dobrą” sąsiadką lub być postrzegana jako „normalna” osoba. Chcę mieszkać w domu z tobą i Julie. Możesz być sobą. Pozwalasz mnie być sobą, więc tak będzie

sprawiedliwie. Przestań tak bardzo starać się dopasować. Kocham cię za to, kim jesteś.

Całuje moje włosy.

– Wydarzyło się coś ciekawego, kiedy mnie nie było?

– Pamiętasz, jak wysłaliśmy George, żeby subtelnie wypytała Patricka?

O nie.

– Aż boję się zapytać...

– Próbował dać jej wykład na temat jej obowiązków względem klanu, a ona kazała mu się zamknąć. A on na to, że może się nią zająć w imieniu ojca.

Zaciskam powieki na kilka sekund.

– Żyje?

– O tak. Nie zabiła go. Ma połamane obie nogi, ale dycha.

– Czy to było oficjalne wyzwanie?

– Nie, zakwalifikowali to jako sprzeczkę rodzinną, skoro George postanowiła odejść i już nie jest szczebelkiem w drabinie hierarchii.

Do salonu wchodzi Raphael i przykuca przy Curranie.

– Hej, właśnie wymyśliłem, jak możemy wszyscy zbić fortunę.

– Dawaj.

– Wykupię waszych sąsiadów i zaproponuję ich domy mieszkającym w mieście członkom Gromady. Każda zmiennokształtna rodzina chętnie odda oszczędności życia, żeby mieszkać w pobliżu byłego Władcy Zwierząt, a coś mi mówi, że wasi sąsiedzi chętnie sprzedadzą swoje nieruchomości.

Curran śmieje się głośno.

– Zrobimy na tym kokosy – dodaje Raphael. – Musisz tylko wyjść od czasu do czasu w swojej postaci bojowej i zaryczeć. Szczególnie w nocy.

– Będą ustawiać się do sprzedaży tak szybko, że trzeba będzie wydawać numerki.

Teraz ja się śmieję.

– Mówię zupełnie poważnie – szczerzy się bouda. – Przyda wam się dodatkowa forsa.

– Lepiej nakłoń żonę, żeby przestała wpierniczać mięso niezbadanego pochodzenia.

Curran głaszcze moje plecy.

Desandra zagląda do salonu.

– Lepiej się pospieszcie. Mahon przyjechał.

* * *

Mahon stoi na trawniku. Wielki, krzepki, z kędzierzawą brodą. Wygląda jakby potrzebował kolczugi, maczugi i zamku do obrony. Jego groźne spojrzenie skłania nawet zaprawionych w boju żołnierzy do ucieczki. Jego córka nic sobie z tego nie robi, stoi w wyzywającej pozie, okrywając się kocem. Zwykle przemiana z człowieka w postać bojową i na odwrót zmusiłaby ją do drzemki, ale jej postawa wskazuje, że nie położy się za żadne skarby. George wygląda na mocno wkurwioną. Oboje są gotowi lada chwila wybuchnąć.

Po drugiej stronie ulicy sąsiedzi zebrali się przy domu Heather Savell. Zajebicie. Nic nie wzbogaca tak rodzinnej kłótni zmiennokształtnych jak przypadkowi świadkowie.

– ...ta separacja to jakiś idiotyzm. Już się rozerwałaś – mówi Mahon głębokim głosem. – Zachowaj się rozsądnie i wracaj do domu.

– Nie – odpowiada lodowato George.

– Nie opuścisz Gromady.

– Opuzczę.

Mahon ziejże gniewem.

– I to przez co? Przez jakiegoś chłoptasia!

George obnaża zęby.

– To nie jest chłoptaś, a mężczyzna. Mój mężczyzna. Jego wybrałam.

– Tak samo jak przedtem wybrałaś Aidana, a przed nim, jak mu tam... Nathana. To przeminie. Nie marnuj sobie życia.

– Pozostanie w klanie byłoby marnowaniem życia. Chcesz, żebym poślubiła niedźwiedziolaka i była grzeczną klaczą rozplodową.

Oj.

– Nie chcę żebyś opuściła rodzinę! – wrzeszczy Mahon.

– Nie podnoś na mnie głosu! – odwrzaskuje George.

– Wychowaliśmy cię, dostałaś ubranie, jedzenie i edukację i tak się odwdzięczasz?

– Zrobiłeś wszystko, do czego prawnie są zobowiązani rodzice. Gratuluję, tato. Nie zaniedbałeś swojego dziecka. Dziękuję. To nie daje ci prawa, żeby do końca życia dyktować mi, co mam robić. Nie masz prawa. To moje życie i przeżyję je po swojemu.

– Twoja córka nie opuszcza rodziny, a jedynie Gromadę – zauważa Thomas.

– Ona nigdzie nie odchodzi – Mahon jakby się rozrósł, jego twarz okryła się gniewem. Wskazuje na Currana. – O to chodzi? On jest dla ciebie przykładem? Chcesz porzucić wszystko, bo jakaś... Ludzka kobieta nie mogła znieść życia w Twierdzy? Nie dawała mu spokoju, aż jej uległ i popatrz teraz. Całe lata poszły na marne! Lata! Wszyscy na tym ucierpieli. On myśli kutasem, ale ty... Ty przecież jesteś mądrzejsza.

Zabawne, jak przerażająca może być cisza.

Curran rży.

Mahon wpatruje się w niego z niedowierzaniem.

Z drugiej strony ulicy Heather ziopi się na mnie. Macham do niej z uśmiechem.

– Co jest w tym śmiesznego? – wrzeszczy Mahon. – Miałeś być Władcą Zwierząt. Miałeś zapoczątkować dynastię!

– Jestem szczęśliwy – odpiera Curran. – Nie chcesz, żebym był szczęśliwy?

– Tu nie chodzi o czyjeś szczęście, a o obowiązki i pożyteczne życie!

– A co z twoimi obowiązkami? – głos lwołaka jest spokojny. – Jakie miałeś obowiązki wobec mojej partnerki, gdy zapadłem w śpiączkę?

Mahon otwiera usta.

– Broniłeś jej? Pomogłeś jej? Zrobiłeś cokolwiek, by wesprzeć ową przyszłą dynastię?

– Ona nie jest dla ciebie odpowiednią partnerką. To ludzka kobieta!

No jasne.

– Nie tobie o tym decydować – ciągnie Curran. – To nie jest twoja rola. Jest moją wybranką. Kierowałem Gromadą przez siedemnaście lat, a ty zawiodłeś mnie, gdy potrzebowałem cię najbardziej. Zawiodłeś.

Mahon cofa się.

– Już nie mam żadnych obowiązków względem Gromady. Nie wywiązałeś się z umowy.

– Skoro już mowa o obowiązkach – wtrąca się George. – Co ci przyszło do głowy, żeby wysłać piętnastolatka przeciwko Andorfowi? To był niedźwiedź w stanie szału bojowego, mający całe lata doświadczenia, a Curran miał mleko pod nosem. Dlaczego ty z nim nie walczyłeś?

– Siedź cicho – ucina Mahon. – Miałaś zaledwie dwanaście lat. Nie masz pojęcia, o co toczyła się stawka. Wysłałem go ponieważ potrzebowaliśmy przywódcy, a klany nie poszłyby za mną!

Podchodzę do Andrei i siadam obok niej. Miałam długi dzień i nogi mnie napierniczają.

– Czyli twoja wygoda oraz wzniosłe ideały usprawiedliwiają wysłanie chłopca na rzeź, a następnie obarczenie go brzemieniem odpowiedzialności za życie setek ludzi? – George unosi brwi. – Żebyś mógł stać za tronem i bawić się w szarą eminencję? Powinieneś się zastanowić, tato, dlaczego wszystkie twoje dzieci od ciebie uciekają. Może to nie my jesteśmy problemem.

– Dość tego! – grzmi niedźwiedziolak. – Koniec z tym. Wracasz ze mną, choćbym miał cię ciągnąć za sobą siłą. Nie odejdziesz z Gromady. Zamknę cię...

– Dość – głos Jima przecina ryki Mahona jak nóż.

– ...pod kluczem i...

– Powiedziałem dość! – warczy Jim. – Żaden członek Gromady nie będzie ingerował w proces oddzielania się od niej. Żadna członkini Gromady nie będzie przetrzymywana wbrew swej woli, ponieważ jej ojciec zachłysnął się władzą. Zważ na to co robisz, alfo.

Gdybym teraz zaczęła klaskać, niedźwiedziolakowi wybuchłaby głowa.

– Lepiej przemyśl swoje słowa – odpiera Mahon.

– Nie będziesz łamał praw, które sam pomogłeś ustanowić. Prawo obowiązuje równo wszystkich. – Jim wpatruje się w niedźwiedzia. – Masz go przestrzegać. Jeśli nie jesteś w stanie, odsuń się od władzy, żeby Klan Ciężkich znalazł sobie przywódcę, który nie ma takich problemów.

– Ty... – zaczyna Mahon.

– Jestem Władcą Zwierząt.

– Już niedługo.

– Czy to wyzwanie? – Jim obnaża zęby. Dali podnosi się ze swojego miejsca i podchodzi, jedna masywna łapa za drugą, jak cichy, majestatyczny cień i staje przy swoim partnerze, a jej błękitne oczy wpatrują się w Mahona z nieugiętą intensywnością.

Niedźwiedź zerka na Currana, ale ten kręci głową.

– Sprzymierzysz się nimi przeciwko mnie? – Mahon brzmi na zszokowanego.

– To nie tak – poprawia go Curran. – Prawo jest prawem, czy ci się to podoba, czy nie. Albo jesteś alfą i stoisz na jego straży, albo nie.

– Z tobą jest zawsze tak samo – wtrąca George. – Latami robiłeś Curranowi dziurę w brzuchu, żeby znalazł sobie partnerkę, a kiedy to zrobił, nie przypadła ci do gustu, więc postanowiłeś, że nie obowiązują cię żadne ojcowskie zasady. Przez lata dopytywałeś się, kiedy mam zamiar się ustatkować, a kiedy to zrobiłam, mój wybranek też ci się nie spodobał. Eduardo zaginął i potrzebuje pomocy, ale ty nie chcesz mu jej udzielić, bo go nie lubisz. Całe to twoje gadanie o obowiązkach i powinnościach nic nie znaczy, jeśli akurat coś ci nie pasuje. Uważasz się za mądrzejszego od nas wszystkich, ale tak nie jest. Zobacz co robisz, tato. Wyzywasz Władcę Zwierząt, któremu przysięgłeś wierność, bo nie podoba ci się

facet, którego pokochała twoja córka. Tylko dlatego, że to uraziło twoją dziwną dumę. Tak służysz swojemu klanowi i go prowadzisz? Gdzie twoja uczciwość?

Płonąca skała wielkości piłki do kosza mknie po niebie i spada na ulicę przed naszym domem. Rzucam się przed Andree, żeby ją osłonić. Eksplozja trzęsie ziemią.

– Co ty wyprawiasz? – odciąga mnie Andrea. – Jestem zmiennokształtną, regeneruję się!

– Ale jesteś w ciąży.

– Weź się przymknij.

Pośrodku ulicy rozpala się jasny, złocisty ogień o wysokości trzech i szerokości półtora metra. Wewnątrz widać wijącego się w klatce Eduardo. Ifrit karze go, ponieważ zabiliśmy byka.

Na ulicy rozlega się głos, tak naładowany nieludzką mocą, że mrowi skórę jak elektryczność statyczna. Dostaję gęsiej skórki.

– Wszyscy winni umrą. Przyjrzyjcie się potomkowi zdrajcy. Patrzcie, jak cierpi.

George rusza biegiem. Skaczę na równe nogi i gonię ją. Jim próbuje ją złapać, ale jest za wolny. Niedźwiedzica mknie ulicą wprost w

ogień. Ten rozpada się na tysiąc iskier i zmienia się w jarzącego się, dziewięciometrowego węża.

George krzyczy co sił w płucach. Ten okrzyk wściekłości i bólu zmienia się w jeden przejmujący dźwięk. Krzyczy, jakby serce pękło jej na pół i już nic nie było w stanie tego naprawić.

Wąż rzuca się na George, a ona łapie go za łbem, podnosi i uderza nim o asfalt. Potwór syczy, jego masywne zwoje próbują owinać się wokół niedźwiedziolaczki i zmiażdżyć ją. George przydeptuje go jedną nogą. Mięśnie jej ramienia napinają się i rozdziera gada na dwoje. W oczach węża gaśnie światło, ale jej to nie zatrzymuje. Znęca się nad martwym ciałem, dając upust żalowi.

Obserwujemy wybuch wściekłości i napływające jej do oczu łzy, aż w końcu odpuszcza. Curran i ja wprowadzamy ją do domu.

KONIEC Rozdziału 21

Rozdział 22 - Bzykanko

Jak wyżej.

– Zapytałem Jima i Roberta zanim wyszli, kiedy rozpoczęła się budowa wieży.

– I?

– W dniu, w którym zabiliśmy solfugę.

– Do czego zmierzasz?

– Nie było tam nic aż do śmierci solfugi. Tego wieczoru postawił pierwszy blok i wcale się z tym nie krył. Po co miałby teraz ją budować i to tak otwarcie? Nie ma tam zaplecza. Nie jest gotów bronić wieży, chyba że będzie w niej mieszkał.

Curran zwrócił uwagę na coś ważnego. Roland spędził prawie całe życie na budowaniu imperium na Bliskim Wschodzie. Jego wersja nowego porządku społecznego jest raczej krucha. Musi osobiście nadzorować królestwo i mieć na nie oko. Po co rzucać wszystko i przyjechać budować tę wieżę? Musiał wiedzieć, że wpadnę w szal, gdy się o tym dowiem.

Ach, to wszystko tłumaczy.

– To dywersja.

Curran przytakuje.

– Z jakiegoś powodu niepokoi go ta sprawa z djinnem. Za każdym razem gdy czynimy postępy w śledztwie, rozszerza budowę do momentu, w którym nie możesz jej zignorować. Igra z tobą.

– Ale dlaczego? Wydawało mi się, że djinn może być jakimś pokrętnym sprawdzianem, do którego nas zmusza, ale jeśli tak jest, po co się miesza zamiast poczekać i zobaczyć jak nam idzie?

– Twoja magia nie działa bezpośrednio na djinna, prawda? A Rolanda?

– Nie wiem. Naturalny opór na pewno nie zniknie, ponieważ dzielimy tę samą magię. Ale on ma więcej mocy i wie co z nią robić. Możliwe że mógłby zwyciężyć djinna, ale pewnie dużym kosztem. To nie jest pierwszy lepszy djinn. To ifrit, czyli drugi w hierarchii ważności po maridzie, jeśli brać pod uwagę potęgę mocy. Według podań ifrity żyją w społeczeństwie podobnym do naszego. Dziela się na klany, a najpotężniejsze należą do arystokracji. Moim zdaniem ten nasz był wysoko postawiony, ponieważ nosi złoto i szmaragdy. Miałam przez chwilę wgląd w jego umysł. Zupełny bajzel. Ma pomieszane w głowie, niemniej siła jego mocy jest powalająca. Szkoda że tego nie czuleś. To jest jak diabelny wulkan.

Curran odchyła się.

– Jeśli to nie jest sprawdzianem, a ifrit przedstawia realne zagrożenie dla Rolanda, czemu nie pomaga nam go załatwić? Zyska jeśli pokonamy djinna.

– Nie mam pojęcia.

– Informacje wywiadowcze Roberta stwierdzają, że oś czasu pokrywa się idealnie. Za każdym razem gdy robiliśmy krok w stronę djinna, Roland szalał z budową. Jakby wcale nie chciał, żebyśmy wchodzili w kontakt z djinnem, a tym bardziej go zabili.

– Nie jestem pewna, czy możemy go ukatrupić. Jego moc rośnie. Pierwsze dwa przywołania wydają się być jedynie spełnieniem życzeń, żeby potem móc przejąć gospodarza, ale potem sprowadził olbrzymiego byka i zrzucił nam na łeb meteor i węża. Nie wiemy czy już zawładnął nowym gospodarzem. Mścił się za olbrzymia. Nie może sobie hasać do wali, bo zagraża nie tylko nam, ale i wszystkim w zasięgu swego wzroku.

Curran krzywi się.

– Słyszałaś, co mówił?

– To o potomku zdrajcy? Tak. O co w tym chodzi?

– Nie wiem dokładnie, ale Dali sprawdziła życiorys Eduardo oraz prośbę o przyjęcie do Gromady. W polu „miejsce urodzenia” wpisał „Atlanta, Georgia”. Dali kazała swoim ludziom wykonać telefony do Oklahomy. Tamtejsze stado bizonolaków nie utrzymuje oficjalnych stosunków z Gromadą. Bardzo bronią dostępu do informacji o jego rodzicach.

– Dlaczego?

– Nikt tego nie wie. Nieoficjalnie Dali dowiedziała się, że matka Eduardo została członkinią stada, gdy on miał sześć lat. Jego ojciec też jest bizonolakiem, wysoko postawionym w tamtejszej społeczności i nie chce mieć z tym nic wspólnego.

– Jeśli rodzice Eduardo zdradzili jakoś ifrita, to może dlatego potwór go karze. Nie chcą mu pomóc?

– Dali odniosła wrażenie, że matki Eduardo o niczym nie poinformowano. Osoby, z którymi rozmawiali ludzie Dali widziały wczoraj jego matkę na przyjęciu urodzinowym, gdzie śmiała się i dobrze bawiła. Według świadków kocha syna i gdyby się dowiedziała, już by tu była.

– Wyciągnęli pozwolenie na ślub?

– Eduardo miał siedem lat, gdy się pobrali.

To nie musi nic znaczyć. Wiele osób ociąga się z oficjalnymi zaślubinami. Albo też mąż matki jest ojczymem Eduardo.

– Uważasz że mąż ją chroni?

Curran przytakuje.

– Nie otrzymamy od nich żadnej pomocy.

– No to trzeba będzie zadowolić się tym, co mamy.

Może zapytać o to Rolanda? Ale byłoby śmiesznie. „Hej, wiem że jesteśmy śmiertelnymi wrogami, ale może mógłbyś mi z tym pomóc?” Ależ nie mam ochoty iść na tę kolację.

Moje życie zawsze było ukierunkowane na jeden cel: zabić Rolanda, choćby za cenę własnego życia. Ów cel nie przetrwał zderzenia z rzeczywistością. Moc Rolanda jest zbyt wielka, a ja nie miałam sumienia próbować go ukatrupić, jednocześnie ciągnąć za sobą na dno bliskich. Ziściło się to, przed czym ostrzegał mnie Voron. Zakochałam się. Zaadoptowałam dziecko. Znalazłam przyjaciół. Nie byłam w stanie skazać ich na śmierć, ponieważ cele Vorona nie były do końca moimi.

Z perspektywy czasu widzę, że to był dobry wybór. Zresztą jedyny jaki miałam. Niemniej szkolenie Vorona odcisnęło na mnie piętno. Chciał żebym zamordowała Rolanda lub zginęła przy tej próbie. Tak czy inaczej zaszkodziłoby to ojcu lub go zraniło. Voronowi było wszystko jedno. Wciąż dręczy mnie poczucie winy, które połączone ze wstydem, zasila mój gniew. Świerzbi mnie ręka za każdym razem, gdy myślę o Nimrodzie. Wiem, że nie jestem gotowa na konfrontację, ale łudzę się, że wygram tym samym sposobem co zwykle – brutalną siłą oraz umiejętnościami szermierczymi.

Czas dorosnąć. Cięży na mnie odpowiedzialność względem ziemi, którą zajęłam oraz wszystkich jej mieszkańców. Tak samo posiadam obowiązek wobec Currana i Julie, moich przyjaciół oraz samej siebie. Zasluguję, by mieć coś w życiu. Rzucanie się na wrogów z szablą oraz walenie w nich słowami mocy z subtelnością młota już nie zdaje egzaminu. Gra toczy się na innym poziomie. Udar był bolesną lekcją, ale pomógł mi coś zrozumieć: muszę walczyć mądrzej.

– Nie możemy polegać jedynie na domysłach – stwierdzam. – Skupię się na tym i może dowiemy się czegoś o ifricie. Ojciec uważa nas oboje za matolek, którzy rozwiązują wszystkie problemy siłą. Nie będzie podejrzewał subtelnego podstępu.

Curran uśmiecha się na to.

– Chcesz żebym powarkiwał w odpowiednich momentach i rzucał obietnice śmierci?

– Mógłbyś?

– To może być ponad moje możliwości, skoro jeszcze nigdy w życiu czegoś takiego nie robiłem.

Chichoćę.

– Ale jeśli będę odpowiednio zmotywowany, postaram się jak najlepiej potrafię.

O Jezusiu.

– Masz na myśli jakieś konkretne sposoby motywacji?

Pochyliła się do mnie, maleńkie iskielki tańczą w jego oczach.

– Owszem.

Od drzwi sypialni słyhać stłumione pukanie. Curran otwiera drzwi łazienki.

– Tak?

– Musimy wyjechać za dwadzieścia minut! – woła Julie z korytarza.

– Ty nie jedziesz! – krzyczę w odpowiedzi.

– Ale już się wystroiłam i nałożyłam makijaż!

– Nie!

– A co jeśli to sprytny wybieg i podczas kolacji przyjedzie tu d'Ambray i mnie porwie?

Na litość liściastą...

– Teraz będziesz cały czas o tym myślała! – woła Julie. – I zamartwiała się całutki wieczór!

Curran śmieje się.

Za jakie grzechy? No za jakie?

– Poza tym Ascanio jest na dole! – dodaje Julie. – Powiedział, że był czarujący jak kazałaś, a tamten zrzędlivy sąsiad nazywa się Thomas Rogers! Ascanio zdobył adres! Jego córka zgłosiła wczoraj zaginięcie! Przyniósł też jego zdjęcie! Wsuwam je przez szparę pod drzwiami!

Curran podaje mi fotografię, na której widzę łysiejącego, oklapłego faceta w średnim wieku. Twarz olbrzyma. Potwierdzenie, którego szukaliśmy.

– Mogę już powiedzieć Ascanio, że go pamiętasz? – pyta jeszcze Julie. – Strasznie się nad sobą użala i mam go serdecznie dosyć.

KONIEC Rozdziału 22

Rozdział 23 – Roland

Do Applebee's wkraczam w moich ciuchach roboczych: luźne, ciemne spodnie, szary sweter, trzewiki i prosta, czarna kurtka. Sarrat spoczywa za plecami. Curran idzie obok. Chciał założyć spodnie dresowe, ponieważ „rozrywają się łatwiej”. Spytałam, czy może załatwić mu jeansy striptizera, żeby nie wyglądał w tym dresie jak ruski gangster ze starych filmów, na co śmiertelnie się obraził, ale założył normalną parę jeansów.

Julie wzięła ze sobą toporki Kestrel. Poza tym założyła wielkie, czarne buciory ze stalowymi noskami, wydziergany przeze mnie burgundowy sweter, a do tego krótką, plisowaną spódniczkę. Nie włożył rajstop, choć jest zimno. Trzeba przejść nad tym do porządku dziennego.

Hostessa przygląda się nam trojgu i wskazuje na wiszący nad jej głową napis.

– Przykro mi, proszę państwa, ale nie wolno wnosić broni.

– A co jeśli moje pięści są zabójczą bronią? – pyta Julie.

Z zaplecza wyłania się kierownik, dostrzega nas i prawie biegnie w naszym kierunku.

– Możesz zatrzymać swoje pięści – poucza dziewczynę hostessa – ale...

Kierownik zatrzymuje się z przytupem przed nami.

– Tędy proszę. Stolik już na państwa czeka.

Prowadzi nas na tył sali restauracyjnej do sześćoosobowego stolika przy oknie. Ojciec siedzi przy nim sam, odziany w prostą, brązową szatę. Materiał jest sfatygowany, a kaptur postrzępiony. Stara się wyglądać jak najbardziej dyskretnie, jego magia jest skompresowana i ciasno go otula. Nieźle wychodzi mu zgrywanie nieszkodliwego, ale ja wiem lepiej.

Gdy podchodzimy odrzuca kaptur, ukazując twarz. D'Ambray porównał to kiedyś do „wschodzącego słońca”. Powiedzieć, że Roland jest przystojny, byłoby rażącym niedopowiedzeniem, jak porównanie huraganu do bryzy. Ojciec jest pięknym mężczyzną, proporcje jego twarzy są idealne, skóra ma odcień brązu, kwadratowa szczęka okolona jest krótką, siwiejącą brodą, ma pełne usta i prosty nos, wysokie kości policzkowe i duże, brązowe oczy pod gęstymi brwiami. Widząc takie oblicze można zapomnieć o całym świecie.

Są w Biblii, w Księdze Hioba, dwa wersety mówiące, że mądrość nie z wiekiem przychodzi, ale to duch w człowieku, To Wszechmogącego tchnienie go poucza. Gdy patrzy się w oczy mojego ojca, jego duch odpowiada spojrzeniem. Jaśnieją mocą, jakby wypełniała go czysta magia, nie licząca lat, ale niezwykle żywotna. Ten człowiek stapał po ziemi zanim spisano Biblię, a jego mądrość jest wielka i wieczysta

jak Góry Sarawat. Owa mądrość nie chroni go przed popełnianiem zwykłych, ludzkich błędów i nie uodparnia na angażowanie się w takie małostkowe sprawy jak zemsta, kara, czy zamordowanie mojej matki, ponieważ uważał, że jestem zbyt niebezpieczna, by się urodzić.

Taa, to ostatnie psuje cały efekt.

Idąca za mną Julie potyka się, ale odzyskuje równowagę. Curran nie wygląda na jakkolwiek poruszonego. Były Władca Zwierząt nie ulega łatwo emocjom.

Curran podchodzi do stolika i wyciąga dwa krzesła. Siadam w środku, a Julie z boku; jeśli coś pójdzie nie tak, wepchnę ją do sąsiadującego boksu w ułamku sekundy. Curran siada obok mnie. Ma zrelaksowany, trudny do odczytania wyraz twarzy.

Kierownik już czeka na zamówienie, a jego mina wyraża zupełne oddanie.

– Mrożona herbata – mówię.

– Poproszę colę – zamawia Julie.

– Mrożona herbata – prosi Curran.

– Dla mnie też mrożona herbata. To wszystko – kończy Roland.

Kierownik odchodzi.

– Mógłbyś powstrzymać się przed rzucaniem zaklęć na naszego kelnera? – pytam.

– Żywię wstręt do marnej obsługi – odpowiada z uśmiechem. – Pozwoliłem sobie zamówić nadziewane ziemniaki oraz krążki cebulowe. Niezmiernie się cieszę z naszego spotkania.

Muszę odegrać swoją rolę.

– Wieża, ojciec. Ma zniknąć.

– To nie jest wieża. Załedwie wysoki budynek.

Wyciągam polaroidy z kurtki i rozkładam je na stole.

– To jest model wieży.

– Uznajemy to za przejaw agresji – odzywa się Curran. – Chcesz wojny, będziesz ją miał.

– Buduję rezydencję – odpiera zarzuty Roland.

– Po co?

– Żeby być bliżej ciebie, rzecz jasna. Nie przepadam za hotelami, a chcę mieć wygodny kat do spania, gdy cię będę odwiedzał.

– Nie chcę żebyś mnie odwiedzał.

– Rodzice nie zawsze robią to, czego oczekują od nich dzieci – kwituje Roland. – Czasem zjawiają się bez uprzedzenia i strofują za nawyki żywieniowe. À propos, ustaliliście już datę ślubu?

– Nie zmieniaj tematu – warczę.

– Kwiatuszku, nabyłem tę ziemię. Nie możesz mi zabronić zbudować na niej co zechcę. Jeśli jednak tak to cię martwi, mogę określić, że budynek będzie jednopiętrowy.

Tak, a obie kondygnacje będą miały po trzydzieści metrów wysokości.

– Budynek musi mieć mniej niż dwadzieścia metrów wysokości.

Roland uśmiecha się.

– Jak sobie życzysz.

Zjawia się kelner, niosący szeroką tacę z drinkami, nadziewanymi ziemniakami, chrupiącymi krążkami cebulowymi, paluszkami

mozarelli oraz precelkami z sosem piwnym i zaczyna ustawiać je na stole. Ojciec zamówił chyba wszystkie możliwe przystawki.

– Skoro ustąpiłem w sprawie budynku, przejdźmy do tematu wesela. Kiedy przestaniecie żyć w grzechu?

– A to dobre, szczególnie z twoich ust. To ile żon miałeś?

– Ostatnio tylko jedną.

– No tak, a w dodatku ją zamordowałeś.

Kelner ściska kurczowo stosik małych talerzyków do przystawek.

Roland wzdycha.

– Nie mówmy o tym teraz.

– Była moją matką.

Kelner prawie upuszcza cebulki.

– Tak. Bardzo ją kochałem.

Kelner ustawia ostatni talerzyk i pyta:

– Czy mogę przyjąć zamówienie?

- Frytki z sosem – decyduje Julie.
- Wszystko jedno – mówię.
- Jakieś mięso – zamawia Curran.

Ojciec zwraca się do kelnera:

– Zamówienie dziewczynki zostaje, dodatkowo proszę Shirley Temple. Córka lubi baja tacos; krewetki mają być leciutko podsmażane, bez cebuli; do picia mrożona herbata jeżynowa z dodatkową porcją cytryny. Mój przyszły zięć lubi jagnięcinę, średnio wysmażoną, bez pieprzu, gotowane ziemniaki z masłem i solą, ale bez kwaśnej śmietany oraz piwo Newcastle Werewolf, choć zadowoli się Brown Ale lub Blue Moon. Natomiast ja wezmę stek na burbonie i szklankę czerwonego wina.

Kelner niemal salutuje przed odejściem.

Ojciec kazał nas obserwować. Nie tylko śledzić, ale obserwować na tyle gruntownie, że zauważyli jak wybieram gotowaną cebulę z posiłków.

– Jeśli przestaniemy udawać zwykłych ludzi, ta rozmowa przebiegnie o wiele bardziej gładko – rzuca Roland, zanurzając precelka w sosie.

– No dobra. Ilu masz szpiegów na naszym terytorium?

– Tylu ile trzeba. – Uśmiecha się. – Nic na to nie poradzę. Taki już los rodziców. Nawet jeśli nie są mile widziani w życiu swoich dzieci, muszą obserwować je z daleka i być gotowi je chronić oraz udzielić im pomocy.

Obserwować z daleka... Interesujące.

– Nie odpowiedzieliście co z weselem.

– Dlaczego tak ci na tym zależy?

– Uznaj mnie za staroświeckiego. Ludzie gadają. Pytają kiedy i czy przekształci się to w formalny związek.

– Co za ludzie?

– D'Ambray – stwierdza Curran.

– A jak miewa się preceptor? – pytam.

– Nie widuję go ostatnio. – Ojciec wzrusza ramionami. – Wziął sobie dłuższy urlop. Coś w rodzaju podróży, by odnaleźć siebie.

– To był twój, czy jego pomysł? – pyta Curran.

– Wspólny.

Kelner pojawia się z napojami, opróżnia tacę i znika.

Hugh został wygnany w ramach kary za porażkę.

– A kiedy d’Ambray jest na urlopie, nie jesteś odpowiedzialny za jego wybryki. Wygodne – zauważam.

– Nieprawdaż? – mówi z uśmiechem Roland.

Wrr.

– Wasz ciągły upór przy niefinalizowaniu związku powoduje poruszenie. Misterne intrygi dostarczają oczywiście dużo zabawy, niemniej ta judeochrześcijańska epoka podchodzi do tego dużo surowiej, co jest nawet obecne w języku. „Żyć w grzechu”, „uczynić uczciwą kobietą”, „żyć na kocią łapę” – tu spogląda znacząco na Currana. – A może nie macie pieniędzy na ślub?

– Przestań! – Denerwuję się.

– Jak rozumiem, kończą wam się zasoby finansowe.

No nie, dlaczego porusza ten temat?

Curran bierze łyk piwa.

– Twoi szpiedzy nie sprawdzili się. Nie straciliśmy pieniędzy. Zmieniliśmy rezerwę gotówkową w nieruchomości. Pieniądz traci na wartości, dewaluuje się, a ziemia nie. Nie da się lepiej wykorzystać pieniędzy. Jeśli jednak brakuje ci gotówki, daj nam znać. Możemy szybko upłynnić część nieruchomości.

Dostało mu się.

– Będę miał to na uwadze. Nie chcę zrzędzić, ale bardzo chciałbym poprowadzić cię do ołtarza, Kate.

Bądź uprzejma, bądź uprzejma, bądź uprzejma...

– Nie.

No i proszę. Udało się.

– A co jeśli jesteś brzemienna?

– A co to ma do rzeczy?

– Chyba nie chcesz rodzić bękartów. To nie wychodzi nikomu na dobre.

Walę czołem w stół, żeby nie zrobić mu krzywdy.

Zjawia się posiłek. Biorę baja tacos i jem je z czystej rozpacz. Potrzebuję paliwa, by kontynuować tę rozmowę.

– Jak idzie ci w szkole? – pyta Roland Julie.

Robię się super czujna.

– Dobrze – odpowiada Julie. – Dziękuję. Dostałam szóstkę z wypracowania o Danielu.

– Wykorzystałaś Apokryfy? – pyta ojciec obojętnym tonem.

– Oczywiście.

Apokryfy to zbiór starożytnych pism, które z różnorodnych przyczyn występują lub nie we współczesnych wersjach Biblii. Wśród nich znajduje się cały rozdział o Danielu. Prawdziwy Daniel był twardzielem, w odróżnieniu od swojej nowoczesnej wersji, która kładzie nacisk na pokorę i bierny opór.

Możliwe że dopatruję się w tej wymianie zdań dodatkowych, ukrytych znaczeń, ale sposób w jaki odnoszą się do siebie sugeruje, że nie jest to ich pierwsza rozmowa. Julie będzie się gęsto tłumaczyć. Wolałabym żeby ojciec przestał wtrącać się w moje życie.

Roland zwraca się do mnie:

– Twoja babcia jest słabego zdrowia.

Kto? Co? Gdzie?

– Babcia nie żyje.

– Mówię o tej ze strony mamy.

Zamieram.

– Twoja babka żyje – Ciągnie Roland. – Ledwo. Ma już osiemdziesiąt dziewięć lat. Odwiedzam ją czasem i muszę powiedzieć, że ostatnimi czasy gwałtownie podupada na zdrowiu.

– Wie, co stało się z jej córką?

Roland kręci głową.

– Wie tylko że umarła.

Bardzo unika wypowiedzenie imienia mojej matki na głos.

– Jest świadoma twojego istnienia. Nie zostało już jej wiele czasu. Jeśli chcesz dowiedzieć się więcej, mogę zorganizować transport, żebyś mogła z nią porozmawiać zanim będzie za późno.

Świat wywraca mi się do góry nogami. W ogóle nie pamiętam mamy. Żadnego wspomnienia twarzy, głosu, czy nawet zapachu. Macha mi przynętą przed nosem i nie wiem, kogo bardziej nie lubię, jego za wykorzystywanie jej pamięci, czy siebie, bo rozważam, czy złapać się na nią.

– A gdzie jest? – pytam.

– W Seattle.

No i już wiadomo. Chce żebym wyjechała z miasta, jak najdalej od ifrita. Niezły wabik wybrał. Jasne że zaaranżuje transport do Seattle. Nic nie wspomniał o zorganizowaniu podróży powrotnej.

– Możesz tam być już za trzy dni.

Za trzy dni Eduardo będzie martwy.

Curran zerka na mnie i widzę ostrzeżenie w jego wzroku. Tak, wiem, Roland próbuje odciągnąć moją uwagę i wyciągnąć z miasta. Z niewiadomej przyczyny nie chce, żebym rozprawiła się z djinnem, dlatego też powinnam tu zostać i to zrobić.

– Przykro mi, ale muszę zrezygnować. – Powiedzenie tego szarpie moją duszę. – Mam tu sprawy do załatwienia.

– Kate, nie będzie drugiej szansy.

– Nie będę dręczyć staruszki, która w życiu nie widziała mnie na oczy, w ostatnie dni jej życia. Tu jest moje miejsce. Muszę zająć się pewną sprawą i nie mogę wyjechać, dopóki jej nie zakończę.

– Jak chcesz – kwituje Roland, bez cienia zawodu w głosie. Świetnie zagranie, tato.

Mam ochotę dziabnąć go widelcem. Brzydko postąpił.

– Poza tym ty najlepiej znałeś Kalinę.

Przyglądam mu się bacznie i widzę, jak kąciki jego oczu drgają, gdy wypowiadam jej imię. Gorzka pigułka do przełknięcia, tatusiu? Nie dziękuj, poczęstuj się jeszcze jedną.

– Może ty mi o niej opowiesz? Towarzyszyłeś jej do samego końca. Widziałeś jak uchodzi z niej życie.

Roland upija łyk wina.

– Jeśli chcesz się dowiedzieć, jak umarła twoja matka, opowiem ci o tym, kwiatuszku. Wystarczy porosić.

Daj sobie spokój. Daj sobie spokój, bo tam śpią demony.

Walić demony. Muszę wiedzieć.

– Opowiedz mi jak umarła.

Roland czeka.

Ranimy się wzajemnie, udając że to nie boli.

Mam ochotę jadowicie wycedzić to słowo, ale nie chcę dać mu tej satysfakcji. Staram się, by zabrzmiało swobodnie.

– Proszę.

– Na południowym krańcu Wolf Trap znajduje się taka mała kafejka. Tam właśnie spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Wolf Trap w stanie Wirginia, to znajdujące się na północny zachód od Arlington miasto, od podstaw zbudowane przez Zakon. Tam też Zakon Miłosiernej Pomocy ma swoją kwaterę główną – Wolf's Trap. Mama pracowała jakiś czas dla Zakonu. A ojciec odwiedzał miasteczko, chodził jego ulicami, pod nosem dziesiątek rycerzy i rycerek, wiedząc że biegliby na wyścigi żeby go zabić, gdyby dowiedzieli się kim jest.

– Siedziała sama przy stoliku, czytała książkę i piła kawę z wyszczerbionej, białej filiżanki.

Jego głos oczarowuje, przepełniony tęsknotą, miłością i żalem. Wolałabym wierzyć, że to fałsz, ale jego wyznanie wydaje się tak szczere i prawdziwe.

– Słońce przeświecało przez okno, a jej włosy jaśniały jak najczystsze złoto. Usiadłem przy jej stoliku i spytałem dlaczego nie poprosiła o inną filiżankę. Odpowiedziała, że w niedoskonałości można odnaleźć niepowtarzalne piękno.

Żadna inna filiżanka nie będzie wyszczerbiona tak samo. Przypomniało jej to, by zwracać uwagę na drobne szczegóły życia, gdyż każda chwila może przynieść doświadczenie, które na zawsze ją odmieni. Gdy uznała, że ma dość uciekania, znowu ją tam znalazłem, w owej kafejce, siedzącą przy tym samym stoliku. Przysiadłem się i powiedziałem jej, że ją kocham, że już nie musi uciekać, że jeśli chce dostać księżyc, ściągnę go dla niej z nieboskłonu. Odparła, że jesteś przepięknym dzieckiem, częścią mnie, że jesteś wspaniała. Ujęła mą dłoń, ucałowała palce i powiedziała: „Kocham cię. Nie szukaj jej”. Po czym dźgnęła mnie w oko.

Ból w jego oczach jest przeszywający, wciąż żywy i nie wyblakły po niemal trzydziestu latach.

– Wiedziała, że twoje istnienie jest rzuconym wyzwaniem. Zdradziła mnie dla twojego dobra. To nie była sprawa osobista. Skorumpowała mojego generała i zakpiła z naszego związku. Rdzeń

mojej potęgi, najbliższe mi osoby wiedziały o tym i spodziewały się odzewu. Wymagały tego moja duma i pozycja. Sięgająca tak głęboko zdrada wymaga publicznej kary. Voron był zaledwie pionkiem w jego rękach. Ty byłaś maleńkim dzieckiem i nie ponosiłaś odpowiedzialności za to co zaszło. Zatem kara musiała być wymierzona twej matce. Gdy wbiła ten nóż, zrozumiałem że poświęciła swe życie, byś ty nie straciła swojego. Z jej śmiercią miały umrzeć wszystkie publiczne żądania zemsty. Zatem uhonorowałem jej życzenie i zabiłem ukochaną kobietę dla dziecka, które pomogłem powołać na ten świat.

Po tych wszystkich latach on wciąż ją kocha. Musiał kochać ją ponad wszystko, a stał się zarówno narzędziem, jak i przyczyną jej śmierci. Gdyby jej nie kochał, nie zgodziłby się na moje poczęcie. Nie nasączałby mnie swą mocą i nie musiałyby niszczyć tego, co stworzył z miłości. Powiedziałam mu, że nasza rodzina składa się potworów, a on mnie poprawił. Stwierdził, że jesteśmy wspaniałymi i potężnymi potworami. Jednak potęga nie ma tu znaczenia. I tak jesteśmy przeklęci.

– Matka pokochała cię zanim się urodziłaś. Nic i nikt, nawet ja ze swoją całą mocą, nie mogło tego umniejszyć. Pragnąłem jej bardziej niż czegokolwiek innego w moim życiu. Pomyśleć tylko, że moja potęga została pokonana przez coś tak prostego i pierwotnego – miłość matki do dziecka. [Harry Potter? ;)]

Wyciąga rękę i dotyka mojej dłoni. Zbyt późno uświadamiam sobie, że opuściłam barierę ochronną i moja magia wypełniła salę, doskonale widoczna dla każdego z darem postrzegania nadprzyrodzonego.

– Twoja magia jest piękna, moja córko – mówi Budowniczy Wież, a jego oczy jaśnieją mocą. – Powinnaś pokazywać ją częściej, gdyż jesteś doskonała.

Gdy kończymy jeść Julie oznajmia, że jest jej zimno, a Curran proponuje, że odprowadzi ją do auta po bluzę. Wstają jednocześnie i wychodzą. Chwilę później zjawia się nasz kelner i stawia przede mną talerzyk z kawałkiem tortu czekoladowego.

Spoglądam na Rolanda, ale on kręci głową.

– To nie ja.

– Pani towarzysz zamówił go wychodząc – wyjaśnia kelner, po czym stawia kawę przed Rolandem i wychodzi.

Czekolada jest droga. Odkrawam plasterek widelczykiem i próbuję. Rozpuszcza się na języku. Będę jeść go powolutku.

– Myślisz, że on naprawdę cię kocha?

– Kocha.

Musimy zmienić temat zanim znowu zacznie przynudzać o ślubie.

– Ojczy, dlaczego nasza magia odbija się od opętanych przez ifrita ludzi? Czy to ze względu na bliskość geograficzną?

Ależ ze mnie mistrzyni podstępnego wyciągania informacji...

– A czego próbowałaś użyć?

– Słowa mocy.

– Pamiętam. Najgorszy ból jaki przeżyłem w dzieciństwie. Chciałbym cię uczyć. Tyle rzeczy jeszcze nie wiesz, kwiatuszku. Pomogę ci rozeznać się we wszystkim. Przynajmniej daj sobie pomóc na tyle, żebyś nie popełniała elementarnych błędów.

– Potraktowałaś ifrita słowem mocy?

– Miałem osiem lat.

Och.

– Poza tym zrobiłem to wyłącznie dlatego, że mi tego zakazano. – Roland upija łyk kawy. – Chciałem wiedzieć, co się stanie.

To podobne do mnie. Też bym tak zrobiła. [Użyła słowa mocy na żywej istocie, by zaspokoić ciekawość?]

– Częściowo masz rację, opór wynika z bliskości geograficznej i błędnej oceny twojego pra–pra–pra–pradziadka... – Marszczy brwi.

– A tak, dobrze. Pra–pra–pra–pradziadka. Gdy pewien ifrit zagroził granicom jego terytorium, ten uznał, że dobrym pomysłem będzie dziecko mieszanej krwi. Poślubił kobietę, będącą w połowie ifritem. To była jego czterdziesta żona. Począł dziecko, córkę, która z godnie z oczekiwaniami była częściowo odporna na magię ifritów i nieustraszona w walce. [Hej, to Kate też powinna być odporna :p] Znajdowała się daleko w kolejce do sukcesji, więc nie przejmował się nią. Kiedy stwierdził, że czas się nią przejąć, było już za późno. Bararu, Jutrzenka, Gwiazda Doliny, wycięła sobie drogę przez potomstwo władcy wprost do jego serca i przejęła tron. Była twoją pra–pra–prababcią.

– Wyrznęła w pień rodzeństwo, a potem ojca?

– No cóż, trzeba jej oddać sprawiedliwość, on stracił przedtem mężczyznę, którego chciała poślubić.

– Dlaczego to zrobił?

– Chciał sprawdzić jej możliwości. Stała się zbyt popularna w armii.

Opieram podbródek na pięści.

– Co za podnosząca na duchu historia, tato.

– Nazwałaś mnie tatą. – Uśmiecha się na to Roland.

– To bez znaczenia. Czy któryś z członków naszej rodziny zasłynął z czegoś niezwiązanego z przemocą?

– Twój pra-pra-pradziadek wynalazł lekarstwo na Plagę Bezbożnych. Był to bardzo zaraźliwy szczep grypy i istniało zagrożenie, że wyniszczy ludzką populację na całym kontynencie.

– Dobrze wiedzieć.

– Oczywiście czuł się zobowiązany to zrobić, ponieważ jego brat przyczynił się do jej powstania.

Gapię się na niego w milczeniu.

– Historia dostarcza nam ważnych lekcji – dodaje Roland. – Na przykład ja nie mam zamiaru mordować Currana.

Nie może go zabić dopóki obowiązuje nasze porozumienie.

– A co, boisz się, że odbiorę ci tron?

– Nie, nie chcę przeżywać bóleści związanej z przymusem zabicia cię, kwiatuszku.

Mhm.

– Boleść.

– Nie ufasz, mi.

– Nie.

Uśmiecha się, a ja uświadamiam sobie, że tak wygląda rodzicielska duma. Ojciec jest ze mnie dumny, bo mam na tyle rozumu, żeby spodziewać się zasadzki z jego strony. Szkoda że nie ma do niego jakiejś sekretnej instrukcji postępowania, żebym wiedziała jak sobie z nim radzić.

– To jak będzie? – pyta Roland.

– Możesz uczyć mnie tu i teraz. Potrzebne mi są informacje o ifritach.

Nimrod zastanawia się przez ułamek sekundy. Zaledwie mgnienie oka, ale uważnie mu się przyglądałam. Z jakiegoś powodu bardzo nie chce opowiedzieć mi o tych djinnach.

– No dobrze. Możemy pożytecznie wykorzystać czas, jaki uprzejmie dał nam mój przyszły zięć. Odpowiedz na jedno moje pytanie, a ja odpowiem na twoje.

Nic nie przychodzi łatwo.

– Dobra.

– Gdy Hugh przyjechał zabić Vorona, w jego domu nie znalazł śladu bytności dziecka. Wiem, że byłaś w lesie, ale gdzie podziały się twoje rzeczy osobiste?

Czyli on i Hugh ucięli sobie pogawędkę zanim preceptor został wygnany.

– Hugh nie szukał zbyt dobrze. Voron znał jasnowidzkę. Wydaje mi się, że powiedziałam mu coś o przyszłości, co skłoniło go do tak dalece posuniętej ostrożności. Zawsze gdy wybierałam się do lasu, pakowałam rzeczy do worka marynarskiego i zakopywałam go pod sosnami na wzgórzu za domem.

– Musiały być jednak inne oznaki twojego istnienia – dziwi się Roland. – Życia nastolatki nie da się spakować w jedną torbę.

– Moje się dało. Tygodniowa zmiana bielizny, dwie pary jeansów, pięć koszulek, sweter i dwie pary butów. Sztylety, pas i szabla.

Szczoteczka do zębów i szczotka do włosów, no i ulubiona książka.
To wszystko.

Cały swój dobytek mogłam spakować do torby w kilka minut i było tak jakbym w ogóle nie istniała.

Roland patrzy na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

– Możesz zadać pytanie dodatkowe.

– Zabawki, kosmetyki, biżuteria, sukienki, ładne buciki, kotek lub piesek?

Śmieję się z niego.

– Nie miałaś nawet zwierzątka – dorzuca ojciec z żalem w oczach.
Faktycznie się przejął.

– Zwierzątka uczą dzieci empatii. Voron chciał zrobić ze mnie psychopatkę. Poza tym często nagle wyjeżdżaliśmy i nic nie mogło trzymać nas w danym miejscu.

– Życie dziecka winno być przepelnione radością. Boli mnie świadomość, że żyłaś w taki sposób.

– Gdyby to od ciebie zależało, wcale bym nie żyła.

Roland wzdycha głośno.

– Moje kolej.

– Tak, jak ustaliliśmy. Możesz zadać mi jedno pytanie. Dobrze się zastanów. Najważniejsza część walki o uzyskanie odpowiedzi to zadanie właściwego pytania.

Jest tyle spraw, o które muszę zapytać. Jedno pytanie to zaledwie czubek góry lodowej. Muszę zadać najważniejsze.

– Jeśli ifrit jest uwięziony w pradawnym amulecie, co ma nadzieję osiągnąć, spełniając trzy życzenia właściciela owego kolczyka, zmieniając rzeczzonego człowieka w olbrzyma niszczącego Atlantę, a następnie powtarzając ten proces?

– Skąd wiesz, że to ifrit?

– Z wizji.

– Nosił biżuterię?

– Tak. Złoto z dużymi, zielonymi kamieniami.

– Szmaragd lub perydot. Czyli to sułtan.

Musze się powstrzymać przed zadaniem następnego pytania. Powiedział, że ma być tylko jedno, a za złamanie reguł będzie kara.

– Można by pomyśleć, że ifrit w pozycji sułtana nosiłby rubiny, ponieważ jest to kolor ognia. Z drugiej strony ludzie mieszkający na Półwyspie Arabskim cenią sobie szmaragdy wyżej niż jakiegokolwiek inne kamienie szlachetne, ponieważ są zielone, a ich kraina sucha i jałowa. Ale dżinny nie są ludźmi.

Nimrod pochyla się, patrząc chytrze.

– Można by tak pomyśleć. Można by też odświeżyć wiedzę z geologii i sprawdzić, że najczystszy perydot można znaleźć w „harraat”, polach lawy na zachodzie Arabii Saudyjskiej. Gdy tamtejsze wulkany wybuchały, wnosiły perydoty z głębi komór magmowych. Dżinny cenią owe kamienie, ponieważ zastały skąpane w ognistym układzie krwionośnym planety. Noszą je tylko najwyższe rangą ifrity.

Kelner podchodzi, by dolać mu kawy.

– Bóg stworzył ludzi z gliny, a dżinny z bezdymnego ognia – ciągnie Roland po odejściu kelnera. – Nawet ludzie nie obeznani z Koranem znają ten werset. Czy zastanawiałaś się kiedyś nad ukrytym w tych słowach znaczeniem?

– Ludzie zostali stworzeni z gliny. Jesteśmy powiązani z Ziemią i glebą; nasza magia to jej magia. Ponadto gliniasta gleba jest ekstremalnie trudna do zaczarowania.

– Ale możesz zaczarować gliniany garnek.

Zastanawiamy się nad tym.

– Żeby zrobić gliniany garnek, trzeba dodać wody do materiału, a ona przyjmuje czar, a potem jeszcze wypalić go w ogniu.

– Właśnie.

– Czyli djinny posiadają o wiele więcej magii niż my.

– Nie tylko posiadają więcej magii, one są magią. Potrzebują dużej jej ilości by przeżyć. Djinn absorbuje magię z otoczenia i gromadzi ją jak bateria. Weźmy na przykład twojego ifrita. Jest zamknięty w kolczyku, uwięziony, zapewne doprowadzony do szaleństwa tysiącami lat w zamknięciu. Pragnie wolności, ale brak mu magii, żeby się uwolnić i żyć w naszym zmiennym świecie.

– Może funkcjonować jedynie przejmując ciało ludzkiego gospodarza. Tyle już wiem.

– Spełnianie trzech życzeń to pradawny rytuał. W rzeczywistości ułatwia przejęcie. By wyrazić życzenie człowiek musi otworzyć umysł

na djinna i zaakceptować jego magię. Trzeba uwierzyć, że on może spełnić każde życzenie. Zamiast wrogiego przejęcia, proces zmienia się w uwodzenie. Z każdym życzeniem, ciało robi się coraz bardziej chłonne aż w końcu umysł zupełnie poddaje się djinnowi. Niektóre djinny potrafią przejąć człowieka jednym życzeniem, ale w większości przypadków potrzeba trzech. Gdy tylko ifrit opęta ciało, rezerwa magii ofiary przechodzi na niego.

– To jednak nie wyjaśnia dlaczego on zmienia ich w olbrzymy.

– Z dwóch powodów. Po pierwsze z tego co wiem, ifrit zmienia ludzi w olbrzymy, a następnie próbuje metamorfować je w płynny metal. Za moich czasów najpotężniejsze z ifritów zmieniały się przed walką w opancerzone giganty. Ten stan pozwala im absorbować ogromne ilości magii z otoczenia.

– Czyli rośnie w siłę za każdym razem, gdy zmienia ich w giganty – mówię.

Wypada to raczej ja stwierdzenie niż pytanie, ale o mało nie spaliłam.

– Właśnie tak.

To jak skakanie na trampolinie. Pierwszy skok jest niski, drugi wyższy, a trzeci jeszcze wyższy. Djinn najpierw przejął kogoś z odrobiną magii, co dało mu możliwość owdzięcia Lago, który miał

więcej magii, co w rezultacie da mu możliwość opętania osoby z dużymi rezerwami magicznymi. Takiej jak rycerz Zakonu. Oby nie.

– Powiedziałeś, że są dwa powody.

– Djinny są z natury mściwe, a spośród nich ifrity najczęściej chowają urazę. To niezwykle dumne istoty. Wystarczy, że ktoś raz je skrzywdzi, a będą ścigać tego człowieka po bezkresnej pustyni tylko po to, żeby zobaczyć jak umiera. Walka przeciwko niemu robi z człowieka wroga na całe życie. Sama tego doświadczysz, jeśli udaremnisz jego plany.

– To już się stało. Przysłał ognistego byka przed mój dom.

– Tak słyszałem. Czego byś chciała na jego miejscu?

– Zemsty na tych, którzy mnie uwięzili. Ale oni już dano nie żyją.

– Krew nie umiera. Rośnie jak drzewo poprzez pokolenia. Ifrity wyczuwają swoich, szczególnie tych przynależących do ich klanu. Poszukaj kogoś, kogo ifrit nienawidzi. Prawdopodobnie djinn gromadzi magię. Pragnie stać się na tyle potężnym, by móc zemścić na potomkach tych, którzy go zamknęli w amulecie. Należy do arystokracji, więc wezwie pomniejszych djinny i będzie się nimi wysługiwał. Zidentyfikuje ofiary i będzie je torturował i okaleczał, by jak najbardziej cierpiały. Ifrity nie lubią litościwej śmierci.

Eduaro, „potomek zdrajcy”. Zapewne jego przodek znajdował się wśród tych, którzy uwięzili ifrita, więc z tego powodu djinn go teraz torturuje.

– Gdy dopełni zemsty, zwróci się przeciwko mniejszym celom. Będzie chciał rządzić, bo to właśnie robił za życia.

A my staniemy się jego kolejnymi celami. Musimy skończyć to pasmo magicznych doładowań zanim sprawy zajdą za daleko.

– Dostałem dodatkowe pytanie. Tobie też ono przysługuje.

– Dlaczego on używa ghouli?

– Ponieważ przywykł do rządzenia. Pewnie myśli, że jest mu potrzebna armia do wykonywania zadań, a ghoule ze względu na swą naturę dają mu się łatwo zdominować. Tort się rozpływa – kończy Roland.

Źródółko wiedzy wyszło. O tyle chciałabym jeszcze zapytać. O ghoule, o sposób na pokonanie ifrita, ale mój czas się skończył. Na więcej pytań mi nie odpowie, więc zabieram się do skonsumowania tortu.

KONIEC Rozdziału 23

Rozdział 24 – Zrzut informacji

Wracamy do domu okreśną drogą. Odpowiedź, której ojciec udzielił mi przy kolacji, zmusza mnie do zmiany opinii o podglądaczu Eduardo. Zajeżdżamy więc pod adres, który dał mi Asystent. Zatrzymujemy się, a z cienia wynurza się Derek i donosi, że jeszcze nikogo nie widział. Zabieramy go, zostawiamy krótką wiadomość przy drzwiach, przyłożoną kamieniem, po czym udajemy się do domu.

Magia ustępuje. Technika jeszcze raz trzyma planetę w uścisku. Przynajmniej będziemy mieli chwilowy spokój z ifritem.

Wieczór kończy się powoli, a słońce wykrwawia na horyzont, gdy zatrzymujemy się na naszym podjeździe.

O tyle spraw chciałam zapytać ojca. Dowiedzieć się więcej o ghoulach oraz dlaczego zniszczył umysł Christophera. Chciałabym też wiedzieć więcej o mamie, ale to niebezpieczny temat.

Jest jedna osoba, którą mogę o to wszystko zapytać. Problem w tym, że nie zawsze jest wiarygodna.

Wychodzę z jeepa.

– Dobrze się czujesz? – pyta Curran.

– Tak. Pójdę porozmawiać z Christopherem. Myślisz, że ta wiadomość coś da?

– Nie zaszkodzi.

Idę do domu Barabasa. Cała nadzieja w tym, że Christopher jest świadomy.

Barabas wpuszcza mnie i wraca do lektury przepisów Gildii. Znajduję Christophera na parterze, w salonie, siedzącego na dywaniku i otoczonego otwartymi książkami. Jego twarz rozświecła się, gdy mnie widzi. Oczy ma niezmacone.

– Pani.

– Cześć, Christopher.

Siadam na dywanie, na zewnątrz jego książkowego fortu.

– Cieszę się, że nie umarłaś – uśmiecha się.

– Też się cieszę. Przychodzę do ciebie po poradę.

– Mój umysł jest strzaskany – odpowiada. – Ale spróbuję.

– Co wiesz o ghoulach?

– Ghoule to upadłe djinny.

– Upadłe tak jak demony są upadłymi aniołami?

Odchyła się, rozkładając inaczej ciężar ciała.

– Djinny to istoty złożone z magii. Potrzebują jej, by żyć. Im więcej magii, tym bardziej... – szuka słowa.

– Potężne? Rosną?

– Ewoluuują. Gdy tracą magię, stają się ghoułami. Upadają.

Christopher ustawia dłoń równoległe do podłogi.

– Ghoul.

Unosi dłoń najwyżej jak może.

– Marid.

Kiwam głową. Marid musi mieć dużo więcej energii niż ghoul.

Christopher zastanawia się nad dalszą częścią przez kilka sekund, po czym układa dłonie w kulę.

– Jeden „s”. Dwa „s”. Dwa „p”. Trzy „s”.

– Nie rozumiem.

– On mówi o elektronowej konfiguracji atomu – wyjaśnia Barabas.

Podchodzi do nas z kartką papieru i długopisem, siada przy mnie i rysuje koło.

– To jądro atomowe, protony i neutrony związane w masę. Jądro ma ładunek dodatni.

Dookoła pierwszego rysuje następne koło, a na nim kropkę, jak planetę wokół słońca.

– Elektrony mają ładunek dodatni i ustalają orbitale.

Rysuje kolejne, szersze koło.

– Orbitale oznacza się przy pomocy notacji wykładniczej. Najniższy status to 1s. Ten to 2s. A ten większy to 2p. Im dalszy orbital, tym więcej elektronów może zmieścić. Pierwszy dwa, drugi osiem i tak dalej.

– No dobra.

To wykracza daleko poza mój poziom, ale skoro dałam radę nauczyć się pisma klinowego, mogę ogarnąć orbity elektronów.

– Co to ma wspólnego z djinnem?

– Nie jestem pewien. – Barabas zerka na Christophera.

Ten wyjaśnia:

– Elektron skacze. Jest pobudzony.

– A tak. Elektron występuje w dwóch stanach: podstawowym, czyli gdy ma najmniej energii oraz w stanie wzbudzonym. Żeby uprościć sprawę można powiedzieć, że elektron z natury dąży do pozostania na najniższej orbicie. Jeśli jednak zaabsorbuje energię, może przeskoczyć na następną orbitę. Tłumaczę to strasznie nieudolnie, ale uczyłem się tego bardzo dawno temu. Weźmy na przykład atom neonu, który jeśli dobrze pamiętam, ma konfigurację $1s^2 2s^2 2p^6$. Jeśli przekazemy mu trochę energii, na przykład oświetlając go, jeden z tych elektronów może przeskoczyć na orbitę 3s, 3p lub nawet 5s. Następnie elektron emituje energię w postaci fotonów i „spada” do stanu podstawowego.

– Djinn – dodaje pomocnie Christopher.

– Czyli o ile dobrze rozumiem, ghoul to stan podstawowy djinna. Najniższa forma magiczna. Następnie, jeśli ghoul zostanie naładowany energią magiczną, ewoluuje do postaci djinna, jak wzbudzony elektron „wskakujący” na wyższą orbitę?

– Tak – uśmiecha się Christopher. – Stanie się tym, czym jest mu przeznaczone być.

– Ale potem wróci do postaci ghoula, gdy magia się skończy? – pytam. – Spadnie?

– Nie – kręci głową Christopher. – Wysokoorbitowy djinn wytwarza więcej magii.

– Rozumiesz coś z tego? – pyta Barabas.

– Tak mi się wydaje. Nie wiemy, dlaczego ghoule są tym, czym są. Z podań ludowych wiadomo, że w starożytności, gdy magia była silna, były dość rzadkie. Inne typy djinnów wymienia się częściej. Tymczasem teraz mamy mnogość ghoulów, a brak djinnów. Wiemy też, że niektóre djinny miały skłonność do rozmnażania się z ludźmi. Jeśli przyjmujemy takie założenia, wyjdzie nam, że niewielki procent ludzkiej populacji posiada geny djinnów. Mają ich krew, ale bardzo mało magii. Wynika z tego, że pod wpływem fali magii przemieniają się w ghoule. Ich magia jest zbyt słaba, by przeistoczyły się w cokolwiek innego. To pewnie jeszcze dlatego nie odkryliśmy, co powoduje ghoulizm. Istnieje jakiś katalizator inicjujący zmianę, ale to nie jest choroba. To predyspozycja genetyczna.

Christopher uśmiecha się do mnie.

– To by wyjaśniało, dlaczego pożerają zwłoki – zauważa Barabas. – Ludzkie szczątki, w szczególności zmarłe wskutek nadprzyrodzonych okoliczności, posiadają dużo magii szczątkowej.

– Widocznie instynkt każe im zdobyć magię potrzebną do przemiany.

Barabas kiwa głową.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, gdy ghoul zdobędzie magię niezbędną do wyewoluowania w swoją przyrodzoną postać, nie „spadnie” jak elektron?

– Nie, ponieważ po transformacji zyska możliwość absorbowania magii z otoczenia, co zapewni mu przetrwanie. Problemem jest przedostanie się przez próg umożliwiający „skok”.

Jak dotąd wszystko się zgadza z tym, co o djinnie powiedział mi ojciec.

– Christopher, czy moja krew dostarczy ghoulowi energię wystarczającą do wyewoluowania?

Christopher дума nad tym, wstaje i zaczyna przeszukiwać książki. Minuty mijają powoli. Wciąga stary wolumin, kartkuje go i kładzie przede mną. Hmm. Symbole alchemiczne. Typowy renesansowy bełkot... Przerzucam stronę. Koło, a w nim dwa nałożone na siebie

trójkąty, pierwszy skierowany czubkiem w górę, a drugi w dół. Pośrodku wije się jakaś istota, pokryta płomieniami. Nad nią z kielicha trzymanego przez „rączkę” leje się krew. Zobaczymy... „Viridis flammae”, zielone płomienie. Bla, bla, bla... Spirytus drzewny, olej szklany...

Barabas zagląda mi przez ramię.

– Rozumiesz coś z tego?

– Tak, to podstawowa alchemia. Używano alkoholu metylowego oraz kwasu borowego, żeby otrzymać boran trimetylu i go podpalić. Płonie jasnozielono.

W głowie układa mi się plan. Rzeczywiście mogę to zrobić, jeśli wszystko inne zawiedzie.

– Nie znasz się na elektronach, ale rozumiesz średniowieczną chemię?

– Elektrony nie są mi potrzebne do przeżycia. – Uśmiecham się do Christophera. – Dziękuję. Świetnie się spisałeś.

Przytula mnie.

To taki prosty gest, a tak do niego niepodobny. Christopher nie lubi dotyku innych ludzi. Za dużo czasu spędził w klatce d'Ambraya,

głodując i siedząc we własnych odchodach. Trzeba być z nim ostrożnym, nawet gdy chce się mu uścisnąć dłoń. A teraz obejmuje mnie z własnej woli, więc nie ruszam się i uśmiecham do niego. Siedzimy tak kilka chwil.

Ktoś puka do drzwi. Otwiera je Barabas, a w wejściu ukazuje się Julie. Jej twarz mówi, że ma wszystkiego dość i żaden dorosły nie jest w stanie zrozumieć pełni jej cierpienia.

– Mahon przyjechał porozmawiać z George, ale ona nie chce wpuścić go do pokoju, więc rozmawiają przez drzwi – recytuje monotonnym głosem. – Czy mogłabyś przyjść, bo Luther i jakiś rycerz Zakonu przyjechali z tobą porozmawiać, a Curran nie może się nimi zająć, bo stoi w korytarzu pilnując, żeby Mahon i George nie połamali drzwi, i nie pozabijali się wzajemnie.

Za jakie grzechy?

* * *

Po wejściu do domu widzę rycerza i czarownika, pijących kawę w mojej kuchni. Jeśli dodać do tego złodziejskie umiejętności Julie oraz moje szermiercze, mamy drużynę D&D, gotową na pełną przygód wyprawę. Prawie.

– Szkoda, że brakuje nam kapłana – rzucam.

Obaj goście patrzą na mnie jakbym spadła z byka.

Nieważne.

– Czego potrzebujecie, panowie?

– Kolczyk zniknął i nie mogę się doliczyć jednego z moich ludzi – oznajmia Nick.

Siadam na krześle i pocieram twarz. Julie usadawia się na kanapie z notatnikiem i kilkoma książkami.

– No dawaj, wyrzuć to z siebie – zachęca Luther. – Zrobi ci się lepiej.

– Przecież prosiłam cię, żebyś nie zostawiał kolczyka w miejscu, gdzie inni mają do niego dostęp.

– Nie zostawiłem. Włożyłem go do sejfów w skarbcu. Miał tam czekać na eksperta z Wolf's Head.

– I ten ekspert zaginął?

Nick milczy. Wspaniale.

– Co się stało to się nie odstanie. Nie ma co teraz zrzucać na kogoś winy – uspokaja Luther.

– Tracimy czas – stwierdza Feldman.

– Dlaczego mnie nie lubisz? – pytam.

– Uzbierało się tego. Zaczniemy od twojego pochodzenia i ostatnich poczynań.

Pewnie ma na myśli zajęcie miasta.

– Nie miałam wyboru.

– Nie, zawsze jest jakiś wybór. [Taaak, Nick? Na przykład jeśli prowadzi się tajną misję i nie można się ujawnić, a jakiś psychopata wyżyna twoich ziomków? ;p]

Luther rzuca nam dziwne spojrzenia.

– Potrzebujecie chwili?

– Nie – odpowiadam. – Rozumiem. Nie cierpisz mnie. I co teraz?

– Jeszcze nie postanowiłem. Zastanawiam się, czy by cię nie zabić.

– Rycerzu-wróźbito – upomina go Luther.

Nick awansował. Wcześniej był krzyżowcem. Grudniowe wydarzenia odcisnęły na nim piętno. Niegdyś był z lekka szalony, ale ludzki. Dziś wygląda na skamieniałego do kości. Dostał posadę Teda. No żesz kamyczku, komu przyszło do łba, że dobrze będzie postawić go na czele tutejszego oddziału Zakonu?

W dodatku grozi mi w moim własnym domu, gdzie Julie go słyszy. [Bo grożenie poza domem i nie w zasięgu słuchu nastolatki jest bardziej ok.?)

– Zastanawiaj się ile chcesz. Jak już skończysz te rozmyślenia, przyprowadź tu wszystkich rycerzy ze swojego oddziału. Przyprowadź ich a wtedy, może, jeśli wy zbigociali fanatycy połączycie siły, pomyślę żeby wziąć wasze groźby na poważnie. Do tego momentu, weź się do stu omszałych pniaków zamknij, bo jeśli jeszcze raz zagroźysz mi śmiercią w obecności mojej córki, skończę to, co zaczął Hugh.

Coś przesuwają się pod skórą Nicka, jak dwie piłeczki golfowe ześlizgujące się po rękach.

– No dobra. – Wkracza Luther. – Widzę tu dużo napięcia i nierozwiązanych spraw. Jednak to nie pomoże nam pokonać ifrita. Stał się potężniejszy i zawładnął rycerką ZMP. Nie chcę być czarnowidzem, ale miasto może nie przetrwać następnej fali magii, więc przestańcie się foszyć i zachowujcie się jak przystało na dorosłych.

Spojrzenie Nicka łagodnieje. Czy mu się to podoba, czy nie, tak samo jak ja ma obowiązki wobec Atlanty.

– Powinieneś przeprosić dziewczynkę – mówi cicho Luther.

– Przepraszam! – woła Nick.

– Nie szkodzi – odpowiada Julie, nie podnosząc głowy. – Przywykłam do tego. Dajcie mi tylko znać, gdybyście zamierzali walczyć, żebym mogła przenieść się gdzie indziej. Muszę napisać na jutro wypracowanie.

Luther zwraca się do mnie.

– Widzisz? Przeprosił. Czego się dowiedziałaś?

– On pierwszy.

Feldman sięga do plecaka i kładzie fotografię na stole. Na niej do obiektywu uśmiecha się łysiejący facet po pięćdziesiątce.

– Justin Thomas Rogers – rzucam.

Miło jest utrzyć Nickowi nosa.

Rycerz marszczy czoło. Ascanio dobrze się spisał.

– Był licytátorem. A dokládniej uwierzytelnionym specjalistá do spraw mas spadkowych. Gdy w Atlancie umiera ktoś obcy lub bez rodziny albo ktoś porzuca mienie, urząd miasta wynajmuje jedną z trzech firm, by zlikwidować majątek. Rogers i Wspólnicy była jedną z nich. Ostatniej sprzedaży dokonał w sobotę, dziewiętnastego lutego. Nie zjawił się w poniedziałek w pracy.

– Jaki majątek wystawił w sobotę? – pytam.

– Dobytek dwóch rodzin, które się wyprowadziły oraz rzeczy osobiste zmarłego – odpowiada Nick. – Tydzień temu niezidentyfikowany mężczyzna padł ofiarą ruchu ulicznego na Bezimiennym Placu. Miał przy sobie zapiski sugerujące, że wysiadł ze statku w Savannah. Jednostka zniknęła. Dokumenty stwierdzają, że przyłynął z Nowego Jorku, ale tamtejsze porty nie potwierdzają tego.

– Przemysłowcy.

Nick przytakuje.

– Jeśli założyć, że kolczyk przeszedł od trupa do Rogersa, to ten ostatni miał go w posiadaniu ponad tydzień – konkluduję. – Musiał mieć niesamowicie silną wolę, bo djinn przekabacił Lago w dwie doby.

– Rogers sumiennie wykonywał obowiązku i miał zasady – zauważa Feldman. – Dużo udzielał się dobroczynnie. Trudniej było się do niego dobrać.

– Zapominacie oboje o Samancie Binek – wtrąca Luther. – Zaginionej rycerce. Djinn przełamał szkolenie ZMP w ciągu niecałej doby. Z każdym nowym gospodarzem robi się silniejszy.

– Opowiedz mi o Binek – proszę.

Rycerz krzywi się.

– Trzydzieści lat służby. Rycerka-archiwariuszka. Przyjechała z Wolf's Head by ustalić, czy kolczyk może zostać przeniesiony do tamtejszego skarbcza. Ma nienaganną reputację. Poszła do skarbcza, by zbadać kolczyk. Eskortował ją rycerz-obrońca. Trzy godziny później Maxine poszła sprawdzić co u nich. Binek aktywowała jeden ze znajdujących się tam artefaktów, obezwładniła rycerza i związała.

– Czego użyła? – pytam.

– Żelaznej maski. Rycerz przez dwie godziny myślał, że jest uwięziony na galerze niewolniczej. Pozrywał sobie paznokcie, próbując przedrzeć się przez ściany.

Rycerze-archiwariusze są szkoleni specjalnie do zajmowania się niebezpiecznymi obiektami magicznymi. Ta kobieta posiadała

niezbędne umiejętności, przez lata oszacowała setki artefaktów i na pewno podjęła wszelkie środki ostrożności. To nie wróży dobrze. Musimy dobrać się do djinna zanim spełni trzy życzenia i metamorfuje. Przy pomocy jej ciała może zniszczyć całe miasto i nie tylko.

– Moja kolej – mówi Luther. – Zanalizowałem twoją próbkę szkła. Piasek został przetopiony w bardzo wysokiej temperaturze. Zawiera też pył betonowy, czyli był częścią budynku, oraz naładowane magicznie algi. Te ostatnie nie dostały się tam w sposób naturalny. Wygląda na to, że zostały celowo zmieszane z cementem.

– Algi?

Przytakuje.

W naszym zawodzie nazywamy to wskazówką lub darem niebios. Ile budynków w Atlancie może mieć w ścianach magiczne algi? Założę się, że nie za wiele. Wstaję i wykręcam numer Raphaela.

– Tak?

– To ja. Potrzebuję pomocy.

– Dawaj.

Włączam głośnik.

– Wiesz może dlaczego i po co w gruzach starego budynku mogą znajdować się magiczne algi?

– Lazarus Builders – wyjaśnia bouda. – Mniej więcej dwa lata po Zmianie, gdy zaczęto dostrzegać pierwsze ślady magicznej erozji, firma budowlana znalazła niezawodną ochronę przed falami magii.

Gdy przychodzi do magii, nic nie jest niezawodne.

– Ustalili, że pewien konkretny rodzaj alg może absorbować duże ilości energii magicznej, więc dodali je do betonu. Pierwsze testy sugerowały, że będzie odporny na magię. Sprawdzało się świetnie przez pierwsze pięć lat, aż do pierwszego rozbłysku magii.

Rozbłyski to magiczne tsunami – kilka dni nieprzerwanej, ogromnie mocnej magii. W owe dni mogą ukazywać się bogowie.

– Okazało się, że algi są jak balony z wodą. Mogą wchłonąć określoną ilość magii, ale gdy jest jej za dużo, pękają. Wszystko, co zbudowano z betonu firmy Lazarus zawaliło się podczas tego rozbłysku lub najdalej miesiąc później. To był jeden z największych skandali w branży nieruchomości.

– O ilu budynkach mówimy?

– Mam złe wieści. Wydawali licencję na recepturę. Mieszali je nawet z gipsem, twierdząc, że to będzie odporna na magię warstwa dla budynków mieszkalnych. Ten beton był wtedy najczęściej stosowany do budynków firmowych, bo wszyscy chcieli mieć odporne na magię siedziby. Praktycznie wszystko, co wybudowano pomiędzy Zmianą a pierwszym rozbłyskiem, ma w sobie te algi. Są tak popularne, że nawet nie mam dla nich oddzielnej teczki.

Los właśnie uderzył mnie z nienacka w twarz i zaśmiał się.

– Mogę pogrzebać w dokumentacji i wyciągnąć informacje o co większych budynkach, według daty, ale to trochę zajmie. Ze dwa dni. Chcesz, żebym to zlecił?

– Nie.

Eduardo nie ma dwóch dni, podobnie jak Atlanta.

– Dzięki.

– Nie ma za co. Do usług. Mówię serio.

– Ślepy zaułek – kwituje Luther. – No to świetnie.

– Możemy spróbować czegoś jeszcze...

Ktoś puka do drzwi.

Wstaję i otwieram je.

W wejściu stoi wysoki mężczyzna z plecakiem zarzuconym na lewe ramię. Wygląda starzej niż się spodziewałam, bliżej sześćdziesiątki. Ubrany jest w ciemne spodnie, na tyle luźne, by nie krępować ruchów. Do tego wysokie buty, sweter, a na to szary płaszcz. Często widywany ubiór na ulicach Atlanty. Wciąż ma szerokie bary i trzyma się prosto. Musiał być kiedyś bardzo silny, ale z wiekiem stracił na zwalistości.

Po postawie poznaję, że pod płaszczem ma co najmniej jeden nóż i nie zawaha się go użyć w razie potrzeby. Oliwkową skórę znaczą zmarszczki, ale brązowe oczy za okrągłymi okularami są bystre i spostrzegawcze. Niegdyś czarne włosy, przyprószone są siwizną, a twarz okala krótka, starannie przystrzyżona broda. Przypomina mi ludzką wersję ojca.

Julie nachyla się, żeby lepiej widzieć.

– Pan Amir-Moez? Co pan tu robi?

– Witaj, Julie – jego głos jest spokojny i cichy.

Zerkam na nią.

– Znasz tego pana?

– To pan Bahir Amir-Moez – odpowiada dziewczyna. – Uczy historii starożytnej oraz islamoznawstwa w mojej szkole.

W końcu coś idzie po mojej myśli.

– Kochanie! – krzyczę.

– Tak? – odkrzykuje Curran.

– Możesz powiedzieć George, że jest tutaj ojciec Eduardo?

KONIEC Rozdziału 24

Rozdział 25 – Bahir Amir-Moez

Siedzimy w siedmioro przy stole kuchennym. George wpatruje się wrogo w Amir-Moeza. Mahon siedzi obok niej jak wielki cień. Zgodził się odłożyć rozmowę dopóki nie rozwiążemy tej sprawy. Ojciec Eduardo poprosił, by zwracać się do niego po imieniu. Zajmuje krzesło obok mnie.

– Skąd wiedziałaś? – pyta mnie.

– Dodaliśmy dwa do dwóch. Dowiedzieliśmy się, że Eduardo urodził się w Atlancie a jego matka poślubiła obecnego męża, gdy miał

siedem lat. Ifrit określał go mianem „potomka zdrajcy”, co zasugerowało nam, że jego przodkowie służyli niegdyś djinnowi, a on sam może być po części ifritem. Wiedzieliśmy też, że Eduardo zareagował gwałtownie, gdy cię zobaczył i zrezygnował ze zlecenia, choć bardzo potrzebował pieniędzy. Zapytany dlaczego, odpowiedział, że to z powodów osobistych. Znaleźliśmy sztylet, który mu podarowałaś, a który nie zgadzał się z postawą Eduardo odnośnie religii. A potem, dziś wieczorem, jadłam kolację z ojcem.

Nick krztusi się. Daję mu chwilę, żeby oswoił się z tą myślą.

– Ojciec stwierdził, że rodzice mają opiekę nad dziećmi we krwi.

– Ujęte w ten sposób, wydaje się to być oczywiste – mówi Bahir.

Sięga do plecaka, wyciąga metalową szkatułkę i stawia ją na stole. Blade, srebrzyste linie koftgari wyraźnie się odznaczają. Pismo jest drobne, jakby zapisane zaczarowanym piórem na pocernionej stali. Ajat al-Kursi – werset tronu, Sura al-Fatiha, dwa ostatnie wersy sury al-Bokara, pierwszy wers sury al-Imran oraz spora część sury al-Dżin...

– Ile czasu zajęło to kowalom? – pytam.

– Rok.

– Wiedziałaś, że ifrit nadchodzi? – pyta Luther.

Bahir przytakuje.

– To zaczęło się w dniu narodzin Eduardo. Najpierw były sny. Gwałtowne i niepokojące. Rima i ja byliśmy trzy lata po ślubie, mieliśmy maleńkie dziecko, a ja nie chciałem narażać ich na niebezpieczeństwo, więc szukałem porady u lekarzy. Trafiłem do psychiatri. Dostałem receptę na leki, które regularnie przyjmowałem. Sny nie odeszły. Początkowo były bezładne, a potem stopniowo nabierały sensu. Coś nadchodziło. Coś polowało na mnie. Wizje przepelnione były śmiercią. Świadomie je odrzuciłem. Odkryliśmy wtedy, że Rina jest zmiennokształtną, a ona nie radziła sobie z tym. Okazało się, że jest bizonolakiem, ale z tego co wiedziała, nigdy nie zaatakował jej żaden zmiennokształtny. Żadne z jej rodziców nie było zmiennokształtne i spowodowało to ogromne napięcie pomiędzy nimi. Ojciec poprosił ją o poddanie się testowi na ojcostwo. Bardzo ją to zraniło, bo teść w ten sposób skreślał wszystkie wspólne lata. Dla niej nie liczyło się, czy on jest czy nie jest jej biologicznym ojcem. Odcięła się od rodziny. Potrzebowała mnie, więc następny rok spędziłem na przekonywaniu samego siebie, że mam jakieś zaburzenia. Moi rodzice nie żyli. Nie miałem kogo prosić o poradę. Pewnej nocy wracałem z pracy do domu. Było ciemno. Podeszła do mnie poddenerwowana kobieta i poprosiła o wskazanie drogi. Wyciągnęła obleczonego ogniem nóż i pchnęła mnie nim. Nie umarłem. Klinga przeszła przeze mnie, a kiedy ją wyciągnęła, nie było rany. Byłem cały. Prawie zadusiłem ją na śmierć ze strachu, ale przeważył rozum i puściłem ją. Powiedziała mi, że jestem ifritem,

częścią starożytniej linii krwi, ginącej w otchłani czasu, która została zapoczątkowana, gdy pewien ifrit, wyczuwając wahania magii, postanowił zmieszać krew z ludźmi, by ocalić ród. Ifrity wyczuwają członków swojego klanu. Powiedziała, że są inni jak ja, którzy wyczuli moją obecność i wysłali ją, by mnie sprawdziła.

– Niezły test – komentuję.

– A gdybyś umarł? – pyta George.

– To nie byłbym ifritem – uśmiecha się Bahir. – W końcu poznałem członków mojego klanu. Również miewali wizje i byli przerażeni. Chciałem poznać odpowiedzi, ale znalazłem jedynie legendy ułożone z fragmentów wizji i snów. Dawno temu potężny ifrit rządził królestwem djinnów. Nie znamy jego imienia. Jeden z moim ziomków nazwał go Shakush, czyli Młot, ponieważ przez sny miewał potężne migreny, jakby ktoś walił młotem w czaszkę. Shakush miał pod sobą wielu wojowników i książąt. Pewnego dnia przyprowadzono do niego świątobliwego człowieka, który wkroczył na jego terytorium. Ifrit naśmiewał się z przybysza i kazał go ściąć. Gdy jego głowa stoczyła się z ramion na podłogę, jej usta otworzyły się i świątobliwy mąż zesłał na panującego ifrita szaleństwo.

Jak dotąd jest to klasyczna, ludowa opowieść pouczająca. Okaż łaskę i miłosierdzie przypadkowo spotkanym ludziom oraz potrzebującym.

– Panujący ifrit w końcu oszalał, ale jego magia była tak żywotna, że nawet połączone siły wojowników nie mogły jej pokonać. Nie zdołali go zabić. Czasem gdy moc wroga jest zbyt wielka, jedyne co można zrobić, to uwięzić ją. Wojownicy Shakusha uwięzili jego istotę w amulecie. Nikt nie wie co z nim zrobili, ale gdy pojawiał się w moich snach, był kolczykiem w uchu staruszki. Okres techniki osłabił zamknięcie a magia obudziła szalonego ifrita. Na początku był słaby, jego moc była ledwie szeptem. Nakłonienie właścicieli kolczyków do wyrażenia życzeń zajmowało mu całe lata, ale z każdą nową ofiarą rósł w siłę. Jeden z członków mojego klanu posiada dar prorocstwa. Może sięgnąć w swoich snach dalej niż ja. Powiedział mi, że Shakushem powoduje zemsta. Trójka wojowników ifritów przeprowadziła rytuał, który go uwięził. Shakush ściga ich potomków i zabija jednego po drugim. Po dokonaniu zemsty zwróci się przeciwko reszcie klanu, z którego pochodzą zdrajcy. Czyli prędzej czy później dotrze do mnie. W snach widziałem twarz mojego przodka. To on zamknął wieczko amuletu.

Jeśli ifrity są tak mściwe, jak twierdzi mój ojciec, nie znajdzie się przed nimi ucieczki czy kryjówki. Shakush odnajdzie ich.

– Czy twoi ludzie zaoferowali ci pomoc? – pyta Curran.

– Nie są wojownikami. Nasze społeczeństwo dzieli się na kasty. Tylko ci posiadający wielką magię oraz gwałtowną naturę uczestniczą w walkach. Członkowie mojego klanu to artyści, nauczyciele i kupcy. Jedno jest prawnikiem, inne pielęgniarką

dziecięcą. Kobieta, która dźgnęła mnie sztyletem, jest nauczycielką w podstawówce. Ciągnęli zapalki, żeby wybrać osobę, która mnie sprawdzi, a ona wyciągnęła krótką. Była bardzo wystraszona, ale Shakush przerażał ją bardziej. Podejmując walkę z Shakusem skazaliby się na pewną śmierć. Pochłonąłby ich magię. Sądzili, że obronię ich przed szalonym djinnem.

To musiało być okropne. Myśleć, że w końcu znalazło się odpowiedzi oraz potrzebną pomoc, by uświadomić sobie, że wszyscy liczą na jego pomoc w ocaleniu.

– Co zrobiłeś?

Bahir odchyła się.

– Musiałem bronić siebie i syna. Zacząłem ćwiczyć. Próbowałem w dojos i klubach sztuk walki, ale to nie był odpowiedni trening. Poprosiłem o pomoc ludzi z klanu i znaleźli człowieka, który zgodził się mnie uczyć. Był zabójcą. Nauczyłem się od niego okropnych rzeczy.

– Ale to był dobry rodzaj szkolenia – odzywa się Feldman.

Bahir przytakuje.

– Tak. Bez punktów i możliwości poddania się.

– A co na to twoja żona? – pyta George.

– Ukrywałem to przed nią. Nie chciałem obarczać jej ciężarem wiedzy, że jakaś niewidzialna, straszliwa istota szuka jej męża i syna. To było moje brzemię. Członkowie mojego klanu nie mogli pomóc mi w walce, ale wspomagali mnie inaczej. Jeden z nich był kowalem. Wytwarzał broń dla mnie. Reszta szukała informacji. Grzebaliśmy w podaniach ludowych oraz źródłach historycznych, choć było ich niewiele. Ostatecznie dzięki kombinacji wielu godzin poszukiwań oraz profetycznych snów, stworzyliśmy projekt szkatułki.

Kiwa głową na stojącą na stole szkatułkę.

– Powinna uwięzić ifrita i nie wypuścić.

– Powinna? – pyta Mahon.

– Nie jesteśmy pewni bardziej niż „powinna”. Szkatułka tego projektu została raz użyta przez świątobliwego człowieka do uwięzienia oszalałego pustynnego marida. Jeśli zdołała utrzymać burzę piaskową, powinna też powstrzymać Shakusha przed wydostaniem się.

– A twoja żona? – pyta znowu George. – Chciałabym zrozumieć, dlaczego nie byłeś obecny w życiu Eduardo.

– Nie z własnego wyboru. Moment krytyczny nastąpił, gdy mąż jednej z moich koleżanek z uczelni w której wykładałem, wniósł do budynku broń. Był mocno zaburzony. Ona odeszła od niego, a on ją ścigał. Odebrałem mu życie. To wydarzyło się bardzo szybko. Zobaczyłem pistolet. On strzelił do niej. Zareagowałem.

Bahir opowiada to wypranym z emocji głosem.

– Wydawało mi się, że sztylet przejął kontrolę i sam wbił się w jego ciało. Mogłem go rozbroić. Wiedziałem jak to zrobić. Ale stało się inaczej.

Szkolenie na dobrego zabójcę nie wystarczy. Trzeba także nauczyć się kontrolować stres i strach, przywyknąć do przemocy tak, że można być obojętnym na jej traumę i oszacować odpowiedni poziom agresji, jaką trzeba odpowiedzieć na daną sytuację. Gdy włącza się reakcja „walcz lub uciekaj”, Matka Natura wyłącza mózg. To biologiczny mechanizm przetrwania. Zanim ludzki umysł zrozumie zagrożenie płynące z obecności drapieżnika, człowiek już zwiewa na najbliższe drzewo.

Bahir nie jest drapieżcą z natury. Mając czas do namysłu, nie zabiłby tamtego człowieka, ale pod ciśnieniem chwili, jego ciało zareagowało i szkolenie zwyciężyło.

– Popęlniłem wielki grzech – stwierdza Bahir.

– „Kto zabije człowieka, który nie popełnił zabójstwa i nie szerzył zgorszenia, ten jakby wszystkich ludzi zabił” - cytuje cicho Luther.

– Tak – przytakuje Bahir.

W Koranie jest wiele wersetów mówiących o wojnie i pokoju, a cały jego piąty rozdział jest poświęcony tematowi morderstwa. Według jego nauk życie ludzkie jest cenne.

– Poszedłem do człowieka, który mnie szkolił i zapytałem go, dlaczego tak się stało. Powiedział mi, że jestem za stary. Zacząłem za późno. Uświadomiłem sobie, że mój syn musi być lepszy w walce niż ja. Eduardo miał wtedy sześć lat, więc wziąłem go na szkolenie. Rima była wściekła, gdy się o tym dowiedziała. Domagała się wyjaśnienia, więc opowiedziałem jej wszystko. Zaplanowałem sobie jak jej to wytłumaczyć i brzmiało to logicznie w mojej głowie, ale gdy przyszło co do czego, wszystko poszło nie tak jak trzeba. Bełkot zamiast rozsądnych argumentów. Wyszedłem na kogoś w środku epizodu psychotycznego, nawijającego o mordowaniu świątobliwych mężów i mściwych djinnach. Zacząłem już budowę szkatułki, więc ją przyniosłem. Nie wyglądało to dobrze, sama stal bez napisów.

Nitish powiedział, że jest wyłożona kością.

– Co jest pod stalą? – pytam.

– Czaszka mojego ojca.

No dobra.

– Wieczko jest wykonane z kości mojej matki. – Wstyd wykrzywiał mu twarz. – Zbezczęściłem ich groby, żeby ją zrobić. Przebadałem ich kości i wiem, że zawarta w nich magia pomoże mi zatrzymać djinna w środku.

Taa... Gdybym była jego żoną, a on zrzucił na mnie taką bombę, też nie byłabym zachwycona.

– Rima była przerażona. Kazała mi się zbadać. Odmówiłem. Kazała mi przestać narażać syna na obcowanie z przemocą. Powiedziałem, że przemoc sama go odnajdzie, więc przynajmniej możemy go przygotować. Myślała, że jestem chory psychicznie.

Bahir wzdycha.

– Moja była żona to kobieta o łagodnym usposobieniu, ale nieustraszona, gdy chodzi o dobro syna. Następnego dnia poszedłem do pracy, a gdy wróciłem, już ich nie było. Odnalazłem ich dwa tygodnie później. Pojechali do Oklahomy i dołączyli do społeczności bizonolaków. Próbowałem ją przekonać. Zostałem tam tak długo, jak się dało, ale stało się jasne, że nie zmieni zdanie.

– Bizonolaki to istoty stadne – dorzuca Curran. – I strasznie przeczulone na swoim punkcie. Gdy ktoś dołączy do stada, będą go bronić przed wszelkimi drapieżnikami.

Bahir przytakuje.

– Tak. Musiałbym zamordować któreś z nich, żeby dotrzeć do niej lub Eduardo. Kochałem ich, ale nie mogłem zdobyć się na popełnienie kolejnej zbrodni. Zresztą co by to dało? Wyjechałem i kontynuowałem szkolenie, żywiąc nadzieję, że dorastając wśród zmiennokształtnych, mój syn nauczy się bronić. Rima wyszła ponownie za mąż. Jej nowy partner zaadoptował moje dziecko. Przysyłała mi jego karty z ocenami. Zmienili mu nazwisko na Ortego. Łudziłem się, że trudniej go będzie przez to znaleźć. To była fałszywa nadzieja, ale trzymałem się jej.

– Jak brzmi jego prawdziwe imię i nazwisko? – pyta George.

– Eduardo Bassam Amir-Moez. Otrzymał imiona po swoich dziadkach. – Bahir wzdycha. – Wizje ustąpiły i przez niemal dekadę niemal nie miałem snów. Zaczęły się na nowo rok temu i były jeszcze żywsze. Shakush z każdą nową ofiarą rósł w siłę i był coraz bliżej. Tropił moją rodzinę. Przez lata obserwowałem dokonywane przez niego potworności i zrozumiałem, że sprawa jest poważniejsza niż dobro najbliższych. Allah nie obarcza człowieka brzemieniem cięższym, niż ten jest w stanie udźwignąć. To moje przeznaczenie. Cel mojego życia. Jeśli Shakush nie zostanie powstrzymany, stanie

się plagą dla tego świata, a na to nie mogę pozwolić. Kowal, który mi pomagał, zmarł, więc zwróciłem się do Nitisha z prośbą o dokończenie szkatułki. Przygotowywałem się do ostatecznej walki. Potem ujrzałem syna i zrozumiałem, że historia zatoczyła pełne koło. Próbowałem z nim porozmawiać, ale nie chciał słuchać, więc obserwowałem go, mając nadzieję, że będę na miejscu, gdy uderzy Shakush. Dałem mu broń, która zapewniała mu choć maleńką przewagę. Przegapiłem atak.

Dźwigał to brzemie całymimi latami. To cud, że się nie załamał.

– Dlaczego nie zwróciłeś się do Zakonu? – pyta Feldman.

– I co bym wam powiedział? Że miewam wizje, w których mordowani są nieznani mi ludzie? Że jestem po części ifritem? Twój Zakon nie jest znany z dobroci dla osób, które postrzega jako dewiację.

– Zakon tworzą ludzie, a ludzie się zmieniają – odpiera rycerz.

– Być może – mówi Bahir.

– A o co chodziło ze zwłokami drakonoida? – pyta Julie z kanapy.

– To było stworzenie Shakusha. Bałem się, że moja broń przejdzie przez niego, jak tamten ognisty sztylet przeze mnie. Chciałem mieć pewność, że mogę zranić djinna.

– Opowiedz o tej szkatułce – prosi Luther. – Widzę, że jest to pewien rodzaj międzywymiarowego urządzenia przetrzymującego.

– Co to konkretnie znaczy? – pyta Mahon.

– To przedmiot istniejący jako dwa różne obiekty w dwóch płaszczyznach rzeczywistości. Prowadzi do miejsca zakotwiczonego w naszym wymiarze, ale rozlewa się także poza niego.

– Jak mgła celtyckich bożków – wyjaśniam.

– Tak. Czyli ktoś musi aktywować portal do tego innego miejsca, stabilizować go i zamknąć, gdy djinn będzie już w szkatułce. – Luther patrzy pytająco na Bahira.

Ten przytakuje.

– Istnieje odpowiedni rytuał. Nauczyłem się go na pamięć. Szkatułka powinna spoczywać na ziemi. Nie zadziała na piętrze. Muszę narysować skomplikowany wzór koła oraz święte wersy wokół niego. Otworzę potem portal przy pomocy swojej krwi. Gdy kolczyk trafi do szkatułki, a wszystko zostanie dobrze przeprowadzone, stanę się łącznikiem pomiędzy światami i wypędzę djinna. Największy kłopot jest we włożeniu kolczyka do szkatułki. Ktoś musi zabić ludzkiego nosiciela i fizycznie przenieść kolczyk do mnie. Szkatułki nie wolno przesuwac po jej ustawieniu.

– To będzie niezmiernie trudne – stwierdza Luther.

No co ty nie powiesz. Shakush zrobi wszystko, co w jego mocy, by ochronić się przed włożeniem do szkatułki. Nawet gdybyśmy przyprowadzili cały oddział rycerzy Zakonu i wyrwali kolczyk gospodarzowi, każdy kto go dotknie, stanie się celem ifrita. Rozprawi się z rycerzami jeden po drugim.

– Pomożemy wam – odzywa się w nagłej ciszy Mahon.

George jest zaskoczona.

– Tato?

Mahon obejmuje ją ramieniem.

– Nieważne, jaki jest potężny. Nikt nie tknie mojego przyszłego zięcia.

– O ile będziesz się trzymał z dala od kolczyka – rzuca Curran.

Niedźwiedź spogląda na niego.

– Martwi się o to, czego byś sobie życzył – wyjaśniam. – Życzenie numer jeden: Curran jest Władcą Zwierząt. Życzenie numer dwa:

George jest jego Towarzystką. Życzenie numer trzy: twoja postać bojowa jest jeszcze większa.

George patrzy na mnie z przerażeniem.

– Tak źle o mnie myślisz? – pyta Mahon. – To boli.

Chyba rzeczywiście się zmartwił. Och nie, zraniłam uczucia przyszywanego teścia.

– Wciąż nie wiemy, gdzie przebywa Shakush – zauważa Feldman. – Możesz go wyczuć?

Bahir kręci głową.

– Znam kogoś, kto może – oznajmiam.

Pewnie pójdę za to prosto do ciernistego piekła, ale nie mam wyboru. Musimy ocalić Eduardo i miasto.

– Nie możesz użyć Mitchella – oponuje Luther. – Po pierwsze to nieetyczne. Po drugie okrutne. Po trzecie on jest moim kolegą, a porządni ludzie nie robią takich rzeczy. On jest ghoul, na szeleszczące liście!

– A co, gdyby już nie był ghoul? – pytam.

Luther otwiera usta i zastanawia się.

– Chcesz go znowu podpalić?

– Tak to wyglądało?

– Tak. Bardzo mnie to zaniepokoiło.

– Tak, coś w tym rodzaju.

– Mam moralny obowiązek chronić go – oznajmia Luther. –
Odpowiedź brzmi nie.

– A może zapytamy o zdanie Mitchella? – proponuję. – Jeśli
odmówi, dam spokój. Jeśli się zgodzi, pomożesz mi.

– W czym dokładnie ma ci pomóc? – pyta Feldman.

Tłumaczenie tego zajmie za długo.

– Sam zobaczysz. Bahir?

– Tak?

– Dlaczego nie zmieniłeś się w ghoulą?

Bahir dziwi się.

– A miałem?

Ghoule to djinny, które nie mają wystarczającej magii, by przyjąć prawdziwą postać. Czyli miał dużo magii.

– Czy potrafisz przemienić się w ifrita?

Bahir uśmiecha się.

– Nie do końca.

To wyjaśnia sprawę. Już miał magię, więc ominął stadium ghoulu.

– No dobra. – Curran pochyla się, a w jego głosie daje się słyszeć rozkaz. Nagle wszyscy skupiają na nim uwagę. – Musimy ograniczyć ilość osób. Im więcej ludzi, tym więcej potencjalnych celów dla djinna. Idziemy ja, Kate, Bahir, Mahon, George. – Zerka na Mahona. – Ktoś jeszcze?

– Porozmawiam z rodziną – odpowiada Mahon.

– I ja! – zgłasza się Julie.

– Nie – Curran i ja mówimy jednocześnie.

– Ale...

– Właśnie dostałaś zjednoczone, rodzicielskie „nie” – przerywa jej Luther. – Daj sobie spokój, już przegrałaś.

– Ja pójdę. – Z cienia wychodzi Derek.

Curran zastanawia się nad tym.

Derek czeka.

– No dobra – decyduje w końcu lwołak. – Ktoś jeszcze?

– Ja też – mówi Luther. – Z jednym zastrzeżeniem. Jeśli djinn mnie opęta, zabijcie mnie. Moja rezerwa magii jest zbyt wielka.

Curran patrzy na Feldmana.

– Sześciu rycerzy – mówi Nick. – Łącznie ze mną.

– To powinno wystarczyć – sumuje Curran.

Mahon i Nick wstają jednocześnie i idą do telefonu. Biegnę na górę przyszykować się.

KONIEC rozdziału 25

Rozdział 26 – Wilcza Gwiazda

Curran zatrzymuje się na parkingu przed siedzibą Biohazardu, obok ciężarówki Luthera. Na tylnym siedzeniu przesuwają się Derek. Siedział tak cicho i nieruchomo, że zapomniałam o jego obecności.

W trakcie drogi zastanawiałam się, czy zawsze będzie jak dziś. Potem stwierdziłam, że upadłam na głowę, nie ma co się oszukiwać, zawsze tak będzie. Co kilka miesięcy będziemy zmierzać ku pewnej śmierci, próbując ratować obcych ludzi. Niektórzy malują, inni pieką, a my igramy ze śmiercią. Nie mam ochoty umierać, ale muszę uratować przyjaciela i moje miasto.

Marzą mi się przerwy na normalne życie, jeśli nie kilkumiesięczne, to chociaż kilkutygodniowe.

Magia jest dziś silna. Gdy wychodzimy z auta, owiewa nas ciepły wiatr. W powietrzu czuć wiosnę.

Pod gwiazdami prześlizguje się cień. Nad parkingiem zatacza koła smoliście czarny, uskrzydłony koń. Nie przepadam za arabami. Są wierne jak psy i zagonią się na śmierć pod odpowiednim jeźdźcem, ale jak dla mnie są zbyt narowiste. Ale ta klacz jest idealna – od aksamitnej sierści i jedwabistej grzywy do wąskich kopyt eleganckich nóg. Z jej barków wyrastają szerokie, czarne jak noc skrzydła. Szybuje na prądach powietrznych, pełna wdzięku, ożywiona istota z legend. Nawet Mahon wychyliła się z auta, żeby na nią spojrzeć.

Curran staje obok mnie i wspólnie obserwujemy jak arabka łagodnie ląduje, niosąc Bahira na grzbiecie.

– Chciałbyś wieść normalne życie? – pytam cicho.

– Tak. Ale wtedy nie miałbym okazji zobaczyć czegoś takiego.

Bahir zeskakuje lekko i zgrabnie z wierzchowca.

– Gdzie ją znalazłeś? – pytam.

– Nigdzie. Amal sama do mnie przyszła.

Cmoka na nią. Klacz drży i skrzydła znikają.

Atlanta z dnia na dzień robi się dziwniejsza.

– Chodźcie! – woła Luther.

Wchodzimy za nim do budynku, dalej schodami i korytarzem, do wielkich, podwójnych drzwi, które stoją otworem. Widzimy duże pomieszczenie bez mebli. Podłoga jest zamalowana kredą. Przy ścianach stoją koksowniki z brązu, wypełnione gotowym do rozpalenia węglem. Sala, w której rzucają zaklęcia.

Pośrodku sali wyrysowano kredą okrąg ochronny. Leży w nim skulony Mitchell. Glify dookoła bariery jarzą się słabo. Zakęcie jest super mocne. Wokół ghoulu leżą porozrzucone kawałki materiału. Pod ścianą siedzi pogrążona w lekturze kobieta.

– Krew – oznajmia Curran.

Zerkam na Luthera.

– Próbowaliśmy wsadzić go w kaftan bezpieczeństwa, żeby nie robił sobie krzywdy – wzdycha Luther. – Wciąż próbuje rozbić głowę o podłogę.

– A jak go zabezpieczacie w trakcie fal techniki? – pyta Nick.

– Z podłogi wysuwają się pręty. Teraz są opuszczone, żeby nie obijał się o metal.

Podchodzę do okręgu.

– Mitchell.

Ghoul nie daje znaku, że mnie usłyszał lub wywęszył.

– Nie reaguje – mówi Luther. – Próbowalem.

– Jakiś czas temu krzyczałam – dodaje kobieta. – Zanurzył się głęboko w głąb siebie.

Zerkam na linie okręgu. Ma on na celu nie wypuszczać magii, ale nie powstrzymuje jej przed przedostaniem się do środka. Hmm. Jeszcze tego nie robiłam.

Przyciągam swą magię. Przychodzi do mnie chętna i gotowa jak posłuszny zwierzaczek. Zbieram ją dokoła, upychając ściśło i nasycam nią głos, sięgając mocą do Mitchella.

„Mitchell”.

– Jeżu kolczasty, Daniels. – Luther aż podskakuje

Ghoul rozwija się z kłębuszka, unosi zdeformowaną głowę i wstaje. Obchodzę skraj okręgu. Ghoul obraca się powoli, żeby stanąć ze mną twarzą w twarz. Z bliska widzę smugi krwi na rysunku wewnątrz okręgu.

– Ty... – szepcze.

– Wyczuwasz ifrita? Wzywa cię teraz?

– Taaak.

– Wiesz, czym jesteś?

– Taaak... – Opuszcza łeb, ale jego ślepie świdrują mnie. – Jestem płomieniem. Bezdymnym ogniem. To – wyciąga do mnie ręce – jest moje więzienie. Zabij mnie.

Przyklękam na jedno kolano. Mitchell nachyliła się tak mocno, jak pozwalają na to znaki ochronne. Dzieli nas zaledwie kilka centymetrów.

– Mogę ci pomóc stać się sobą – szepczę. – Ale to ma cenę.

– Zapłacę ją.

– Stój – odzywa się Nick. – Ona obieca ci wszystko, a potem zrobi z ciebie niewolnika. Nic a to nie poradzi. Ma to we krwi.

– Moment, co to za gadka o stawaniu się sobą? – Luther mocno gestykułuje. – Co się dzieje?

Mitchell nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Wolę być niewolnikiem, niż tym czymś.

– Jeśli pomogę ci stać się sobą, musisz pomóc mi w walce z ifritem – zastrzegam. – Czy będziesz mógł go potem odnaleźć?

– Tak.

– Gdy będzie już po wszystkim, zamieszkasz tutaj, pod opieką Luthera. Będziesz służył temu oddziałowi Biohazardu przez pięć lat.

To da im czas na wykombinowanie, co z nim zrobić.

– Tak.

– Przysięgnij na płonący w tobie ogień.

– Przysięgam.

Wstaję, wyciągam księgę z plecaka i rzucam Dillonowi.

– Potrzebuję tych rzeczy.

Czarownik przegląda jej stronicę.

– Co to jest?

– Wyewoluujemy Mitchella do jego naturalnego stanu.

– No dobra. Czekał, że co?

Zapalono węgiel w koksownikach. Wyrysowałam alchemiczne oznaczenie eteru i prawie kończę rysować resztę symboli. Mitchell siedzi już wewnątrz dwóch trójkątów. Tuż za ich obrębem stoi dwulitrowa zlewka przezroczystego płynu, boranu trimetylu, a na stole czekają zapalki oraz fiolka mojej krwi. Pobrałam ją przed wyjściem z domu.

Tłumek kolegów Luthera zbiera się w pomieszczeniu. Opisałam mu teorię djinna w stanie podstawowym a on łumaczył to reszcie. Reakcje są... Powiedzmy mieszane. Dolatują do mnie ich podniecone głosy.

– Zdajesz sobie sprawę, że jeśli to zadziała, zdobędziemy lekarstwo na ghoulizm.

– Tak, ale lekarstwo jest gorsze niż choroba. Nie możemy ganiać po lasach i zamieniać ghoule w djinny.

– W sumie one już są djinnami.

– To nie ma nic do rzeczy.

– Nie mamy pojęcia do czego są zdolne.

– Co jest w tej fiołce?

– Czyli nie powinniśmy tego robić? – pyta Luther.

– Tego nie twierdzę – odpiera kobieta. – Chciałam tylko zauważyć, że to nielegalne, niebezpieczne, raczej nieetyczne, ale zdecydowanie powinniśmy to zrobić.

– Zgadzą się z Margo.

– Nie będzie więcej takich okazji.

– To będzie tylko eksperyment.

Magowie.

– I jak się na to zapatrujesz? – pyta ktoś dudniącym głosem.

To Mahon wierci Curranowi dziurę w brzuchu.

– To jej natura – odpowiada Curran. – Nie muszą podobać mi się wszystkie rzeczy, które Kate jest zmuszona robić. Kocham ją.

Ja też cię kocham. Pamiętaj o tym, gdy już zobaczysz to, co mam zamiar zrobić.

Rysuję ostatni okrąg wokół glifów. Pola ochronne mają różne zastosowania. To tutaj nie więzi; jest lustrem, które skupia magię przenikającą do wnętrza okręgu, na znajdującej się w nim istocie.

Mitchell spogląda na mnie.

– Spiesz się.

Biorę zlewkę boranu trimetylu i polewam nim ghoula oraz trójkąt na podłodze.

– Ona wie, że to jest łatwopalne, tak? – rzuca jeden z magów.

Biorę fiolkę mojej krwi i odkorkowuję ją.

– Wypij to, gdy ci powiem.

Przyszły djinn wyciąga do mnie pazurzastą łapę.

– Jeszcze jest czas żeby się wycofać – informuję.

Mitchell ujmuje fiolkę bez wahania.

Zapalam zapalkę.

– Teraz!

Ghoul połyka krew. Zapalka spada na pole ochronne. Wznoszą się szmaragdowozielone płomienie. Mitchell rzuca się i krzyczy, gdy na skórze pojawiają się bąble.

Skupiam na nim swą magię i czuję jak okrąg ją wzmacnia.

Wypita krew płonie w nim, spływając przelykiem głęboko do jamy brzusznej, po czym budzi w nim iskierkę ognia.

Sięgam do owej iskry, gdy obmywa ją moja krew i szepczę słowo mocy.

– Amehe. – Bądź posłuszny.

Ból wdziera się w mój umysł, świat zachodzi mgłą. Walczę ze słabością i z całych sił trzymam płomień w ciele Mitchella. Jeśli mi się wyśliznie, będzie po wszystkim.

Słyszę z tyłu wkurwionego Currana. Tak, użyłam słowa mocy. I co mi zrobisz?

Mgła ustępuje. Chwieję się, ale połatany przez Doolittle'a mózg wytrzymuje.

Ghoul wrzeszczy. Jego skóra odpada, a żywe mięso skwierczy w ogniu.

Naciskam a płomień odpowiada, naginając się do mej woli. Rozdmuchuję go, wtłaczając w niego swoją magię. Mitchell zwija się w kłębek.

– On umiera! – krzyczy ktoś z tyłu.

Rośnij.

Przypomina to dmuchanie w słaby żar, by rozgorzał.

– To było bardzo nierozważne...

Rośnij – zachęcam, wlewając w niego magię. Rośnij.

– Cicho tam! – ucina Patrice.

Zielone płomienie znikają, wessane przez ciało ghoula.

Rośnij!

Mały ogienek wybucha, zmieniając się w świecącą na biało supernową. Ghoul wstaje. Jasnopomarańczowy płomień wydostaje się gwałtownie z jego ust oraz oczu i opływa go, pożerając tkanki. Puszczam. Jego ciałem targają konwulsje, przypomina marionetkę. Płomień zaczyna wirować, a w tym wirze kształtuje się nowe ciało – duże, czworonożne i umięśnione.

Ogień znika, wchłonięty w nową skórę.

Stoi przede mną dziwny, kudłaty zwierz. Cztery pazurzaste łapy. Łeb trzydzieści centymetrów wyżej niż moja głowa. Sierść

jaskrawoczerwona, czarno nakrapiana jak u lamparta. Postura psowatego, smukła i mocna. Długa, gęsta grzywa, czarnych jak sadza włosów, biegnie wzdłuż grzbietu. Lwi ogon zawinięty przy łapach. Łeb zdobią dwa rogi, zaginając się do przodu po obu stronach wąskiego pyska, gotowe by rozrywać.

Jeszcze nie widziałam stworzenia o takim wyglądzie.

Długie, wąskie szczęki, najeżone wspaniałymi kłami, upodabniają go do wilka oraz aligatora jednocześnie. Natomiast ślepa, duże i jasnopomarańczowe, o ciemnych, owalnych źrenicach, przywodzą na myśl kota.

Będący niegdyś Mitchellem stwór potrząsa łbem, rozwiewając grzywę. Unosi głowę, otwiera pysk, ale z jego gardła nie dobywa się ryk czy warknięcie, a melodyjny, wysoki krzyk ptaka wlatującego w chmury.

– Borze liściasty – rzuca ktoś z tyłu.

Mitchell pochyla się, zrównując ze mną wzrokiem. Uchyła nieco śmiertelnie groźne szczęki, ukazując zębiska i czarny jęzor.

Nie drgnąć, żeby tylko nie drgnąć.

– Hej, Mitchell.

– To imię nie jest już godne.

– Chcesz inne?

– Tak, nazwij mnie, człowieku.

Musi być dobre.

– Niniejszym nadaję ci imię Adib, na cześć Wilczej Gwiazdy z Gwiazdozbioru Smoka.

– Przyjmuję to imię. Jestem twoim dłużnikiem.

– Tak.

Adib rzuca się na mnie tak błyskawicznie, że jestem w powietrzu, zanim orientuję się, co się dzieje.

Wrzucił mnie na grzbiet.

Curran wysuwa się do przodu,

– Wszystko w porządku – uspokajam go.

– Spłacam długi. – Ifricki ogar podnosi masywny łeb. – Słyszę głos szaleńca. Za mną.

Rusza ku drzwiom, roztrącając magów. Zaciskam palce na grzywie i staram się nie spaść.

Podróżowanie na grzbiecie mistycznego, ifrickiego ogara brzmi świetnie w teorii i jest wiarygodne, bo Adib jest rozmiarów mniejszego konia. Jednak konie szkoli się pod jazdę wierzchem. Tymczasem ja muszę wyteżać wszystkie mięśnie, żeby utrzymać się na jego grzbiecie. Biegnie ulicami, przeskakując przeszkody, lawirując pomiędzy autami i strasząc inne rumaki.

Po trzech minutach szaleńczego sprintu zrównuje się z nami Curran. Jest w postaci przejściowej pomiędzy lwem a człowiekiem, która to przeznaczona jest do szybkiego biegania. Kilka chwil później dołącza do nas Derek, wciąż w ludzkiej postaci. Nad nami, na tle rozgwieżdżonego nieba, przesuwa się i wyprzedza nas cień. Ifrit jest szybki, ale nie pobije skrzydlatego konia. Rozbłyska niebieska iskra, oświetlając klacz i jeźdźca. Bahir penie trzyma magiczną lampę. Przelatuje nad nami jak latarnia morska. Mam nadzieję, że Dillon, Delany oraz rycerze Feldmana będą go widzieli.

Magia ociera się o mnie. Mijamy niewidzialną granicę, wkraczając w Zaulek Jednoroźców. No jasne. Gdzieżby indziej? Zaulek Jednoroźców przecina środek miasta, jak gdyby olbrzymi, niewidzialny wróg wyciągnął sztylet i pchnął nim głęboko w samo serce śródmieścia Atlanty, a z powstałej rany wytryskiwała magia.

Nie obowiązują tu normalne prawa. To dom aktywnych drapieżników, napastliwych roślin, trującego mchu oraz śledzących ofiary, jarzących się ślepi.

Magia kłębi się wokół mnie, gdy mkniemy pomiędzy potężnymi niegdyś drapaczami chmur. Adib skręca w lewo, skacze ponad szczątkami wybebeszonego budynku i oddala się od Zaułka, biegnąc na północny wschód, po rozwalającej się Colier Road. A to niespodzianka.

Colier Road jest zwyczajną, dwupasmową ulicą, która biegła niegdyś przez dzielnicę mieszkaniową. Potem Zaułek rozrósł się, połączył jej południowy koniec i zmienił ją w ślepią uliczkę. Podczas fal magii kryjące się w Zaułku Jednorożców stworzenia wychodziły na poszukiwanie mięsa i krwi, a Colier bardzo wygodnie doprowadzała je do ofiar, śpiących w pięknych domach w stylu kolonialnym. Każdy z krzytą rozumem wyprowadził się, a z upływem lat ulica opustoszała. Opuszczone domy znaczą przemierzane przez nas metry ciemnymi oknami.

Ifrit biegnie bez ustanku. Po lewej stronie majaczy spora ruina. Mijamy stary, pocięty i usyfiony szyld, głoszący: „SZPITAL PIEDMONT”. A tak. Pierwotny kompleks szpitalny stał tak blisko Zaułka Jednorożców, że jego część zawałiła się podczas Zmiany. Nie będąc świadomym znaczenia bliskości Zaułka, urząd miasta odbudował go kilka kilometrów dalej. Jednak potem, gdy okolica mieszkalna podupadła, to samo spotkało szpital.

Ifricki ogar skręca, biegnąc za drogą. Lata temu miejsce to było zapewne pięknie zagospodarowane, ale obecnie drzewa i krzewy sprawują kontrolę, wypełniając sztucznie ukształtowane trawniki. Mijamy kamienny znak z wyrysowanymi strzałkami, po czym Adib przedziera się przez ścianę zieleni na pusty parking. Stary szpital stoi przycupnięty w mroku. Dwa piętra są całe, a zawieszzone na słupach latarnie magiczne jaśnieją słabo, walcząc z ciemnością parkingu. Adib zatrzymuje się przed wejściem na ostry dyżur, pod betonowym daszkiem. Przejazdźka skończona. Dzięki ci, Losie.

– Zaczekamy na resztę – nakazuję i ześlizguję się z jego grzbietu. Uda mi ścierpły.

Adib obraca się, unosi łeb i wciąga głęboko powietrze.

– Pójdę naprzód, zrobić zwiad.

– Poczekaj...

Ifricki ogar rusza przez połamane drzwi szpitala i znika w mroku.

Siadam na chodniku. Wszystko mnie boli jakby ktoś otłukł mnie workiem cegieł.

Z zieleni wyskakuje i biegnie do mnie Derek.

– Gdzie jest Curran?

– Musiał zawrócić. Sprzęt i konie nie mogły przedostać się przez Zaulek, a niedźwiedzie strasznie się guzdrzą.

No tak, założę się, że Mahon jest zachwycony tym szalonym biegiem.

– Curran pomaga przenosić... – Derek milknie. – Coś się zbliża.

Wyciągam szablę.

Na parkingu rozlega się stukot kopyt. W naszym polu widzenia pojawia się stworzenie i zatrzymuje pod lampą. Metr osiemdziesiąt wysokości, linie ciała smukłe, niemal kruche, przywodzące na myśl gazelę. Jednak szyja i potężna klatka piersiowa są końskie. Boki pokrywa jasna, piaskowa sierść, z ciemniejszymi paskami w kolorze cynamonowego brązu. Z czoła wystaje pojedynczy, trzydziestocentymetrowy róg; wąski i ostry jak klinga szabli. Pysk przedzielają dwie ciemne, pionowe linie, wiodące od oczu w dół. A żeby to muchomor otruł!

Stwór podejmuje niespieszny krok i zmierza ku nam. Ma zachwycające kształty ciała.

– Czy to jednorożec?

Stwór przechodzi pod następną lampą. Na jego rogu widać zaschniętą czerwień. A żeby. To. Muchomor.

– Coś w tym rodzaju. – Wstaję. – To shadhavar. Perski jednorożec.

– Rozumiem że nie należą do najmilszych?

– Ano nie.

Derek też wstaje.

Drzewa i krzaki szeleszczą. Wychodzi z nich więcej shadhavarów. Po prawej stronie źrebię przepycha się przed matkę. W zębach niesie oderwaną ludzką rękę, wciąż odzianą w rękaw. Jeden, dwa, trzy, siedem, dwanaście. za Dużo.

– Walczymy?

– Nie. Będziemy rozsądni i zaczekamy na wsparcie.

Mamy teraz większą rybkę do złowienia. Rzucanie się na stado mięsożernych jednorożców jest niezmiernie odważne oraz idiotycznie bezsensowne. Po co ryzykować zranienie rogiem i wykluczenie z poważniejszej walki, skoro posiłki są tuż-tuż?

Spory shadhavar grzebie kopytem.

Derek zerka na betonowy daszek nad nami.

– Podrzucę cię.

– Dawaj.

Łapie mnie w pasie i wyrzuca w górę. Chwytam krawędź daszku i podciągam się nań. Shadhavary rzucają się do ataku.

Derek też skacze, odbija się od ściany i ląduje przy mnie.

Shadhavary cofają się, obnażając długie, trójkątne zębiska, odznaczające się żółtawo na tle krwistoczerwonych dziąseł. Taki widok gwarantuje koszmary.

– Tak, tak, uśmiechajcie się.

Wszystko gra, nasze wsparcie nadchodzi.

Skrzydlaty koń zatacza koła nad nami.

Zerkam w górę.

– Miej na niego oko podczas walki, dobrze?

– Jasne. A czemu?

– Niektórzy ludzie są urodzonymi mordercami. Na przykład Curran lub ja. Natomiast on nie. Bahir to przykład tego co dzieje się, gdy dobry, porządny człowiek jest zmuszony do zabijania bliźnich. Jest nieustraszony i zada śmiertelny cios w razie potrzeby, ponieważ uważa to za swój obowiązek, ale brak mu doświadczenia żeby podejmować w walce wyważone decyzje. Może będzie chciał się poświęcić dla wyższej sprawy.

– Przyganiał kocioł garnkowi.

– Zrobiłam to po rozważeniu wszytki opcji i ustaleniu, że nie ma innego wyjścia. Bahir może nie dostrzegać innych opcji. Odebrał raz życie człowiekowi i zżera go poczucie winy. Może postrzegać poświęcenie siebie jako akt odkupienia winy. Wolałabym żeby przeżył. Nie chcę dokładać Eduardo zbędnego cierpienia.

Uskrzydłona klacz obniża lot i Bahir zeskakuje na dach. Amal łopoce swoimi niesamowitymi skrzydłami, wznosi się nad nami i ląduje na ukruszonej ścianie budynku.

– Potrzebujecie pomocy? – pyta Bahir.

– Zaczekamy tu na kawalerię.

– Aha. W takim razie poczekam z wami.

Siada przy mnie.

– Dobrze znasz mojego syna?

– Wiem, że jest szczery i odważny. Nie waha się stanąć w obronie przyjaciół. Jest oddany George i tyra jak osioł, żeby zbudować z nią rodzinę. Jestem dumna, że jest moim przyjacielem.

Bahir milczy.

– Rozmawiałaś z George? – pytam.

– Tak. Powiedziała, że widziała Eduardo w ogniu. Shakush torturuje moje dziecko.

– Widzieliśmy go w ogniu w czasie wizji, podczas ataku ifrita. Nie wiem, czy to była prawda, czy iluzja.

– Uważasz, że on jeszcze żyje?

Amir-Moez chce, żebym potwierdziła, ale nie mogę.

– Widziałam go też we wcześniejszej wizji – mówię. – Był zamknięty w klatce i głodował. Nie był w najlepszym stanie, ale według mnie żyje, bo ifrit chce dopaść ciebie.

– Pragnie zabić Eduardo na moich oczach.

– Tak.

Bahir wzdycha.

– Powinnaś wiedzieć, czego się spodziewać, jeśli kolczyk znajdzie się w twoich rękach. Ifrit uwodzi. Gdy dotknie się jego więzienia, przekopuje się przez duszę, rozdziera ją i pożywia na największych lękach. Osobie bojącej się starości proponuje młodość, a „brzydkiej” piękno. Przesuwa góry i ożywia zmarłych, a jeśli brakuje mu do tego mocy, oszukuje umysł swej ofiary, pozwalając jej wierzyć, że spełnił życzenia. Z każdym następnym ofiara oddaje mu część swej duszy, a on kłamie i zdradza, aż zupełnie zawładnie człowiekiem.

– Jak mamy z nim walczyć? – pyta Derek.

– Musicie odrzucić djinna.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić – zauważam.

– Tak. Ale istnieją siły w duszy ludzkiej, które są od niego potężniejsze. Wierność. Obowiązek. Miłość. Honor. Jeśli macie wątpliwości, jeszcze jest czas, żeby się wycofać.

Uśmiecham się.

– Zostanę, ale dzięki za dodającą otuchy pogadankę.

- Masz przed sobą długie życie.
- Tak jak ty i twój syn. Eduardo jest moim przyjacielem. Nie pozwolę, żeby umarł w tej klatce.
- No tak. Ale niewiele osób zaryzykuje pewną śmierć dla przyjaciela.
- Robię to z egoistycznych powodów – tłumaczę. – Jeśli nie uda nam się powstrzymać ifrita, w następnej kolejności zabierze się za moją rodzinę. Zbyt dużo razy niweczyliśmy mu plany a on jest aroganckim psisynem, który nienawidzi przegrywać.

Bahir nie wygląda na przekonanego.

Odległy ryk silników na zaczarowaną wodę oznajmia przybycie odsieczy.

- To ich zajęcie – tłumaczy Derek. – Nie pytaj jej dlaczego. Przyjmij pomoc. Lepszej nie znajdziesz.

Dzięki, bystrzaku.

- Jeśli to przeżyjemy – dodaje Bahir – i będziesz czegoś potrzebowała, czegokolwiek, służę swoją osobą.
- Możliwe że będziesz tego żałował.

– Pomogę ci we wszystkim – powtarza Bahir.

Pierwsze auto przedziera się przez zieleń. Wielki, czarny SUV z metalową kratą, chroniącą chłodnicę. Za kierownicą siedzi Martha Delany.

To pulchna Afroamerykanka w średnim wieku, z burzą czarnych loków. Rozmawiałam z nią zaledwie kilka razy. Zwykle robiła na drutach podczas posiedzeń Rady Gromady, a jeśli spotkałyśmy się wzorkiem, uśmiechała się. Teraz w ogóle się nie uśmiecha. Spogląda na nas na dachu, następnie na stado shadhavarów poniżej i wciska gaz do dechy. SUV wbija się w jednorozce. Niektórym udaje się umknąć w bok, ale co najmniej trzy padają. Martha wrzuca wsteczny bieg i przejeżdża drgające ciała.

Jeżu spiczasty!

Za pierwszym autem pojawiają się trzy następne i miażdżą stado. Martha otwiera z rozmachem drzwi i wysiada. Jeden z shadhavarów próbuje ją staranować. Pani Delany łapie go za róg i wali zwierzaka przez łeb. Shadhavar upada z jękiem na bruk, w konwulsjach. Z drugiej strony Suv-a wychodzi George. Łapie najbliższego jednorozca za łeb, zwała go z nóg i przydeptuje.

O wszechborze.

Z aut wypadają zmiennokształtni. Wygląda na to, że zjawiała się cała rodzina George.

– Zabić wszystko, co się rusza! – woła Martha. – Na tym parkingu ma nie zostać żadna żywa istota oprócz nas!

Wyciągam rękę do Dereka.

– Weź mnie uszczypnij.

Wilkołak skubie moją skórę.

– Ał.

– Martha jest alfą Klanu Ciężkich i na ogół miłą osobą, chyba że ktoś zdrze z jej rodziną – ponieważ oświeca mnie Derek.

KONIEC Rozdziału 26

Rozdział 27 – Ifrit

Do czasu gdy zjawiają się Curran i Mahon, wraz z sześciorgiem rycerzy Zakonu, Lutherem, Patrice oraz jeszcze jednym magiem z Biohazardu, którego imienia nie poznałam, parking jest już wypełniony ciałami shadhavarów. Klan Ciężkich nie poniósł strat.

– Ominęła cię rzeźnia – zgłaszam.

Curran krzywi się.

– A ciebie przenoszenie koni przez gruzy.

Curran nie dogaduje się z tymi zwierzętami. On uważa, że są nieprzewidywalne i niegodne zaufania, a konie, że Curran jest lwołakiem. Czekam aż Mahon oddali się poza zasięg słuchu.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi, że Martha jest zakamuflowanym terminatorem?

Uśmiecha się.

– Była najlepszą przyjaciółką cioteczki B. Wydawało mi się, że prędzej czy później sama do tego dojdiesz. Gdzie twój wierzchowiec?

– Wszedł do szpitala zrobić zwiad.

– No to idziemy za nim.

Zebranie wszystkich zajmuje pół minuty. Wchodzimy przez drzwi pojedynczo: pierwszy Derek, tropiący woń Adiba, Curran i ja, Bahir prowadzący delikatnie Amal, rycerze, następnie osłaniani zewsząd ze względu na swoją kruchość magowie, a na końcu Klan Ciężkich.

George idzie pomiędzy rodzicami. Ona i Martha mają identyczne, wkurzone miny. Mahon ma przechlapane.

Przechodzimy przez opuszczony korytarz ostrego dyżuru do następnego wejścia. Wyważone drzwi leżą na podłodze. Przed nami, w szczelinie skruszałej ściany, widać poblask. Derek idzie w tym kierunku, a my za nim.

Naszym oczom ukazuje się przestronny ogród. W zieleni pyszną się liczne kwiaty. Sádzawki wypełnione są krystalicznie czystą wodą, odbijającą delikatne płatki różowych, białych i lawendowych lotosów. Ponad wijącymi się ścieżkami złocistego piasku szeleszczą palmy.

Przechodzę przez szczelinę. W dali, królując nad zjawiskowym pejzażem, wznosi się pałac. Nie jest to połyskliwa, biała perfekcja wąskich minaretów Taj Mahal, łukowatych balkoników i złotych kopuł. W zieleni stoi las olbrzymich kolumn, pomalowanych jaskrawą czerwienią. Każda kończy się ozdobnym, rzeźbionym cokołem w jaskrawym, niemal turkusowym odcieniu niebieskiego. Na owych postumentach stoją złote posągi zwierząt, szczerzących się do ogrodu. Ich głowy i ciała dają oparcie ostremu, prostokątnemu, błękitnemu dachowi, zwieńczonemu zdobnymi gzymsami ze złotych kolców. To pradawny pałac, powstały w czasach, gdy pigmenty były kosztowne, wysokość budziła respekt, a subtelność była wadą, a nie cnotą.

Jego zadaniem jest świadczyć o potędze, która zdolna była zmusić nieskończoną liczbę ludzi do spędzenia życia na niewdzięcznej harówce, by wznieść te kolumny na przyprawiającą o zawrót głowy wysokość. Pałac przytłacza wszystkie zmysły. Nienawidzę go. Żeby wznieść coś takiego z niczego potrzeba ogromnej mocy.

Curran prostuje się. Pałac to wyzwanie rzucone potencjalnym przeciwnikom. Przyjdźcie i zaatakujcie, jeśli się ośmielicie. Curran podwija górną wargę, oczy lśnią mu złotem. Ośmiela się. Trącam go łokciem.

– Hej, gdy mówiłam, że na parterze będzie pasował niebieski nie miałam na myśli czegoś takiego.

– Może to jego as w rękawie – odpowiada z niewesołą miną. – Pół minuty w tym kiczowatym pałacyku i oślepnjemy.

– To miejsce ma jakieś pięć kilometrów szerokości – zauważa Nick.

– Jak on mieści to w budynku?

– Szaleniec oszukuje. – Adib wyłania się z krzaków i zatrzymuje pośrodku stawu.

– Kwiaty nie mają żadnego zapachu – wtrąca Derek. – Czuję woń kurzu i kilka innych rzeczy, ale nic z tego, co widzimy.

Kucam przy stawie i nabieram ręką nieco wody. Widzę ją w dłoni, ale nic nie czuję. Nie ma materii.

– Rycerka-archiwariuszka pewnie zażyczyła sobie tego miejsca – stwierdza Luter. – Ale djinn nie miał tyle mocy, więc dał jej iluzję.

Bahir sięga do przymocowanej u pasa osłony i wyciąga szamszir; niemal prosty, jednokrawędziowy; ostatnie dwadzieścia pięć centymetrów klingi jest zakrzywione, by zadany cios spowodował większe obrażenia. Bahir nacina rękę. Krew spływa po ostrzu i zmienia się w płomień. Unosi ognisty szamszir jak pochodnię. Jego skóra przybiera ciemniejszy, złocisty odcień, a oczy stają się czerwone niczym dwa żarzące się węgielki.

Ogród rozstępuje się i rozprasza. Otwiera się przed nami wąska ścieżka, ale nie pokryta złocistym piaskiem, a zwykła kamienista ziemia Atlanty.

– Prowadź – prosi Curran.

Idziemy za nim do pałacu.

Podróż do pałacu powinna zająć kwadrans, ale trwa dwa razy dłużej. Po drodze jeszcze raz omawiamy plan. Curran opracował taktykę działania, a jego plany zazwyczaj się sprawdzają. Nakłonienie

wszystkich, żeby trzymali się tego planu to zupełnie inna sprawa. Pytam Nicka, czy wziął może ze sobą więcej głowic Galahad. Na co on odpowiada pytaniem, ile według mnie przysługuje mu, wartych dziesięć tysięcy dolarów za sztukę, głowic. Mówię mu, że zwięzłość jest cnotą i wystarczyłoby powiedzieć nie. Potem Luther daje nam wykład o ratowaniu miasta i bezsensowności kłótni.

[Ku mojemu zaskoczeniu nie uraczono nas opisem głowic. Buuu. Ale spoczko, nadrabiamy:

Głowice Galahad są produkowane wyłącznie w Walii, a przeznaczone do walki z olbrzymami. Są niezmiernie drogie i nie do końca legalne, a eksport do USA mocno ograniczony. Nie są to typowe głowice, ale takie, które można umocować na bełcie lub jako ów bełt w specjalnie przystosowanej do tego kuszy, a przenoszą ładunek magiczny. Gdy Andrea pracowała dla ZMP w Atlancie, udało jej się, dzięki znajomościom, zamówić dwie skrzynki głowic z UK, wraz ze specjalną kuszą.]

Stopniowo ziemia przechodzi w piasek, kwiaty zyskują zapach, a w powietrzu czuć wilgoć. Trzy metry od schodów czerwonego pałacu iluzja zmienia się w rzeczywistość. Zatrzymuję się, żeby upuścić sobie nieco krwi. Mogłam zrobić to wcześniej, ale wolałam nie ryzykować, że straci na mocy.

Przechodzimy pomiędzy monumentalnymi kolumnami, do zacienionego holu. Kroki rozbrzmiewają głośno na polerowanym kamieniu. Na końcu holu stoi tron. Potężny, wykuty z kamienia,

pomalowany przeraźliwie jaskrawo. Zasiada na nim kobieta niezwyklej urody. Czarne włosy ułożone w misterne, spiralne fale, spływają na przezroczystą, bladozłotą suknię z niebieskimi akcentami. We włosy wplecione ma złote łańcuszki, na szyi spoczywa rubinowy naszyjnik, a lewe ucho ozdabia duży, prosty kolczyk, nie pasujący do reszty. Przy tronie siedzi czarna pantera, a kobieta głaszcze łeb zwierzęcia długimi paznokciami. O pierzaste purchawki. Znalazłam się w starym filmie o Sinbadzie. Szkoda że potwory nie są z animowanej gliny.

Za tronem stoi grupa mężczyzn, dzierżących miecze. Część jest ciemnoskóra, część jaśniejsza, niektórzy są odziani, inni niemal nadzy, ale każdy jest idealnym, przystojnym okazem samca. Liczę szybko głowy. Przynajmniej czterdziestu. Ma osobistą armię męskich modeli.

Sięgam magią i napotykam znajomy opór. Wyczuwam ogromne pokłady ifrickiej magii, owinięte wokół niej jak osłona. Użycie słowa mocy bezpośrednio przeciwko niej jest wykluczone. Podobnie jak zaatakowanie ją w tej sytuacji.

– Ma osłonę – oznajmia Luter.

– Potwierdzam. Djinn wykorzystuje całą swą moc, by ją chronić. Mamy za małą siłę ognia żeby przebić się przez nią – mówię. – Musimy zmusić ją do rozpoczęcia transformacji, żeby przestała się osłaniać i przeszła do ataku.

– Czyli musi wypowiedzieć życzenie – zauważa Luther. – Jeśli zażyczy sobie, żeby zmiażdżył nas sufit, nic na to nie poradzimy.

– Ten djinn to pradawna moc – dodają. – One nie są skomplikowane i uwielbiają dramatyzm. Ifrit będzie sam chciał nas zniszczyć i ujrzeć nasze cierpienie. Trzeba popchnąć ją do walki.

Bahir naciąga kaptur na głowę i deklaruje:

– W dwóch trzecich należy już do djinna. Zostawcie to mnie.

– Najpierw muszę z nią porozmawiać – wtrąca Feldman – Ona jest rycerką Zakonu.

Zerkam na Currana, a ten wzrusza ramionami. Możemy poczekać dodatkowe dwie minutki w naszym pędzie ku śmierci, żeby Nick miał czyste sumienie.

– Pamiętaj tylko, że ifrit pokryje ją metalem – instruuje go Curran.

– Im szybciej zaatakujemy, tym lepiej.

– Czy twoja szabla rozcina metal? – pyta mnie jedna z rycerek.

– Przekonamy się.

Mam już powyżej uszu olbrzymów. Przygotowałam niespodziankę dla djinna i nie mogę się doczekać, żeby się nią pochwalić.

[Hej, najlepiej byłoby skombinować nieumarłą krew, zrobić tarczę jak w trajzedze i nią cisnąć :P Tak tylko mówię :P Albo serio wyciągnąć głowicę Galahad z Zakonu i pizgnąć ją w łeb potencjalnej olbrzymki. Albo w ogóle zabrać jakąś broń dalekosiężną :P I tak, Kate potrzebuje swojej stajni nieumarlaków]

Dochodzimy do tronu. Kobieta obrzuca nas spojrzeniem. W jej oczach rozbłyskuje na chwilę płomień.

– Powinnaś wyłączyć swojego dekoratora wewnątrz – wypalam. Nie mogłam się powstrzymać.

Kobieta udaje, że mnie nie słyszy. To jest właśnie problem z pradawnymi mocami – zero poczucia humoru.

– No ładnie – odzywa się Feldman, zrobiwszy krok do przodu. – Zabawiłaś się, Sam. Czas wracać do domu.

– Jestem w domu – odzywa się kobieta potężnym głosem.

– To jest przeciw twojej naturze i nie stoi w zgodzie z naszymi przekonaniem – przekonuje ją Feldman. Masz obowiązki względem Zakonu. Złożyłaś przysięgę.

– Tym właśnie jestem – odpiera Binek. – Poświęciłam całe lata na badanie przedmiotów magicznych posiadających moc i opierałam się im. Teraz przyszła moja kolej. Zasłużyłam na to. Jestem godna.

Brak jej kontaktu z rzeczywistością, emocje w głosie są stłumione, jakby była na proszkach uspakajających. Niestety Samantha jest już zgubiona.

– Co będzie gdy magia odejdzie? – pytam, zdejmując plecak z ramienia.

Wzięłam na tę okazję ostatnią dawkę nieumarłej krwi. Mam nadzieję, że jej wystarczy.

– Magia nigdy stąd nie odejdzie – odpowiada Sam.

– Mogę zażywać w tym pałacu wszelkich przyjemności życia. Bez końca. Nie powinniście tu być. Ten pałac jest tylko dla mnie. Odejdźcie, a daruję wam życie.

– Hej, jędzo – rzuca George ostrym głosem. – Gdzie jest Eduardo?

Samantha wpatruje się w nią pustymi oczyma.

Skóra na rękach Nicka otwiera się raptownie. Strzelają z nich dwa zielone pędy i odbijają się od osłony Binek. Ta otwiera usta, ukazując nieludzkie zębiska. Odchyła głowę i śmieje się.

– Śmieję się do woli!

Bahir zdejmuję kaptur.

– Ty! – syczy Samantha.

Djinn na pewno wyczuł wcześniej obecność Bahira, ale widok jego twarzy rozwścieczył go.

– Żyję, bestio. Jestem tu. Przybyłem odzyskać syna.

Magia wokół Samantha unosi się, skręcając w niewidzialne tornado. Twarz się chmurzy, a oczy jarzą się jak węgliki.

– Nie jesteś w stanie mnie pokonać! – krzyczy Bahir.

Samantha wrzeszczy piskliwie, aż dzwoni w uszach:

– Życzę sobie mieć moc zdolną zniszczyć mych wrogów!

Uderza we mnie wiatr, odrzucając do tyłu. Lecę, opadam, prześlizguję się po podłodze i skaczę na równe nogi. Po mojej lewej stronie Derek łapie Bahira w powietrzu i stawia na podłodze.

Ciało Samantha rozrasta się, złapane w wir magicznego tornado. Nogi grubieją, kręgosłup wydłuża się, ramiona stają się masywne jak

pnie drzew. Usta cofają się, odsłaniając las zębów, uszy wydłużają się, oczy przewracają, zmieniając w jeziora pomarańczowego ognia. Sufit nad nią rozstępuje się, ukazując zawieszoną na grubym łańcuchu klatkę. Eduardo łapie za pręty i natychmiast puszcza. Wygląda jak zjawa.

Rycerka unosi swe olbrzymie ręce w niebo, czarne pazury jarzą się na końcach, po czym wydaje ryk.

Grupa stojących za nią mężczyzn drży, przemienia się i widzimy stado powarkujących, lwopodobnych stworzeń, rozkładających potężne, skórzaste skrzydła.

Mantykory.

Żesz to żołędzie bez czapeczek!

– Klan Ciężkich! – wrzeszczy Curran. – Zdjąć mantykory!

Niedźwiedziolaki pokrywają się futrem.

Mantykory atakują z wrzaskiem, szybując nad podłogą.

– Zająć miejsca! – głos Currana przebija się ponad parsknięciami i warknięciami. – Pamiętajcie o planie!

Racja. Plan.

Rzucam się w kierunku olbrzymki. Z góry spada na mnie mantykora. Uchylam się. Jej pazury zadrapują skórę na głowie, a zaraz potem przelatuje nade mną prawie półtonowy niedźwiedź polarny i wali w mantykorę. Przetaczają się po podłodze, a ja biegnę dalej.

Majaczą przede mną olbrzymie stopy Samantha. Wpada na mnie mantykora. Jej pazury wbijają się w prawe ramię, przeszrywając biceps. Wielka, brzydka paszcza otwiera się nade mną, próbując połknąć moją głowę w całości. Wbijam jej sztylet w bok szyi i poprawiam jeszcze raz. Tryska na mnie gorąca krew.

Nagle mantykora znika. Wstaję i widzę, że Adib wgryza się w jej kark. Po jego grzywie spływa ogień, pazury błyszczą, a futro iskrzy się. Biegnę do olbrzymki. Po drugiej stronie trójka rycerzy przesuwa się na swoje pozycje.

Wyciągam w biegu fiolkę swojej krwi z kieszeni. Drugi olbrzym uleczal rany. Ten tu będzie uleczal się szybciej, mam sekundy zanim ifrit zregeneruje jej ciało, więc ten manewr musi być wykonany szybko. Drugiej szansy nie będzie.

Skórę Samantha pokrywa okropna, czarna ciecz, wydobywająca się z porów jak pot. W powietrzu unosi się lekko słodki zapach. Djinn oblewa ją czystą smołą, żebyśmy nie mogli się na nią wspiąć. Psisyn uczy się, ale nie dość szybko.

Dobrywam Sarrat. Wielka stopa unosi się nade mną. Jej podeszwa jarzy się, a pierwsze łuski zaczynają formować na skórze. Biegnę w bok, obracam gdy opuszcza stopę i rozbijam fiolkę krwi na ostrze szabli. Moja magia iskrzy wchodząc w reakcję z magią szabli i tworzy szkarłatną, niesamowicie ostrą klingę.

W górze Bahir krzyczy:

– Zmierz się ze mną!

Amal spada na twarz olbrzymki jak jastrząb, a Bahir rozcina płonącym szamszirem policzek koloski. Kątem oka widzę George, wspinającą się po kolumnie do klatki Eduardo. Gigantka macha rękami wokół Bahira, próbując złapać go pazurzastymi palcami, zapominając o moim istnieniu.

Dzięki, Bahir. Ruszam i tnę przez tył jej nogi. Szkarłatne ostrze przekrawa cienką metalową powłoczkę i Sarrat wgryza się w sprężystą tkankę tuż nad piętą, przecinając ją. Do widzenia, ścięgno Achillesa. Olbrzymka wyje i kopie mnie bezużyteczną kończyną. Odskakuję ile się da, ale wiem, że za blisko. Curran łapie mnie w powietrzu i spadamy bezpiecznie. Stopa mija nas o centymetry. Po wylądowaniu Curran obraca się i rzuca mnie w kierunku olbrzymki. Ćwiczyliśmy ten manewr na porannym treningu i szkolenie bierze górę. Łąduję na stopach, biegnę i przecinam drugie ścięgno.

Olbrzymka wrzeszczy, aż mi dudni w uszach. Cofam się. Trzydzieści kilka metrów za mną ciało Currana kotłuje się i zmienia postać na zwierzęcą. Chce zyskać na masie. Obok niego ryczy Mahon w postaci wielkiego kodiaka.

Samantha walczy o utrzymanie pozycji pionowej, okręca się, chwieje i widzi jak się cofam. O żabo zielona. Jest obrócona w złym kierunku. Jeśli teraz ją zaatakują wszystko będzie na nic. Muszę obrócić ją plecami do nich.

– Tylko na tyle cię stać słabeuszko? – krzyczę.

Biegnę dookoła niej, a ona odwraca się chwiejnie do mnie. Lew i niedźwiedź ruszają biegiem.

Usta Samantha otwierają się, wyrywa się z nich grzmot i w moim kierunku leci błyszczący strumień magii. Nie mam gdzie się schować. Zakrywam się rękami i magia uderza we mnie. Nie boli. Czuję jakby pomiędzy mną, a strumieniem mocy uformowała się elastyczna ściana. Magia uderza w nią, impet odpycha mnie do tyłu, ale nie boli.

Olbrzymka zatacza się i ścisną głowę. Ha! Opór działa w obie strony. Zemsta jest słodka.

Rycerze zbliżają się do niej z obu stron.

Curran i Mahon uderzają Samanthę z tyłu pod kolana. Siła ich połączonej wagi okazuje się być powalająca. Olbrzymka klęka, opierając się dłońmi o podłogę.

Ciało Currana skręca się, przyjmując postać bojową. Rycerze ruszają na nią. Czwooro z nich wbija wielkie lance w jej dłonie, żeby ją przyszpilić. Ciało Feldmana rozrywa się. Podwójne pędy, wyglądające jak należące do jakiejś magicznej rośliny, strzelają z niego i okręcają się wokół szyi olbrzymki. Rycerze zaczepiają zakończone hakami łańcuchy w jej bokach. Trójka z nich ciągnie z jednej strony, a Curran z drugiej, obniżając jej wielki łeb coraz bardziej. Mantykozy rzucają się ku nam, ale Klan Ciężkich blokuje je.

Olbrzymka unosi ramiona i opuszcza brodę, chowając szyję. Feldman warczy jak zwierzę, napinając się. Pędy pękają i pada do tyłu.

– Odsunąć się! – krzyczy Luhter.

Podłoga rozwiera się i wyłazą z niej rośliny, które następnie chwytają szyję oraz resztę ciała Samanthy. Bahir spada na jej kręgosłup i zaczyna ciąć wąski odsłonięty pasek jej szyi.

– Ustawiam wektor – ogłasza Patrice. – Trzy, dwa, jeden...

Przykłada dłonie do ramienia olbrzymki. Ta drży gdy djinn próbuje ją regenerować, a jej głowa obniża się o kolejne kilkadziesiąt centymetrów. Owiewa nas żar. Pot zalewa mi twarz. Ciężko się oddycha. Rośliny Luthera zaczynają więdnąć. Patrice wrzeszczy i odsuwa się, jej dłonie dymią. Samantha ryczy. Metal zaczyna piąć się po jej piersi i szyi. Niech to skaczące zajaczki!

Curran puszcza swój łańcuch i daje nura pod brodę olbrzymki. Jego potężne ramiona napinają się. Unosi jej podbródek, rozciągając szyję. Teraz moja kolej. Wślizguję się w przerwę. Sarrat muska szyję Samantha, po czym odsuwam się. Nowe, krwawe ostrze szabli kruszy się, jego magia wyczerpuje się, ale cios zastał zadany. Krew leje się z obu stron szyi naszej przeciwniczki. Przecięłam obie arterie, robiąc wielką szczelinę w ciele. Olbrzymka napina się, rozpaczliwie próbując przycisnąć głowę i zacisnąć ranę. Curran stęka i drży.

Z góry opuszczają się dwie sylwetki, lądując na twarzy Samantha. George i Eduardo. Bizonolak składa pięści razem i wbija prosto w lewe oko monstrum. Z drugiej strony trzynoga niedźwiedzica kaleczy jej prawe oko. Ostatnią rzeczą jaką widzi, jest syn znienawidzonego mężczyzny i jego ukochana.

Nad nami, na szyi olbrzymki krzyczy Bahir. Ogień pokrywa jego broń i rozszerza się, by po chwili objąć go całego. Oczy płoną mu czerwienią, widoczne nawet przez ogień. Mężczyzna bierze zamach i trafia klingą w zrobioną przeze mnie szczelinę, odcinając głowę

Samanthy. Curran odpycha ją na bok ze stęknieniem. Łeb upada w krew, a ciało olbrzymki drży i opada na podłogę. Jasna iskra złota rozbłyskuje przede mną – to kolczyk, malutki w uchu olbrzymki. Rzucam się po niego, ale uprzedza mnie Feldman. Odcina krótkim mieczem płatek ucha. Kolczyk spada w kałużę krwi.

Samantha wydaje ostatnie tchnienie. Jej ciało zmienia się w popiół i rozpada. Wiatr porywa jej popioły. Mantykozy znikają. Pałac migocze i rozpływa się, jak płomień gasnącej świecy. Stoimy na pustym parkingu, a za nami wznosi się ruina starego szpitala.

– Teraz! – krzyczę do Bahir. – Wykonaj zaklęcie!

Bahir bierze kredę i rysuje koło na betonie na tyle blisko, na ile pozwala kałuża krwi. Drżą mu dłonie. Kolczyk i koło dzieli odległość niecałych ośmiu metrów. Niech to wąż kąśnie! Nick sięga po kolczyk.

– Odsunąć się! – wrzeszczy Curran.

[Czy Kate nie powinna być odporna na magię tego dziada?]

Ludzie rozbiegają się po kątach. Musimy włożyć kolczyk do szkatułki Bahira, zanim zawładnie kolejną osobą. Nie podołamy następnemu olbrzymowi.

Palce Feldmana dotykają złota. Robi krok w kierunku koła. Oczy mu bieleją. Ciało sztywnieje, ręka unosi się, drżąc z wysiłku, twarz

wykrzywia. Posuwa się kilka centymetrów naprzód. Kusząca moc djinna jest zbyt wielka. Obiecuje Nickowi wszystko, spełnienie wszelkich pragnień i marzeń, nieograniczoną władzę, nieprzebrane bogactwa, nadnaturalną sprawiedliwość... Obiecuje mu wszystko, czego w życiu pragnął. Nick zaraz wsunie kolczyk w ucho.

Curran wali Feldmana przedramieniem w łeb. Rycerz upada. Świat spowalnia. Kolczyk leci w powietrzu boleśnie wolno i ląduje w dłoni Currana.

Nie.

Curran stroszy futro. Twarz traci wyraz. Robi nieduży krok w stronę koła. Oczy wpatrują się w przestrzeń, niewidzące, jakby oślepli.

Nie, nie, nie...

– Nie może cię osiąść – mówię. – Jesteś mój. Walcz z nim. Walcz z nim, Curran.

Mięśnie twarzy lwołaka drgają, zmieniając kształt głowy. Jego szczeka wydłuża się, a wyrastają z niej dłuższe kły. Staje się potworem. Następny krok. Jego sierść zaczyna dymić. Tracę go. Czuję jak znika pod zasłoną magii djinna.

Staję przed nim.

– Kochasz mnie?

[Bleeeee, no blee, jaki flaczasty dramatyzm :p]

Skupia się na mnie. Na jego dłoni tworzą się łyse placki, pokryte pęcherzami. Przed nami zaczyna się formować w powietrzu jakiś kształt. Przezroczysty i słaby, ale rozpoznałabym go wszędzie. Djinn przeszukał umysł Currana w poszukiwaniu potężnych emocji i odnalazł nienawiść, którą mógł wykorzystać. Przywołuje d'Ambraya, bo Curran chce go zabić. Jeśli skusi się na tę przynętę, stracę go na zawsze.

Rozcinam przedramię. Krew spływa po skórze oblewając ją płynnym żarem.

[A nie powinna użyć do tego lub wcześniej do szabli nieumarłej krwi, którą przyniosła?]

– Daj mi kolczyk. Zrób to jeśli mnie kochasz. [Bleeeee]

Curran drży, wszystkie mięśnie napina do granic wytrzymałości.

– Oddasz go jeśli mnie kochasz. Rozewrzyj palce i niech wypadnie.
[Bleeeee]

Krew formuje rękawicę zgodnie z wolą mojej magii. Powinna ochronić mnie choćby na kilka sekund.

Postać Hugh jest niemal materialna.

Curran otwiera pięść. Kolczyk spada, a ja łapię go odzianą w rękawicę dłonią. Przeszywa mnie moc, otwierająca wszystkie drzwi w moim umyśle. Każde tajemnicze miejsce, każde ukryte wspomnienie, każda grzeszna myśl – poznaje je w jedno mgnienie oka. Bezczęści moją duszę.

Robię krok. Daleko przede mną płomień przenosi się od Bahira, skacząc po obwodzie koła, łącząc go w jedno ze szkatułką. Utrzymuje otwarty portal.

[Tu I.A. stwierdza, że zostało 20 jardów do koła. Wcześniej to był 25 feet.]

Zostało sześć metrów.

O wszechborze. Łzy ciekną mi po policzkach.

W głowie słyszę szept:

„Nie pokonasz ojca. Pomogę ci. Podaruję ci moc, jakiej nie znasz”.

Przeszywa mnie ból. Następny krok. Płoną mi włosy.

„Dam ci jego głowę. Nie będziesz musiała się bać, że znowu kogoś zabije”.

W głowie przewija mi się wizja: grób ojca, uśmiechająca się Julie i całujący mnie Curran; stoimy pośrodku rajy, szczęśliwi, wolni i bezpieczni.

„Wyzwolę cię z tych okowów. Uniosę cię w słodkim powietrzu i pozwolę zaczerpnąć tchu. Zatrzymam wszelki ból. Ujmij moją dłoń”.

Następny krok. Bahir i jego koło znajdują się niemożliwie daleko. Tak daleko.

„Musisz tylko ująć moją dłoń”.

– Kochasz mnie ? – pyta Curran. [Bleeeee]

Oczywiście że tak.

– Oddaj mi kolczyk.

[Nie no serio, za każdym razem mam ochotę napisać „pierścień”. Tolkien zepsuł mi głowę, moje ssskarby.]

Nie.

Ból zwiększa się, niemal powalając na kolana. Nie. Zostań ze mną. Zostań! Kocham go. Zrobię dla niego wszystko. Muszę oddać mu kolczyk.

[„– Proszę oddać mi pierścień, panie Frodo”.

„– Zdejmij horkruksa, Harry”.]

ZOSTAŃ!

Upuszczam go.

Curran łapie błyskotkę. Padam na kolana w krew olbrzymki. Teraz Curran wykonuje powolny krok naprzód. Wlokę się z nim, chlipiąc. Będzie potrzebował mnie po drugim kroku. Zrobienie go zajmuje mu pół minuty. Twarz ma zmartwiałą. Oddaje mi kolczyk, kiedy go o to proszę. Biorę go, przyjmując bezkres bólu.

Idziemy po dwa kroki na zmianę. Upadam raz i muszę czołgać się przez krew, ale posuwamy się naprzód, a koło jest coraz bliżej.

„Spójrz w swą przyszłość. Zajrzyj w głąb serca. Wiesz, czego pragnie twój ojciec”.

Koło znajduje się niemal na wyciągnięcie ręki.

W mojej głowie wyświetla się wizja.

„On ukrywa przed tobą przyszłość. Jednak moja moc jest potężniejsza. Widzę go. Pokażę ci, co dostrzegam...”

Świat wokół znika. Widzę przed sobą wzgórze – szmaragdowozielona trawa pod błękitnym niebem. Na jego grzbiecie stoi Roland. Na rękach trzyma dziecko.

Uderza we mnie magia, znajoma, a jednak tak inna, płynąca od dziecka. Jest tak silna, że zapiera dech w piersi. Mój synek ma szare oczy Currana. To jest prawdziwe. Czuję łączącą nas więź, rozciągniętą w czasie. Czuję miłość, którą przelałam w to dziecko. Syn wyciąga do mnie rączkę... Roland uśmiecha się i odwraca, zabierając go. Krzyczę. Nie może tego zrobić. To nasze dziecko.

„Tego właśnie pragnie. Zawsze tego chciał. Wiesz, że to prawda. Zabierze ci syna. Użyje go, by cię kontrolować. Zmieni go w potwora. Nie powstrzymasz go”.

– Włóż kolczyk do szkatułki, maleńka – odzywa się Curran. – Dasz radę.

„Ale ja mogę to powstrzymać. Zrobię to. Nie kochasz swojego dziecka? Nie chcesz żeby był bezpieczny?”

Sama zadbam o jego bezpieczeństwo. Ja. Nie potrzebuję cię.

„Ależ potrzebujesz. Nie pokonasz go sama”.

Nie potrzebuję cię.

– Nie potrzebuję cię! Nie potrzebuję cię! Nie masz władzy nade mną! – słyszę swój głos i uświadamiam sobie, że krzyczę.

„Zdechniesz, szczeźniesz beze mnie. Twoja rodzina przepadnie. Twoi bliscy zostaną zamordowani. Ujmij mą dłoń, a podaruję ci wieczną moc”.

Rozwieram palce.

Kolczyk spada, odbija się od krawędzi szkatułki i spada do koła. Nie udało mi się.

Dłoń George zamyka się na świecidełku. Niedźwiedzica wrzeszczy, twarz ma wykrzywioną, wyraz oczu straszliwy. Zaciska zęby. Wyteża wszystkie siły. Na barku formuje się ręka. George zrywa się z gardłowym rykiem i wrzuca kolczyk do szkatułki. Z więzienia bucha ogień. Pojawia się nad nim Eduardo z wieczkiem w dłoniach. Ogień głaszcze go, parząc ręce. Eduardo przyciska wieczko. Strumień ognia opiera się, walcząc z nim. Bizonolak napina mięśnie. Wieczko opuszcza się minimalnie.

– Dasz radę, synu! – woła Bahir.

Eduardo napiera mocniej. Potężne mięśnie ramion wybrzuszą się.

– Nie masz niczego czego pragnę! – wrzeszczy i zamyka szkatułkę.

Magia odpycha mnie w tył. Skomplikowane linie koła obracają się jak warstwy kunsztownego, mechanicznego zegara, który ktoś rozbiera.

Nocną ciszę rozdziera przeraźliwy krzyk. Zakrywam uszy.

Wewnątrz koła podłóże rozwiera się, a szkatułka zapada się, lecąc w dół jak wystrzelona kula, głęboko w ciemność. Magia trzaska i wszystko milknie.

KONIEC Rozdziału 27

Epilog

Sączę mrożoną herbatę, trzymając szklankę lewą ręką. Na prawej nie mam jeszcze skóry, pomimo tygodnia usilnych starań Doolittle'a. Powiedział, że potrzeba na to co najmniej następnych dziesięciu dni. Powiedział jeszcze kilka innych rzeczy; nie wiedziałam, że ma je w ogóle w swoim słowniku. Siedzi teraz przy sąsiednim stoliku, obserwując jak George i Eduardo tańczą wolno na trawniku.

George wygląda ślicznie w śnieżnobiałej sukience. Eduardo wciąż jest za szczupły i powinien odpoczywać w łóżku, ale próba sforsowania jednolitego frontu niedźwiedziolaczki i bizonolaka to z góry przegrana sprawa.

Eduardo powiedział mi już ze sto razy, że jest wdzięczny za ratunek. George bez przerwy mnie ściska. Poza tym przysłała nam czekoladę.

Nowożeńcy przeprowadzają się do domu obok Barabasa, co znaczy, że będę często ich widywać.

Przechylałam głowę, żeby odrzucić warkocz na plecy i przypominam sobie, że go nie mam. Żar ifrita spalił mi włosy. Teraz ledwie sięgają ramion i dostaję przez to kręcka. [NIEEEEEEEEEEEEEEEEE!!!]

Po drugiej stronie trawnika, przy stoliku, siedzi Mahon. Trzyma twarz w dłoniach. Pewnie rozbeczał się i nie chce by ludzie wiedzieli. Przy tym samym stoliku siedzi Bahir, choć widać, że czuje się nieswojo. Rozmawiał z Eduardo i choć urazy nie zostały zapomniane, George nie traci nadziei, że się pogodzą.

W ciągu minionego tygodnia w Atlancie eksplodowała wiosna. Wszystko się zazieleniło, jak gdyby natura radowała się z wypędzenia ifrita. Kwiaty rozkwitły, a gałązki jabłoni okryte kwieciami, ustawione w wysokich wazonach na biało nakrytych stołach, nasycają ciepłe powietrze swym aromatem. Cieszę się, że Eduardo i George zdecydowali się na uroczystości na świeżym powietrzu i nie wpakowali tysiąca pięciuset osób do głównej sali Twierdzy. [UUuu, stać ich na takie wesele? :P]

Po plecach prześlizguję się mi czyjaś dłoń.

– Hej – zagaja Curran

– Hej.

Opieram się o niego, a on obejmuje mnie.

– Wszyscy się żenią – zauważa.

– Mhm.

– My też powinniśmy.

Oczywiście wyobraźni widzę ojca na trawiastym wzgórzu, oddalającego się z naszym dzieckiem w ramionach. Obejmuję Currana, mając nadzieję, że jego siła odgoni demony.

– Zdawało mi się, że to już postanowione Poprosiłeś mnie o rękę, przyjąłam oświadczenia i wszystko gra.

– Tak, ale to takie zawieszony w powietrzu. Ustalamy konkretną datę.

– Na przykład?

– Sam nie wiem. Co powiesz na szósty lipca?

[Noc z 6 na 7 lipca według kalendarza gregoriańskiego to 23/24 czerwca w kalendarzu juliańskim. W oryginale podano złą datę - 6 czerwca.]

– Noc Kupały? Gdy wszystko w słowiańskich wierzeniach ludowych szaleje?

– Ostatni dzień Wilkołaczego Lata. – Curran uśmiecha się szeroko.

Każdego roku, przez pierwszy tydzień lipca, Gromada świętuje Wilkołacze Lato. Jedzą, piją, cieszą się życiem i dobrze bawią.

– Mówię poważnie, Kate. Wyjdź za mnie.

– Żaden kapłan nie udzieli nam ślubu.

– Nie potrzebujemy go. Do poprowadzenia ceremonii weźmiemy Romana.

– Chyba nie mówisz poważnie, Wasza Futrzastość.

Curran wstaje z krzesła i przyklęka. O borze wszechmocny.

– Wyjdź za mnie.

– Co ty wyprawiasz? – cedzę przez zaciśnięte zęby. Policzki mam tak gorące, że tort weselny zaraz się rozpuści.

– Oświadczam się uroczyście. Za pierwszym razem jakoś nie zaskoczyło.

Niech mnie ktoś zastrzeli.

– Curran! Wstawaj. Ludzie patrzą.

Znowu się uśmiecha.

– Wyjdź za mnie, Kate.

– No dobra. W ostatnią noc Wilkołaczego Lata.

Wstaje, pochyla się i muska moje usta swoimi.

Oddaję pocałunek i słyszę oklaski. Nowożeńcy przystanęli, a Eduardo klaszcze. Ktoś z lewej strony dołącza. Andrea.
Też się wal.

Uśmiecham się i macham do nich.

– Nienawidzę cię.

– Nie gniewaj się. Przyniosę ci jeszcze herbaty.

Śmieje się, bierze moją szklankę i idzie ją napełnić.

Pobierzemy się. Będziemy mieli dziecko. Będę je kochać najbardziej na świecie, a mój ojciec odbierze mi je.

Nie. Tak nie może być. Muszę znaleźć sposób, by go pokonać. Nie mam pojęcia jak to zrobić. Jak zabić nieśmiertelnego i niepokonanego?

[Trochę to nieuprzejme, robić przedstawienie na czyimś weselu, a już publiczne oświadczenia są zupełnie nie fair w stosunku do przyjmującej je osoby.]

Do mojego stolika podchodzi Bahir.

– Mogę się przysiąc?

– Oczywiście.

Siada po mojej prawej stronie.

– Chcę ci jeszcze podziękować.

– Nie ma potrzeby. Jak układają się sprawy pomiędzy tobą a Eduardo?

Bahir uśmiecha się.

– Trzeba czasu by wszystko naprawić. Jest na mnie rozgniewany za to, że go opuściłem. Zły na matkę, że niczego mu nie wyjaśniła. Eduardo był wrażliwym, delikatnym chłopcem.

Próbuję pogodzić obraz wielkiego bizonolaka, wydłubującego oko olbrzymki, z wrażliwym chłopcem, ale jakoś mi się nie udaje.

– Mhm.

– Wiem, że jego ojczym nie był wyrozumiałym rodzicem, ale nie tracę nadziei.

Curran napełnił szklanki i wraca. Tak bardzo go kocham. Jego oczy, sposób w jaki na mnie patrzy i w jaki chodzi oraz to jak na mnie działa.

„Czasem gdy moc twego wroga jest zbyt wielka, jedyne co możesz zrobić, to uwięzić ją”.

– Bahir – odzywam się cicho – przed walką powiedziałeś mi, że pomożesz mi gdybym czegoś potrzebowała.

– Tak.

– Czy ta oferta jest aktualna?

– Oczywiście.

– Po ślubie, gdy sprawy się uspokoją, chciałabym się spotkać z tobą. Opowiesz mi wszystko co wiesz o tej szkatułce.

KONIEC

Za męczenie się ze skanami podziękować należy:

06, 09 - rai-ssa

07, 08 - moria

10 - madzikk86

11, 12, 16 - atka64

13, 14 - szafiere

15 - Ku-Fu

17 - madzikk86

18 - rai-ssa

19, 20, 21, 24, 25- moria

27, Epilog - anita275

